

jess walter

strefa

zero

OD AUTORA: TO SIĘ WYDARZYŁO

Czyżbym więc był jedynym tchórzem na świecie? -
myślałem sobie. -Iz jakim przerażeniem!... Zatracony
śród dwóch milionów wariatów bohaterskich i
rozpętanych i uzbrojonych do czubka głowy?

Cytat z Podróży do kresu nocy Celine'a

Tłumaczenie z francuskiego: Waław Rogowicz, Warszawa, 1933 rok,
Wydawnictwo J. Przeworskiego).

CZEŚĆ PIERWSZA

Dni po

Wtargnęły na niebo. Całe ptactwo świata, wściekłe i złowieszcze, pobu-

dzony tą samą pierwotną myślą, wyfrunęło z białej puchowej chmury, niespokojne i pełne wdzięku. Zataczało nad ziemią coraz mniejsze kręgi. Unosiło się tuż nad nią, wystarczająco nisko, by jej dotknąć. I wtedy, z bliska, można było zobaczyć, że to wcale nie stado ptaków, lecz papier. Strzępy płonącego papieru. Te wszystkie małe ptaki to po prostu skrawki papieru. Trzepotały, krążyły i ogromniały - opadające płatki i szalone kartki, niektóre dymią, z nadpalonymi rogami, niektóre płonęły na powietrzu, aż został z nich jedynie cieniutki, czarny brzeżek... i znikaly, pozostawiając czarną dziurę i mgliste wspomnienie dymu. Zza płonącego stada dochodził wielki lament i jęk, aż nastąpiła kłębiąca się ciemność, świat wywrócony na drugą stronę, ptaki uderzające o wzburzone niebo, a wszystko, co nie stało się dymem, było papierem. Piękne, po prostu piękne.

- Brian, wszystko u ciebie w porządku?

Brian Remy otworzył zamglone oczy i po chwili je zamknął. W końcu podniósł powieki z takim wysiłkiem, jakby je podważał łomem i spojrzął na podłogę. Leżąc na boku, przesuwał wzrokiem po nieostrej granicy lasu, który tworzyło włosie dywanu. Świat znów stawał się całością. Buty pokryte skorupą zaschniętego błota. Pudełka po pizzy. Gazety. Szklanka. I coś tuż poza zasięgiem...

Plamki w jego oczach zamigotały ostrzegawczo i rozbiegły się, aż w końcu znów zaczął widzieć ostro: obraz nędzy i rozpacz, pusta butelka po Knob Creek. On i butelka po whisky, 0,7 litra, oboje

13

przewróceni na dywaniku na prawy bok, równolegle do siebie. Najwyraźniej nierozłączni. Nakazał sobie zaczerpnąć oddechu, ale zdołał jedynie wydać rżenie z zastałych płuc. Mrugnął, oczy zamglały mu się

ponownie, a plamki i smużki na powrót przemknęły przed nimi. Stojąca pod drzwiami mieszkania Remy'ego pani Łubach zawołała jeszcze raz.

- Brian, słyszałam jakiś huk! Wszystko w porządku?

Remy nie słyszał huku, zwykł jednak wierzyć ludziom tak skrupulatnym jak pani Łubach. W każdym razie huk wyjaśniałby to przytłumione dzwonięcie w uszach. I ten straszny ból przy każdym ruchu głową. Z wysiłkiem uniósł brodę i z prawej strony, tuż za butelką, zobaczył pistolet, który leżał beczynnie pośród pokrywających dywan okruchów i włosów, nieprzydatny już do niczego. Gdyby poczekał wystarczająco długo, ręka w gumowej rękawicy podniosłaby broń za kolbę i wrzuciłaby ją do oznakowanej saszetki zapinanej na suwak - i jego też, dopóki by się nie poruszył, wsadziłaby do zapinanej torby, tyle że większej - zapach grubego plastiku to ostatnia rzecz, jaką by poczuł, zanim drzwi chłodziarki wydałyby ostatnie tchnienie.

Zza drzwi mieszkania dobiegł przytłumiony głos pani Łubach:

- Brian? Dzwonię na policję.
- Ja jestem z policji. - Własny głos wydał mu się piskliwy i słaby. Nie był właściwie pewien, czy rzeczywiście wydobył się z jego ust.
- Brian?

Usiadł na podłodze i rozejrzał się po swojej kawalerce: zapadnięty futon, połatany tynk ścian, zamazane farbą szyby. Dotknął dłonią lewej strony głowy. Włosy miał potargane i lepkie, jakby leżał w syropie. Odjął rękę. Jasne. Krew.

Okay. Wraca do siebie.

Krzyknął w stronę drzwi głośniejszym niż poprzednio:

- Chwileczkę, pani Łubach.

Brian Remy stał, nękany mdłościami i słaby, raz jeszcze szukając brakującego ogniwa w łańcuchu przyczynowo-skutkowym - długi dzień, alkohol, smutek, strzał z pistoletu, zmęczenie. A może wszystko zdarzyło się w innej kolejności. Przytrzymując się kuchenki, złapał ściereczkę do naczyń i przyłożył jej rąbek do głowy. Rozejrzał się ponownie. Spojrzał na stół i zobaczył to wszystko, niczym dekorację

14

szkolnego przedstawienia. Krzesło kuchenne leżało przewrócone, na małym stole zaś, przy którym wczoraj siedział, samowolna martwa natura: ściereczka, pęknięty kieliszek, olej do czyszczenia broni, drucziana szczotka, liścik.

Okay. Na tym polegał problem. Te luki w pamięci lub może nawet w jego życiu, serie pominięć - długie, poszatowane ciągi myślowe, puste miejsca, w których na ogół znajdowały się wyjaśnienia wszelkich kwestii zasadniczych. Przez moment próbował to wszystko poukładać, tak jak analizował problemy w pracy. Olej do czyszczenia pistoletu może wskazywać na nieszczęśliwy wypadek, ale liścik? Jaki szaleniec napisałby wcześniej list?

Czyścił pistolet?

Podniósł kartkę: „Etc...”

Et caetera?!

Cóż, to było po prostu zabawne. Nie przypominał sobie, żeby wcześniej był taki dowcipny. A tu ta notatka sporządzona jego charakterem pisma. Dobra. Coś już świtało mu w głowie. Cokolwiek się wydarzyło, cokolwiek zrobił, było to jednak śmieszne. Schował kartkę do kieszeni, ustawił krzesło i schylił się po swoją „dziewiątkę”. Dygocząc, zabezpieczył ją i odłożył na

stół.

- Brian?
- Już, już.

Podszedł do ściany i włożył palec do świeżej dziury w cegle za krzesłem. Wciąż trzymając ściereczkę przy głowie, cofnął się kilka kroków, gdy nagle całym jego ciałem wstrząsnęła fala bólu. Poczekał, aż ból minie i podszedł do drzwi. Uchylił je, a powstałą szparę wypełniła pomarańczowa twarz pani Łubach.

- Brian, wszystko w porządku? Jest trzecia w nocy.
- Naprawdę?
- Brian, istnieją pewne przepisy dotyczące ciszy nocnej. - Jej głos, niczym echo, rozległ się o ułamek sekundy opóźniony w stosunku do ruchu warg. Jak w filmie ze złym dubbingiem. - Przepisy - ciągnęła - a tu ten wystrzał. Ludzie pracują. Mamy zszargane nerwy, Brian. Jeśli nie jesteś ranny, to ten cały hałas był nietaktowny.

- A jeśli jestem ranny?

Pani Łubach zignorowała go.

15

- Spróbuj sobie wyobrazić, co mogliśmy sobie pomyśleć o tym hałasie.

Była drobna i chuda. Miała krótkie, proste siwe włosy i szeroką twarz. Mocny, niesymetrycznie nałożony makijaż nadawał jej wygląd pośpiesznie pomalowanej figurki albo piłkarzyka. Kiedyś była księgową. Gdzieś z zakamarków pamięci dobywały się jej słowa, że nie ma pewności, kim powinna teraz zostać. Czy ludzie muszą wracać do tych samych zajęć? Jakby nic się nie wydarzyło?

- Przecież wiadomo, że powietrze może być wybuchowe - powiedziała naraz.
- Nie sędzę - Remy przyłożył ręcznik do głowy.
- Chłopak Jennifer spod 6A powiedział, że będziemy mieli kłopoty, gdy zmieni się wiatr. Myślisz, Brian, że to prawda?
- Nie wiem.

Remy nie miał bladego pojęcia, kim jest chłopak Jennifer, a nawet kim jest sama Jennifer, ani też kto właściwie mieszka pod 6A, ani w którą stronę wiatr wiał wcześniej.

- Nam nie mówią, co jest w tym dymie. A tobie, Brian? Powiedzieli ci, z czego się składa?
- Nikt mi nic nie mówił.

- Zdradzisz mi, jeśli cię poinformują?

Remy nie wiedział, co odpowiedzieć.

- O tym nie pomyślałam - zbliżyła się i szepnęła: - Karl spod 9F mówi, że to tylko kwestia czasu. Że taplamy się w substancjach rakotwórczych. W brei własnego umierania. Takich dokładnie słów użył. Kwestia czasu. Breja. On jest ateistą. Myśli bardzo naukowo. Chłodno. - Nagle obejrzała się przez ramię. - Mam znajomego w szpitalu. Zdarzają się wady wrodzone. Zapadnięte dziąsła. Ludzie bez nóg. Brian, ja się boję tłumów.

Remy poczuł, jak krew spływa mu strużką po skórze i zbiera się w zagłębieniu obojczyka.

Pani Łubach wyciągnęła szyję, żeby to zobaczyć.

- Samoistne krwawienie - powiedziała.
- Nie, właśnie czyściłem pistolet i... - Wpatrywała się w niego, jakby on wiedział, jak dokończyć to zdanie. - ...*et caetera* - dodał.

Ale pani Łubach straciła już zainteresowanie raną na jego głowie i wystrzałem, który przywiódł ją do drzwi.

16

- Nigdy więcej nie pójde do miasta - podjęła - ani nie wsiądę do metra, ani nie wejdę do żadnego budynku, który ma więcej niż dziesięć pięter. Może nawet wyjedziemy z tego miasta.

Remy znowu przyłożył ręcznik do głowy.

- Pani Łubach, pójde to przemyć.

- Brałam prysznic - ciągnęła, jakby ją o to pytał. - Brałam prysznic... Zdarza się, że woda płynie wąskim strumieniem i tak właśnie było tym razem. Jakies dziesięć sekund przed tym zdarzeniem. A potem, kiedy wyszłam, zadzwonił telefon. To była moja siostra, kazała mi włączyć telewizor. Ona mieszka w Wilmington. Dokładnie w tym momencie wysiadła u niej elektryczność. - Pani Łubach uniosła brwi i powtórzyła z naciskiem. - W Wilmington. Brian, ja nic z tego nie rozumiem.

Remy odjął ręcznik od głowy.

- Pani Łubach, muszę to przemyć.

- Jak myślisz? Kiedy wszystko wróci do normalności?

Normalność. Samo słowo zdaje się brzmieć znajomo, ale i dziwnie, jak przytłumione wspomnienie. Kiedyś istniało coś takiego jak normalność.

- Wie pani - rzekł - chyba nie mam pojęcia.

- Twój kolega mówi, że będzie lepiej, gdy już sprzątną te wszystkie papiery.

- Mój kolega? - zapytał Remy.

- Młody mężczyzna, który szukał cię tu dzisiaj rano. Gazeciarz.

- Gazeciarz? - spytał.

Pani Łubach otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale...

Remy siedział sam na oddziale pomocy doraźnej, naprzeciw ufnej wietnamskiej dziewczynki, która trzymała szmatkę owiniętą wokół czegoś, co wyglądało na spaloną rękę. Miała dziewięć lub dziesięć lat, a ubrana była w pidżamę. Patrzyła na niego. Co kilka sekund zamykała oczy i wzdychała. Otwierała je znowu, spoglądała na Remy'ego i zaciskała powieki, jakby to on wywoływał w niej ból. Wyglądało na to, że znalazła się tu bez opieki. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł nikogo poza starszym wolontariuszem, który siedział w rejestracji i czytał książkę w twardej oprawie. Remy po chwili wstał i podszedł do niego. Mężczyzna miał oczy przysłonięte powiekami, a na policzkach mgiełkę siwych baczków. Nie

17

podniósł wzroku. Remy zerknął i zauważył, że pod twardą oprawą facet ukrywa podniszczoną książkę w miękkiej oprawie. Z początku pomyślał, że w książce są tylko niezadrukowane kartki, ale nagle się zorientował, że to koniec rozdziału, a na stronie widnieje ledwie kilka słów: „nic bardziej beznadziejnego niż ta wolność, to czekanie, ta nietykalność...”

Remy czekał, ale mężczyzna nawet na niego nie spojrział ani też nie przewrócił kartki. Po prostu siedział i czytał w kółko: „nic bardziej beznadziejnego... to czekanie...”

- Przepraszam - odezwał się w końcu Remy - ale ta dziewczynka...
- Mówiłem panu, panie Remy, że to zajmie minutkę - odrzekł wolontariusz. - Proszę usiąść. Lekarze wszystko o panu wiedzą.

Starszy pan długo patrzył Remy'emu prosto w oczy, aż w końcu odwrócił

kartkę, tak że można było przeczytać pierwszą linijkę kolejnego rozdziału:
„I zerwał się...”

- Ale ta dziewczynka...

- Zdają sobie sprawę - powiedział mężczyzna - z pańskiego stanu.

Remy wrócił na miejsce. Wietnamska dziewczynka westchnęła znowu i błyskawicznie podniosła oczy, popatrzyła Remy'emu prosto w twarz, jakby oczekiwała odpowiedzi na jakieś pytanie. W końcu musiał odwrócić wzrok.

Spojrzał na mały telewizorek przytwierdzony do słupa stojącego na środku poczekalni. Na ekranie migwały wiadomości z kablówki. Remy doznał *deja vu*, przewidując przy wyłączonym dźwięku każdy obraz, jeszcze zanim się pojawił. Uświadomił sobie, że wiadomości stały się tapetą w jego umyśle, niekończącą się pętlą w głowie - przechylone skrzydła, kwiaty płomieni, białe piórka, które najpierw poczerniały, a następnie poszarzały, niekończąca się szarość, gejzery szarości, pokryci pyłem maruderzy o szarych rękach, zasłaniających szare usta, uciekający z szarego wybrzeża. I ptaki, białe - niezliczone rodzaje i stada notatek, menu i korespondencji, trzepoczące cichutko i znikające w popielatym mroku. Brian Remy zamknął oczy i zobaczył to, co zawsze: strzępki tkanki, smużki odwarstwienia i zwyrodnienia, bezgłośnie fajerwerki. Nabłonek jego rogówki rozpadał się, iskrzył i łuszczył prosto w breję za gałkami ocznymi. Błyski i męty tańczyły jak skrawki papieru rzucone w świat.

18

Kilka dni później, gdy wszystko było już rozświetlone słońcem i pokryte popiołem, choć aureola dymu wciąż wisiała nad wyspą, Paul Guterak, partner Remy'ego, oświadczył, że nigdy dotąd nie czuł się taki szczęśliwy.

Jeździli jednym z nowych fordów excursionów, które przysłała FEMA" - „Zajebicie piękna ciężarówka”, jak powiedział Paul - białym, z przyciemnianymi kuloodpornymi szybami, na zderzakach i tylnej szybie widniały nalepki z flagą Stanów Zjednoczonych, a jedna malutka plastikowa chorągiewka wściekle łopotała na antence. Ludzie stali w szeregu wzdłuż West Side, machali własnoręcznie wykonanymi tabliczkami oraz flagami i płakali, trzymając zdjęcia i plakaty z napisami: „Boże zachowaj...”, „Pomóżcie nam pomścić...” i „Nie złamiecie nas”.

W oczach Remy'ego wyglądali jednak na złamanych. Jakby ich ktoś połamiał i na powrót poskładał. Blokowali drogi i stali na ulicznych barykadach, mieli koszulki w barwach flagi państwowej, a na głowach bejsbolówki ze sztywnymi daszkami. Na widok Paula i Briana ożywiali się niczym figurki na starej karuzeli Disneya, zgrzytający i terkoczący korsarze z *Piratów z Karaibów*. Chłopiec w koszulce rugbysty z długimi rękawami wymachiwał nad głową deskorolką z wymalowanymi znakami *jin-jang*, a obok kobieta przytulała do piersi miniaturowego szpica. Remy zdążył jeszcze zobaczyć dwie babki w dżinsach i w szpilkach, jakiegoś brodatego gościa w wełnianym płaszczu i setki innych, szczerych twarzy, a potem, minąwszy kilka przecznic, nie mógł już na nich patrzeć i skierował wzrok przed siebie. Oni wciąż wznosili okrzyki i wołali, jak desperaci, którzy pragną, żeby ktoś ich zauważył. Płakali. Salutowali. Krzykiem usiłowali zwrócić na siebie uwagę Remy'ego, ale on wpatrywał się w drogę przed sobą, aż wreszcie twarze pikietujących zlały się w jedną, a ich głosy się zatarły, gdy próbował zrozumieć pragnienia tych ludzi.

- To właśnie mam na myśli. Jesteśmy cholernie sławni - powiedział Guterak jak ktoś, kto przyznaje się, że jest alkoholikiem.

Może Paul miał rację, na swój sposób - to wyglądało na sławę. Jakby ludzie na każdym kroku rozpaczliwie odbijali się w ich blasku.

Paul zjechał ciężarówką z West Street przed tunelem i podwójnym szeregiem zaparkowanych „dinozaurów” - ciężarówek z antenami sate-

FEMA - Federal Emergency Management Agency - Federalna Agencja ds. Klęsk Żywiolowych.

19

litarnymi, ciężarówek z platformami i ciężarówek - chłodni. Zatrzymali się na kawę w barze na rogu, gdzie w kątach okna przyczepiono amerykańską flagę. Tam znów zobaczył kwiaty, w doniczkach i skrzynkach, świeżo zroszone, kapiące brudną wodą na pokryte popiołem chodniki. To jednak było coś: dzień czy dwa po tym wszystkim, przypominał sobie Remy, w sklepach nie sprzedawano kwiatów. W drzwiach baru dwoje starszych ludzi uśmiechnęło się do nich i podniosło kciuki na znak uznania. Brian poprawił bejsbolówkę, zbyt mocno uciskającą szwy, które dzień wcześniej założono mu na pogotowiu.

- Słuchaj, nie mówię, że jestem zadowolony z tego, co się stało - rzucił Paul przez zęby. Był zbudowany jak kręgiel; szeroki w biodrach i wąski w ramionach. Mówił jedną stroną ust niczym gracz, który pod powiada innemu. - Nic z tych rzeczy. Ale musisz przyznać...

- Nie, Paul, niczego nie przyznam. Bolała go głowa.

- Nie, posłuchaj, mówię, że...

- Ja wiem, co mówisz - przerwał Remy - tylko że nie chcę tego słuchać.

- Nie jestem jakimś pieprzonym kretynem, Bri. Wiem, że to politycznie

niepoprawne. Nikomu innemu tego nie powiem. Ale nie krępuj się... dla ciebie i dla mnie., chodzi mi o to... my żyjemy, stary. Co poradzimy, że czujemy...

- Nie chcę o tym myśleć, Paul. Nie chcę rozmawiać o tym, jak ty się czujesz.

- Nie, nie rozumiesz mnie.

Paul podrapał się po szyi.

Stanęli w kolejce po kawę, ale ludzie rozsunęli się i przepuścili ich. Gdy mijali jakąś kobietę w futrze, ta ożywiła się i aż wspięła na palce, żeby poklepać ich po ramieniu przez materiał nowych kurtek, którymi szefostwo wszystkich obdzieliło. Remy sięgał właśnie po gumę, ale ręka przesunęła mu się o kilka stopni w lewo i walnął kłykciami w pudełko snickersów. Zdawało się jednak, że nikt tego nie zauważył.

Kiedy Paul chciał zapłacić, facet podający kawę machnął ręką:

- Bohaterowie piją za darmo - rzekł, a ludzie w kolejce zaczęli bić brawo.

Paul dał mu trzy dolary napiwku.

20

- Dziękujemy panu. - Przełknął to coś, co uwięzło mu w gardle.
- Niech was Bóg błogosławi - powiedziała starsza pani, wkładając psa do wózka dla dzieci.
- Dziękujemy pani - odrzekł Paul. - To panią niech Bóg błogosławi.

Pies wlepił ślepią w Remy'ego, który w końcu musiał się odwrócić.

Już na ulicy spojrzał przez ramię, by zobaczyć, czy ludzie w barze wciąż się poruszają, ale odbicie nieba błysnęło w szklanych drzwiach i przesłoniło wnętrze. „Chmurzy się. Jezu, co stanie się z kurzem i popiołem

po deszczu? I z papierem, ze śnieżnobiałymi plikami życiorysów, notatek, raportów i listów przewozowych - co po deszczu stanie się z wszystkimi tymi papierami?" Wiedział, że pewnie trwają teraz rozmaite narady, a urzędnicy przygotowują się i na taką ewentualność, że ulewa zniweczy ogromne wysiłki włożone w odzyskanie straconych dokumentów. Paul i Remy wdrapali się z powrotem do ciężarówki.

- O tym właśnie mówię, o tym, co się tam stało przed chwilą - ciągnął Paul. - Nie powiesz mi, że to nie jest przyjemne, gdy ludzie cię tak dobrze traktują. Tylko o tym mówię, Bri. Tylko o tym.

Remy zamknął oczy.

- Widzisz - naciskał Paul - przedtem od nikogo nie usłyszałeś ani jednego zaszranego słowa, tylko biadolenie, że nas wzywali, i wrzaski, że nie złapaliśmy durnia, który się włamał do jakiegoś pieprzonego auta, rozumiesz? A teraz... darmowa kawa? Poklepywanie po ramieniu? Wiem, że przez jakiś czas nie chodziłeś po ulicach, ale Jezu, czy to nie wygląda dość... miło?

Remy ukrył się za kubkiem z kawą.

Paul z powrotem włączył się fordem do ruchu.

- Chodzi mi o nadgodziny. I o te zaszrane zadania. O zabieranie Jankesów na wycieczkę po Strefie Zero. Pieprzeni Jankesi. Zobacz, co robiliśmy wcześniej. Odbieraliśmy rzeczy Szefa z pralni, woziliśmy po mieście jego dziewczynki. Przesiadywaliśmy na spotkaniach z krety nami. Nie powiesz mi, że wolałbyś to dalej robić. I nie w tym rzecz... nie chodzi tylko o ulgę. To coś więcej, może nawet coś... - Pochylił się, a Remy przez chwilę pomyślał, że Guterak wygląda na kompletnego wariata - ...coś złego. Rozumiesz?

Remy gapił się przez okno, w głęboki kanion zakurzonego szkła i granitu, na palety butelkowanej wody ustawione przy ulicy i skrzynki pochodzących z darów rękawiczek oraz batoników muesli. A potem te rzędy wozów transmisyjnych, dwa tuziny ustawione tak, żeby powoli wyławiać całą rozpacz, budynek za budynkiem - zdarzenie, naoczni świadkowie, pierwsi na miejscu, anteny satelitarne sterczące ku niebu jak palmy na mszy w Niedzielę Palmową, za nimi zaś platformy ciężarówek zawalone poskręcanyimi dźwigarami, a potem wstrzymujący ruch korek ciężarówek-chłodziarek i czarna ciężarówka z naczepą, tymczasowa kostnica, do której Remy zabrał...

- Słuchaj, mówię, że... - Paul zmagał się ze słowami.
- Wiem... co mówisz - odrzekł spokojnie Remy - i może masz rację. Ale są sprawy, o których nie możemy teraz rozmawiać. Dobra? Nie możesz mówić, że nigdy nie czułeś się tak szczęśliwy. Nawet jeśli tak myślisz, nie możesz tak mówić. Wszystko jest... są takie sprawy... które musimy zostawić w spokoju. Niech one sobie są, ale ty nic o nich nie mów.
- Jak skalp?

Remy otarł usta i przypomniał to sobie. Drugiego dnia w Strefie Zero znalazł w ruinach strzęp skóry z kobiecej głowy - szary i sztywny. Nie miał pojęcia, co zrobić, więc włożył go do kosza. Całe popołudnie przeszukiwali okolice tego miejsca, ale nie trafili na inne części ciała, jedynie ten piętnastocentymetrowy kawałek czoła z nadpaloną linią włosów. Sanitariusze z pogotowia i technicy z dochodzeniówki debatowali przez dziesięć minut, co zrobić z tym skalpem, aż wreszcie wyjęli go z kosza i

wrzucili do jednego ze lśniących worków na zwłoki. Remy zaniósł go do ciężarówki-chłodni, gdzie leżał jak żaba w śpiworze, gładki czarny guz na pustej podłodze. Paul wspominał tę skórę przynajmniej pięć razy dziennie. Jak Remy myśli? Czyja to może być skóra? Jak myśli? Gdzie jest reszta głowy? Czy po prostu zakopią ten skalp? W końcu Remy odparł, że nie chce o tym więcej rozmawiać - nie chce rozmawiać o tym, jaki był w dotyku ten kawałek skóry z czyjejś głowy, lekki, sztywny, opuszczony i bezużyteczny. Ani o tym, o ile więcej jest tych lśniących worków i chłodni, niż potrzebują. Ani czy służby przy tym pracujące nie zostawiają fragmentów ciał za dużych na wrzucanie do worków na zwłoki.

22

- Widzisz - kontynuował Paul - nie słuchasz mnie uważnie, Bri.
- Słucham.

Paul dojechał do punktu kontrolnego, gdzie dwóch, podenerwowanych chyba, żołnierzy Gwardii Narodowej w okularach przeciwsłonecznych i z opuszczonymi w dół lufami karabinów M-16, osłaniało po bokach niskiego gliniarza, który wystąpił do przodu i oparł but na stopniu excursiona. Paul sięgnął za koszulę i wyjął identyfikatory. Trzymał je tak, żeby kontrola bez trudu mogła odczytać napisy.

- Hej, szefuniu - odezwał się gliniarz, dzieląc ostatnie słowo na dwie sylaby, tak że zabrzmiało jak „szfu-niu”. - Jak leci?
- Cholernie ciężka służba, wiesz?
- Pieprzone islamskie sukinsyny.
- Taa... Racja. Racja.

Paul wyciągnął rękę do Remy'ego, który zdjął z szyi identyfikatory i położył je na otwartej dłoni Paula. Ten pokazał je gliniarzowi, który coś

zapisał i oddał identyfikatory Paulowi, a on z kolei Remy'emu. Policjant poklepał maskę forda excursiona:

- Fajna bryka.

- Góra dała.

Niski policjant skinął głową w stronę dwóch gwardzistów.

- A mnie dali tylko tych dwóch kretynów. I wiem, że zanim się to wszystko skończy, jeden z tych głupków zdąży mnie postrzelić w nogę.

- Może mają gumowe naboje.

- To byłoby zbyt piękne - westchnął gliniarz. - Hej, daj im tam popalić, szfuniu - dodał. Jeszcze raz poklepał maskę forda, cofnął się i machnął ręką, żeby odjechali.

Remy przyglądał się funkcjonariuszowi, zastanawiając się, w jaki sposób słowo „szef spadło pomiędzy dwóch mężczyzn, zawierając w sobie wszystko, co wartościowe, stabilny trzon pełnej szacunku lojalności, obiecującej każdemu z nich możliwość wybicia się, własną załogę, kierownicę, biuro, imprezy, prawo decydowania o budżecie, służby bezpieczeństwa, szansę, żeby kiedyś samemu zostać szefem. Czy to nie ta sama drabina, po której Remy cierpliwie się wspinał do tej pory? A teraz... co? Jak przez mgłę przypominał sobie, że uważał ten system za korupcyjny i okrutny, ale musiał przyznać... chodziło właśnie o takie dni jak te.

23

Guterak przejechał przez punkt kontrolny, po czym powitały go powiewające flagi i kaskada braw. Zaświergotał syreną, przyłożył dwa palce do czoła i spuentował sytuację:

- Chciałbym móc zrobić coś dla tych ludzi - wymamrotał. - Co

kolwiek. Choćby skosić im trawniki.

Remy osunął się na siedzeniu, próbując oddychać przez usta. Ten zapach nigdy go nie opuszczał. Mieszkał sobie na otoczce jego nosa i we włóknach płuc - jego całe ciało zdawało się pachnieć, jakby zapach wydobywał się poprzez jego pory, gęsty szary kurz: gryząca mąka z umarlaka. Remy'ego dziwiła srogość powietrza tu na dole, drażniące kurzem z cementu i zagubionymi molekułami ze spalonych... ze spalonego wszystkiego. To niesamowite, co może płonąć. Zapomnieliśmy o tym, pomyślał Remy, w strachu przed podzieleniem i połączeniem, promieniowaniem, infekcją, wstrząśnieniem mózgu i fragmentacją. Zapomnieliśmy o ogniu.

- Oglądasz dzieciaka Durgana w telewizji?

„Proszę, bądź cicho”.

- Duży. Nie widziałem go, odkąd graliśmy w softball. O tym właśnie mówię... oglądaniu dzieciaka Durgana. To znaczy... szczerze? Lepiej on niż ja. Nie? No sam powiedz. Przyznaj to. Lepiej, że jego dzieciak płacze w telewizji niż żeby płakał mój. Czy twój. Nie?

Remy gapił się przez okno.

-1 mamy Durgana... martwy jak płyta winylowa, nie zobaczy już dzieciaka. A to mogłem być ja, nie? Nie dość, że nie jestem martwy, to nawet nie mam draśnięcia... ani nie zbankrutowałem. Nie straciłem pracy. Nadgodziny wychodzą mi bokiem. Mam przepustkę za kulisy na Springsteenie, nie? Durgan leży gdzieś tam w kawałkach, a ja nie mogę znaleźć nikogo, kto mi, kurwa, pozwoli zapłacić za kawę. Wszystko dlatego, że stałem tutaj, a on stał tam. Rozumiesz? Mówię tylko...

- Wiem - przerwał Remy - Proszę, Paul.

Remy zdjął z głowy czapkę i potarł szwy na boku głowy. Guterak spojrział - Hej, ściąłeś włosy.

- Taa - Remy założył czapkę.
- Co cię do tego skłoniło?
- Wczoraj w nocy postrzeliłem się w głowę.

24

- **Cóż...** - Paul jechał przez chwilę, milcząc i gapiąc się przed siebie. - No, nieźle.

W Strefie Zero wrzało jak w ulu. Strażak o oczach szopa coś usłyszał, coś jak zgrzyt przesuwanej stali, i był przekonany, że ktoś woła go po imieniu. Ratownicy w maskach przeciwgazowych i przeciwpyłowych uwijali się w pobliżu południowo-zachodniego narożnika gmachu, wkładali głowy w szpary, schodzili w szczeliny po linach, przeciskali się między dźwigarami. Remy obserwował, jak ziemia poniżej nich zaczyna się ruszać, ale gdy tylko odsuwali jakiś złóg stali, natrafiali na kolejny, jakby wygięte stalowe skorupy sięgały najgłębiej, jak tylko można sobie wyobrazić, „żółwie aż do końca”, a pod nimi morze ognia, ku któremu kopali szaleńczo w nadziei, że on ukoi ich wściekłość.

- Mrówki wążące po mrowisku - rzekł Paul w marszu zbyt głośno, zawsze mówił zbyt głośno. Remy złapał partnera za nadgarstek. Wyglądało to tak, jakby Paul zgubił ten jakiś filtr, oddzielający umysł od ust. Mówił, co ślina na język przyniesie.
- Nie, nie sądzisz? - zapytał. - Nie wyglądamy tutaj wszyscy jak mrówki?

Remy nie mógł sobie przypomnieć, czy Guterak zawsze był taki, czy też

może te objawy turetycznej nietaktowności są czymś nowym. Odwrócił się w stronę Paula, by powiedzieć mu, żeby się zamknął, ale właśnie wtedy strażak o pokrytych sadzą oczach podniósł wysoko rękę i ekipa poszukiwawcza zamarła. Oczy zwróciły się na dymiące szczeliny, wszyscy milczeli jak grób, niczym w jakiejś dziecięcej grze, desperacko starając się coś usłyszeć przez generatory, sprzęt budowlany i gwar rozmów. Strażak gapił się na nich - nie, świdrował ich wzrokiem. Cholera.

- Wiesz, co? Słabo wytrzymuję widok tych sikawkowych - powiedział Paul u jego boku. - Nigdy ich nie lubiłem. Co za nędzne, rozpieszczone pomiotła. Wiesz? Najodważniejsi, a gówno. Starzy to grube leniwe fiuty, a młodzi całymi dniami ćwiczą...

- Paul - przerwał mu Remy, ale jego partner nie przestawał mówić.

- ...i odwalają całą czarną robotę. Za co? Pokażcie mi jednego z tych rozlazłych, pracujących dwa dni w tygodniu dupków, jak zachrzania na Czterdziestej Drugiej, tak? Albo jak któryś z tych nakoksowanych kotów robi zakupy na jakiejś mecie.

25

- Ale teraz im nie zazdrozczę. Te sukinsyny naprawdę weszły do środka. Rozumiesz? Ja pierdziele. Co z tego, że wszystkie dziwki zawsze im obciążają i że dostają gotowane posiłki? Ale teraz te skurwysyny weszły do środka. Polowa z nich była po służbie. Ale weszli. Nie mówię, że ja bym...

- Zamknijcie się, kurwa! - Biedny sikawkowy nieustannie biegał wokół ruin gmachu, krzycząc na ludzi, którzy gapili się na niego tępo, aż stał się jedyną osobą robiącą jakikolwiek hałas. - Błagam, zamknijcie się! Nie możecie się wszyscy zamknąć, do cholery? Nie może być przez

chwilę cisza?

Paul i Remy cofnęli się o przecznicę. Przy południowym wejściu na ogromny stadion gruzów mieli się spotkać z zastępcą komendanta Careyem, pod B-Trust, które Guterak nazywał „kaburą”, ze ścianą przeszytą stalowym oszczepem, dokładnie na południe od Śmierdzącego Miejsca. Wszyscy wiedzieli, że tam cuchnie szczególnie mocno, wszyscy też wiedzieli, co to za smród, ale nikt nie umiał znaleźć konkretnego źródła. Winda? Klatka schodowa? Wóz strażacki? Kilka lat temu, gdy Remy był jeszcze żonaty, kopnął stojący pod werandą lampion, który z wydrążonej dyni zrobił jego syn, i tak to wtedy cuchnęło na wiosnę. Ten smród dolatujący z południowego krańca Strefy Zero doprowadzał ludzi do szaleństwa, ale nie potrafili znaleźć tego, co gdzieś tam się rozkładało. Teraz, gdy odór już osłabł, było jeszcze gorzej, bo czuli się tak, jakby stracili kogoś, kto został tam na dole. Widział, jak chłopaki marszczą nosy, podnoszą twarze ku niebu, jakby chodziło tylko o to, żeby się lepiej przykładali do roboty. I to była kolejna rzecz, o której nie wolno było rozmawiać. Kiedy na chodnikach leżały sterty lśniących worków, a ciężarówki-chłodnie stały puste, ludzie wynosili te kupki pieprzonymi wiadrami, po jednym, zupełnie jakby znosili kamyki z gór, wiedzieli, co dzieje się na dole, czuli, co się dzieje, coraz bardziej intensywny rozkład i gnicie, jak papier płonący na wietrze.

Ratownicy wznowili pracę: dzisiaj tylko sześciu, a szefowie próbowali powstrzymać nawet tych, żeby sprowadzić więcej ciężkiego sprzętu i za jego pomocą dobrać się do gruzów. Maszyny sprawdziły obrzeża stosu, ostrożnie torując sobie drogę, sprawdzając pobliskie budynki i wyszarpując pogięte dźwigary. Wyglądały niczym konie pasące się w przegniłej trawie. W końcu sikawkowi, gliniarze i robotnicy

budowlani będą musieli przepuścić maszyny - wszyscy o tym wiedzieli - i układ zmieni się już na zawsze, ludzie zostaną zepchnięci, żeby przegryźć coś na boczku, podczas gdy maszyny, na samym środku, będą obżerały się do syta.

- Sukinsyny zabrały wam czas na odpoczynek.

Zastępca Szefa Carey podszedł do Remy'ego i Guteraka. Miał na sobie kask i jedną z nowych satynowych kurtek. Przez te kurtki wyglądali jak drużyna slow-pitch softballu.

- Próbowałem was złapać przez nekstele.

Paul wzruszył ramionami.

- Dwa dni temu dałem swojego nekstela Kubiakowi. Powiedział, że w tym tygodniu dostaniemy nowe.

Zastępca komendanta wybałuszył oczy:

• Dałeś swojego nekstela Kubiakowi?

• Szefie, myślałem, że dostaniemy nowe.

-1 co? Nie dostaliście nowych walkie-talkie? -Nie!

• A oddaliście swoje?

• Daj pan spokój, szefie. Niech pan nie przegina. Ja... Chyba już, kurna, powiedziałem.

Komendant zmarszczył wysokie czoło aż po kask skrywający czarne, krótko ostrzyżone włosy. Odwrócił się do Remy'ego.

• To prawda? Nie dostaliście nowych neksteli?

• Nie wiem - przyznał Remy.

Carey odwrócił się i chwycił swoje walkie-talkie.

- Pirello! Gdzie jesteś, do cholery, ty kupo gówna? Gdzie są moje

nekstele? Moi chłopcy nie mają krótkofalówek.

Zastępca Szefa Carey odszedł, krzycząc do urządzenia, które trzymał w ręce, a Remy odwrócił się w stronę ruin. Wodę pompowano z trzech stron, z wozów strażackich z drabinami ustawionych na skraju jakby intensywnie tłącej się dżungli, podczas gdy ogień szalał u źródła i strzelał gorącymi płomieniami, unoszącymi się ponad rumowiskiem. Z bliska nie sposób było dojrzeć, z czego są te pnącza i liście dymu, poza kilkoma rzeczami, jak na przykład żaluzje okienne. Wszędzie żaluzje. Ile mogło ich być? Miliard? Gdziekolwiek Remy spojrzeł, widział posiwiałe żaluzje, zwisające z pogiętych dźwigarów niczym zwykle letnie

27

pranie. Tęsknił do chłodnego komfortu suchych liczb. Ile procent tych ruin to stal? Ile procent to rolety?

I papier. Ile procent to papier? Większość papierzysk dramatycznie się rozpierzchnęła i to właśnie Remy przypominał sobie, patrząc na papiery wyplaszane w przestrzeń, stada ptaków unoszące się ponad tym wszystkim, a potem opadające na miasto. Dobrze byłoby wiedzieć, jaki procent tej sterty stanowi papier. A jaki ludzie. Większość tego rumowiska to stal i beton, no i żaluzje, i człowiek nawet odczuwa za to pewną wdzięczność, bo to przeważnie leży po prostu nieruchomo. Można sobie wyobrazić, ile jest stali, ile żaluzji. Można by policzyć. Proste matematyczne zadanie. Ale ludzie to co innego. I papier też. Ludzie i papier palili się albo odlatywali, albo uciekali, było ich znacznie mniej niż na początku. Rozdmuchało ich, rozsadziło, rozrzuciło jak nasionka dmuchawca na wietrze.

To zdawało się przytłaczać wszystkich, nie tylko jego. W tym upatrywał

przyczyn utworzenia nowej agencji, czyli Biura Wolności i Odbudowy, z dwoma niezależnymi wydziałami: Departamentem Odbudowy Ruin, DOR, zatrudniającym byłych wojskowych koronerów, specjalistów od medycyny sądowej, czołowych lekarzy i ratowników medycznych, a także, jeszcze bardziej tajemniczym, Departamentem Dokumentacji, The Double D's, którego zespół składał się głównie z emerytowanych oficerów wywiadu wojskowego oraz kilku starannie dobranych bibliotekarzy i księgowych, o których chodzą słuchy, że przeszli szkolenie dla służb specjalnych. Ogromnie trudna praca dokumentalistów wydawała się na tyle ważna, że nawet Szef mówił o niej przed Kongresem, a później, w trakcie porannych wywiadów i paneli w godzinach największej oglądalności, jego słowa były podchwytywane przez władze i co kilka minut powtarzane w wiadomościach:

„Najważniejsze jest odzyskanie archiwów naszej wymiany handlowej, dowodu naszej pozycji w świecie, prężności naszej ekonomii, naszej pracy, naszego życia. Jeżeli nie dokonamy podstawowych obliczeń strat, nie pozbieramy dokumentów i nie odtworzymy tego wszystkiego, to okaże się, że siły, które sprzymierzyły się przeciw nam, już wygrały. Że. Już. Wygrały”.

Remy patrzył na ogromne żebra, roztrzaskany stalowy szkielet zewnętrzny leżący wszędzie, jak okiem sięgnąć, tłące się kości, spowite

28

w szarość, jak tysiące wyrzuconych na plażę wypłowiałych wielorybów, gnijących na świeżym powietrzu. Patrzył i jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że te siły jeszcze nie wygrały. Kiedy jednak doszedł do cienkich wstążek kabli elektrycznych i węży strażackich, ta myśl szybko go opuściła. Utorował

sobie drogę do wgłębienia, miejsca dla niego najtrudniejszego, bo stanowiło takie samo nieskończone, bezkształtne rumowisko, jak stos gruzu, tyle że wklęsłe. Blask słońca odbijał się od kasków ratowników, gdy zanurzali się w otchłań, wciągani przez zagadkową siłę grawitacji, jeden za drugim, jak sznury pereł. Wchodzili w jedną dziurę, wychodzili z drugiej. Te dziury, pomyślał, wydrążyło coś jeszcze potężniejszego niż ogień, jakaś siła, która była w stanie wepchnąć osiemset metrów stali i życia w ukośną jamę o głębokości piętnastu metrów. Może istnieją szare dziury.

Remy zmrużył oczy, próbując uwolnić się od tego widoku, wyobrażał sobie wysokogórskie jezioro otoczone połaciami lasu, a nie tłącego się żelaza. To nie był dym, lecz ciepłe jesienne mgły, ulotne wspomnienie mglistego poranka z czasów, gdy jako mały chłopiec był na obozie. Wydawało się to znajome, nie jak widziane wcześniej rzeczywiste miejsce, lecz jak widokówka, która wryła się w pamięć, przepastna otchłań żalu, trudnego do umiejscowienia. Powiedział sobie, że to nie oznacza znieczulicy; człowiek może do wszystkiego przywyknąć.

Przyszło mu do głowy, że jak dotąd jest przez cały dzień w dobrej formie. Nie zgubił tropu, co napawa go teraz pewnym poczuciem dumy. Może jest z nim lepiej. Może luki zanikają, a to pęknięcie w jego umyśle - czy gdziekolwiek to jest - zaczyna zarastać. Może jego myśli krzepną. I wtedy właśnie coś zawibrowało mu przy pasku. Zdjął to coś i uważnie obejrzał, nieświadom, kiedy wyposażono go w pager. Nacisnął przycisk na czubku urządzenia. Na ekraniku pojawiło się jedno słowo: „TERAZ”.

Remy gapił się na pager. Teraz? Co teraz? Coś w tej wiadomości go zaniepokoiło, odwrócił się więc od Guteraka, który bacznie obserwował strażaków. Ukrył pager w kieszeni i ulicą ruszył na południe, w stronę

znanej sobie witryny sklepowej - swego ulubionego widmowego baru, ze sterczącymi odłamkami szyb, wszystko pokryte pyłem. Jednym pchnięciem otworzył zniszczone drzwi i wszedł do środka.

Mały okrągły stolik czekał na pomocnika kelnera, który już nigdy się nie zjawi: dwa kieliszki martini, w jednym nadal szara oliwka, kok-

29

tajlowa szklanka z mieszadelkiem. Krzesła porozrzucane wokół stolika, jakby ich właściciele zerwali się nagle i wybiegli. Remy przyszedł tu też drugiego dnia po ataku i pod jednym z szarych kieliszków po martini dostrzegł trzy banknoty. Codziennie oczekiwał, że ktoś weźmie ten napiwek, ale ratownicy tylko dokładali kolejne - może na szczęście, albo, co bardziej prawdopodobne, dla ironii - dopóki kwiatek z dwudziestu lub trzydziestu jednodolarowych banknotów nie ułożył się w wachlarz pod zakurzoną szklanką. Ukradnij drinka, zostaw napiwek. Remy wyciągnął dolara ze swojego portfela, uniósł szklankę i wsunął pod nią banknot. Klepnął w stół. No... co my tu mamy? Za barem zniknęły butelki z górnej półki; chłopaki zaczęli schodzić w dół ku lepszym trunkom: pusta butelka po Canadian Mist, Gilbey's i tym podobne, chociaż zostało jeszcze trochę Bookersa. Przyzwoity gin, tego właśnie potrzebował. Chłodny, czysty, niebudzący wątpliwości. Remy zajrzał pod kontuar w poszukiwaniu czystej szklanki. Cudowny widmowy bar.

Gdy podniósł głowę, zobaczył w drzwiach smukłego mężczyznę w ciemnym garniturze i z teczką. Był młodszy od Remy'ego, ale mniej więcej tego samego wzrostu, ścięty na krótko, po żołniersku. Trudno jednak było określić jego dokładny wiek, ponieważ Remy nigdy nie widział dorosłego człowieka o równie dziecinnym obliczu. Tak jakby dorosłemu prawnikowi

przeszczepiono twarz dziesięciolatka. Do kłapy miał przypięty identyfikator („Markham”), podobnie jak federalni. Ale jeśli nawet był federalnym, identyfikator nie informował, z której agencji. Markham uśmiechnął się i postawił teczkę na barze, odsuwając na bok zakurzoną szklankę koktajlową. Remy wpadł na pomysł, żeby udawać, że jest tylko barmanem, kimś, kto nie uciekł tamtego dnia. Pomyślał, żeby temu Markhamowi o dziecięcej twarzy zaproponować drinka i przez moment wyobrażał sobie, jakie by to było miłe życie, łatwa transakcja, miłe ciepłko za zimną forszę, szklanka stuka o kontuar, duży drink, szmatka do wycierania kurzu i czego człowiekowi jeszcze potrzeba? Czy jakikolwiek widmowy barman miał kiedyś dziury w pamięci albo obudził się postrzelony w głowę? Jaki widmowy barman stracił poczucie czasu lub musiał uciszać partnera, co nie chciał przestać gadać? Jaki widmowy barman kiedykolwiek cierpiał z powodu pojawiających się co jakiś czas smużek i mętów w oczach?

30

- Rozumiem, dlaczego chciał się pan spotkać właśnie tutaj - odezwał się facet o dziecięcej twarzy. - Słusznie.

Remy nie wiedział, co powiedzieć. Chciał się tu spotkać?

- Powinienem zacząć od tego, że jesteśmy ogromnie radzi - mówił dalej tamten - iż ktoś z pańskim doświadczeniem pomoże nam - uśmiechnął się przebiegle i życzliwie - poszerzyć zakres obowiązków. Oczywiście, nie mamy takiej instytucjonalnej przeszłości jak inne agencje śledcze - ciągnął. - Szczerze mówiąc, nie możemy się doczekać, by pokazać Biuru i Agencji, że nie jesteśmy tylko jakąś tam służbą urzędniczą. I jeśli mogę dodać coś od siebie, chciałbym zaznaczyć, że czekam na...

Zadzwoił telefon komórkowy i Markham, odbierając, podniósł w górę palec wskazujący.

- Nie, to nie problem. Tak. Właśnie jestem z nim tutaj - Markham podniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały. - Zapytam go - zasłonił dłoń mikrofon telefonu i spytał: - Czy jeszcze czegoś pan potrzebuje?

Remy spojrział na szklankę. Potrzebował tego ginu, ale chyba facet o twarzy dziecka nie o to pytał. Podniósł zakurzoną szklankę, ale wyślizgnęła mu się z ręki. Równocześnie umknął mu ten moment, gdy łapał spadającą szklankę i znalazł...

Ku wyraźnemu zaskoczeniu Guteraka tego dnia jedynie dwóch Jankesów zgłosiło się na wycieczkę. Remy odwrócił się i na tylnym siedzeniu rozpoznał wysokiego miotacza, już drugi rok grzejącego ławkę rezerwowych, a także łapacza z bullpena. Spojrział w dół, zobaczył, że wciąż ostrożnie kołysze szklanką, której tam nie ma. Miał nadzieję, że przynajmniej uda mu się wypić gin. Potrząsnął ręką i zerknął na Jankesów z ławki dla rezerwowych.

- Myślę, że Szef zebrał wszystkich chłopaków o znaczących nazwiskach - powiedział Paul.

Był wkurzony. Remy rozpoznał tych zawodników: młody rezerwowy, który budził nadzieję, że nauczy się dobrze podkręcać piłkę i nabierze jaj. Rozpoznał także rezerwowego łapacza, który dał dzieciakowi Szefa kilka wskazówek, jak odbijać. Dla Remy'ego nie miało znaczenia, których Jankesów im przydzielono, ale Paul najwyraźniej się wściekał. Wyglądało na to, że się zastanawia, co to może oznaczać. Może wypadli

z łask? Powiedział Remy'emu, że słyszał, że Bannerman i Dooley obwozili Bruce'a Willisa, a Lopezowi i Dunphy'emu dostała się ekipa *Seksu w wielkim mieście*. Paul był wściekły.

- Co ja bym dał za godzinę w jednym samochodzie z tą cholerną Parker. Pieprzony Carey... wie, ile dla mnie znaczy Sarah Jessica. To -brak szacunku.

Remy rozejrzał się wokół ciężarówki. „Cicho bądź, cicho bądź, cicho...”

- Tu nie chodzi o seks... Myślę, że ona ma styl. Lubię krótkie spódniczki, a ona często je nosi... jakbyś to nazwał... takie falbaniaste coś?

Odwrócił się do Remy'ego.

- Chciałbym, żeby Stacy częściej nosiła takie falbaniaste coś... Remy gapił się przez okno.
- Myślisz, że Stacy jest na to za gruba?
- Nie wiem... Nie wiem, Paul - odparł Remy.
- Myślisz, że moja żona jest gruba?
- Nie. Pewnie, że nie.

- Och, chrzanię głupoty, stary. Jasne, że jest gruba. Wiem, że jest gruba. Krispy Kreme wie, że jest gruba. White Castle, Schwanns, Burger King, wszyscy oni wiedzą, że jest gruba. - Paul znowu spojrzał na drogę. - Chcę tylko powiedzieć... że ty i ja... prawie tu zdychamy, a do stajemy tylko dwóch rezerwowych - Popatrzył we wsteczne lusterko. - Bez urazy.

Miotacz wzruszył ramionami. Łapacz, który nie mówił po angielsku, uśmiechnął się i podniósł wysoko kciuki.

Paul ponownie spojrzał na Remy'ego. Teraz mówił ciszej.

- Po prostu mnie to wkurza... Chrzaniony Lopez obwozi Sarę Jessicę.
- Paul...
- Co on jej, do cholery, pokaże? Powie, patrz, w tym budynku schowałem się pod biurkiem i zesrałem w gacie?

Już drugi raz tego dnia jechali West Street, szara chmura spływała na nich, sunęła pod ludźmi siedzącymi na poręczach i schodach pożarowych, wychylającymi się z okien, pod kamerami, które ich obserwowały. Jankesi patrzyli przez okna z tylnego siedzenia, cisi i pełni sza-

32

cunku. Co kilka minut Paul włączał syrenę, żeby utorować sobie drogę, ale Remy'emu nie bardzo się to podobało.

- Coś jeszcze - rzucił Paul do samochodu, a Remy, wyczuwając za grożenie, zamknął oczy. - Zauważyłeś, jak spadają liczby? Osiem tysięcy. Siedem tysięcy? Sześć. Tak jakby schodziła opuchlizna. Myślałem, że może zejdzie do zera. Wiesz? Pytanie brzmi, gdzie są ciała? Może się okaże, że wszyscy byli tego dnia w domu? Może w rzeczywistości przy będzie nam ludzi, gdy to wszystko się skończy?

Jak zwykle, nikt nie wiedział, co odpowiedzieć Guterakowi, więc ten mówił dalej.

- Czym by to wyjaśnili? Więcej ludzi niż na początku? To by mu siała być jakaś sztuczka, nie?

Gdy dotarli do Strefy Zero, Paul zaczął się wiercić i już cisnęły mu się na usta słowa, które trzymał w zanadrzu dla wycieczek. Remy widział, że Paul się przygotowuje. Każdy miał własny sposób opisywania tego miejsca, własne nazwy dla charakterystycznych punktów. Pewnego razu Remy zobaczył, jak strażak i spawacz schodzą w głęboką część, zwaną Dziurą.

Chłopaki oprowadzający wycieczki, szczególnie służby Szefa i jego zespół, wiedzieli, że nazwy Guteraka są najlepsze. Kilka z nich stało się nawet standardem: „Żebra”, „Katedra”, „Włócznia”, „Otcłłań”, „Wielka brzoskwinia”, „Wyschnięty wodospad”. Może na tym właśnie polegał kunszt Paula: o rzeczach, o których ludzie nie potrafili mówić, on mógł mówić bez końca. Guterak zawsze zaczynał wycieczkę od West Street, gdzie on i Remy pojawili się tamtego dnia. Robił rundki od południa na wschód, potem na północ i w końcu z powrotem na południe. Zawsze kończył dokładnie po drugiej stronie dziury, gdzie wciąż był widoczny samochód Remy'ego - roztrzaskane szyby, cały, aż po osie, w pyle i papierach. Chociaż jechało z nimi tylko dwóch Jankesów, a nie Sarah Jessica Parker, Remy wiedział, że Paul zapomni o urażonej dumie i zrobi to, co zawsze. Będzie opowiadał.

- To tutaj weszliśmy - zwrócił się do Jankesów, gdy dotarli do punktu kontrolnego na West Street. - Wykonywałem w centrum miasta zadanie zlecone przez Szefa - tam się kupuje jego ulubiony mrożony jogurt - i wtedy zadzwonił telefon. Brian był w drodze, podjechał więc, zabrał mnie i udaliśmy się w dół West Street, tak jak teraz. Wszędzie było pełno dymu. Dojechaliśmy tutaj, na południowy kraniec. Stoimy,

33

patrzemy na całe to gówno i bum, nadlatuje drugi. Biegaliśmy jak opętani, a teraz to, czego nie mieliście w telewizji, to było tak wysoko w górze, że wydawało się jakies nierzeczywiste, dopóki ktoś nie skoczył, machali szaleńczo rękami, jakby jeszcze mogli zmienić zdanie, ale oczywiście, nie mogli... i rośli w oczach, w miarę jak zbliżali się do ziemi, a potem... walnęli, kurwa, jak balony z wodą, ale mocniej... wicie... łup! ...i ...i rozpadali się, a

potem Brian gdzieś się zapodział i zostałem sam, no więc ruszyłem, przyglądałem się tym wszystkim ludziom i jednemu młodemu strażakowi, nigdy nie zapomnę tej jego twarzyczki, jakiś żółtodziób patrzy sobie na niebo, pomyślałem. Nawet nie musiałem spojrzeć na to, co on widział, bo usłyszałem i ten pomruk, i uderzenie... nagle zrobiło się cicho... upiornie cicho, wiecie, tak na ułamek sekundy, nawet nie na tyle długo, żeby człowiek zdążył o czymkolwiek pomyśleć. O kurwa, jak cicho. Ale po oczach tego dzieciaka widzę, że nie jest dobrze. Wtedy następuje ten potworny zgrzyt i warkot, jakby zahuczało w głowie, dziesięć pieprzonych sekund potwornego grzmotu, to podłogi składają się jak naleśniki i gdy tylko to wszystko się zaczęło, strażak robi coś tak szalonego i odważnego zarazem, że nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem, biegnie w tamtym kierunku, a ja idę w przeciwnym, w stronę auta Briana, rzucam się na nie i nagle trafiamy w środek gównianego huraganu i fala rozbija się wokół nas, czarna i gruba, wpycha mnie pod auto Briana, przerzuca na drugą stronę i wiem, że to całe gówno, które lata dookoła, zaraz mnie przysypie. Nie mogę oddychać, nic nie widzę, a wiatr ciągle miota tym gorącym świństwem - popatrzcie na moje ramię, w tym miejscu mam oparzenie, bo coś we mnie walnęło. A ta rana, cztery szwy - czołgałem się na rękach i kolanach, aż dotarłem do rogu budynku i potem prześlizgnąłem się przez wybite okno i po ludziach. Nie wiem, czy jestem w środku, czy na zewnątrz, wszędzie jest czarno - tylko podłoga pod warstwą kurzu jest marmurowa, więc myślę, że jestem w środku, czuję, jakbym czołgał się całe wieki, wstaję i idę. Nagle robią się nas całe setki - szare, krztuszące się upiory. Wychodzimy z tej chmury pojedynczo, jak jakieś pieprzone dzieciaki budzące się w świąteczny poranek, nikt nie mówi ani słowa, idziemy w stronę Bartery Park. Nie

możliśmy nic powiedzieć, jakby ktoś nacisnął guzik i nas wyłączył. Mogliśmy tylko iść. Po prostu iść. Jankesi patrzyli.

34

Paul mrugnął.

- Ale wybiegam do przodu. Opowiem to wszystko, jak już będzie-
flfty w środku. Jakies pytania?

Nic.

Wtedy Paulowi przyszło coś do głowy:

- Och, och, och! Popatrzcie na oczy Briana. Remy podrapał się po skroniach.
- Dalej, stary. Pokaż im.

Remy obrócił się na siedzeniu i szeroko otworzył oczy. Paul lubił mieć pewność, że ludzie widzą przekrwione naczynko w prawym oku Remy'ego.

- On ma to... no...wyrodnijące szkliste plamienie. Wiecie, co to za świństwo?

Jankesi nie wiedzieli.

- Zwrodnienie plamki żółtej - poprawił Remy - i odwarstwienie ciała szklatego.

Z dziesięć razy powtarzał Guterakowi, że stan jego oka nie ma nic wspólnego z pękniętym naczynkiem krwionośnym w prawym oku, ani tym bardziej z tamtym dniem, bo jego problemy ze wzrokiem pogłębiają się już od lat. Ale Paul z uporem robił z tego punkt programu podczas wycieczki.

- Widzicie, co to jest, kurwa, oczy mu się rozwarstwiają. Od we wnątrz, to jest to gówno. Odrażające, nie? Chodzi mi o to, że przeszliśmy tu naprawdę przez koszarne, pieprzone gówno.

Rezerwowy miotacz się skrzywił.

•Przesrane.

•Taa... - powiedział Remy do sympatycznego rezerwowego i zastanowił się, jakby to było miło: rezerwowego, facet czekający w bullpe-nie, żeby przejąć zadanie, gdy z ciebie ujdzie para. Idź do leworęcznego. Życie byłoby znacznie prostsze, gdybyśmy wszyscy mieli trenerów, którzy by nas obserwowali, doszukiwali się oznak zmęczenia lub skołowania, specjaliści staliby tuż za linią faulu, żeby wkroczyć i ocalić naszą pracę, uratować to, co do tej pory zrobiliśmy, upewnić się, że nie marnujemy końcówki szczęśliwego żywota. Dobry rezerwowego mógłby ocalić jego karierę, małżeństwo - co jeszcze? Remy tylko tego chciał: kogoś, kto by go ocalił.

35

Zwolnili przed punktem kontrolnym. Byli trzeci w kolejce.

•A co to takiego? - zapytał miotacz.

•To? - Paul wyrzwał przez okno - Chłodnie. Ciężarówki z lodówkami na mięso.

•Na...

- Ciała.

-Jezu, czy one...

- Ciężarówki? Nie, są puste - Odwrócił się i konspiracyjnym szep tem rzucił między siedzeniami. - Słuchajcie, nie mówcie nikomu, ale prawda jest taka... nie możemy odnaleźć ludzkich zwłok w całości. Same szczątki. Kawałki ciała tu i tam. Ale na ogół ludzie są... - Paul podniósł rękę i potarł palcami z szelestem jak kłosami pszenicy. Potem znowu ruszył.

Dojechali do punktu kontrolnego, gdzie podszedł do nich gliniarz.

- Hej, szefie. Jak leci?
- Cholernie ciężka służba, wiesz? - powiedział Guterak

Remy się zastanowił. Czy ja już tu byłem? Czy nie słyszałem tej rozmowy? Czy te luki w pamięci przenoszą mnie teraz wstecz? Przeskakują niczym zdarta płyta? Może powinien wrócić, wypić gin albo dowiedzieć się, czego właściwie chciał facet z widmowego baru. Poczł wibracje, położył rękę na pasku i ponownie znalazł pager.

- Pieprzone islamskie sukinsyny - mówił policjant
- Taa... Racja. Racja.

Była żona Remy'ego, Carla, mieszkała za Jericho z drugim mężem, Steve'em, w nowym, dużym domu - cztery sypialnie, trzy okna mansardowe, dwie łazienki, coś, co nazywali salonem i piękna fasada z cegły - tam właśnie Remy się znalazł, siedział na kanapie, pił słabą kawę wprost z dobrej porcelany. Jakies pół roku przed rozwodem Carla oznajmiła, że musi zacząć żyć własnym życiem, bo zwariuje. Nazajutrz otworzyła ogromną dębową serwantkę i do każdego posiłku zaczęła używać porcelanowego serwisu ślubnego. Tego ranka Remy zszedł po schodach i zobaczył, jak mały Edgar zajada Cap'n'Crunch z płytkiej miseczki wykonanej z ręcznie malowanej kostnej porcelany. Pół roku później Remy i Carla byli już w separacji.

36

Steve oderwał usta od brzegu butelki z piwem Bud Light:

- Prywatnie? Nie sądzę, żeby to było istotne, kogo bombardujemy, dopóki robimy to, mając przewagę. Ustawić ich. Uprzątnąć teren. Ale chyba nie muszę ci tego mówić?

- Nie, nie musisz - Remy spojrzał w górę na tryptyk szkolnych portretów, wiszących nad całunem: cudny Edgar w wieku lat sześciu, dziesięciu, a teraz szesnastu. Długie czarne włosy z przedziałką, zmierzwił na gładkim czole. Na ostatnim zdjęciu miał na sobie koszulkę do gry w rugby i wydukał dolną wargę. Nie wyglądał wyzywająco, raczej jak ktoś, kto rozmyśla nad działaniem aparatu fotograficznego. Nie przypominał już ojca z dzieciństwa, tak jak wtedy, gdy Remy patrzył na Edgara i walczył z potrzebą odszukania kawałków, które zostały wzięte z niego do zrobienia chłopca.

- Widzisz, nigdy nie będziemy mieli lepszej wymówki - ciągnął Steve.

- Ja bym wziął „Timesa” za przewodnik. Idź do ONZ i powiedz: Zawrzyjmy układ. Jeżeli wasz kraj pojawi się na okładce „Timesa” w jakimkolwiek innym kontekście niż jako ilustracja relacji z podróży, koniec z wami. Bombowce Stealth powinny się pojawić na niebie, zanim dym się rozwiął.

- Dym jeszcze się nie rozwiął - zauważył cicho Remy.

- O to właśnie mi chodzi! - Steve przełknął wielki łyk i wycelował szyjkę butelki w Remy'ego. - Widzisz? Wiesz, o czym mówię. Nie marnuj czasu, oddzielając winnych od niewinnych. Niech oni to sobie później posortują.

Remy odchrząknął - „zacząć żyć własnym życiem, bo zwariuję”

- i przysunął się bliżej.

- Steve? Myślisz, że mógłbyś mi powiedzieć, co ja tutaj robię?

- Właśnie o to mi chodzi! - Steve usiadł z powrotem na kanapie.

- Jeżeli nie zmusimy tych dupków, żeby zapłacili... to co my wszyscy tutaj robimy?

- A czy... może mógłbyś mi powiedzieć, co z Carla?

•Cóż... Myślę, że się ze mną zgadza w tej kwestii, ale wiesz, jakie są kobiety, Brian. Zbyt delikatne, gdy trzeba pociągnąć za spust.

- Chodzi mi o to, gdzie ona się fizycznie znajduje. I Edgar?

Steve się zaśmiał.

- A to dobre. Jesteś taki zabawny, stary. Mówię to ludziom. Jesteś komiczny. Mówię ludziom, że na miejscu Carli zostałąbym z tobą. Jesteś

37

o niebo zabawniejszy ode mnie. Można by się nawet kłócić, że jesteś też ode mnie przystojniejszy, chociaż, w sensie klasycznym, to raczej mnie uznano by za większego przystojniaka. I za młodszego. Oczywiście. I więcej zarabiam

- Zamaszyście potoczył ręką, pokazując dom - Jestem wyższy... bardziej męski, prawdopodobnie jestem też bardziej wysportowany... chociaż ty, jako były gliniarz i w ogóle, pewnie skopałbyś mi tyłek, gdybyś chciał... przynajmniej dawniej... tracisz na wadze?

- Nie jestem pewien.
- Jaki nosisz rozmiar spodni?
- Nie wiem... trzydzieści dwa?
- A długość?

Remy popatrzył w dół.

- Trzydzieści trzy?
- Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy? Nie chrzaniś? - Steve wstał, podciągnął koszulę i poklepał się po wydatnym brzuchu. - Ja mam trzydzieści pięć, trzydzieści cztery teraz. Jak facetom zaczyna się pierniczyć, w pasie rośnie im szybciej niż na długość. Bez kitu, co nie?

Remy upił łyk kawy i zamknął oczy. Zastanawiał się, czy mógłby

przywołać jedną z tych luk, otworzyć oczy i znaleźć się gdzieś indziej. Przez chwilę oglądał marionetki, które tańczyły mu pod powiekami, wędrując po jego ciele szklistym. Gdy otworzył oczy, Steve wciąż był na swoim miejscu i przyglądał mu się uważnie.

Remy usłyszał kroki na schodach i prawie krzyknął z ulgą, gdy weszła Carla z zaciśniętymi ustami, a za nią, sprężystym krokiem, Edgar. Carla miała na sobie cienkie, obcisłe dzinsy z obniżoną talią, dużą koszulkę z wielkim dekoltem i tenisówki. Wydawało się, że im jest starsza, tym bardziej młodzieżowo się ubiera. Usiedli na kanapie obok Steve'a, naprzeciwko Remy'ego.

- Przepraszam - powiedziała Carla. - Był w samym środku gry wideo.

Edgar miał na szarym T-shircie czarną opaskę. Uśmiechnął się wyrozumiale do matki.

- To nie gra wideo - Popatrzył na Remy'ego. - Nazywa się Empire. To doświadczenie społecznościowe... coś jak świat alternatywny. Sterowany przez jednostkę, zorientowany na akcję-reakcję. Tak jak w prawdziwym świecie.

38

Tak, pomyślał Remy, prawdziwy świat jest zorientowany na akcję-reakcję. Musi to zapamiętać. Carla się uśmiechnęła.

- Jeszcze trochę kawy, Brian?
- Nie - odpowiedział. - Dzięki.
- Więc... może chciałbyś zacząć? - zapytała.
- Och... a czemu nie ty? - odparł Remy

Na twarzy Carli pojawiła się irytacja. Steve zdjął rękę z jej ramienia,

jakby zaczęło parzyć.

- Pójdę jeszcze po piwo - mrugnął do Remy'ego. - A wy sobie po gadajcie.

Carla wzięła głęboki oddech.

- No więc... jak widać... to kolejna ważna sprawa, którą twój ojciec zrzuca na mnie... więc, Edgarze... zauważyliśmy... - Znowu zerknęła na Briana, jakby chciała się upewnić, czy dobrze zaczęła.

Remy kiwnął głową. Zrobiło mu się niedobrze. Co zauważyli? Narkotyki? Dziewczynę w ciąży? Szczerze mówiąc, wolałby narkotyki. Nie czuł się gotów, żeby zostać dziadkiem, żeby wziąć odpowiedzialność za drugiego człowieka. Nagle zaczął się obwiniać, że niedostatecznie opiekował się chłopakiem. Edgar miał zaledwie dziewięć lat, gdy Remy zrozumiał, że syn jest od niego mądrzejszy. I od tej chwili zaczęli się oddalać. Kiedy Edgar osiągnął wzrost ojca, zaczął go przerastać także w takich dziedzinach, których Remy nie mógł pojąć. I szczerze mówiąc, wtedy przestał się nim przejmować, tak po prostu. Wydawało się, że nie może już mu w niczym pomóc. A teraz... cokolwiek to jest, miał nadzieję, że nie jest trwałe. Że to problem, z którym można sobie poradzić. Tak jak z jedynką otrzymaną w szkole czy z bałaganem w pokoju.

Z całą pewnością jednak nie wezwaliby go do Jericho, gdyby chodziło o bałagan w pokoju.

- Zauważyliśmy, że... no cóż... - Carla nie mogła znaleźć słów.

- Brian, jesteś pewien, że nie chcesz tego zrobić? To ma więcej wspólnego z tobą.

- Och... Nie. Myślę, że będzie lepiej, jeśli to wyjdzie od ciebie.

Carla zwróciła się w stronę Edgara. Wzięła oddech, jeszcze raz spoj

rzała na Briana i znowu na syna.

39

- Edgar, skarbie. Wczoraj zadzwonił twój nauczyciel fizyki... i... mówił... - Wydawało się, że się pogubiła, więc spróbowała przeformułować to, co chce przekazać, w pytanie. - Chodzi o to, że opowiadasz wszystkim, że twój tata zginął tamtego dnia w... no... w wydarzeniach tamtego dnia, czy tak?

Edgar skinął głową, jakby jego matka przedstawiła właśnie jakiś matematyczny problem.

- Mhmm - mruknął. - Ow-owszem. Czułem, że o to właśnie chodziło.

Remy zwiesił głowę co najmniej z ulgą.

- No, ale... jak widzisz, twój tata nie zginął. Jest tutaj.

Edgar spojrział na ojca, odgarnął włosy z oczu i ponownie skinął głową.

- Ow-wszem.

Carla popatrzyła na Remy'ego, szukając u niego pomocy. On jednak nie pospieszył z niczym takim. Do pokoju wrócił natomiast z kolejnym piwem Steve, który oparł się o poręcz kanapy i włączył się do rozmowy.

- Edgar, dlaczego opowiadałeś wszystkim dookoła, że twój staruszek nie żyje?
- Dobra. - Edgar wziął głęboki oddech. - Pozwólcie, że zacznę od tego, że doceniam waszą troskę. - Uśmiechnął się ciepło do Remy'ego. - Oczywiście, wiem, że mój ojciec nie zginął. Nie mam urojeń i z całą pewnością nie pragnę jego śmierci. - Przekrzywił głowę. - Wcale nie opowiadałem nikomu, że on nie żyje. Po prostu nie zaoponowałem przeciw takiemu wrażeniu.

Wzruszył ramionami, jakby wszystko już się stało jasne, ale kiedy nikt się nie odzywał, zaśmiał się niecierpliwie.

- Słuchajcie. Co by było, gdybym jako zadanie klasowe napisał hi storyjkę o chłopcu, który stracił ojca? Rozmawialibyśmy o mojej piąt ce z tej pracy i nikt nie patrzyłby na mnie jak na wariata - zaśmiał się znowu, jakby to wszystko tłumaczyło.

Remy'emu nie przychodziło do głowy ani jedno słowo. Odezwała się Carla.

- Ale, Edgarze, skarbie. Nie chodzi o to, że napisałeś opowiadanie. Ty pozwalasz w to wierzyć kolegom. Twoja wychowawczyni powiedzia-

40

ła, że siedziałeś w ławce i płakałeś. Podobno wyszedłeś z testu z fizyki i przestałeś chodzić na wuef.

- Noo...
- Więc ja chyba nie rozumiem.

Edgar wzruszył ramionami, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

- Czy gdybym stracił ojca, to naprawdę spodziewałabyś się, że zdam test? Albo że będę rzucał frisbee do kosza?

- Nie... chyba nie.

- No właśnie - odparł Edgar, tonem zamykającym sprawę.

Carla przesunęła się na kanapie tak, żeby móc spojrzeć synowi w twarz. Uderzyła w ten partnerski i łagodny ton, który Remy dobrze pamiętał z czasów okropnych sesji u psychologa sprzed ostatecznego rozpadu ich związku.

- Skarbie, czy chodzi o to, że widzisz ojca za rzadko? Czy to o to

chodzi?

Edgar przekrzywił głowę.

- Że zbyt dużo pracuje, skarbie? Że cały czas go nie ma?
- Nie.
- A może chodzi o jego picie? Chcesz dać ojcu do zrozumienia, że ten tryb życia może go zabić? Czy to rodzaj metaforycznej śmierci, którą dla niego stworzyłeś? Skarbie, czy właśnie to chcesz nam powiedzieć?

Remy zastanawiał się, jak daleko Carla posunie się w swoich pytaniach. Może chodzi o to, że flirtował z tą kelnerką na jej oczach. A może chodzi o to, że nigdy nie lubił jej rodziny? Czy też o to, że miał zwyczaj rzucania brudnych ubrań przy łóżku?

Steve pochylił się skwapliwie do przodu.

- Chodzi o zaimponowanie laseczkom, Eddie? Czy to właśnie robisz, stary? Bierzesz na litość jakąś dupeczkę?
- Nie, Steve - odparł cierpliwie Edgar. - Nie biorę na litość... dupeczki.

Remy bardzo by chciał rozmawiać z nowym mężem Carli tak beznamiętnie, by mówić z taką właśnie ironią, a jednocześnie jakby w ogóle bez ironii. Nagle ogarnęła go duma z syna i przyszło mu do głowy, że gdyby wtedy faktycznie zginął, mógłby oszczędzić Edgarowi tego dziwaczного odpytywania.

41

- Uważam więc, że należą się nam wyjaśnienia - oznajmiła Carla. - To wszystko.

Chłopak rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu pomocy. Gdy Edgar był mały, Remy zwykł znajdować pociechę w tych cząstkach siebie, które dostrzegał w zmartwionym spojrzeniu malca, w jego wzruszeniach

ramionami, w rzeczach, których dzieciak się bał. Ale teraz Edgar był tak pewny siebie, że Remy z trudnością przypominał sobie, dlaczego jego syn kiedykolwiek szukał u niego jakiegokolwiek ratunku. Edgar był dla niego nieznanym, obcym człowiekiem z długimi, potarganymi włosami i muskularnymi ramionami, a do tego wysławiał się w tak skrótowy i hiperintelektualny sposób, jakby czytał.

- Okay - powiedział jego syn. - Po pierwsze, zgadzam się o tym rozmawiać, ale muszę zaznaczyć, że nie przepraszam. To wyłącznie moja sprawa - Edgar wziął głęboki oddech i skierował wzrok na dywan. - Żałoba to coś osobistego.
- W porządku, Edgarze, kochanie. Ale po czym nosisz żałobę? Po rozwodzie? Po niezdolności twojego ojca do emocjonalnego zaangażowania...

Remy przerwał:

- Wiesz, to już chyba przerabialiśmy.
- Oplakuję swojego zmarłego ojca! - Edgar tracił cierpliwość. - Nie pojmuję, dlaczego tak trudno to zrozumieć.
- Ale... twój tata nie umarł, kochanie.
- Wiem. - Pomasażował sobie skronie, jakby rozmowa z tymi kretkami go przerastała. - Czy tamtego dnia nie zginęli żadni ojcowie?
- Oczywiście, że zginęli.
- A czy nie zostawili po sobie dzieci?
- Owszem.
- A czyja nie miałem ojca?
- Oczywiście, że miałeś.

Rozłożył ręce, jakby kończył magiczną sztuczkę.

- Dlaczego więc tak trudno uwierzyć, że jestem pogrążony w żałobie, podobnie jak te inne dzieci? Pewnie wolelibyście, żebym zachowywał się jak wszyscy inni i opłakiwał wszystkich w ogólności? No ale przykro mi. Nie tak jestem skonstruowany. Powszechna żałoba to kłamstwo. Co tak naprawdę opłakują ludzie w stanie Wyoming? Utratę bez-

42

pieczeństwa? Zniszczone złudzenia, które przez całe ich życie wyznaczały zakupy i telewizja? Pustkę ich palmpilotów, SUV-ów i workowatych dzinsów? Rozejrzyj się, mamo. Powszechna żałoba to chwilowa emocja, jak pożądanie. To trend, jakiś kiepski jednoczący moment w kulturze, niczym ostatni odcinek telewizyjnego show, który wszyscy oglądają. To bez znaczenia. Budzisz się nazajutrz i zastanawiasz, na kiedy przewidziana jest kolejna katastrofa. Ale prawdziwa żałoba... o, Boże...

- przekrzywił głowę i spojrzał na matkę. - Prawdziwa żałoba ciąży na tobie tak, że trudno to sobie wyobrazić. Śmierć ojca... to najgłębsze przeżycie, jakiego doświadczyłem. - Wydawało się, że oczy Edgara za chodzą Izami. - Trudno jest wstać z łóżka. A wy chcecie, żebym pisał test? Grał w softball? Wolne żarty. Chwilami nawet oddycham z trudem. Nie mogę... dojść do siebie. I nie chcę. Jedyne sposoby, żeby coś takiego pojąć, to przejście przez to. W innym wypadku to tylko liczba. Trzy tysiące? Cztery tysiące? Jak można opłakiwać liczbę?

Zniżył głos do szeptu.

- Więc... tak... Postanowiłem skupić swój żal na jednej osobie. Na śmierci własnego ojca. - Wzruszył ramionami i spojrzał na dywan.

- I wiecie, tak szczerze, oczekiwałem od was trochę więcej wsparcia.

- Ja... - Carla popatrzyła na Steve'a, na Remy'ego i z powrotem

na Steve'a. - Ja...

Remy zacisnął powieki najmocniej, jak tylko mógł, po czym je podniósł. Nic się nie zmieniło. Oprócz Steve'a, który najwyraźniej poczuł, że już nikt nie jest w nastroju do żartów i przezornie wycofał się z pokoju.

Edgar jeszcze nie skończył

- Sami zadajcie sobie pytanie, co różni mnie od jakiegoś dzieciaka, którego ojciec rzeczywiście zginął tamtego dnia?
- Fakt, że ja żyję? - zapytał Remy.

Sam słyszał, że jego głos dobiega jakby z innego pokoju.

- Zgoda, w porządku - rzekł Edgar, nie patrząc Brianowi w oczy.

- Okay, weźmy takiego dzieciaka, takiego, który właśnie stracił ojca, ale jakoś daje sobie radę, mając wsparcie dziewczyny czy też pijąc lub pisząc wiersze. Czy powiecie mu, że niewystarczająco go opłakuje? Po wiecie jakiemuś biednemu dzieciakowi, który robi, co może, że powinien się czuć gorzej po stracie taty?

43

- Nie... - pokręciła głową Carla. - Nie, oczywiście, że nie.
- Więc nie mówcie mi, że nie powinienem być załamany po śmierci ojca, tylko dlatego, że mój ojciec żyje! Chodzi mi o to... Niech to szlag trafi, mamó. W sumie, myślę, że dobrze sobie radzę... Wiesz, że niektóre dzieciaki są codziennie na haju? Dzieciaki sprzedają narkotyki. Chcecie, żebym był właśnie taki?
- Nie, oczywiście, że nie. - Carla się rozpląkała. Zawsze najbardziej się bała, że jej dziecko będzie brało narkotyki. - Nie chcemy tego, prawda, Brian?

Remy po prostu gapił się przed siebie. Szczerze mówiąc, wolałby, żeby

Edgar zjarał trochę trawki i zauważył, że on, Remy, żyje, ale wiedział, że lepiej tego nie mówić.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała Carla. - Przepraszam, że się rozwiedliśmy i przepraszam za twojego ojca.
- Dziękuję. - Edgar poprawił czarną opaskę. - Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy. Naprawdę.

Przez moment wszyscy troje wlepiali wzrok w buty, a potem Carla wyciągnęła ręce. Edgar podszedł do niej i wtopił się w matczyne ramiona. Płakali razem. Remy patrzył na nich z drugiego końca pokoju i zrozumiał, że potrafiłby wyobrazić sobie inne życie, w którym nigdy nie spotkałby żadnego z nich. Carla spojrzała na Remy'ego i otarła oczy.

-No cóż, Brian. To chyba najlepszy moment, żebyś przekazał mu swoje nowiny.

- I ja tak myślę - odrzekł Remy.

Carla położyła dłonie na policzkach Edgara.

- Kochanie, twój tata ma w pracy nowe zadanie. I nie będzie cię odwiedzał tak często, jak dotąd. W zasadzie wkrótce wyjeżdża. Wiem, że to nie najlepszy moment, teraz, gdy jesteś tak smutny z powodu jego śmierci, ale on wróci. Obiecuje. Prawda, Brian?
- Tak - powiedział Remy. - Obiecuje.

Edgar popatrzył na ojca. Remy przypomniał sobie to spojrzenie i wtedy doznał olśnienia. Kiedy Edgar był małym chłopcem, nie można było go wyciągnąć z wanny. Spędzał tam całe godziny, leżał na plecach i gapił się w sufit, a Carla wciąż dolewała ciepłej wody. Paluszki miał pomarszczone jak rodzyнки, a gdy Remy wchodził zapytać, czy jest już gotów do snu, malec patrzył tymi błagającymi i niecierpliwymi oczka-

mi, jakby ojciec był zbyt głupi, by zrozumieć powagę jego zajęć w wannie. Remy cieszył się, znowu widząc te oczy, patrzące na niego z objęć matki po drugiej stronie pokoju. Właściwie było to tak przyjemne, że nie miał serca zapytać Carli, dokąd właściwie ma jechać.

Nocą Strefa Zero przypominała rozświetloną scenę. Albo salę operacyjną. Panowała tu cisza - nie do końca spokojna, ale można było tak pomyśleć. Remy'emu praca wydawała się mniej pokazowa, strata mniej osobista, mniej wyreżyserowana niż w dzień, gdy wszyscy pozowali do zdjęć, a żałoba i gniew stawały się sportami wyczynowymi. Nocą ludzie zostawali sami ze swoją pustką. Większość ratowników przeszukujących gruzowisko opuściła swoje symboliczne miejsce i wiadra stały teraz w wielkich stosach, podczas gdy brygada pracująca przy szkielecie budynku wykonywała swoją robotę cicho, bez szaleńczego napięcia charakterystycznego dla dziennej zmiany. Generatory buczały, maszyny równały teren, a mężczyźni chowali się w długich cieniach za reflektorami. Remy wołał noc. Wydawała się taka... odpowiednia. Ale wołał noc z jeszcze innego powodu. W ciemności widział mniej smug i mętów. Świat zachowywał się jak należy, stał w miejscu.

W pobliżu, na krawędzi zawałonej ściany siedziało trzech strażaków. Jedli lunch z metalowych puszek, z ich szyj zwieszały się maski, nogi im dyndały, jak u dzieci łowiących ryby w doku. Czterdzieści stóp dalej zamaskowany robotnik budowlany siedział na swoim żółtym stalowym rumaku, którego masywne szczęki skierowane były w dół i czekały na pozwolenie, by wgryźć się w stertę gruzu. Z dołu dochodziło słabe, zgrzythwe buczenie chodzących na jałowym biegu ciężarówek, ciężkiego

sprzętu i przenośnych generatorów, ściszone rozmowy mechaników i spawaczy. U stóp Remy'ego ktoś ułożył kupkę zniszczonych nitów. Wyglądała jak kolekcja szklanych kulek. Czy ten stosik powstał oficjalnie, w jakimś konkretnym celu, zastanawiał się Remy, czy może ktoś ułożył go pod wpływem obsesji, nie wiedząc, co jeszcze można by tu na dole robić? Tylu ludzi stało tu dookoła, umierając z beczynności. Chcieli robić cokolwiek. Cokolwiek. A może to on, Remy, sam usypał tę kupkę? Nie sądził, żeby tak było, ale na widok tych nitów ogarnął go taki niepokój, że zapragnął stamtąd uciec. Opuścił to miejsce i znalazł się w bocznej ulicy. Patrzył na szereg zwęglonych, rozgniecionych aut,

45

ułożonych w sterty po cztery, z urwanymi zderzakami i lusterkami, strzępami spalonej gumy przylgniętymi do felg.

Remy szedł łukiem obrzeża miasta, codzienne przedmioty wydawały się naraz równie tajemnicze jak wykopaliska archeologiczne. Kubki po kawie. Główki parkometrów. Pewnego razu Edgar napisał wypracowanie o Pompejach i od tego czasu Remy nieustannie myślał o obrazkach, które jego syn ściągnął z Internetu: odlewy twarzy ofiar, talerze, wazy i sandały, nieoczekiwane artefakty życia zastygłego przez zasrany pech. Potem uwagę Remy'ego przykuł inny przedmiot leżący na ulicy, szary i znajomy. Gdy jego wzrok nabrał ostrości, rozpoznał lotniczy pas bezpieczeństwa. Szczątki samolotów zbierano do specjalnie oznakowanych pojemników. Remy podniósł więc pas i wrzucił go tam, gdzie leżały już szczątki silnika i podkładki na siedzenie. Nieopodal, pod brezentem, treserzy karmili dwa zziębnięte owczarki niemieckie, podczas gdy trzeci zwinął się w kłębek i uciał sobie drzemkę przy wygiętym dźwigarze. Psy przyjrzały się Remy'emu,

poniuchały, uznały, że nie jest on jeszcze trupem i spuściły łby. Ominął je z daleka na wypadek, gdyby jednak zmieniły zdanie. Przeciął West Street i znalazł się w środku World Financial 2. Zimno, ciemno i pusto. Ściana budynku była oszpecona i osmalona, marmurowy hol pokrywała lekka, szara sadza i zawałał papier oraz potłuczone szkło, a także ślady bytności strażaków - stoły i rozkładane krzesła, materace, butelki z wodą i drabiny. W świetle latarki ukazało się coś leżącego pośrodku pomieszczenia: but. Remy podszedł, schylił się, żeby mu się przyjrzeć, podniósł go: rozmiar 11. Mokasyn. Próbował wymyślić scenariusz, w którym właściciel buta przeżył, ale wyobraźnia go zawiodła. Pstryknął we frędzelek mokasyna, odwrócił but na drugą stronę i odstawił na miejsce, w którym go znalazł. Pewne rzeczy zostawia się tam, gdzie się znajduje. Fakt, że również inni ludzie przechodzą obok tych samych rzeczy, w jakiś sposób je uświęca.

Remy oddalił się niespiesznie po głównych schodach, minął zwały papieru odgarnięte na boki niczym śnieg na wydeptanej werandzie. Przymuszczałnie dokumentaliści nie zdążyli jeszcze uprzątnąć papierów, chociaż Remy'emu zdawało się, że słyszał coś o ukrytych kamerach ustawionych tak, żeby można było przyłapać ratowników i różne podejrzane typki przeszukujące dokumenty. Znalazłszy się na pierwszym piętrze, ruszył wąskim korytarzem wychodzącym na Strefę Zero. Korytarz był za-

46

walony piachem i mnóstwem papierzysk, odgarniętych w kolejne zaspy, żeby zrobić ludziom przejście. Podmuch wysadził okna od strony Strefy Zero. Czarne kły zwisały z ram. Przez wyszczerzone wejście Remy patrzył na jasno oświetlony kopiec. Na obrzeżach gruz był ciemny - czarna płatanina cienistych kształtów - ale środek rozjaśniały reflektory. Zupełnie jakby się

natknął na mecz piłkarski w kraterze po bombie. Wszędzie wisały amerykańskie flagi, na dźwigach i buldożerach, przypięte do kruszejących ścian i do masek zmiądzonych samochodów. U góry żelaznej kratownicy iskra spawarki rzuciła światło na ziemię. Ubrany na czarno facet zsuwał się z wolna po teowniku w wypaloną, czarną, stalową szczelinę, aż widoczne były tylko jego ramiona i głowa, a potem już nic. Ludzie kucali wszędzie, odpoczywając lub rozmyślając. Tłumy robotników budowlanych i strażaków szły ulicą z opuszczonymi głowami w hełmach i maskach. Wąchali powietrze, obwąchiwali jeden drugiego i szli dalej. Remy odczuwał zmęczenie. Podążał korytarzem, zastanawiając się, czy znajdzie tu jakieś miejsce, gdzie mógłby się zdrzemnąć. Wszedł do sklepu z odzieżą, niewielkiego butik - maleńkie ubranka, małe dzinsy jak dziecięce pumpy, skrawki jakiejś tkaniny z ramiączkami, a wszystko pokryte tym samym kurzem, okrągły wieszak z niegdyś kolorowymi swetrami, rękawy dwa razy dłuższe niż tors, teraz wszystkie w tym samym odcieniu szarości. Oczyszczył metkę z oblepiającego ją osadu. Dziewięćdziesiąt dwa dolary - nie dziewięćdziesiąt czy dziewięćdziesiąt pięć. Dziewięćdziesiąt dwa. Remy próbował wyobrazić sobie ten sklep tamtego ranka - jakaś kobieta zastanawia się, patrzy na metkę z ceną i rozważa, czy stać ją na tak drogi sweter. Dziewięćdziesiąt dwa. Ta liczba go zaniepokoiła, ta jej specyficzna bezwzględność. Czy kobieta zgubiła metkę, w pośpiechu opuszczając sklep? Czy może kupiła jeden z tych swetrów, przygotowując się już do zimy? Normalnie w ogóle by się nie zastanawiała, gdzie kupiła ten sweter, ale teraz już na zawsze będzie kojarzył się z tym dniem. Stanie się jednym z najważniejszych ubrań w jej życiu. A może kupiła któryś z tych swetrów dzień wcześniej i włożyła go do pracy, zastanawiając się, czy facet z

personalnego w końcu zwróci na nią uwagę. A potem miała na sobie sweter taki jak ten, kiedy tłoczyła się na zadymionej klatce schodowej z gromadą nieznanomych i maruderów, odważnych i pechowych w tej samej wąskiej przestrzeni, kiedy to się zaczęło, kiedy piorun światła zmienił wszystko w nicość.

47

Remy upuścił sweter i wyszedł ze sklepu. Podążył dalej korytarzem do pomieszczeń jakiejś firmy rachunkowej. Przejechał ręką po zakurzonej skórzanej kanapie. Drzwi prowadziły z przedpokoju do małej sali ćwiczeń: trzy uniwersalne siłownie, steper schodkowy i dwa rowerki treningowe, szare butelki wody porzucone w stojakach na kubki. W górnym rogu telewizor. Remy wyobrażał sobie, jak księgowi jedzą tam lunch i śledzą dalekopis na CNBC, podczas gdy sekretarki, ściskając maty do jogi, przechodzą obok w wąskich spódniczkach i adidasach.

Wyszedł na korytarz, gdzie kolejne wybite okno wychodziło na Strefę Zero. Przed nim leżał na ziemi stos papieru i gruzu. Remy sięgnął do środka i wyciągnął organizer wielkości Biblii z pokojów motelowych. Starł z niego kurz. Na okładce widniał złoty napis: nazwisko, G. ADDICH, a także telefon i adres. Remy przekartkował notes. Każda strona wypadała na jeden dzień - umówione spotkania u góry, notatki ze spotkań na dole. Ów Addich codziennie miał jakieś spotkania. Tyle spotkań. Musiało ich być z tysiąc. Co człowiek może właściwie robić na takich spotkaniach? Notki u dołu stron były enigmatyczne - składały się głównie z liczb. Większość spotkań odbywała się chyba w restauracjach lub kawiarniach. Może był dostawcą dla knajp, pomyślał Remy. Przebiegł wzrokiem kolejne daty, nerwowo zmierzając do końca.

Gdy doszedł do owego feralnego dnia, znalazł tylko dwa zaplanowane spotkania, jedno o czwartej po południu, a drugie rano, zapisane małymi drukowanymi literami: „REMY: Okna - 9 rano. Wcześniej”.

Remy'ego przeszył dreszcz. Trzymał notes w ręce, zamrugął i przeczytał to jeszcze raz. Oczywiście nie mogło chodzić o niego. Nie znał żadnego Addicha. Oczywiście „Remy” nie jest popularnym nazwiskiem, ale z całą pewnością ktoś je jeszcze nosi. To przypadek, pomyślał - dziwny, ale takie właśnie są przypadki - dziwne. A jednak jakiś głos w jego głowie powątpiewał: „Tamten dzień? Moje nazwisko?”.

Znowu spojrzął na organizator. Słowo „wcześniej” było podkreślone. Jak wcześniej G. Addich przyjechał? Zbyt wcześnie, więc został obrócony w proch, notes, wyrzucony siłą podmuchu, wyleciał przez okno, prosto do tego budynku po drugiej stronie ulicy. A co się stało z tym innym Remym? Może powinien sprawdzić listę zaginionych, zobaczyć, czy nie ma na niej kogoś o jego nazwisku.

48

I wtedy Remy usłyszał podniesione głosy. Ktoś krzyczał z dołu, z ulicy. Początkowo myślał, że krzyczą do niego i w poczuciu winy upuścił notes. Ale wtedy pojął, że głosy dochodzą z zewnątrz, podniósł więc czarną książeczkę i schował ją do płaszcza. Truchtem pobiegł z powrotem, hallem pokrytym szczątkami różnych przedmiotów, w stronę marmurowych schodów, w stronę krzyków.

Na West Street garstka glin w maskach i z wyposażeniem bojowym powstrzymywała trzech strażaków, którzy pijani zeszli z Heights i wszczęli kłótnię z jednym z robotników budowlanych. Zebrał się tłum ludzi. Młodzi strażacy, mimo zimna na dworze, mieli na sobie dzinsy i T-shirty. Ich

potężne żyły naprężyły się na skórze, gotowe wystrzelić. Wszyscy mieli zarost - różnorakie wąsy, a także rzadkie kozie bródki - i mętne, zapijaczone oczy. Czerwony na twarzy kierownik budowy, któremu z szyi zwisała maska z filtrem, stał między policjantami i surowo wskazując szorstkim palcem na sikawkowych, żądał, żeby ich aresztowano. Ale oficer dowodzący nocną zmianą interweniował, sugerując, by odwieźć ich do domów.

- Ja ich wezmę. - Remy wyłonił się z cienia.

Szef nocnej zmiany rozpoznał go po kilku sekundach.

- Co ty tu robisz?

Remy milczał chwilę, a w końcu powiedział:

- Mógłbym cię zapytać o to samo.

To chyba podziałało. Nie namyślając się zbytnio, młodzi strażacy powlekli się za nim przez West Street do samochodu. Jeden zasnął natychmiast, gdy tylko wsiedli. Dwaj pozostali usadowili się przy oknach i wyglądali na zewnątrz. Byli tacy młodzi, że Remy na chwilę wrócił myślami do pewnej nocy sprzed lat - gdy po kinie odwoził do domów Edgara i jego dwóch kolegów. Tyle że... nie, to nie było tak. Wciągnął powietrze, zasłaniając usta ręką i odór Strefy Zero dziwnie dodał mu otuchy. Ominął światła oraz centrum miasta, przecinając drogę w kierunku zachodnim, aż ujrzał aleję, która pod nim płynęła, czarny strumień, pośrodku którego biegły złote linie, szybciej i szybciej, żółte taksówki, rozjeżdżające się i ponownie się za nim zjeżdżające. Włączył fałszywie wiwatującą syrenę: IOOOIOOO1000 i postanowił zignorować światła sygnalizacyjne. Na skrzyżowaniach jego auto prawie wypadło z drogi. Przyspieszył, aż prędkościomierz dotarł do dziewięćdziesięciu dwóch, do tej samej lic-

by, która widniała na metce swetra - tylko żeby zobaczyć - gwałtownie skręcił, chcąc ominąć coś, co okazało się błyskiem w jego oku, błyskiem odbitym od oślepiającego światła latarni ulicznej, aż wkońcu zdjął nogę z pedału gazu. Zapici strażacy otworzyli usta z wrażenia.

- Podoba mi się, jak prowadzisz - powiedział jeden z nich.

- Dzięki.

Zgłosił się na ochotnika, żeby ich wszystkich odwieźć do domów, ale sikawkowi chcieli wrócić do remizy na śniadanie, więc Remy właśnie tam ich wysadził. Chciał ich o coś zapytać, o cokolwiek, ale wysiedli bez słowa z samochodu, przeciągnęli się i ruszyli w stronę czerwonego budynku straży ozdobionego laurkami i bukietami kwiatów. Schody były zastawione koszami piknikowymi, ściany pokrywały uśmiechnięte twarze zmarłych... Ci chłopcy wyglądali na takich małych. Remy patrzył, jak wchodzi do środka i przez moment pozazdrościł im poczucia braterstwa i ciepłego domu.

Wiadomość nadeszła tuż przed lunchem: Szef chciał widzieć Remy'ego następnego dnia. Właśnie byli z Guterakiem na Fresh Kills, zabierając dwóch senatorów na wycieczkę po masowej akcji ratowniczej i poszukiwawczej na starym wysypisku śmieci, gdy Paul zapytał, czy Remy denerwuje się przed tym spotkaniem.

- Nie wiem - odparł uczciwie.

- No, chyba powinienes - rzucił Paul przez papierową maskę.

A denerwował się? Próbował sobie przypomnieć. Czasami miewał takie luki, jak ta. Nie zdawał sobie sprawy, że pewne kwantum czasu pozostaje

niewyjaśnione z wyjątkiem kilku informacji, co do których w ogóle nie pamiętał, w jaki sposób je otrzymał. Nie przypominał sobie, skąd wie, że SzeF chce go widzieć, na jakiej podstawie wnioskuje, że to jakaś poważna sprawa i czy wie coś więcej o spotkaniu. Miejsce, gdzie powinna znajdować się ta wiedza, ziało pustką. Telefon? Taka odpowiedź nasuwała się jako oczywista, ale Remy nie kojarzył żadnego telefonu. Nie dostał nawet nowego aparatu telefonicznego. To było gdzieś pośród tych żaluzji i prętów zbrojeniowych. Czy wiadomość przyszła na pager, który nosił? A może SzeF zadzwonił do Paula, żeby umówić spotkanie. Paul z pewnością wyglądał na bardziej zdenerwowanego tą sprawą niż on sam. Dlaczego jednak to Paul miałby być pośrednikiem?

50

Na takie właśnie luki Remy cierpiał najczęściej, dziury nie tyle w jego pamięci, co w łańcuchu wydarzeń. Stwierdzał, że jest przemoknięty, ale nie pamiętał deszczu. Czuł się syty, ale nie pamiętał, żeby jadł. Uważał, że to nie ma znaczenia, w jaki sposób się dowiedział, że ma spotkanie z SzeFem, tyle że powinien sobie w razie potrzeby przypomnieć, czy to była rozmowa telefoniczna, czy może ktoś mu o tym powiedział. Tymczasem wyglądało to tak, jakby od zawsze wiedział, że jutro o trzeciej po południu ma spotkanie w cztery oczy i że Paul się w związku z tym denerwuje.

- Pamiętaj, czekaj na pytania, zastanawiaj się nad nimi i odpowiadaj powoli. - Papierowa maska chirurgiczna tłumiała głos Guteraka.
- Okay - rzucił Remy przez swoją maskę.

Paul się odwrócił. Stali na chodniku, na skraju pofałdowanego wysypiska, przedstawiającego sobą księżycowy krajobraz pełen rozwalonego betonu i osmalonej stali. Spod ruin bulgotało i buchało ognisko metanu -

historia miasta w śmieciach: filtry do kawy Andy Warhola, potniki Ethel Merman, prymka Mickeya Mantle'a. Każdy wyziew zdawał się śmierdzieć w jakiś nowy, przełomowy sposób, a teraz powstały te nowe wzgórza szczątków. Ponad stertami wlatywały mewy, kołowały i chwytaly wiatr, wzbijając się na falach pyłu. Wszechobecny drobny kurz unosił się i barwił na czerwono słońce, które zdawało się stać wyżej ponad tym wszystkim, jak gdyby smród nawet dla nieba był odpychający.

Remy patrzył na senatorów, jak w roboczych butach przystają i witają się z dwoma ubranymi w kombinezony technikami, którzy grabiami i widłami porządkują wysokie na dwa i pół metra sterty śmieci w rogu pola szczątków. Remy'emu nie podobało się, że przywożą tu powietrze na barkach pełnych betonu i prętów zbrojeniowych. Nie było ono tak ostre jak to w Strefie Zero i konkurował z nim podstawowy zapach metanu, ale pył gęstniał i ten smród dopadał człowieka. Remy wyobrażał sobie, że pewnego dnia wszystko na świecie zostanie zredukowane do takiego właśnie pyłu, który zastąpi nawet powietrze, tak że nie tylko będziemy czuć jego zapach, ale również smak, na skórze, w ustach, do kości niczym dreszcz; cały świat będzie pływał w pyle, coraz drobniejszym, aż nie będzie już nic - tylko wielki brak znaczenia.

51

Na nabrzeżu mewy wznosiły na prądach wstępujących metanu i smrodu, pikowały pośród żurawi wyładowujących dźwigary i pręty z barki na wywrotki nadzorowane przez grubych facetów w dresach i ze złotymi bransoletami. Każdy czekał na swoją działkę. Gruz spadał z dźwigarów i barek, a ciężarówki paradowały niekończącym się sznurem do wysypiska, gdzie rozsypywały swój ładunek na pofałdowane wzgórza, które

wyglądały jak eskadra samolotowych wraków. Dwuna-stoosobowe zespoły przeglądały i sortowały to wszystko pod ścisłym, choć niewidocznym nadzorem plotkujących urzędników z Biura Wolności i Odbudowy. Remy nie mógł ogarnąć tych stosów: płataniny stali, prętów zbrojeniowych i betonowego pyłu, a choćby nie wiadomo jak długo człowiek przeszukiwał tę szarą masę i tak nie dostrzegłby niczego normalnego - telefonu, komputera ani lampy stojącej. Te rzeczy chyba po prostu... zniknęły, zmiksowały się z pyłem i nieskończonymi tonami rozmaitych odłamków, nierozróżnialnych części gruzów przesiewanych w dużych mieszarkach na placu budowy. Co pewien czas widział, jak w stronę pobliskich dużych prowizorycznych budynków kieruje się ciężarówka z ładunkiem pośpiesznie wrzuconych stert papierów i szczątków organicznych, pokawałkowanych członków ludzkich.

- Wczoraj znaleźli dolną szczękę - powiedział Paul - różne palce, części stopy...dzień wcześniej całą głowę. To największy fragment jak do tej pory, przynajmniej tutaj.
- Paul...
- Głowę - powtórzył Paul - Możesz sobie wyobrazić, Bri? Popatrz na moją głowę. Możesz sobie wyobrazić, że po prostu się... wyłania? Albo twoja głowa. Jak mogliśmy to przegapić? Możesz sobie wyobrazić swoją głowę tutaj, zakopaną pod tym wszystkim, pod tą pieprzoną stalą na górze i głównem tam na dole? Jaki wyraz twarzy byś miał, jak myślisz?

Remy odsunął się z zażenowaniem.

W ich kierunku zmierzał jeden z senatorów, ten gruby, który wpuścił spodnie od garnituru w buty robocze. Rumiany i zasapany, nie poddawał się przez cały poranek. Dwa razy zaczynał płakać, a jego oczy i nos pokrywała

szarość. Podeszedłszy do Remy'ego i Paula, zdjął maseczkę chirurgiczną. Miał zaczerwienione oczy i miały nim torsje. Było oczywiste, że wymiotował.

52

- To dla mnie bardzo trudne.
- Taa... - rzekł Guterak. - Naprawdę panu współczujemy.
- Nie spodziewałem się, że to wszystko będzie takie...
- Bezwzględne - podsunął Guterak.
- Tak - odparł senator.
- Widział pan szczękę?
- Nie - odrzekł.
- Wczoraj mieli głowę. Największy kawałek, jaki widziałem.
- Naprawdę? - Senator rozejrzał się dookoła nieswojo.
 - I tak jest za mało kawałków - powiedział Guterak - jak na tylu zaginionych. Daleko nam do końca.

Senator kiwnął głową i odwrócił się, żeby popatrzeć na robotników w skafandrach kosmicznych.

- Mam wrażenie, że chcę, bym im coś powiedział - rzekł. - Że powinienem wiedzieć, co się mówi w takich sytuacjach. Ale nie mam pomysłu.

- Proszę im powiedzieć, że robią dobrą robotę - podsunął Paul.

Senator kiwnął głową, kilka razy odetchnął głęboko, potarł czoło i rzekł:

- Dzięki.

Ponownie założył maskę. Remy i Guterak patrzyli, jak odchodzi. Zaplątał się w coś, upadł jak długi i wzdrygnął się, gdy jego dłonie dotknęły

szczałków. Wstał, po czym ruszył dalej przez sterty stali i ruin.

- Pieprz się, grubasie - rzucił cicho Guterak, prawie łagodnie, gdy senator zniknął im z oczu.

Później wracali w ciszy. Na moście Remy obejrzał się za siebie i, omijając wzrokiem wykończonych senatorów, popatrzył na znikającą w dali wyspę.

W punkcie pobierania opłat drogowych Paul przycisnął przepustkę E-Z do okna. Gdzieś tam zestawiono rachunki w tabeli, zapisano dane osobowe, wydano rozkaz, po czym z łatwością przejechali na drugą stronę.

- Te urządzenia mogą odczytać twoje myśli, gdy przejeżdżasz przez most - wyjawiał Paul senatorom, chociaż Remy miał wrażenie, że kolega mówi do niego. - To nowość. Ściśle tajne. Cicho sza. Właśnie to wdrażają.

Senatorzy wymienili spojrzenia.

53

- Jeszcze niezbyt dobrze działa. Z tego, co wiem, są trudności z obsadzeniem etatów. Te wszystkie chrzanione myśli ludzi chodzących przez most do miasta i z powrotem. Nie można za tym nadążyć, za tymi wszystkimi zasranymi sprawami, o których ludzie myślą. Mają tam sześć wielkich pokoi, a w nich siedzą na łączach agenci i przyglądają się ludziom, którzy wjeżdżają na wyspę i z niej wyjeżdżają. Mają tłumaczy i psychiatrów, wykresy i ekspresy do kawy, ale ciągle jest tego za dużo. Wycieńczenie... nie nadążają. Z każdym dniem tworzą się coraz większe zaległości.
- Paul - przerwał mu Remy.
- Och, tylko tak się drocę z panami senatorami - powiedział Gute-rak. -

Wiedzą, że chrzanię głupoty, co nie? Panowie? Prawda? - Uśmiechał się do nich we wstecznym lusterku tak długo, że Remy musiał się opanować, aby nie złapać za kierownicę. W końcu Paul spojrział na drogę. - Tylko się z nimi drocę.

Wysadzili senatorów przy hotelu w centrum miasta. Ale Paul nie od razu odjechał. Odwrócił się na siedzeniu kierowcy tak, by popatrzeć Remy'emu prosto w oczy.

- Słuchaj - powiedział - to spotkanie jutro z Szefem. Bądź ostrożny. Pomyśl o tym jak o spotkaniu w IA* albo z psychiatrą na badaniach okresowych. Ty ze mną? Jezu, Bri, nie mów nic o mnie. Na litość boską. Jeśli o mnie nie zapyta, nie mów sam z siebie ani jednego pieprzonego słowa. A jeśli zapyta, jak sobie radzę, powiedz tylko, że dobrze. Nic więcej. Nie chcę kłopotów. Powiedz im, że nie zauważyłeś żadnych dziwnych zachowań, nie wspominaj o koszmarach, nic z tych rzeczy. - Paul zamilkł na moment, żeby to jeszcze raz przemyśleć, jakby żuł ostatni kęs kanapki. Podniósł palec. - Chociaż... wiesz... pomyślą, że to dziwne, że nic mam koszmarów. No to powiedz im, że jestem totalnie rozpieprzony... nie mogę spać... cały czas płaczę. I, Jezu, te głupoty, które wygadywałem tamtego dnia.
- O nekstelach? - zapytał Remy.
- Nekstelach? Nie, chrzań telefony, Brian. Chodzi mi o te bzdury o byciu szczęśliwym. Że to dobry czas? Pogrzeby i to wszystko inne? Musisz o tym zapomnieć, okay?

IA- Insurance Authority - odpowiednik ZUS-u.

- Okay - odparł Remy. -Okay?

- Jasne, okay.

- To znaczy, ja... ja wtedy wywalilem z siebie cały gnój. Chciałem być zabawny. Nie wspominaj o tych bzdetach, które mówiłem. Nawet nie wiem, o czym mówiłem. - Zmrużył oczy, jakby zjadł coś kwaśnego i machnął ręką na świat.

- Okay - powiedział Remy. - Już o tym zapomniałem.

- Ale nie chodzi o to, że jestem nieszczęśliwy. Gdyby chcieli to wiedzieć.

- Jasne.

- Nic mi nie jest. Nic. Ale nie powiem, że jestem szczęśliwy. W każdym razie nie za bardzo. - Paul obgryzł paznokiec u kciuka i spojrzał przez ramię, po czym ruszył.

Ruch uliczny falował i zamierał, taksówki pulsowały niczym krwinki. Guterak był zbyt zdenerwowany, żeby włączyć syrenę. Obok nich zatrzymał się biały osobowy van, a pasażerowie przycisnęli twarze do szyb, machali i unosili kciuki do góry. Paul już nawet na to nie reagował, prowadził więc w milczeniu, nie zważając na znaki dawane z samochodu jadącego tuż obok.

Remy zamknął oczy i zobaczył, jak z jego powiek złuszcza się tapeta, paseczki włókien spadają wprost do galaretowatej masy. Breja jego samego... Czasami było to kojące. Otworzył oczy i spostrzegł, że Guterak, przepychając forda excursiona przez gęsty ruch uliczny, pogryza paznokiec kciuka.

- Wyluzuj - powiedział Remy - myślę, że to nie ma nic wspólnego z tobą,

Paul. Nie masz się czym martwić.

- Jasne - Guterak skinął nerwowo głową i spojrzał przez okno na ludzi, którzy stali na ulicy i desperacko wiwatowali na widok samochodów jadących do Strefy Zero. Odpiął z osłony przeciwsłonecznej identyfikator E-Z i ukrył go z tyłu. - Spokojnie.

Dojechali do punktu kontrolnego na West Street, gdzie podszedł do nich ten sam policjant.

- Hej, szefuniu. Jak leci?
- Cholernie ciężka służba, wiesz?
- Pieprzone islamskie sukinsyny.

55

- Taa... Racja. Racja.

Remy opadł na fotel i czuł zapach...

Dym rozchodził się po lasach pokrytej pyłem stali.

- Hej, w porzo? - Facet naprzeciw Remy/ego opuścił maskę z filtrem. Policzki pod maską miał różowe, oczy naznaczone smugami sadzy, a na sobie ciężki kombinezon i grube rękawice, chyba takie jakie noszą spawacze. Wyciągał w stronę Remy'ego rękę z dwudziestolitrowym wiadrem.
- Och, sorry. - Remy, wyrwany z zamyślenia, chwycił wiadro za pałąk. Lekkie. Akurat to jedno, tylko kilka kawałków poskręcane aluminium, może jakieś szare, pogięte przewody. Podał je parze rąk za sobą, należących do starego strażaka, który usiłował dotrzymać kroku. Wiadra krążyły cały czas, każde jak w zabawie „Nazwij to”. Patrzyło się na ramiona faceta przed sobą, żeby zobaczyć, czy wyteżę siły przy wiaderku, zanim sieje wzięło. Remy włożył rękawiczki odwrotnie

- wierzchem do dołu. Zaciskał dłonie pokryte pęcherzami.

Podawano coraz więcej ciężkich wiader, ale nagle ruch ustał, tak że Remy mógł się przez chwilę rozejrzeć. Wszędzie stały tu teraz namioty. Zastanawiał się, kiedy zdołano je postawić. Co kilka minut przybywały kolejne grupy ludzi z Ohio, Missouri, Maine, zgłaszających się do akcji poszukiwania i ratowania zaginionych. Nowi wolontariusze zdawali się wyskakiwać ze szpar i szczelin, pytali, czy Remy ma ochotę na energetyczne batoniki lub butelkę wody, a może potrzebuje skarpetek? Mieli ich całe mnóstwo. Czy ktoś o nie prosił? Czy jemu są potrzebne skarpetki?

Faceci stojący w rzędzie posuwali się do przodu i jak dzieciaki niecierpliwie wyczekujące przerwy w szkole, spoglądali jeden na drugiego, próbując się dowiedzieć, dlaczego przerwano podawanie wiader. Ich buty trzeszczały na gruzowisku, maleńkie ruchy niczym ciepłe kompresy na śniegu. Remy dreptał przy krętym rzędzie mężczyzn, żeby zobaczyć, co dzieje się z przodu. I, jak to przydarzało mu się coraz częściej, nawet jeśli nie pamiętał dokładnie, to wiedział, że wędrówka wiader ustaje tylko z jednego powodu. Jakby na umówiony znak, zamiast wiadra, powoli wróciło do niego pytanie:

- Policja? Jakiś policjant? Czy są jacyś policjanci w tym szeregu?

Remy wystąpił naprzód i podniósł rękę. Torował sobie ostrożnie drogę pośród leżących na ziemi odłamków, każdy krok stawiał niepew-

56

nie, pogięta stal i aluminium uginały się pod jego stopami. Mijał stojących w rzędzie ludzi, a oni tylko kiwali głowami i klepali go po plecach. Było gorąco. Oddech Remy'ego świszczą w masce. To było dziwne uczucie - przytłaczające i przerażające - że ktoś z przodu go wzywał. Szereg ludzi

zakręcał tam ostro w górę i zniknął w dymiącej szczelinie. W środku, w połowie drogi, jakiś przysadzisty robotnik pracujący przy uprzątnięciu żelastwa zrobił sobie półkę na poczeriałym kawałku stali. Odłożył maskę i podniósł wiadro tak, żeby Remy mógł zajrzeć do środka. Leżało tam zwinięte coś szarego i płaskiego. Z początku Remy'emu wydało się, że widzi węża połykającego szczura, ale nagle zrozumiał, co to jest. Kabura. Pokryty kurzem pas i kabura na latarkę. Policyjny pas i kabura.

- Jeszcze nie znaleźliśmy niczego poza tym - powiedział robotnik - ale pomyśleliśmy... ktoś powinien... no nie wiem... chce pan to wziąć?

Remy przechylił się przez krawędź otchłani i sięgnął po...

Szef kończy! przygotowania do codziennych zebrań w sali konferencyjnej w Javits, nakazując wszystkim gotowość do kolejnej rundy konferencji prasowych. Miał teraz na sobie spodnie sportowe, policyjną koszulkę polo oraz satynową kurtkę, ale zmieniał ubranie pięć lub sześć razy dziennie. Każdego ranka zastępcy Szefa wysyłali swoich szefów sztabu na naradę z szefem sztabu Szefa, aby uzgodnić kolejność wkładania strojów. W końcu wszyscy trzymali na podorędziu przynajmniej jedną zakurzoną kurtkę, co jakoś magicznie uodparniało ich na wszelką późniejszą krytykę.

Szef zakotwiczył przy stole w kształcie podkowy, nakrytym dziwną niebieską tkaniną flagową, jakby odbywała się tam jakaś impreza rocznicowa albo z okazji czyjś przejścia w stan spoczynku. Siedział w kierowniczym gronie, sam u szczytu stołu niczym gwiazdka na ostrodze. Zastępcy otaczali go wedle rangi, najpierw jego *capo de capi*, szef policyjnych oddziałów antyterrorystycznych, dalej komendant straży pożarnej, o zapadniętych oczach, służby sanitarne, kwaterunkowe i ratunkowe, służby turystyczne i prawne oraz kilku dowódców, których

Remy nigdy nie widział. Pamiętał spotkania, na których bywał jako oficer łącznikowy policji z wydziałem prawnym miasta. Zadaniem wszystkich oficerów było przedstawianie Szefowi comiesięcznych sta-

57

tystyk. Zawsze robili zestawienia na kilka minut przed takim spotkaniem, dowolnie zawyżając liczby, które Szef wołał wyższe (obciążenie adwokatów), a zaniżali te, które wołał niższe (pozwy przeciwko miastu). Podczas tych spotkań Szef lubił mieć wszystkich w polu widzenia, żeby patrzeć na każdego, nie poruszając przy tym głową.

Remy spojrzał na swoje nogi. Wciąż miał na sobie zakurzone, zniszczone buty robocze i kombinezon pokryty pyłem. Kilka osób zmarszczyło nosy, gapiąc się na niego. Posuwał się wzdłuż ściany za plecami zastępców Szefa, *capo de regime*, a także szefów sztabu, otaczających ich wianuszkami oszustów, intruzów i natrętów, dobrze ustawionych facetów, naganiaczy i wazeliniarzy, którzy siedzieli za komisarzami i dyrektorami, podając im arkusze instruktażowe oraz chusteczki do nosa, sporządzając notatki, osłaniając ich i odwracając się od czasu do czasu, żeby porozmawiać przez telefony komórkowe i umówić się na lunch z kochankami albo kumplami. Za siedzącym u szczytu stołu Szefem wisiał plan miasta, pełen szpilek i bardziej szczegółowy plan Strefy Zero. Pod białym niskim sufitem pomieszczenie wydawało się jeszcze niższe, niż było w rzeczywistości. W rogach telewizja ustawiła sprzęt oświetleniowy, a blask, który od niego bił, niczym ciecz wypełniał salę.

Rozpoczęli codzienne podsumowanie, odczytali listę strat. W pokoju zapadła pełna napięcia cisza, gdy jeden z bliskich współpracowników Szefa zaczął kolejno odczytywać nazwy artykułów przeterminowanych i tych,

których okres trwałości niebawem się skończy. Sprzedaż detaliczna produktów świeżych z krótkim terminem przydatności do spożycia spadła o szesnaście, artykułów niepsujących się o czterdzieści cztery, przedsprzedaż biletów o pięćdziesiąt dziewięć, handel domokrażny o osiemdziesiąt jeden, restauracje i hotele o pięćdziesiąt dwa. Szef pokręcił głową na tę jatkę: sklepy nie płaciły za dzierżawę lokali, jedna z jego ulubionych restauracji była zagrożona. Spojrzenie miał zatroskane, ale rezolutne i przez cały czas odczytywania liczb pocierał skronie.

- Nie - mówił. - Nie, nie, nie.

Ekipa filmowa utrwałała to spotkanie dla potomności albo w jakimś innym celu, a on pilnował, żeby filmowcy mieli dość czasu na ustawienie kolejnego ujęcia, zanim znów zacznie mówić.

- Słuchajcie - rzekł wreszcie. - O to właśnie chodzi. O to. Te sukinsyny nienawidzą naszych swobód. Naszego stylu życia. Nienawidzą

58

naszych barów tapas i restauracji sashimi, naszych całonocnych knajpek z pitą... Bardzo nienawidzą naszego... ekonomicznego dobrobytu. To jest wojna, w której naszą bronią są portfele i portmonetki, a którą prowadzimy, rezerwując miejsca w restauracjach, żeby zjeść obiad, chodząc do MOMA* i pijąc drinki w Płazie. I damy odpór. Damy odpór, choćby każdy Amerykanin musiał wysiedzieć swoje na chrzanionym Weselu Tiny i Tony'ego!"

Ludzie klaskali i kiwali głowami, a Szef z powrotem usiadł na krześle. Rozdano materiały z kompletem informacji dotyczących tamtego dnia, terminarzami i schematem, który pokazywał, gdzie kto ma stać podczas kolejnej konferencji prasowej. Ktoś rzucił całe pudło czapek na środek

stołu i wszyscy po nie sięgnęli, ale cztery czapki z napisem Port Authority* zostały bez przydziału, kiedy więc Szef czytał materiały szkoleniowe, szef jego sztabu podniósł ręce i zaapelował do zebranych, siedzących wokół ze spuszczonej oczyma:

- Dalej, ludzie. Trzeba wymienić czapki policyjne na te z PA*.

Dokonano zamiany i wtedy ktoś wspomniał, że na dół chce zejść drużyna Jetsów. Szef aż stanął na baczność.

- Wszyscy?
- Tak jest.
- Co takiego? Dwudziestu dwóch facetów?

- Właściwie to tylko na początek. W drużynie jest ich około pięć dziesięciu.

Wszyscy debatowali nad tym, do czego zespołowi futbolowemu pięćdziesięciu graczy i czy to jest fair w stosunku do zespołów, żeby przenosić zdrowych zawodników do Injured Reserve****, aż w końcu zeszło na to, czy mogliby dla swoich dzieciaków dostać koszulki futbolistów, zwłaszcza tych najlepszych, i który z Jetsów należy do ich

MOMA - The Museum of Modern Art (Muzeum Sztuki Nowoczesnej) w Nowym Jorku.

Tony and Tina's Wedding - satyryczne przedstawienie, na którym widzowie biorą

czynny udział w weselu Tiny i Tony'ego jako goście. Na Broadwayu od 1988 roku. * Port Authority - Port Authority of New York and New Jersey (PANYNJ) - największy

kompleks portowy na Wschodnim Wybrzeżu.

** PA - skrót od ang. Port Authority. pOR. przyp. 3.

*** Injured Reserve - lista zawodników rezerwowych, grupująca zawodowych futbolistów, niezdolnych w jakimś okresie do gry.

59

grona, a wreszcie, czy rzeczywiście muszą oprowadzać całą drużynę. Stojący przy ścianie asystent zastępcy wymamrotał, że z punktu widzenia logistyki wprowadzenie pięćdziesięciu zawodników na teren Strefy Zero tak, żeby nie zakłócić toku pracy, wydaje się niemożliwe.

- Niemożliwe? Cholera, jeśli zechcę, to wprowadzę tam i Jetsów, i Sharksów! - Szef ponownie walnął pięścią w stół z taką mocą, że aż przestraszył ekipę telewizyjną. - Nie chcę więcej słyszeć tego słowa. Jasne? Bo co to znaczy? Że nie jesteśmy w stanie sprowadzić małej drużyny futbolowej tam, gdzie chcemy? Że nie można znaleźć przyzwoitego curry o drugiej nad ranem? Świat na nas patrzy i jeśli ktoś mi powie, że nie mogę wprowadzić Jetsów na scenę narodowej tragedii... to niech to szlag trafi, oto całe usprawiedliwienie, jakiego potrzebuję.

Ustalono, w jaki sposób sprowadzić Jetsów na dół i spotkanie dobiegło końca. Ekipa filmowa zgasła światła, wyzywające spojrzenia zniknęły, a szefowie i zastępcy ruszyli do wyjścia, komplementując się wzajemnie za odwagę i uczuciową solidarność z cierpiącymi. Szef zerknął na Remy'ego i ręką dał mu znak, żeby został. Odwrócił się na moment i bąknął coś pod nosem do kilku swoich doradców i komisarzy. Potem usiadł i spuścił głowę, czekając, aż pokój opustoszeje.

Gdy już wszyscy wyszli, spojrzął na Remy'ego z wymuszonym uśmiechem. Podali sobie dłonie i usiedli na rogu długiego stołu konfe-

rencyjnego. Szef patrzył nieruchomym wzrokiem. Krzyżował i prostował nogi, wyraźnie na coś czekając. Jeden z jego współpracowników, sierotowaty młody mężczyzna w okrągłych okularach, przyniósł beżową teczkę opatrzoną nalepką „TAJNE”. Szef trzymał akta na kolanach, póki współpracownik nie zniknął za drzwiami. Potem uśmiechnął się niczym szczerzący kły pies strażnika.

- Jak się miewasz, Brian?

Remy pomyślał o ostrzeżeniach Guteraka.

- Dobrze, proszę pana, w porządku. Okay. Dobrze. Świetnie.
- To doskonale. - Szef przyjrzał mu się uważniej i dopiero wtedy otworzył teczkę. Remy widział dokładnie, że całą jej zawartość stanowi tylko jedna kartka, na dodatek wyglądająca na zupełnie niezapisaną. Ale Szef udawał, że przegląda dokumenty. Raz nawet poślinił palec, by rozdzielić tę jedyną pustą kartkę.

60

Remy uniósł się na krześle, zastanawiając się, czy jednak nie ma czegoś na kartce, której lekturę Szef pozoruje, wpatrując się w nią i otwierając usta z odgłosem przypominającym strzelanie prażonej kukurydzy.

•Momencik - rzekł, sunąc palcem po stronie. - Tak, tak - mówił. -
Racja. *Et caetera.*

•Proszę pana?

Szef popatrzył na niego.

- Po pierwsze, dziękuję ci, że się na to zgodziłeś. Gdy usłyszałem, czego oni szukają, przyszło mi na myśl tylko jedno. Charakterystyczna dla ciebie mieszanka kompetencji i ofiarności, gotowości do robienia tego, co należy zrobić... Ale zanim wszystko sfinalizujemy, chciałem

spotkać się z tobą w cztery oczy, żeby zyskać pewność, że nie miałeś innych przemyśleń.

Ponieważ Brian nie mógł sobie przypomnieć w ogóle żadnych przemyśleń, zaśmiał się.

- No cóż...

Szef podniósł głowę.

- Szczerze... nie za bardzo wiem, o czym pan mówi.

- Co masz na myśli?

- No... tak naprawdę nie wiem, co tu robimy. Szef poczerwieniał. Przysunął się.

- Mam nadzieję, że nie kwestionujesz linii władz naszego kraju?

- Kraju? Nie - zapewnił szybko Remy. - Nie... nie sądzę.

- To dobrze - wycedził Szef przez zęby. - Nic nie wkurza mnie bardziej niż to. Bo tego właśnie chce tamta strona, Brian. Żebyśmy zaczęli wątpić w sens naszych poczynań, zanim w ogóle zaczniemy działać. Każde pytanie, które zadajemy, jest listem miłosnym do naszych wrogów.

- Nie - zaprotestował Remy - nie wysyłam żadnych listów miłosnych.

Szef rzucił następne zdanie tak, jakby zdał sobie wreszcie sprawę, że już nie przemawia do kamer.

- Oczywiście, że nie wysyłasz. Jesteś z nami. Ty może najbardziej ze wszystkich. - Szef podniósł teczkę zjedną kartką i wzniosł oczy do sufitu.

- Przepraszam, ponoszą mnie... emocje... gdy myślę o ludziach, którzy kwestionują nasze postanowienia, nasze zaangażowanie w odzyski-

wanie należnego nam miejsca w świecie, naszego dziedzictwa, w zbiera-

61

nie na powrót tego, co zagięło, odtwarzanie statystyk ludności i naszej wymiany handlowej... no, nie muszę ci tego mówić, Brian.

Właściwie Remy wolałby to usłyszeć, pokręcił jednak głową.

-Nie.

-Wybrałem cię właśnie z tego powodu: twojego przywiązania do kraju, twojej niezachwianej lojalności. Jesteś w wyjątkowej sytuacji, Brian, jesteś pionierem, mostem pomiędzy dwoma światami. Ciągłe podlegałeś wpływom policji i wydziału prawnego miasta i było to trudne. Ale wierzę, że dzięki temu nauczyłeś się, jak żyć w dwóch światach: w świecie garniturów i w świecie odznak. W pewien sposób będziesz znów robił to samo, pożyczysz sobie w dwu światach.

- Okay - odparł Remy.

Szef się uśmiechnął.

-Tyle chciałem powiedzieć, Brian, żeby się upewnić, czy znasz mój prawdziwy... i pełny... - głos mu się załamał, gapił się na teczkę, którą miał na kolanach. Przyjął ponownie ton kampanijny i powrócił do swojej zwykłej paplaniny. - Bóg da, że zbierzemy wszelkie pokwitowania, wszelkie zlecenia zakupu, każdy przeklęty papierek... w przeciwnym razie... no, myślę, że wiesz.

-Tak?

•Oni zwyciężą - szepnął Szef.

•Zwyciężą, proszę pana?

•Zwyciężą, Brian. Oni... - Szef ponownie otworzył teczkę. - Oni zwyciężą - włożył okulary i spojrzał na pustą kartkę. - Jak na notatki, to

twoje raporty o sierżancie Guteraku obfitują w przydatne informacje.

- Moje raporty? - Remy podrapał się w skroń, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wypowiadał się na temat Guteraka. Zastanawiał się, jak można odkręcić to, o czym się nie pamięta, że się to w ogóle zrobiło.
- Paul jest dobrym facetem.
- Tak, nie możemy zaprzeczyć.
- Nie, Paul jest w porządku, proszę pana.
- To załatwia sprawę. - Szef otarł usta. - Wiem, że to także uczyniona mi osobista przysługa, Brian. Twoje przywiązanie i poświęcenie... - otarł usta raz jeszcze i znów zaczął tę swoją motywującą gadkę, ale po chwili zdawało się, że dobiera słowa na chybił trafił.

62

- ...odwaga... wolność... odbudowa... prężność... wiara... wydatki... - pokręcił głową. - I to, co ty robisz...no cóż... oczywiście. - Szef zamknął teczkę i znów się skoncentrował. - Ale będziemy potrzebowali jakiejś historyjki. Wykorzystamy niepełnosprawność. Czego chcesz? Wsparcia? Niemoc lubi wsparcie. A może raczej posłużysz się tą opowiadką o swoich oczach?
- O moich oczach? - Remy odruchowo zacisnął powieki, żeby sprawdzić smużki i męty, a gdy otworzył oczy, zobaczył...

Twarz, młoda i bez zmarszczek, twarz z widmowego baru, gapiała się na niego znad tej samej chudej szyi, wystającej z tego samego ciała mężczyzny ubranego w ten sam garnitur o głębokiej czerni. Remy raz jeszcze

popatrzył na tę doskonałą twarzyczkę, niczym pusta kartka papieru, pod krótkimi, brązowymi włosami. Nigdy nie widział tak gładkiej powierzchni. Podobnie jak w widmowym barze, mężczyzna miał przypięty do kieszonki marynarki identyfikator federalnych: Markham. Mówił:

- ...twoje doświadczenie zawodowe, oczywiście, na ulicy i w biurze. To wyjątkowe zadanie, bardzo odbiegające z pozoru od pierwotnych postanowień Wolności i Odbudowy. Powstał spór o to, że to zadanie w jakiś sposób narusza granice działania Biura lub Agencji, co jest jednym z powodów, dla których chcieliśmy się wycofać. - Markham machnął na to ręką. - Ale do spraw kompetencji dojdziemy po wysadzeniu tego mostu. Nie pora debatować teraz nad takimi rzeczami. Mam rację? He?

Rozmawiali w małym pokoju konferencyjnym o nagich ścianach, siedząc na czarnych krzesłach szefów. W tym pokoju sufit był wysoko. Z drzwi dochodziły Remy'ego odgłosy jakichś mechanizmów.

Markham ciągle mówił.

- Oczywiście, pańską pracę należy traktować z największą dyskrecją. Będę pańską skrzynką kontaktową. Ufam, że do tej pory nie pisnął pan nikomu ani słówka o negocjacjach z nami.

-Z...

•Z nami - odparł Markham.

•No cóż... - zaśmiał się Remy nerwowo. - Nie, nie sędzę, żeby to był problem.

63

Na jednej połówce młodzieńczej twarzy Markhama wykwitł uśmiech.

•To dobrze.

- Do cholery, nawet nie wiem, kim jesteście.

Markham przez sekundę zdawał się zaskoczony, ale zaraz potem się uśmiechnął.

- Och, no, no. To dobrze. Mógłbyś wystąpić w jednym z naszych szkoleniowych filmów wideo. - Siedział, uśmiechając się ciągle do Remy'ego, następnie położył swoją cieką walizkę na stole i otworzył ją. - Dobrze, czemu więc nie pogadamy o tym, o czy mamy pogadać?

Markham wyjął z aktówki zdjęcie o wymiarach osiem na dziesięć i przesunął je ku niemu po stole. Przedstawiało młodą kobietę o wydatnych policzkach, ciemnych oczach i długich czarnych włosach - piękną dziewczynę. Ubrana w suknię wieczorową na wąskich ramiączkach siedziała na patio restauracji i trzymała kieliszek martini skierowany w stronę obiektywu.

- Gibson - powiedział Markham.

-Co?

- Powiedziałaś „martini”. To nie jest martini. To gibson. Cebulki zamiast oliwek. - Pięknie wymanikiurowanym palcem wskazał małą szklaneczkę na zdjęciu.

Czy powiedział na głos „martini”?

- Tak, powiedziałaś. Ale spójrz. To gibson - Markham ponownie wskazał szklanę. - Widać koktajlowe cebulki. Tutaj, na tym zdjęciu są wyraźniejsze. - Przeglądał aktówkę, dopóki nie znalazł następnej fotografii - zbliżenia szklaneczki, ukazującego niewyraźnie, ale niewątpliwie, w rzeczy samej, dwie małe białe cebulki.
- Nie lubię cebulek. Wolę oliwki - rzekł Markham - bez pimiento. Trzeba uprzedzić, że sobie ich nie życzysz, bo w przeciwnym razie zakładaj ą, że

chcesz. To znaczy, no szczerze... co to jest pimiento? Owoc? Warzywo? Roślina strączkowa? No bo, daj spokój... - mówił tonem występującego przed publicznością komika. - Czy to w ogóle występuje w przyrodzie?

- Myślę, że to papryka - powiedział Remy.
- Wiem. To był... - odparł Markham, szczerze zasmucony, że jego żart okazał się kiepski. - Och, no dobra... - Odłożył zdjęcie cebulek i ponownie wskazał na fotografię dziewczyny. - To jest March Selios.

64

Remy popatrzył na fotkę. Marge?

- Nie, March. Tak jak marzec po angielsku.

Remy przygryzł wargi, żeby nie wymknęło mu się już ani jedno słowo. Ponownie spojrzął na to zdjęcie zrobione z drugiej strony stolika w restauracji. Wszędzie były paprocie.

- Ta kobieta pracowała dla firmy, udzielającej porad prawnych importerom różnych towarów na mocy zagranicznych kontraktów, międzynarodowym konsorcjom, tego typu sprawy. Została wyszkolona jako doradca prawny. Bardzo sprawny. - Markham się zaśmiał, ale tak szybko odzyskał powagę, że Remy zaczął się zastanawiać, czy nie przytrafiła mu się kolejna luka. - Specjalizowała się w spedycji, prawie handlowym, taryfach, ropie. Biegła włada greckim, jako tako mówi po arabsku i trochę po persku. Często współpracowała z firmami z Bliskiego Wschodu i basenu Morza Śródziemnego: greckimi, włoskimi, saudyjskimi, syryjskimi, libańskimi. Inteligentna dziewczyna, samotna, umiarkowanie pijąca, o liberalnych poglądach politycznych: w latach dziewięćdziesiątych przez jakiś czas zwiększała swoimi darowiznami budżet palestyńskich organizacji humanitarnych, protestowała prze

ciw izraelskim atakom, tego typu sprawy. To trochę taka mała dzikuska, raczej pije niż ćpa, o ile wiemy. Nie unikała seksu, ale wtedy miała dwadzieścia parę lat. Blisko dwa lata pracowała dla firmy o nazwie ADR*. Jej biura były rozsiane na górnych piętrach, więc jak się domyślasz, cała firma mocno oberwała, jedna trzecia pracowników, wszyscy, którzy byli w pracy tego ranka, dwadzieścia trzy osoby, MPD, zaginieni, prawdopodobnie martwi. Chociaż...

Remy ponownie spojrzął na zdjęcie.

-...liczba MPD z tej firmy będzie wynosić dwadzieścia dwa... jeśli wyłączymy z oficjalnej listy pannę Selios.

Markham pozwolił, by to zdanie zawisło w powietrzu.

- Sądysz... nie powinna być... na oficjalnej liście?
- Mamy powody tak sądzić... - Markham zamilkł na chwilę. - Pewne wskazówki... - znowu przerwał. - Istnieje pewien dowód, że... panna Selios może nie zginęła tamtego dnia. Prawdę mówiąc, chyba żyje.

American Depository Receipt - międzynarodowy przewóz drogowy towarów niebezpiecznych.

65

Remy czekał na dalsze informacje, ale Markham, jak się zdawało, upajał się precyzyjnym dozowaniem jednego szczegółu po drugim.

- To znaczy? - zapytał w końcu Remy.

Markham skrzyżował ręce i położył oba palce wskazujące na ustach.

- Na podstawie odtworzonych dokumentów i wywiadów, sprawdzamy teorię, że być może została ostrzeżona i uciekła chwilę wcześniej.

Markham znów ucichł. Remy musiał zdobyć się na wysiłek, żeby

mówić głośno.

- Nie jestem pewien, czy nadążam.

Markham włożył gumową rękawiczkę, ponownie sięgnął do aktówki i wyjął zapiętą na zamek błyskawiczny plastikową kopertę z karteczką w środku. Położył ją na stole, ale zaraz zabrał z powrotem.

- To jest oczywiście tajne. - I znów przesunął kopertę po stole, jakby zawierała jakiś magiczny sekret.

Remy sięgnął po nią. W środku znajdowała się karta katalogowa, na której niebieskim długopisem wypisano przepis na potrawę o nazwie „sola w pekanach”. Remy przeczytał ostatni składnik („i łyżeczka soli morskiej”) i sposób przygotowania („polać oliwką z oliwek”) a na koniec zalecenia („pozostawić na pięć minut, przybrać dwoma skręconymi plasterkami pomarańczy i podawać”). Gapił się na przepis, a potem spojrzał na Markliama. Przez kilka sekund w pokoju nie słyhać było najmniejszego odgłosu.

- Przepis - rzekł Remy.

- O, ktoś tu zrobił maturę - zauważył Markham. - Jak myślisz, gdzie znaleźliśmy ten przepis?
- Nie - nie mam pojęcia.
- Wiesz, gdzie jest Crystal Beach?
- Nie, raczej nie.

Markham zerknął podejrzliwie, ale ciągnął dalej:

- Crystal Beach znajduje się w południowym Ontario, na Albino Bay, po drugiej stronie jeziora Erie, niedaleko Buffalo. Cudowne miejsce. Chociaż zimne zimą... zimne jak trzeźwa lesbijka na ostrej orgietce. No to możesz się domyślić.

Znowu czekał na śmiech Remy'ego, a potem spoważniał.

- Znaleźliśmy ten przepis... w posesji czterdziestosześcioletniej gospodyni domowej, pani Lindy Yendron. Pani Yendron utrzymuje, że

66

tamtego dnia była na lotnisku Kennedy'ego. Po wizycie u siostry czekała na lot czarterowy do Buffalo, gdy usłyszała o atakach. Wiesz już, do czego zmierzam? -Nie.

- Gdy zamknięto lotnisko, ta pani Vendron nie miała możliwości złapania lotu do Buffalo, wróciła więc do siostry. W końcu, dwa dni później, wsiadła w autobus. Bardzo zatłoczony, jak teraz mówi. - Markham się przysunął. - Pani Vendron twierdzi, że znalazła ten przepis wciśnięty w siedzenie w autobusie. Mówi, że go podniosła, bo... pomyślała, że to będzie dobrze smakować. Myślała, że przypadnie do smaku jej mężowi. On „lubi pekany”.

- Ale ty... jej nie wierzysz?

Markham wyglądał na dotkniętego.

• Skądże, wierzymy jej. Oczywiście, żeby się upewnić, poddaliśmy ją badaniu wykrywaczem kłamstw - pokręcił głową. - Ale dlaczego ktośkolwiek miałby kłamać, że lubi pekany? Kto ich nie lubi? Szczególnie w dobrym przepisie na rybę, w delikatnym filecie? Nie, pekany nadają mu pewną głębię, sprawiają, że filet jest kruchy. Nadają ciężar. Są nasączone miodem. Myślę, że można go zastąpić syropem kukurydzianym. Ale wyraźnie potrzeba miodu. Szczypty pieprzu cayenne. Soli morskiej. Pieczesz wszystko przez dwadzieścia minut na wolnym ogniu. Trochę szczypiorku. Nie, to naprawdę dobra mała rybka na letni posiłek. Smaczny. Lekki. Laboratorium badało dla nas to danie, żebyśmy byli pewni, że

to... wiesz... dobre. - Markham odsunął się. - Prawdopodobnie zrobimy je jeszcze raz. Dam ci znać. - Ponownie się przysunął. Palec wskazujący położył na ustach. - Pytanie jednak nie brzmi: jak smakuje ryba? Ani nawet: jakie wino się do niej podaje? Myślę, że można sobie pozwolić na gewurtzmeiner lub chardonnay. Pytanie, Brian, brzmi: kto zostawił ten przepis w autobusie?

•Ona? - Remy podniósł zdjęcie.

•March Selios - odrzekł Markham, gestykulując dłońmi, jakby przedstawiał magiczną sztuczkę. - To greckie nazwisko. Drugie pokolenie imigrantów. Starsza siostra mieszka tutaj w mieście, pracuje w biurze nieruchomości. Młodszy brat mieszka w Kansas z rodzicami. Ojciec prowadzi tam grecką restaurację.

Remy raz jeszcze popatrzył na przepis.

67

•Dlaczego myślisz, że ten przepis należy do... - Popatrzył na zdjęcie dziewczyny - ...do March?

•Nie stać nas na luksus myślenia, Brian. - Sięgnął do aktówki po kolejne zdjęcie.

Ukazywało tę samą dziewczynę. Tym razem siedziała w swoim boksie w biurze, uśmiechała się, trzymała czerwone błyszczące balony ze srebrnym napisem HAPPY 26th BIRTHDAY. Markham sięgnął do aktówki, wyjął kolejne zbliżenie detalu i podał Remy'emu lupę jubilerską.

- Patrz - powiedział i przesunął po stole zdjęcie do Remy'ego
- Przyjrzyj się uważnie. Tam, za jej plecami.

Na początku trudno było się połapać, ale wreszcie... tak, bez wątpienia. Na ścianie boksu March Selios znajdował się taki sam ręcznie napisany

przepis na solę z pekanami, jaki leżał teraz na stole.

- Jezu, to niesamowite.
- Dziękuję.
- Chodzi mi o to, skąd wiedziałeś, żeby szukać... - Remy z trudem nadażał za tym wszystkim. - Jak to... to znaczy... to tylko jeden kawałek papieru. Wszystko to dla...

Markham znowu spoważniał.

- Co masz na myśli, Brian?

- Nic... Nic nie mam na myśli. Jestem zdumiony. Nie pojmuję, jak na to wpadłeś, żeby połączyć... i wykonałeś całą tę pracę dla... tego przepisu? - Remy raz jeszcze popatrzył przez lupę. - Przecież nawet nie wiesz, czy to ma cokolwiek wspólnego z tamtym dniem... to znaczy... może zdjęła to ze ściany kilka miesięcy wcześniej.

Markham wskazał na zdjęcie z urodzin.

- Dwudzieste szóste urodziny obchodziła sześć dni przed atakiem. Wtedy zostało zrobione to zdjęcie, właśnie w jej dwudzieste szóste urodziny, sześć dni przed jej domniemaną śmiercią.
- Może ktoś zabrał ten przepis po... przecież papier był wszędzie, prawda?

Markham kiwnął głową, jakby oczekiwał takiej właśnie odpowiedzi.

- Na tej kartce z przepisem nie ma śladu pyłu, Brian. Żadnego. Sprawdziliśmy w laboratorium. Zaraz po tym, jak przyrządziliśmy rybę.

68

Ta kartka musiała być w teczce lub portmonetce. Nie wywiało jej z budynku. Ktoś zabrał ją wcześniej.

Remy znowu popatrzył na zdjęcie przedstawiające dziewczynę w jej biurze. Była na nim nawet ładniejsza, nieśmiała, z wybałuszonymi oczami. Remy'emu przyszło do głowy, że musiała być zakochana w tym kimś, kto zrobił tę fotkę.

- Owszem, my też tak myślimy - odezwał się Markham.

Jezu. Czy ciągle wypowiada na głos swoje myśli? Remy popatrzył na Markhama, aby się zorientować, czy również tę myśl wyartykułował, ale wyglądało na to, że tamten tego nie zauważył. Położył oba zdjęcia jedno obok drugiego: uśmiechnięta March w restauracji, uśmiechnięta March przy biurku.

- Oba zdjęcia zrobiono tym samym aparatem. Ktokolwiek je wykonał, stanowi dla nas klucz. Kochanek. Możliwe, że potajemny. Jeśli znajdziemy osobę, która zrobiła te fotografie, będziemy w połowie drogi do sukcesu. Wierzę, że znalezienie aparatu da nam szansę odnalezienia żywej March Selios. Jest też duża szansa na to, że znajdziemy ją z kimś, kto może cię zainteresować.

Remy czuł, że myśli wolno, tak jakby jego umysł poruszał się w bagnie.

-Kto?

Markham sięgnął do aktówki i wydobył kolejne zdjęcie. Tym razem March siedziała na dachu przy stoliku z jakimś przystojnym mężczyzną ze Środkowego Wschodu, którego głowę i twarz pokrywała nie-golona od kilku dni szczecina. Jego głęboko osadzone oczy zdawały się wpatrywać w aparat.

- To zdjęcie zrobiono na dachu apartamentowca, w którym mieszkała March. Ona ugotowała kolację, a sąsiad usługiwał im i pstryknął tę fotkę. Mężczyzna na zdjęciu to Bishir Madain - opo

wiadał Markham - saudyjski uchodźca. Od dwunastu lat w Stanach Zjednoczonych. Pracował dla ważnego konsorcjum. Żył z panią Selios w romantycznym związku, rozstali się jakieś półtora roku temu. Od rana tego dnia, gdy nastąpiły ataki, nikt już nie widział owego Madaina. Zrekonstruowaliśmy dokumenty - teleksy, e-maile, proste formularze zamówień katalogowych - które mogłyby wskazywać, że pan Madain stanowi część uspiętej komórki szpiegowskiej ulokowanej na terytorium kraju. Sądzymy, że już wcześniej mógł mieć in-

69

formację, że tego ranka nastąpi atak, toteż postanowił ostrzec swoją byłą dziewczynę.

- Ale ja nadal nie rozumiem, jak...

Markham puścił w jego kierunku stronę po stronie dwustronicowy raport. Na przedzie widniał stempel TAJNE i inicjały D.D. „Tamtego ranka, o 7.12, zaraz po przyjeździe, pani Selios zadzwoniła, zgłaszając uszkodzenie drukarki laserowej na jej piętrze. O 7.48 przyjechał technik, co później wyniknie z jego przesłuchania. Technik zawsze uważał panią Selios za" - Markham spojrzał na swoje notatki - „»zajebistą la-skę«. Tego ranka flirtował z panią Selios, która, jego zdaniem, zdawała sobie sprawę z jego intencji i nie do końca była niechętna. Facet pracował nad nią dalej, gdy March nagle odebrała telefon. Wydawała się nim wstrząśnięta. Technik usuwał z drukarki zaklinowaną kartkę, ale podniósł wzrok i zobaczył, że March Selios z płaczem zmierza w stronę wind. Technik sam wyszedł pięć minut później, dotarł na główne piętro i, jak nam wiadomo, był ostatnią osobą, która zeszła z tego piętra przed..." - Markham bezgłośnie wymówił słowo „bum" i wzruszył ramionami, jakby to wszystko wyjaśniało.

Remy zdziwił się, słysząc, że sam zadaje pytania.

- Czy ktoś widział, jak opuszcza budynek? Albo potem? Czy są jakieś inne dowody na to, że ona żyje?

Markham wyglądał na zadowolonego.

- Twoja dociekliwość dostatecznie wyjaśnia, dlaczego akurat ciebie tu wezwaliśmy.

Remy popatrzył na zapis przesłuchania.

- Nie wiem. To znaczy, ten telefon to przecież mogło być cokolwiek?
- powiedział. - Może kłótnia z chłopakiem? Może nie szła do windy, tylko do łazienki? Co tu macie? Napalonego na nią serwisanta i przepis kulinarny. I czy to ma świadczyć o tym, że ktoś ją ostrzegł?

Markham wskazał na zbliżenie boksowi March Selios

- Wyobraź sobie boks młodej kobiety. Pokryty obrazkami i przepisami, historyjkami z Cathy i buddyjskimi koanami. Powiedzmy, że pokłóciła się z chłopakiem, jak mówisz, i wybiega do łazienki. Czy na prawdę zatrzymałaby się, żeby pościągać ze ścian swoje rzeczy? Czy zabrałaby przepisy i obrazki? Dlaczego miałyby uznać, że już nie **wróci** do swojego boksu?

70

Markham rozłożył ręce i zaczął zbierać papiery. Zerknął na Re-my'ego.

- Masz jakieś pytania przed rozpoczęciem roboty?

Remy nie wiedział, od czego zacząć.

- To wszystko jest zbyt mgliste. Może to moja wina, ale... - Potarł oczy, usiłując po raz setny zetrzeć z oczu smużki. - Mam sporo kłopotów z powiązaniem różnych rzeczy.

Przez dłuższą chwilę Markham gapił się na niego, po czym kiwnął

głową. Wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz.

- Wiem. To trudne. Czasami zapominam, że wy, chłopaki, przeszliście tamtego dnia przez piekło. Nie mam pojęcia, jak to było. Nikt z nas nie ma. To trudne. I nigdy nie stanie się łatwiejsze. Ale właśnie dlatego chcieliśmy ciebie - Markham sięgnął do aktówki po umieszczoną w torebce kartę z kartoteki. - Przeczytaj ostatnią linijkę tego przepisu.

Remy przeczytał: „Przybrać dwoma skręconymi plasterkami pomarańczy”.

Teraz Markham podał mu powiększenie kolejnego detalu, tym razem ze zdjęcia March i Bishira Madaina jedzących na dachu kolację. Na półmisku pomiędzy nimi wyraźnie było widać coś, co przypominało rybę przybraną dwoma skręconymi plasterkami pomarańczy. Markham podniósł brew, jakby miał pewność, że jego dowody absolutnie wystarczą, aby rozwikłać tę sprawę.

- Słuchaj, będzie ciężko. Nie będę cię oszukiwał. Ale musimy odnaleźć March Selios. Jeśli jednak okaże się, że ona rzeczywiście nie żyje... No cóż, wtedy wszystko będzie znakomicie. Nie z jej punktu widzenia, oczywiście... - zaśmiał się niezręcznie. - Ale z punktu widzenia akt. To jest nasz ustanowiony przez władze obowiązek. Mieć czyste akta. Wszystkie kolumny się zgadzają. Ale jeśli ona naprawdę żyje... to wtedy będziemy mieli problem. Naprawdę, będziemy mieli duży problem. - I zamknął aktówkę.

- Formalność - obwieściła kobieta około pięćdziesiątki, wysoka i profesjonalna. Przyglądała się Remy'emu znad oprawek stylowych okularów. Siedziała przy szerokim biurku, naprzeciw uczesanego w czub mężczyzny,

który mokrą chusteczką głośno wycierał nos.

71

- Nie ma dobrych odpowiedzi - rzekł mężczyzna. - Wyluzuj. Kobieta zapytała:

- Chroniczny ból kręgosłupa?

- Co? - odpowiedział Remy pytaniem na pytanie.

- Żeby ciągle mieć jakąś papierkową robotę - dodała wysoka kobieta - formalność. Musimy wpisać do komputera.

Mężczyzna zapytał:

- Chroniczny ból kręgosłupa?

Remy rozejrzał się po pokoju. Na ścianie za jego plecami wisiał plakat rysunkowy, przedstawiający mężczyznę z miotłą, przebijającą jego głowę jak strzała, i opatrzony napisem: WYPADKI PRZEMYSŁOWE TO NIC ŚMIESZNEGO. Remy przysunął się.

- Mój kręgosłup jest w porządku - powiedział - to znaczy, jeśli czegoś potrzebuję, to porady. Widzi pani, mam pewne kłopoty z... koncentracją. Mam takie luki. Gubię ciąg zdarzeń.

Gapili się na niego.

- I oczy... moje oczy się rozpadają. Zwyródnienie plamki żółtej i oderwanie ciała szklatego.. Widzę smużki i męty.

Minęło kilka sekund. Remy zaśmiał się nerwowo.

- Mój syn opowiada wszystkim, że nie żyję.

Gapili się.

- A ja...dużo piję. Myślę, że przez większość dni. I... och... - Po tarł oczy. - Postrzeliłem się w głowę. Ale sądzę, że przez przypadek. Albo... dla żartu.

Gapili się.

- Ale... wiecie... już jest w porządku. Gapili się.
- No cóż... oczywiście pomijając te luki.

Przez chwilę mężczyzna przygryzał długopis i przeglądał plik, przesuwając palcem po jakiejś liście.

- Chroniczny ból kręgosłupa - rzekł.

- Panie Remy, oglądam dużo telewizji - powiedziała znerwicowana kobieta ze skunksowatym srebrnym pasemkiem w czarnych włosach. Zerknęła ciągle na odbiornik telewizyjny w rogu małego pokoju. Remy spoglądał to na kobietę, to na telewizor. Na ekranie mężczyzna w kom-

72

binie obrabiał kawałek drewna na tokarce. Głos był wyłączony. Kobieta-skunks ciągnęła swoją opowieść.

- Odkąd to się wydarzyło, nie wyłączam telewizora. Przez kilka pierwszych dni gapiałam się w niego bez przerwy, nawet ustawiałam go tak, żeby móc oglądać z łazienki. Zamawiałam wszystkie posiłki do domu i przeskakiwałam z kanału na kanał, oglądałam pod różnymi kątami, słuchałam prezenterów wiadomości i urzędników państwowych. I wtedy, tak po prostu, kilka dni temu zobaczyłam w telewizji pierwszą rzecz, która nie była wiadomościami. O czwartej nad ranem - kobieta zaciągnęła się papierosem - puścili tę reklamówkę. Dla oszołomów. Wie pan, z tą Jamajką z dredami, która przepowiada ludziom przyszłość. Wszyscy zawsze znajdą nową pracę albo się zakochają, prawda? Nikt nie dostanie raka ani nie ulegnie wypadkowi. Nikomu nie przytrafi się już taki dzień, jakim okazał się tamten, samotny i smutny, kiedy to oglądało się wyłącznie telewizję i

zamawiało żarcie do domu. Nikt nie spali się żywcem na osiemdziesiątym piętrze budynku. Czekają nas wyłącznie nowa praca i mnóstwo nowych chłopaków. Sądzę, że tak w głębi duszy jeszcze nie straciłam nadziei na powrót March, ale oglądam to medium, które obiecuje, że zdradzi ci przyszłość za pięćdziesiąt dolców i patrzę na tych wszystkich ludzi, którym udało się pogodzić z matkami, a to zakochać, czy też na takich, co awansowali w pracy i nagle dociera do mnie, że już nigdy nie zobaczę March, że ją straciłam. Krzyknęłam do tego medium w telewizji: „Dobra, ty suko! A gdzie, do cholery, byłaś wtedy?”.

Remy się przesunął. Spojrzał na swój notatnik wielkości dłoni. Stronę zapełniało kilka skrótowych zapisków sporządzonych jego charakterem pisma - Nazwisko Ann Rogers, adres na Upper East Side, słowa: „sąsiadka” i „majątek rodzinny”. Rozejrzał się po mieszkaniu - zwyczajne, powojenne, jednopokojowe mieszkanie. Jego lokatorka była chuda jak patyk, miała długie, czarne włosy i to idealnie szare pasmo. Siedziała w luźnej piżamie. Paliła dwa papierosy naraz - jeden trzymała między długimi palcami ze zrobionym manicure, drugi dymiący w popielniczce.

Pod zapiskami „Ann Rogers” i „sąsiadka” widniała krótka lista również skrótowych pytań, sporządzona także jego ręką. Popatrzył na pierwsze z nich: „Tego ranka?”.

73

- Tego ranka... - powiedział.
- Tego ranka? - Ann Rogers wzięła głęboki oddech i westchnęła. - Tego ranka March i ja wyszliśmy do pracy. Jak co dzień. Razem szliśmy do stacji metra. Była... szósta trzydzieści. Zjadliśmy bajgle na placu Word Coffee na Lex. Ona piła cappuccino. Ja nie pijam kofeiny. - Ann Rogers

odłożyła jednego papierosa i wzięła tego drugiego.

Remy gapił się na swój notatnik. Czy powinien coś z tego zapisać? Że Ann Rogers nie lubi kofeiny? Że ma srebrne pasemko we włosach? Miał wrażenie, że każdy szczegół okaże się ważny, jeśli go zapisze, że o ważności będzie decydował zapis.

- March i ja zaprzyjaźniłyśmy się od razu, zaraz po tym, jak wprowadziła się do tego domu... Och... nie wiem, prawie rok temu. - Ann Rogers przejechała ręką po włosach. - Codziennie, idąc do pracy, spotykałyśmy się na korytarzu. Czasami składałyśmy się na taksówkę. Albo szłyśmy razem do metra. Obie jechałyśmy do centrum, chociaż ona dwa razy dalej niż ja. To było niesamowite, naprawdę. Nigdy nie mówiłyśmy: „Hej, spotkajmy się o tej albo o tej”. To się samo działo. Wychodziłam z mieszkania, żeby pójść coś zjeść i March też się wtedy pojawiała, chodziła na śniadanie dokładnie o tej samej godzinie. To było niesamowite, jeśli się nad tym zastanowić.

Remy zastanowił się nad tym.

- Tak myślę.

Ann Rogers wzruszyła ramionami.

- W każdym razie tamtego konkretnego dnia zdążyłyśmy na metro i usiadłyśmy naprzeciwko siebie. Rozmawiałyśmy o pogodzie i weekendzie, a kiedy dojechałyśmy do Union Square, ja wysiadłam. I tyle. Jak się domyślam, March pojechała dalej do centrum.

Drugie pytanie brzmiało: „Coś niezwykłego?”.

- Czy tamtego dnia - zapytał - wydarzyło się coś niezwykłego?
- Hm, niech pomyślę. Och, wie pan co? Jest jedna rzecz. Zginęło około trzech tysięcy ludzi. Taak. Wtym moja najlepsza przyjaciółka. I od tamtej pory nie opuszczałam tego swojego pieprzonego mieszkania ani nie

wyłączałam tej pieprzonej telewizji. Ale pod każdym innym względem nie, było tak, jak w każdy inny, kapitalny, pieprzony dzień.

- Nie, przepraszam, ja... - Remy spojrzął w dół. - To znaczy, chodzi mi o... o tamten poranek. Czy tamtego ranka nie zdarzyło się nic niezwykłego? Przedtem? Nic nie mówiła, zanim...?

74

- O, przepraszam. Hm. Niech pomyślę. O tak, jak teraz pan o tym wspomniał, mówiła, że ma przecucie, że spali się żywcem w piekle.

Remy przesunął się na krześle.

- Pani Rogers, proszę posłuchać, nie chciałem pani zdenerwować.

Ann Rogers wpatrywała się w niego beznamiętnie.

Remy zajrzał z powrotem do notatek. Pytanie numer trzy: „Spotykała się z kimś?”. Odetchnął.

- Wie pani, czy się z kimś widywała?
- Widywała?
- Na romantycznych randkach?

- Z kim się pieprzyła? O to pan pyta, panie Remy? Z kim pieprzyła się March? O to pan pyta?

- Pani Rogers, ja...

- Chce pan wiedzieć, kto posuwał moją sąsiadkę?
- Myślę...
- Więc dlaczego o to nie zapytasz, pieprzony zboczeńcu?
- Zapytałem.

- Nie, nie zapytał pan. Zapytał pan, czy się z kimś widywała. Ja pana teraz widzę, ale się pan ze mną nie pieprzy. A może jednak? Pieprzy się pan

ze mną, panie Remy? Jest tak dobrze, jak pan oczekiwał?

- Proszę posłuchać, ja...

- Chce pan, żebym powiedziała, z kim ona się widywała, czy z kim się pieprzyła?

- To drugie, jak sędzę.

- To drugie? Co z panem? Niech pan to powie. Powiedz to, ty kupo gówna. Powiedz: przepraszam, pani Rogers, ale z kim pieprzyła się pani sąsiadka?

- Z kim pieprzyła się pani sąsiadka?

- O, mój Boże! Nie twoja sprawa, pieprzony zboczeńcu. Remy poczuł, że kręci mu się w głowie.

- Niech pani posłucha, nie wiem, jak to stało się tak...

- Dlaczego pan myśli, że ja w ogóle coś o tym wiem? Byłyśmy sąsiadkami. Mogę powiedzieć, że ze mną się nie pieprzyła. Czy to się panu na coś przyda? Chce pan dostać pełną listę ludzi, którzy mnie nie pieprzyli? Tego pan chce? Bo mogę wziąć kartkę i zacząć.

75

Remy odchrząknął.

- Proszę posłuchać, źle zaczęliśmy, czy coś. Nie ma powodu...

- Powodu do czego? Do zdenerwowania? Co... śpi pan? Odebrało panu ten pański pieprzony rozum? Widział pan, co się tam działo?

Remy starał się brnąć dalej. Spojrzał na kolejne pytanie: „Tamtej nocy?”.

- Tamtej nocy... czy słyszała pani coś lub widziała... kogoś w jej

mieszkaniu?

- Kurwa, kurwa, kurwa! Wyjebany, pierdolony chuj! Kurwa, kurwa, kurwa! No. Jest pan zadowolony, panie Remy? Nakręca cię to, dziwaku?

Następne pytanie: „Bishir”.

- Czy знаła pani mężczyznę o nazwisku Bishir Madain?

Pani Rogers oganiała się od Remy'ego jak od muchy.

- Kurwa, kurwa, kurwa! Ona nie wróciła do domu! Kurwa, kurwa, kurwa! Jesteś zadowolony, zbrodźcu? Kurwa, kurwa, kurwa!

Remy zamknął notatnik.

- Proszę pani, może spróbujemy innym razem?

Gapiała się na niego przez kilka sekund, a potem odwróciła się do telewizora. Sięgnęła po pilota, głos wrócił, facet w kombinezonie mówił: „Substancje ścierające będą działać, chociaż tradycyjny papier ścierny jest ciągle...”

Remy ruszył do drzwi, ale się zatrzymał.

- Dlaczego mieszkała aż tutaj, tak daleko?

Ann Rogers naciskała kciukiem pilota, z trudem opanowując obrzydzenie.

- Czego pan ode mnie chce? Chce mnie pan zmusić do spowiedzi, czy co?
- Nie - odparł Remy - zastanawiałem się tylko... - Nad czym się zastanawiał? - March pracowała w dzielnicy finansowej...
- Tak, wie pan, że tak. Dlatego umarła, ty porąbana, zbroczona kanalio.

Remy ją zignorował.

- I mieszkała aż tak daleko? W tym domu? Z pensją praktykanta adwokackiego? To się wydaje bezsensowne. Mogła znaleźć identyczne

lokum po drugiej stronie rzeki za jedną trzecią tej ceny. Skąd miała na to pieniądze?

76

Nagle Ann Rogers jakby się uspokoiła. Jej oczy się zwęziły.

- Nie podoba mi się to, co pan sugeruje - powiedziała Remy rozłożył ręce.
- Co sugeruję?
- A nic pan nie sugeruje?
- Szczerze mówiąc - rzekł Remy - nie mam pojęcia.

Ann Rogers sięgnęła po pilota, podniosła rękę i rzuciła go w...

Facet stojący w drzwiach miał dobrze ponad trzydzieści lat, potężny tułów i szarzejący tygodniowy zarost. Chodził do drogiego fryzjera. Miał na sobie czarne spodnie i czarną koszulkę. Był na bosaka.

-Tak?

Remy zdjął rękę z dzwonka i rozejrzał się. Dom sprawiał miłe wrażenie - dwukondygnacyjny, niebieskoszary, od frontu widać było świeżą murawę a na podjeździe dziecięcy rowerek obok lexusa. Remy popatrzył wzdłuż szeregu domów. Jak okiem sięgnąć, wszystkie były takie same, niczym kostki domina, na każdej werandzie wisiała amerykańska flaga.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - zapytał facet.

- ...Nie wiem. - W ręce, którą dzwonił do drzwi, Remy trzymał odznakę, pokazał ją więc mężczyźnie w nadziei, że jeden z nich będzie wiedział, od czego zacząć. - Hm, przepraszam, ale... czy pan... gdzie jestem?

Facet po prostu patrzył.

- Englewood Cliffs.
- Ach, jasne.
- Czym mogę panu służyć?

Remy spojrział w dół. W drugiej ręce trzymał notatnik, który znalazł w Strefie Zero. Notatnik G. Addicha.

- Jak pan się nazywa? Facet trochę się cofnął.
- Tony Addich. A o co chodzi?

- Ach, znalazłem to. - Remy wyciągnął grubą czarną książkę. - Cieszę się, że z panem wszystko w porządku. Nie wiedziałem, czy pan...

Addich patrzył na organizer, jakby to był jakiś upiór.

- Wygląda na to, że zanotowano w nim wiele terminów spotkań
- rzekł Remy.

77

Mężczyzna się nie odezwał.

Remy przybrał nonszalancką pozę, jakby obaj żartowali, czekając na metro.

- Śmieszne. Gdy to znalazłem, pomyślałem sobie... co my robimy na tych wszystkich spotkaniach? Ja też miałem zazwyczaj wiele spotkań, ale teraz... nie mam pojęcia, o czym się rozmawiało.

Próbował być dowcipny, ot, dwóch facetów rozmawia o tym, jak trywialne mogą stać się nagle ważne sprawy, ale to całe dowcipkowanie wypadło płytko i nieprzyjemnie.

Facet cały czas wpatrywał się w organizer.

- To własność mojego ojca - rzekł. - Geralda Addicha. Jak pan to zdobył?

- O, Jezu. Czy pański ojciec... - Remy zawiesił głos.
 - Nie. Po prostu nie ma go w tej chwili.
 - Ale tak w ogóle...
- W porządku. Poszedł na imprezę dla emerytów. Myślę, że wybrali się do kasyna - Tony Addich wziął organizera i przejrzał go. Pokręcił głową. - W latach sześćdziesiątych ojciec pracował dla miasta. Teraz jest emerytem. Cierpi na demencję.
- Ach tak - rzekł Remy - ale widzi pan, znalazłem to na...
 - Tak, dziękuję. - Tony Addich zamknął Remy'emu drzwi przed nosem.

Remy przez minutę pozostał na werandzie. Jeszcze raz rozejrzał się po okolicy. Czy ma ponownie zadzwonić do tych drzwi? I zapytać, kogo o nazwisku Remy znał ojciec Addicha? Nagle zaczął żałować, że nie zatrzymał...

Ciężki, szary zmierzch z odcieniem dymu unosił się powoli na horyzoncie. Remy stał przed Famous Ray's na Szóstej Alei, starając się rozstrzygnąć kwestię, czy już zgłodniał, gdy nagle zauważył zdjęcie March Selios, a pod spodem numer»telefonu.

Okno pizzerii Raya służyło za prowizoryczną tablicę ogłoszeń. Pokrywały je rozpaczliwe ulotki, całą witrynę oklejono zdjęciami zagnionych, ułożonymi w niezdarnych rzędach jak na makiecie księgi pamiątkowej ze szkoły średniej. To było inne, nieznanne mu dotąd zdjęcie March, ale zdecydowanie widniała na nim ona, uśmiechająca się

grzecznie w jakimś pokoju, może z czasów, gdy była młodsza? Remy stał przed wystawą i przez odbijające światło, połyskujące szkło patrzył na

monotonie wszystkich tych zdjęć, na March Selios wśród swoich, wyglądających na członków zaginionego plemienia, których wizerunki na zawsze uwieczniono w tym oknie. Każde zdjęcie naklejone lub wydrukowane na kartce papieru opatrzone opisem zaginionej osoby i numerami telefonów. Niektóre z tych notek były prośbami o zmiłowanie, jakby te zaginione osoby zostały porwane i mogły odzyskać wolność tylko w sytuacji, gdy porywacze się dowiedzą, że ktoś ma dwoje dzieci albo właśnie pokonał raka. Inni byli nawet jeszcze bardziej kategoryczni, używali mnóstwa wykrzykników i opisywali życzliwość danej osoby, jej zapał do ciężkiej pracy, miłość do rodziny i punktualność - jakby te cechy mogły w jakiś sposób pomóc w jej zidentyfikowaniu. Rogi kartek zaczęły się zawijać. Podobne ściany ofiar pojawiały się co kilka mil w mieście. Wyrastały jak grzyby po deszczu w parkach i szpitalach, w szkołach i na stacjach metra - wszędzie, gdzie tylko ludziom wpadło do głowy, by przyczepić zdjęcia. Wystarczyło, że ktoś powiesił jedną fotografię, a już z domów lub mieszkań wybiegali inni ludzie, żeby od razu okleić następnymi całe ściany. Nie miało prawa wisieć tam pojedyncze zdjęcie jakiejś zaginionej osoby, wszystkie ściany musiały być pokryte odbitkami, każda wolna powierzchnia. Ty, jako ocalony, musiałeś przystawać i oglądać te zdjęcia, bo właśnie tego od ciebie oczekiwano. Oczywiście nie byli to już ludzie zaginieni; teraz już nie żyli. Wszyscy wiedzieli, że nie żyją. Nieznany był ani jeden wypadek, by spośród tych ludzi z ogłoszeń ktoś przeżył (ale niektórzy marzyli, że dotknięci amnezją wędrują po podmiejskich szpitalach itp.). Remy też się zatrzymywał i mimo wszystko patrzył, a ponieważ ściany zaginionych ofiar jakoś dyskretnie przemieniły się w ściany martwych, spoglądał teraz na te zdjęcia inaczej, przerzucał w pamięci

twarze i zatrzymywał się na znajomych - iskierka rozpoznania i nadziei - dopóki sobie nie uprzytomnił, że widział tę twarz na ścianie przy Washington Square lub na St. Vincent's. W końcu Remy'ego zaczęła niepokoić myśl, że może znał ich wszystkich, każdego z osobna, i gdy odchodził od ścian, dostrzegał niekiedy znajome mu rysy w twarzach przechodniów, znane mu spojrzenia obcych ludzi - pełne smutku i zadziwienia, pełne niewiary i poczucia zdrady.

79

Remy dostrzegał na tych ścianach pewne różnice, także tu, na co nie mógł nic poradzić. Przeczytał kiedyś, że Ameryka nie jest społeczeństwem klasowym, ale ściany z zaginionymi i martwymi zadawały temu kłam. Te ściany stanowiły klasowe przesłania i chociaż wszystkie wizerunki były pomieszane, Remy potrafił podzielić na trzy warstwy ludzi, których przedstawiały. Pierwsza: bankierzy, prawnicy, brokerzy, kierownicy i ich asystenci, głównie biali, czasem przesiedleni ciemnoskórzy, przeważnie w garniturach lub smokingach i sukniach; były to przede wszystkim zdjęcia ze ślubów, uroczystości ukończenia studiów czy firmowych przyjęć bożonarodzeniowych. Niektórzy młodszy, jak March, byli w zwykłych ubraniach: z rodzinami w domu lub częściej gdzieś w plenerze, wspinali się po górach, spędzali wakacje w jakimś kanionie lub bawili się na karaibskich plażach. Ci ludzie zawsze się uśmiechali na swoich martwych zdjęciach, zapewne nie tak, jakby byli bardzo szczęśliwi, lecz tak, jakby ktoś powiedział im w pewnym momencie, że nie mają powodów do narzekań.

Druga klasa składała się głównie ze strażaków i garstki policjantów, byli to prawie sami mężczyźni lub chłopcy, większość z wąsami, na starych kserowanych zdjęciach, w mundurach, na oficjalnych portretach, ze

zmierzwionymi bokobrodami lub ostrzyżeni po wojskowemu. Rzadko się uśmiechali, ale mieli w sobie żarliwą surowość. I gotowość. Jeśli fotografowano ich z zaskoczenia, ich twarze były niezmiennie rozmyte, jakby pstrykający te zdjęcia byli zawsze zbyt blisko... zbyt dumni. Ci ludzie mieli takie spojrzenia, jakie Remy widział na twarzach osób umierających zbyt młodo - jakby wiedzieli - spojrzenia, które mówiły, że to trochę więcej, niż się spodziewali, bo marzyło im się jedynie wygodne życie i jaki taki zarobek. Wyglądali na dobrych ludzi: biali, czarni i Latynosi, wszyscy obdarzeni spojrzeniem kogoś, kto właśnie coś osiągnął. Remy wyobrażał sobie nad ich głowami dymki ze zdaniem: „Moim dzieciom będzie łatwiej”.

I w końcu ostatnia klasa. Szeregowi pracownicy, w większości nie-rzucający się w oczy, twarze z metra czy przystanku autobusowego: czarne i latynoskie, także imigranci, tyle nazwisk pełnych spółgłosek lub samogłosek, personel restauracji i kafejek, kancelarii i domów dziecka. Te obrazki były ciemne jak zdjęcia policyjne: identyfikatory, ziarniste portrety rodzinne i chwile wymuszonego wypoczynku w polaroidowych ramkach. Ci wszyscy ludzie wyglądali na wykończonych, jak gdyby już

80

zaznali w życiu katastrofy, albo jakby przetrwali powódź i teraz kurczowo trzymali się drzew. Często zaginiona osoba nie była centralną postacią na zdjęciu - wyraźnie wycięto ze dwie inne, by został tylko biedny Jupaheen w garniturze ze sklepu z używaną odzieżą, stojący w holu budynku i trzymający ręce na brzuchu. Pieprzona cierpliwość.

Remy gubił się w twarzach, gdy przebiegał je wzrokiem, ale nagle zobaczył obok siebie jakiegoś faceta, mężczyznę pochodzącego wyraźnie ze

Środkowego Wschodu, około sześćdziesiątki, równego mu wzrostem. Miał na sobie piękny wełniany płaszcz, nosił krótko obcięte włosy, okrągłe okulary i kilkuniedniowy zarost na pobrużdżonej twarzy.

- Chce pan wiedzieć, w co zawsze wierzyłem? - zapytał ze świstem przez sztuczną szczękę i z delikatnym akcentem.
- No, w co?

Mężczyzna odwrócił się do ściany.

-Zawsze wierzyłem, że istnieją dwa rodzaje ludzi: ci, dla których każdy dzień oznacza walkę, by powstać i ci, dla których każdy dzień oznacza walkę, by się wpaśować. Nie ma innych typów ludzi. Żadne tam rasy i religie czy zawody - albo próbujesz powstać, albo się wpaśować. To jedyna wojna, wojna pomiędzy powstającymi a wpaśowującymi się. To wszystko.

Remy znów spojrzał na zdjęcia. Co ten mężczyzna mówił? Że to demokratyzujące, że ci wszyscy ludzie umarli razem? Nie umiał spojrzeć na to w taki sposób. Nie wyobrażał ich sobie idących razem, pod koniec chwytających w płonących korytarzach jeden drugiego za rękę lub pocieszających się, gdy robiło się coraz goręcej, a ziemia wabiła ich do siebie. Widział zbyt wielu ludzi spadających w pojedynkę, zbyt łatwo też przychodziło wyobrazić sobie resztę płaczącą w samotności, tłoczącą się samotnie i płonąca samotnie. W końcu bez względu na to, zawsze jesteśmy samotni. Remy patrzył na swoje ręce, na odciski na poduszczykach i dłoniach, szary pył pod paznokciami.

-Tęsknimy za komunizmem - powiedział mężczyzna. - Nie jako do formy rządu czy ekonomii, oczywiście to była porażka, takie przeżarcie korupcją i zahamowanie różnych inicjatyw, jakwkażdym innym

systemie. Ale ideał, dziecięcy optymizm, bez tego świat grzęźnie w cy-
nizmie. Czasami myślę, że potrzebujemy innej drogi, politycznej lub
ekonomicznej ścieżki, wiodącej w stronę moralności i wielkoduszno-

81

ści. Jako młody człowiek ufałem, że moja wiara to droga przez brutalną
dżunglę nowoczesności, ale szczerze mówiąc, teraz sam już nie wiem.
Może wszyscy musimy przez to przejść, he? Mężczyzna wskazał na
zdjęcia.

- Wiedział pan, że w Koranie można znaleźć dziewięćdziesiąt trzy
wzmianki o Jezusie?
- Nie - przyznał Remy. - Chyba nie wiedziałem.
- Nikt tego nie wie - rzekł mężczyzna.

I włożył szarą kopertę w otwarte dłonie Remy'ego.

- Myślę, że może tego właśnie pan szuka - powiedział i odwrócił
się, żeby odejść.

Ciemny na obrzeżach, a pośrodku oślepiający, wąski strumień zielonego
światła w nieokreślonej odległości od niego, przesuwany się z lewa na
prawo i z powrotem po krótkim łuku.

- No i powiedz mi, Brian, co teraz widzisz?

Broda i czoło Remy'ego zostały wciśnięte w jakiś gładki, zimny plastik.
Zielone światło przesuwało się w tę i w tę.

- Brian? Widzisz teraz smugi? Męty i włókienka?
- Tak - odpowiedział Remy. - Smugi. I takie, co wyglądają jak pływające
łańcuszki.

- Dobrze. Proszę, spójrz teraz w górę. Spojrzał.
- A teraz w dół. W dół.
- Dobrze, w porządku. Możesz z powrotem usiąść.

Wrócił na krzesło z podgłówkiem. Zapaliło się światło, a oczy Remy'ego rozżarzyły się, gdy smużki i męty pierzchały w poszukiwaniu kryjówki. Jego oszalały okulista, doktor Huld, miał na głowie małe światełko, malutki kask górniczy.

- Chciałbym mieć dla ciebie lepsze wiadomości. Ale zdecydowanie się pogorszyło. Jest dużo gorzej.

Lekarz się odwrócił i spojrzał maniakalnie na Remy'ego - wytrzeszczonymi, okrągłymi oczami, okolonymi grubymi, czarnymi rzęsami jak u Marty'ego Feldmana po operacji korekcyjnej - po czym naskrobał coś w jego karcie chorobowej.

82

- Definitywnie odradzam ci latanie samolotem. Zmiany ciśnienia powietrza będą bardzo niekorzystnie wpływać na twoją siatkówkę. Myślisz, że jazda samochodem stanowi zbyt duże obciążenie dla twojego kręgosłupa?

- Nie - odparł Remy - z moim kręgosłupem jest wszystko w porządku.

- No cóż, skoro więc musisz jechać, jedź lepiej autem. Przynajmniej na razie... dopóki nie ustabilizujemy ciśnienia.

- Okay - rzekł Remy. A więc musiał po prostu jechać autem.

- Och... doktorze... Czyja... przez przypadek... Czy powiedziałem panu, dokąd jadę?

Doktor Huld nie spojrzał na niego, bo zapisywał coś w karcie.

- Kansas City.
- Właśnie, do Kansas - powtórzył Remy. Zaśmiał się, jakby chciał zbyć to wszystko jak grę, ale doktor go zignorował i zapytał, nie podnosząc oczu znad karty.
- Jak działa na ciebie lekarstwo? Potrzebna ci następna recepta?
- Nie wiem.
- Doktor skierował w górę wyłupiaste oczy.
- Brian, bierzesz pigułki, które ci przepisałem?
- Szczerze? Mam problemy z zapamiętywaniem niektórych rzeczy. To są te... luki. Teraz coraz częstsze... Czy to może być uboczne działanie lekarstwa?
- Doktor zdjął górnicze światelko.
- Jakie luki?
- No więc... czasami...

Jego własna twarz gapiła się na niego z lustra w łazience: rzednące brązowe włosy, słaby zarost na wystającej szczęce, strzępki krwi w lewym oku, a na wargach odległy, nikły uśmiech. Cały obraz był oczywiście pokryty plamkami, jak na starym, terkoczącym filmie. Remy spojrzał w dół. Był nagi. Chudł, mięśnie bez tłuszczu wystawały na skórze. I miał półwzwód.

- Dobra połówka - powiedział cicho, zaskoczony własnym ochryłym głosem. Jezu. Znowu był pijany? Dmuchnął sobie w dłoń i poczuł słodką woń alkoholu. Brandy? Porto? Nie pijał porto. Pił porto?

Wyobraził sobie lepki chłód i nagle zamarzyła mu się szklaneczka tego

napoju. Może pił porto. A może powinien zacząć. Rozejrzył się. To nie jego łazienka. Okay. Na podłodze małe, ułożone naprzemiennie kafelki. Znajdowała się tu umywalka, apteczka i toaleta. Było bardzo czysto. Świece. To łazienka kobiety. Cóż, nie było źle, tak czy owak. Jeżeli miał być nagi w cudzej łazience, lepiej żeby to była...

- Czy wszystko tam w porządku? - Kobięcy głos... młodziutki, lekko nieśmiały, może, ale... miły.
- Tak, zaraz wyjdę - próbował sobie wymyślić imię dziewczyny: Amelia? Olga? Maria? Jezu, to mogło być wszystko. Betsy? Phil? Rotunda?

Spojrzał w prawo i w lewo, a w końcu otworzył apteczkę, szukając jakichś recept. Ale na nic takiego nie trafił. Otworzył szufladę i znalazł dwie buteleczki z lekarstwami. Przeczytał nazwiska na buteleczce. April Kraft. April. Kraft. April. April Kraft. Czy on był z tą April Kraft? A co jeśli April Kraft to współlokatorka dziewczyny, a nie ona?

- Oj... nie masz współlokatorki, prawda?

Zaśmiała się po drugiej stronie drzwi - smutny, odległy dźwięk, który zanikał.

Remy wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi, gdy nagle zmroziła go kłopotliwa myśl. Czy już uprawiali seks? Czy po seksie zwykle nie sikał? Popatrzył na swój niepełny wzwód. Czy to był stan połowicznego wzwodu przed, czy po? Jeśli już to zrobili, a on spróbowałby teraz ponownie, mogłoby się nie udać. Mógłby wyglądać... jak dokładnie by wyglądał? Dzielnie, bo wyteżył wszystkie siły? Czy jak osioł, który nie umie dokończyć sprawy? A jeśli jeszcze nie uprawiali seksu...? Nagle pomyślał o buteleczkach z lekarstwami. Otworzył szufladę. Pierwsze to Celexa

przepisana na „lęk i depresję”. Drugie to penicylina, jeszcze jakieś cztery piąte butelki. Tyle tego było. A niech to, ludzie biorą penicylinę na wszystko. Nie trzeba zakładać najgorszego. Czy użył prezerwatywy? Czy miał jej użyć? Czyją miał? Po wzwodzie nie został już żaden ślad.

- Proszę, pośpiesz się... zanim zmienię zdanie - powiedziała.

Okay, czyli przed. Może szukał tu prezerwatywy. Zaśmiała się lekko, ale w jej głosie pojawił się ton, który kazał mu się zatrzymać i pomyśleć, że to nie tylko coś, co powiedziała, że to gra wstępna, że chwila mogła

84

się wymknąć, tak jak wiele chwil się wymyka - wyrwane z kontekstu i pozbawione znaczenia, opadają łagodnie na ziemię.

- Okay - powiedział i sięgnął po...

Szkocka. Remy smakował ją w ustach i poczuł, że w ręku trzyma ciężką szklankę. Pozwolił alkoholowi spłynąć po gardle. To było pyszne. Zamknął oczy i patrzył na męty dryfujące jak liście na stawie. Gdy smak, który czuł w ustach, zaczął zanikać, Remy otworzył oczy.

- Ho ho. To było dobre.

Siedział w pokoju z dębową boazerią, na skórzanej sofie, naprzeciwko przystojnego faceta po czterdziestce, ubranego w garnitur i imponującą koszulę: niebieską jak niebo, ale z jaskrawobiałym kołnierzykiem i białymi mankietami spiętymi złotymi spinkami, które ledwie wyglądały z rękawów marynarki. Włosy miał starannie uczesane. Zachodziły na kołnierzyk. Trzymał odbitki zdjęć March Selios i piorunował wzrokiem Remy'ego.

- Słuchaj, przyjacielu - rzekł facet. Remy wyłowił uchem delikat

ny teksański akcent. - Już wcześniej próbowano coś ze mnie wydusić. Więc naprzód i do dzieła. Wypij mojego drinka. Spróbuj mnie zastraszyć. Aresztuj mnie, jeśli chcesz. Ale dopóki mi nie powiesz, jak znalazłeś moje nazwisko, nie odpowiem na żadne pytania.

Remy nie miał pojęcia.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić - powiedział.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, aż **wreszcie Remy** wziął szklanekę i zapytał:

- Chyba mógłbym dostać jeszcze trochę?

Facet potarł szczękę i podniósł palec wskazujący prawej ręki.

Remy się rozejrzył. Znajdowali się w jakimś klubie, bogata ciemna boazeria na ścianie za nimi, a nad ich głowami namalowany grubymi warstwami farby krajobraz i płyta z wyrytymi nazwiskami członków klubu. Kilka stolików dalej siedzieli dwaj faceci w strojach do tenisa. Remy i nienagannie ubrany mężczyzna spoczywali naprzeciw siebie na skórzanych kanapach stojących pośrodku sali, między nimi stał bogato zdobiony mahoniowy stół.

Kelner doszedł do nich i zapytał półgłosem:

- Panie Eller, wezwać ochronę?

85

- To nie będzie konieczne, Carlos. Właściwie, dlaczego miałbyś nie przynieść panu Remy'emu następnej szkockiej?
- A dla pana?
- Nie, dziękuję.

Eller rozejrzył się po pokoju o barwie karmelu. Syknął:

- Dobrze, znałem March... Tak. Oczywiście.

Delikatnie odłożył jedną fotografię na stół: tę, na której March pije gibsona.

- I ma pan rację. Zrobiłem to zdjęcie. - Odłożył kolejne, to z biura. - Ale tego nie. Nie wiem, kto je pstryknął. Myślę, że oba zostały zrobione jej aparatem. Zawsze miała przy sobie aparat. Zawsze dawała go ludziom, żeby robili jej zdjęcia w różnych sytuacjach. Zwykła mówić, że zapisuje swoje życie na wypadek, gdyby miała zawieść ją pamięć.

Pod wpływem wspomnienia Eller na chwilę stracił głos. Podrapał się po szczęce i ciągnął dalej.

- Spotkaliśmy się jakiś rok temu. Właśnie przeniosłem się tu z Houston. Moja firma prowadziła interesy w Sudanie, kontrakty terminowe na ropę - wymówił to niedbale, jak „akty minowe na rypę”.

- Mieliśmy trochę... kłopotów z Chartumem i wynajęliśmy do pomocy firmę March. Podczas gdy prawnicy wszystko wypracowywali, March udzielała nam kulturowych wskazówek - jak zagrywać z wpływowymi rodami, komu trzeba posmarować... - Zmienił trochę pozycję.
- Kiedy pierwsza część umowy została sfinalizowana, zaprosiłem ją na kolację, żeby to uczcić. - Wzruszył ramionami. - I owszem, panie Remy, przez krótki czas po tym byliśmy... - Rozejrzał się. - Pieprzyliśmy się... jak pan to określił bez ogródek. No, to odpowiedziałem na pańskie pytanie. A teraz chciałbym usłyszeć odpowiedź na moje. Jak pan mnie znalazł?

Remy myślał o czekającej go szkockiej. Chciał przeciągnąć przesłuchanie w czasie tak, żeby jeszcze zdążyć ją wypić.

- Nie wie pan?

Eller pokręcił głową.

- Nie sędę, żeby wiedział o tym ktokolwiek z jej znajomych. Nie sędę teź, żeby opowiedziała o tym swojej siostrze. Była zażenowana tym, że spotyka się z żonatym mężczyzną... Może ktoś z jej biura? Ktoś z domu, w którym mieszkała?

86

- Ciepłej, ciepłej - Remy grał na zwłokę. Kilka sekund później kelner przyniósł szkocką, więc sięgnął po karmelową szklanę.
 - To naprawdę dobre - powiedział do kelnera. - Co to?
 - Oban. Dwudziestodwuletni.
 - Boże. To naprawdę dobre.
 - Wynajęty apartament - Eller klepnął się w czoło. Spoglądał to na kelnera, to znów na szklanę Remy'ego.
 - Carlos, myślisz, że mógłbyś przynieść panu Remy'emu całą butelkę? Na mój rachunek.
- Oczywiście, panie Eller - Carlos odszedł od stołu.
- Remy trzymał napój w ustach, delektował się.
- Proszę wybaczyć mój wcześniejszy wybuch, panie Remy. Zrozumiałem, że to było mądre z pana strony, żeby się ze mną skontaktować tu w klubie, a nie w biurze, czy w domu, gdzie mogłoby to zostać... błędnie zinterpretowane. Najwyraźniej jest pan rozsądnym człowiekiem.
 - Dziękuję - odparł Remy, opróżniając szklanę.
 - Pomogę w każdy sposób, w jaki tylko będę mógł... - Eller poklepał zdjęcie March, to w sukience wieczorowej na cienkich ramiączkach.
 - Racja, to jest hotel Four Seasons Olympic w Seattle. Jak pan się tego domyślił?

Remy wzruszył ramionami.

- Rozumiem. - Eller kiwnął głową z podziwem. - No cóż, byłem tam zeszłej wiosny na konferencji. Zabrałem March. Chciałem z nią porozmawiać, poza miastem. Była czuła na punkcie mojego stanu cywilnego. Powiedziała mi, że wszystko, co spotkało ją od przyjazdu do tego miasta, to żonaty mężczyzna. Z wyjątkiem tego jednego chłopaka, którego przelotnie miała... Basil, zdaje mi się, że jakoś tak miał na imię. Arabski student, prawdziwy babiarcz. Właśnie z sobą zerwali. Wyglądała na rozgoryczoną, szukała odmiany, jak sądzę.

W każdym razie myślę, że mogłem... no... udało mi się przekonać ją, że jestem z żoną w separacji. Na tej wycieczce zrobiłem właśnie to zdjęcie. Wyjaśniłem jej, że w rzeczywistości nie jestem tak dokładnie w separacji, technicznie - odchrząknął. - Że ja i moja żona nadal z sobą jesteśmy.

Eller czekał na odpowiedź, ale Remy nie mógł zdobyć się na żadne słowa.

87

- Technicznie - powtórzył.
- Tak - Eller przygryzł wargi. - W każdym razie March uciekła. I nie widziałem jej przez kilka godzin. Spacerowała po Seattle. Gdy wróciła, poznałem, że płakała. Ale twarz miała nieporuszoną. Całkowicie zdeterminowaną. March umiała być taka. Należała do osób, które walą na oślep, gdy czują się zranione. A ona, chłopie, o... ona została zraniona.

Remy pomyślał, że Eller jest z tego prawie dumny, toteż musiał odwrócić wzrok.

- Zaczęła od kwestii, że zmęczyło ją bycie ofiarą w każdym związ

ku, a potem przedstawiła mi swoje żądania: pif-paf, pif-paf, pif-paf. Mieszkanie. Telefon komórkowy. Samochód. Pensja. Dodatek na ubranie. Powiedziała, że jeśli ma być kochanką, to, na Boga, chce być wynagradzana jak kochanka.

Eller wpatrywał się w miejsce nad ramieniem Remy'ego.

- Będę szczery, panie Remy. Ten wybuch to najlepsze, co mogło nam się przytrafić. Nam obojgu. Może to zabrzmieć... chłodno. Aleja jestem biznesmenem. To właśnie robię. Na tym się znam. Na negocjacjach. Ustaleniach. Na ogół pociągają mnie takie sprawy, które mogę kontrolować. I o tyle, a niech to, ustalenie było... - Opuścił wzrok i po raz pierwszy wyglądał jak człowiek, który kogoś stracił. - ...doskonale.

Coś utkwilo w pamięci Remy'ego, jedno słowo pośród tych wszystkich niepotrzebnych szczegółów.

- Samochód? Powiedział pan, że kupił jej pan samochód?
- Dałem jej samochód.
- Ale do pracy jeździła metrem.
- Musiałem być trochę dyskretny, jeśli chodzi o auto - wił się Eller. - Moja firma... go zapewniła, firmowy samochód. Powiązałem to z pracą, którą March dla nas wykonywała. Parkowała w garażu pod swoim biurem. Używaliśmy go w weekendy, żeby pojechać do Connecticut.

Właśnie wtedy kelner wrócił z wysokim, wąskim pudelkiem i postawił je pomiędzy nimi na stole. Szkocka. Eller wpatrywał się w niego, czekając na pytanie, ale Remy patrzył na szkocką. Jego rozmówca odchrząknął i przerwał panującą ciszę.

- Około trzech tygodni zanim... - Otarł usta. - Zanim March zginęła, powiedziała mi stąd, ni zowąd, że to koniec. Jak się pan może spo-

dziewać, nie było mi do śmiechu. Zapytałem, czy jest ktoś inny... a gdy się zawahała, domyśliłem się wszystkiego. Zapytałem, czy to jej były chłopak, ale ona powiedziała tylko, że nikogo nie ma. To tak po prostu... wyszło, tak powiedziała. Remy kiwnął głową.

- Wiem, co pan myśli. - Eller podniósł zdjęcie i znowu na nie po patrzył. - Czy w jakiś sposób poczułem ulgę, gdy March tamtego dnia zginęła? Bo za każdym razem, kiedy w domu dzwonił telefon, nie mu siałem wstrzymywać oddechu? Albo oglądać się za siebie, gdy wchodzi łem do jej mieszkania? Byłem rozgoryczony tym zerwaniem, ani myślę kłamać. Ale ona wiele dla mnie znaczyła, panie Remy. Naprawdę. By wały takie dni, kiedy myślałem, że ją kocham.

Remy milczał.

- Jestem pewny, że mi pan nie wierzy.

- Dlaczego miałbym panu nie wierzyć?

Eller wyciągnął szyję.

- Wie pan, to mnie zresztą nie obchodzi. Bardzo proszę, może mnie pan wyśmiać. March wiedziała, co do niej czuję. Mam spokojne sny. Ja...

Zakaszłał i wydawało się, że zaraz się załamie, ale szybko się pozbierał.

- Tamtego dnia... oglądałem telewizję i bardzo źle się czułem. Pró bowałem się do niej dodzwonić na telefon komórkowy, ale nie mogłem się połączyć. Dzwoniłem do mieszkania i do szpitali... W nocy posze dłem do jej mieszkania. Ciągle miałem klucz. Usiadłem tam, myślałem o niej i... - zamilkł i potarł brodę, patrzył w ziemię, jakby właśnie zaczęła do niego docierać waga jego czynów. - Zabrałem wszystko, co powin

no do mnie wrócić. - Spojrzał w górę. - Czasopismo z zapisanym na jednej z kartek moim nazwiskiem. Maszynkę do golenia i dezodorant, które trzymałem w łazience. Butelkę wina z naszej piwnicy. Wziąłem te rzeczy... i wyszedłem.

Eller znowu patrzył w punkt nad ramieniem Remy'ego, jakby czytał z telepromptera. Wreszcie wrócił spojrzeniem ku samemu Remy'emu i napotkał jego oczy, skoncentrowane i lodowate.

- Powiedział pan, że jedzie do Kansas spotkać się z jej rodziną?
- Tak mówiłem?

89

- Wątpię, żeby im cokolwiek o mnie powiedziała, ale jeśli tak... czy mógłby im pan przekazać, że bardzo przepraszam... za wszystko?
- Jasne...
 - Czy pomogłem panu w jakiś sposób?

Remy zerknął na szkocką.

-Tak.

Obaj wstali. Eller wygładził swoją marynarkę i spojrział na punkt na podłodze.

- Po raz ostatni rozmawiałem z nią... dwa tygodnie wcześniej. W niedzielę. Zapytała, co słyhać. Miles... mój syn... miał mecz piłki nożnej. Powiedziałem jej o tym, a ona odrzekła: „Mam nadzieję, że zagra do bry mecz”. Nawet bez ironii. March byłaby wspaniałą matką, gdyby kiedyś miała taką szansę. - Westchnął. - Proszę pana, gdyby pan wiedział, że rozmawia z kimś po raz ostatni w życiu, co by pan powiedział?

Remy sięgnął po butelkę...

- Ciągłe mi się wydaje, że o czymś zapomnieliśmy - powiedział Gute-rak po drugiej stronie słuchawki. Sądząc po głosie, był pijany.

- Co masz na myśli? - Remy poprawił słuchawkę przy uchu. Sądząc po głosie, on też był pijany. - O czym zapomnieliśmy?
- Nie tylko my. Wszyscy. Po prostu dalej wszystko robimy i... zupełnie, jakbyśmy zapomnieli zrobić coś ważnego. Jakbyś zostawił włączoną kuchenkę i pojechał na długą wycieczkę.

Remy nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzał na zegarek. Trzecia nad ranem. Był sam, kompletnie ubrany leżał na łóżku w całkiem obcym pokoju hotelowym. Miał na sobie garnitur, który zwykle wkładał na pogrzeby. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zawiadomienie o pogrzebie. Było tam zdjęcie lasu i wers z Ewangelii św. Łukasza: „Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode Mnie ten kielich! Jednak nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie” (Ewangelia wg św. Łukasza, 22-42)*. Poniżej widniało nazwisko Donalda Micheala Morrone. O Jezu! Tylko nie Donnie! Byli razem w Akademii. Czy wiedział o Donniem? Remy był pijany, ale pod ręką nie miał niczego do picia. Czuł w ustach aksamitny ciepły smak.

Wszystkie cytaty z Biblii według Biblii Tysiąclecia.

90

Przesunął się z telefonem do minibaru i zaczął grzebać pośród brązowych butelek

- O czym zapomnieliśmy? - Remy otworzył mały ciemny rum i opróżnił go.
- O ludziach - odparł Paul, jakby było to oczywiste. - Zapomnieliśmy o ludziach. To znaczy... gdzie oni są? Może siedzą gdzieś tam w

ogromnym pokoju, kucają pod ścianami, a... jeśli tylko znajdziemy te drzwi i otworzymy je, oni wszyscy tam będą i spojrzą na nas, myśląc: „Co tak długo, do cholery?”

•Jezu, Paul...

•Czasami myślę, że szkoda, że tamtego poranka nie poszliśmy do jakiegoś baru i nie obejrzelśmy tego wszystkiego w CNN. Wiesz, o co mi chodzi? Zazdroszczę ludziom, którzy oglądali to w telewizji. Musieli to wszystko widzieć. Pytają mnie, jak to było, a ja, szczerze mówiąc, nie wiem. Czasami myślę, że ludzie, którzy oglądali to w telewizji, widzieli więcej niż my. Im dalej od czegoś jesteś, tym większego sensu to coś nabiera. Cholera, ciągle czuję, że nawet nie mam pojęcia, co się stało. Choćbym nie wiem jak często opowiadał tę historię, nadal nie ma ona dla mnie sensu. Wiesz?

Remy chciał powiedzieć coś niezmiernie ważnego, ale poczuł, że jest na rauszu i że luki pojawiają się teraz niezwykle szybko. Chwycił za bok łóżka, jakby chciał się utrzymać, zanim ucieknie mu ten moment, w którym przypomni sobie, co chciał powiedzieć.

- Ludzie zawsze zadają te same pytania - mówił Guterak - kiedy wszyscy są w pobliżu, to jest szacunek, odwaga i „co-za-pieprzony-bo-hater" i „dziękujemy-za-poświęcenie", ale jak tylko ktoś mnie dorwie, gdy zostanę sam, albo w chwili, gdy inni wlewają w siebie drinki, patrzą na mnie okropnym wzrokiem i pytają, jaki odgłos wydawały ciała upadające na chodnik. Pytali cię kiedyś o to?

Remy nie umiał odpowiedzieć.

•Co im mówisz?

•Mówię, żeby z całych sił klasnęli w ręce tak, żeby bolało. I wtedy

klaszczą, a ja mówię: Nie, mocniej. I znowu klaszczą, a ja mówię: Nie, naprawdę cholernie mocno. I wtedy klaszczą tak mocno, że aż twarze im się wykręcają, a ja mówię: Nie, naprawdę mocno! I wtedy, gdy ich ręce są czerwone i bolą, mówią: Więc tak to brzmiało? A ja mówię: Nie. To brzmiało zupełnie inaczej.

91

- Paul, myślałeś o tym, żeby poszukać pomocy? Może wziąć **trochę** wolnego?

- Co? Wziąć zwolnienie z pracy na kręgosłup, jak ty?

Remy nie był pewien, czy Guterak się z niego naśmiewa. Wiedział, że z jego kręgosłupem jest wszystko w porządku. A może jednak nie?

- Nic o tym nie wiem, żebym był na zwolnieniu, Paul - powiedział.

- Mam wrażenie, że nad czymś pracuję.

Guterak się zaśmiał.

- Och, więc mogę odwołać przyjęcie z okazji twojego odejścia?

- Przysięgam Paul, pracuję nad pewną sprawą.

- Tak? Ślepemu facetowi z bolącym kręgosłupem dali dużą, tajną sprawę, co?

- Mój kręgosłup jest w najlepszym porządku. Paul znów się zaśmiał.

- Co robisz, wykonując to tajne zadanie?

- Chodzę w różne miejsca... rozmawiam z ludźmi. Guterak wydawał się już znudzony tym żartem.

- Taak? A co potem?

Remy włożył zawiadomienie o pogrzebie z powrotem do kieszeni i rozwinął kolejny kawałek papieru, który w niej znalazł. Była to ulotka ze ściany Famous Ray's ze zdjęciem March Selios i numerem telefonu. Remy położył to na ramie łóżka.

- Nie wiem - rzucił do słuchawki. - Myślę, że... dni po prostu mijają.
- Taa - powiedział Paul. - Cóż, znam to uczucie.

Jego nogawka zaczepiła o coś ostrego. Było ciemno, musiał więc macać ręką po ścianie wąskiego, betonowego tunelu, dopóki nie znalazł mankietu spodni zaczepionego na wyszczerbionym fragmencie rury. Wyszarpnął go, uderzając łokciem o ścianę tunelu i poczołgał się dalej w kierunku światła. Miał na twarzy maskę z filtrem, własny oddech odbijał się echem w jego uszach. Ręce miał kredowobiałe od mokrego pyłu. Skądś dochodził dźwięk przypominający borowanie zębów. Dwóch innych mężczyzn czołgało się przed nim tym wąskim tunelem, podeszwy butów turystycznych poprzednika miał jakieś pół metra przed sobą. Podążał za butami w stronę sączącego się żółtego światła, które kołysało się w jakiejś więk-

92

szej przestrzeni, aż obaj mężczyźni przed nim wpadli do niskiej, białej jaskini, lub, o nie, rozpoznał go nawet w obecnym stanie... do podziemnego parkingu, prawdopodobnie na poziom pomarańczowy.

Remy przepchnął się przez wlot tunelu i wyjrzał. Betonowe słupy wzdłuż jednej ściany się załamały, a strop się zapadł, stalowoszare mercedesy i czarne bmw zostały zgniecione i pokryte cienką powłoką kurzu. Drzwi kilku samochodów były otwarte, jakby ludzie, uciekając, po prostu ich nie zamknęli. Obok jednego z pojazdów leżało na podłodze

otwarte etui na płyty CD i Remy wyobraził sobie, że któryś z ratowników szukał pewnie czegoś, czego mógłby posłuchać w drodze na dół. Podłoga parkingu była mokra, pył gromadził się tam, gdzie wzdłuż łączeń konstrukcyjnych i nowszych pęknięć spowodowanych zawaleniem płynęły strumyki. Smużki świateł technicznych kładły się niczym świąteczne girlandy na słupach, które jeszcze stały, nagie żarówki rozświetlały zimne i wilgotne podziemia i rozpalały cząsteczki kurzu jak piromani, przerażające cienie rzucane na wszystkie strony.

Remy przez otwór spadł na betonową podłogę. Jego poprzednicy już wstali i otrzepywali się z kurzu. Promienie z ich latarek tworzyły smugi z kurzu i światła.

Jednym z mężczyzn był Markham, facet z Dokumentacji, który zlecił mu odnalezienie March Selios. Drugiego mężczyzny Remy nigdy wcześniej nie widział. Ubrany w kombinezon i kurtkę roboczą starszy pan zdjął maskę, a Remy i Markham zrobili to samo. Gładka twarz tego ostatniego skrzywiła się przed kichnięciem.

Przy pierwszym wdechu Remy zakrztusił się pyłem. Smród Strefy Zero tu na dole jeszcze przybierał na sile, a Brian mimowolnie się zastanawiał, czy gdy tak posuwają się w dół, nie zbliżają się do jakiegoś gorącego, mokrego jądra - i wyobraził sobie rzekę tego smrodu, chronioną może przez odzianego w szatę przewoźnika albo dorożkarza siedzącego na koźle ozdobionym koralikami. Markham wyciągnął z tylnej kieszeni spodni plan, po czym podszedł do maski mercedesa coupe. Jego przód był w nienaruszonym stanie, pomijając pył, bagażnik jednak wgniótł spadający beton. Markham rozpostarł plan, wyjął z kieszeni latarkę, włączył ją i włożył w usta, pomiędzy zęby.

Ponieważ Remy ani drgnął, Markham musiał wyjąć latarkę z ust i skinąć na niego.

93

- Brian, proszę. Nie mamy dużo czasu.

Remy się przysunął. Markham z powrotem wsadził latarkę w usta i nakierował ją na pognieciony plan. Przedstawiał on precyzyjne rzuty poziome tego podziemnego parkingu, kanały, schody, windy i połączenie z podmiejskimi pociągami. Drugi mężczyzna, który miał na sobie szary kombinezon, wskazał ołówkiem kreślarskim długą, cienką linię na stronie, a następnie na zawaloną konstrukcję parkingu przed nimi.

- Dobra. Jesteśmy na miejscu. - Wskazał punkt na planie. - W pół nocno-zachodnim rogu. Było tu sześć poziomów podziemia, zajmujących większość z ogółem szesnastu akrów, parking, sklepy, transport publiczny, klimatyzacja, windy i inne maszyny, jak w plastrze miodu. Prawie sześćdziesiąt procent uległo zniszczeniu.

Powiódł ołówkiem wzdłuż tunelu.

- Ta część garażu, gdzie, jak mówicie, mógł stać samochód tej kobiety, znajduje się tutaj. Jak powiedziałem... jest zatarasowana, jeśli nie całkiem zawalona. Możemy iść wzdłuż tego kabla PVC aż do tunelu "PATH", przy założeniu, że ta linia ciągle istnieje. I da się nią przejść. Ale to jest droga do miejsca, do którego wy, chłopaki, chcecie iść i - jak widzicie - jest zatarasowana. Jeśli pójdziemy tędy... - pociągnął ołówkiem po planie - wejdziemy w ogień. A jeśli udamy się w tym kierunku, wpadniemy do wody. Ponadto cały ten teren został prawdopodobnie skażony freonem.
- Wybór jak ta lala - powiedział Markham, któremu latarka spadła na

ziemię. Światło rozpaczliwie obszukiwało ściany, chcąc dokądś uciec, aż wreszcie ukryło się pod zmiażdżonym lexusem. - Albo ogień, albo powódź, albo trucizna. Spalić się, utopić lub zakrztusić własnymi wymiocinami. Wiecie, skoro już muszę wybierać, to chyba wybiorę utonięcie. A ty, Brian? Wyglądasz na faceta, który wolałby się spalić... Jakbyś chciał wyjść z tego w możliwie największej chwale.

Remy podniósł z ziemi latarkę, zgasił ją i podał Markhamowi. Facet w kombinezonie zwracał się do Remy'ego tak, jakby to on dowodził.

- Jak powiedziałem wcześniej, uda nam się dojść tylko dotąd. Może jak już opanują ogień tu na dole i wypompują kilka niższych poziomów.

PATH - Port Authority Trans-Hudson.

94

Ale nawet wtedy, wątpię. - Facet wskazał na zmiażdżone samochody - Moglibyście spróbować na najniższym poziomie, B-6, a potem usiłować przedostać się wyżej, ale jak mówię, to dwieście metrów pod powierzchnią, i na tym odcinku jest albo ogień, albo wszystko znajduje się pod wodą. Moglibyśmy iść na północ, ale tam pewnie wydziela się gaz ze starych zbiorników freonu.

Markham z powagą spojrzał na Remy'ego:

- Co o tym myślisz?
- A co ty myślisz?

Przerwał im facet w kombinezonie.

- Słuchajcie, rozumiem, jakie to ważne. Chcę, żebyście wiedzieli, że gdyby istniał jakiś sposób, żeby to zrobić, zrobiłbym to. Bo jeśli o mnie chodzi, to myślę, chłopaki, że to wy jesteście tu na dole najważniejsi

mi osobami. To znaczy, słyszałem, jak mówili o tym we wszystkich dokumentach w telewizji. Ale to jest igła w... stogu siana. - Rozejrzył się dookoła. - W naprawdę przerażającym stogu.

Remy też się rozejrzył po garażu. Martwił go zawalony róg. Co jest nad nim? Jak wysoko w górę sięgają kamienie? Do rumowiska? Do Iglic? O kolejną ścianę wałał strumień czarnej wody i rządząc się sobie tylko wiadomymi prawami, popłynął przez zawalony parking wprost do szczeliny w ścianie. Skąd się bierze ta woda? Dokąd zmierza? I dlaczego jest czarna? Wydawało się, że takie właśnie pytania powinni sobie zadać.

Markham rozłożył ręce.

- Dobra, Brian. Krótka piłka, ty decydujesz. Co chcesz zrobić? Zawrócić czy iść kanałem ściekowym?
- Ja... - Remy ku własnemu zdziwieniu roześmiał się. - Nie umiem powiedzieć.

Facet w kombinezonie zerknął na Markhama, który westchnął z dezaprobatą. Wziął Remy'ego za łokieć i pociągnął go na bok.

- Co z tobą dzisiaj, Brian? - zapytał cicho. Remy znów usłyszał swój maniackalny śmiech.
- Nie mam najmniejszego pojęcia - bąknął - co robimy tu na dole. Przez moment Markham gapił się na niego. W końcu kiwnął głową.

- Tak, pewnie masz rację. Cholera, nawet jeśli dotrzemy do piętra, na którym jej firma trzymała samochody... - Markham odszedł i zwinął plany.

95

- Szukaliśmy samochodu March? - zapytał Remy.
- Taak, jeśli tak na to spojrzysz, nie wygląda to na szaleństwo.

- Markham odwrócił się do przewodnika. - Brian uważa, że powinniśmy po prostu zawrócić.

Facet w kombinezonie westchnął.

- Dziękuję. - Spojrzał przez ramię, światła zniszczonych samochodów zerknęły z zawałonego dachu. - Nie lubię być tu na dole.

Przez chwilę Markham przyglądał się Remy'emu, jego niejednoznacznej minie.

- Nie martw się Brian. To i tak były tylko domysły. Podjąłeś dobrą decyzję.

Markham i facet w kombinezonie założyli maski i ruszyli w stronę wlotu, którym czołgali się wcześniej, a Remy jeszcze raz zerknął na zakurzone przednie szyby, patrzące na niego zagadkowo.

W końcu też założył maskę i podążył za mężczyznami z powrotem do...

- W sobotę o północy rozkręcam się już z jakąś kelnerką, już ją prawie dupczę, gdy nagle ten mój pieprzony pager się włącza „9-1-1”, a ja myślę „O cholera, moja żona dowiedziała się, że nie pracuję w ten weekend”, nie? Ale jak sprawdzam, kto dzwonił, to myślicie, że kto? Brian, ten pieprzony Remy, ot co. - McIntyre wciągnął powietrze, a chłopaki ryknęli śmiechem. Remy wykorzystał tę chwilę, żeby się rozejrzeć. Zebrała się tu ponad połowa starej jednostki, sześciu chłopaków Szefa i pięciu z biura policji, do którego przypisano Remy'ego na pół roku
- dwunastu chłopaków, w tym Remy i Guterak, który siedział po jego prawej stronie, śmiejąc się tak głośno, że zabrakło mu tchu, aby powiedzieć coś niestosownego.

- Prawda? Prawda? Więc Remy dał ciała tej nocy i nie muszę wam mówić, który szef wtedy nami dowodził, powiem tylko, że biedny Remy

spał w jednej z limuzyn, przed jakimś parszywym budynkiem w Alphabet City, podczas gdy Szeff prowadził wiercenia w poszukiwaniu próbek gleby, nie... - Chłopaki zaśmiali się porozumiewawczo. - I wtedy właśnie, kurwa, Szeff schodzi bosy, w rozpiętych spodniach, w koszulce, pamiętasz to? Pamiętasz to, Bri? Głupi, gruby dupek, za bardzo wściekły, żeby złapać za telefon, chce komuś przypieprzyć, bo wyszedł i poderwał

96

kolejną dziwkę z fiutem. Porąbało mu się w dyni, chce zmieść z tej pieprzonej ulicy wszystkich transwestytów. Tamtej nocy! Ten osioł jest tak zakochany w swojej władzy i w swoich pieprzonych sfalszowanych statystykach, że myśli, że to naprawdę wykonalne, nie? Bo to przecież tylko liczba na wykresie - osiemset czy ileś. „Więc świetnie” - mówię Re-my'emu - „wezwij patrol”. Ale ten geniusz tutaj - McIntyre wskazał na Remy'ego - mówi, że Szeff chce, żebyśmy my to zrobili. Ja na to: „Chce, żebyśmy my to zrobili?”, a Remy mówi: „Noo, chce, żebyśmy my to zrobili. I to teraz”. A ja dosłownie jestem w połowie w tej pieprzonej kelnerce, we wzwodzie, co nie? Ale rozmawiam przez telefon i mówię: „Teraz Brian?”, a on odpowiada: „Teraz, Billy”. Na co ja: „Wszystkie, Brian? Wszystkie dziwki?”, na co ten niewzruszony sukinsyn tutaj, ten dupek, zastanawia się przez sekundę, a potem mówi: „No wiesz, Billy... myślę, że wszystkie z fiutami”.

Chłopaki walili w stół i zgięci w pół, trzymali się za brzuchy. Wysoki, piszczący śmiech Careya słychać było najgłośniej.

- A ja na to: Brian, skąd do cholery mamy wiedzieć, które mają fiuty? A ten genialny skurwysyn...

Kolejny pełen zachwytu pisk Careya przerwał na moment opowieść McIntyre'a, a cały pokój rozbrzmiał pijanym chichotem: głębokie, dy-

sonansowe wycia i ryki jak podczas rozgrzewki orkiestry dętej. Remy powiódł wzrokiem po kumplach i dalej, a potem przez przezrocyste żyłki w swoich oczach powędrował spojrzeniem do sali bankietowej włoskiej restauracji i do stołu nakrytego obrusem w kratę, na którym stały owalne talerze, leżały porozrzucane obgryzione kości, sterty klusek, spod których gdzieś widać widać widać ziemniaki z czosnkiem i zielonym groszkiem, bezużyteczne jak wydmuszki puste dzbanki do piwa, butelki po winie i szklanki koktajlowe. Przez moment martwił się o ich apetyt i zastanawiał, czy ci mężczyźni kiedykolwiek zaspokoją głód, dopóki tej myśli nie zastąpiła inna, ważniejsza. Która szklanka jest jego?

- Ten zimny sukinsyn! Ten skończony snob - McIntyre znowu wskazał na Remy'ego. - Mówi: „No, z tego, co słyszałem, można to po znać po rękach”. A ja na to: „Co dokładnie można poznać po rękach?”. I musicie pamiętać, że kiedy rozmawiam z Remym, to do cholery robię pompki na kelnerce, ale wtedy i ona, i ja przestaliśmy na moment robić to, co robiliśmy, i oboje popatrzyliśmy na jej ręce. A Remy mówi:

97

„Można poznać po rękach, czy to kobieta”. Patrzę więc na wielkie, męskie ręce kelnerki i mówię: „Jezu Chryste, Brian. Jeżeli już uda się nam wystarczająco zbliżyć, żeby popatrzeć na ich ręce, to równie dobrze możemy sięgnąć i przekonać się, czy trzymamy coś w garści”.

- Aaaaachrrr! - Guterak wydał odgłos, który brzmiał jednocześnie jak krzyk i jak śmiech, po czym walnął Remy'ego w plecy.
- Więc ten pieprzony Remy i ja przez całą noc jeździliśmy dookoła i przyglądaliśmy się rękom dziwek. Przysięgam na Boga, że dla nas wszystkie wyglądały jak faceci, nie? I miałem mieszane uczucia. Po

pierwsze, spanikowałem... że jeśli nasz chrzaniony Szef chce prostytutek transwestytów, to będzie, kurwa, lepiej, jak znajdziemy jakieś panienki z nutami, nie? Ale inna kwestia jest taka: tak się napaliłem, jeżdżąc wokół i szukając dziwek, że prawie byłem skłonny sprawdzić jedną, tak tylko, żeby zobaczyć. I właśnie wtedy Remy przypomniał sobie tę kana-
lię z Dominikany, którą aresztował na Heights. Z pięć, sześć razy, co, Bri? Ten sukinsyn prowadził wianuszek prostytutek transwestytów... jak on się kurwa nazywał... Kiko jakoś?

- Ramirez! - ktoś zawołał.

McIntyre wskazał palcem:

- Właśnie. Właśnie! Ten pieprzony kundel Kiko Ramirez, ten mały pieprzony dominikański alfons mieszkał pod sto pięćdziesiątym trzecim przy Broadwayu, wywlekliśmy tego sukinkota z łóżka jego kuzyna i ściągnęliśmy na dół a ja mówię: „Słuchaj palancie, masz dostęp do pewnych informacji, których potrzebujemy, wiesz... to bardzo ważne śledztwo, priorytetowe... jak się zgodzisz, to dostaniesz dwumiesięczną przepustkę, do bra?” A on na to: „Czego chceta, chłopcy?” Na to ja: „Musisz nam znaleźć pięć dziwek z dodatkowym wyposażeniem”, a to małe gównu patrzy na mnie, jakbym był jakimś pieprzonym królem zbrojeńców, co nie? Brian mówi wtedy: „To nie dla nas Kiko, tylko dla naszego szefa”. - Śmiech na rastał - ten mały gnojek musiał wiedzieć, o którym szefie mówimy, bo kiwnął głową, jakbyśmy właśnie zamówili pięć pizz. Kiko ma taki cienki wąsik i tylko wzruszył ramionami, jakby mówił „Hej, człowiek, to nie ma dla mnie ważne. Różne numery, panie. Nie?” Jak ten pieprzony Scarface”, sukinsyn jeden, widział to wszystko, nie? Całe gównu tego świata.

Scarface - bohater filmu Człowiek z blizną w reżyserii Briana de Palmy.

Znowu śmiech.

-No i jeździmy we trzech tą pieprzoną limuzyną, Brian i ja z przodu, a Kiko z tyłu, jakbyśmy byli jego szoferami, i w pewnym momencie stary Kiko chce zapalić pieprzonego papierosa, no więc odwracam się i mówię: „Chyba żartujesz, Kiko? Jak zapalisz w aucie mojego szefa, to wiesz, że będę cię musiał wypatroszyć jak jakąś pieprzoną rybę, tak?”

Jedziemy Broadwayem, krążąc po Deuce i ten gnojek Kiko gapi się przez okno jak pieprzony czterolatek na paradę, ogląda te wszystkie dziwki i mówi: „Nie, to kobita. Nie. To kobita. Ta też kobita”. A ja się odwracam i mówię: „Kiko, strzelę cię w pysk, jeśli do cholery nie znajdziesz mi dziwki z fiutem”.

Śmiech spadł kaskadą i zagrzmiął, aż Remy zmartwił się trochę, czy ktoś nie dostanie zawału serca.

- A Kiko... ten pieprzony kundel Kiko gapi się tylko przez okno i co kilka minut mówi: „Nie, to kooo-bitą. Nie, to koo-bitą”. My z Remy'm patrzymy wciąż na nasze zegarki, myśląc, że SzeF nas, kurwa, zeżre na śniadanie, nie? Ale w końcu Kiko przysuwa się do okna i mówi: „Może ona. Tak, myślę, że ta to facio”. Parkujemy więc, podchodzimy bliżej, a on mówi: „Nie, to też kooo-bitą”. I w tym momencie miałem już dość tego gówna, więc mówię: „Kiko, ja pierdolę! Skąd, kurwa, wiesz, że ta to nie facet?” A ten obślizgły dupek wskazuje na tę dziwkę i mówi: „Chłope, można poznać po rękach”.

Pokój pękał od krzyków i ryków, gardłowych i pełnych, dorosłymi facetami wstrząsały śmiertelne spazmy wyzwajającego śmiechu. Remy zauważył, że sam też się uśmiecha, chociaż niedokładnie to pamiętał, ale

chciał i pomyślał, że to nieduża różnica, że najlepsze wspomnienia to te, których się nie pamięta, huragan śmiechu osłabł i ucichł, a chłopaki buczeli i ocierali oczy, po czym ktoś krzyknął:

- Mów! Mów!

Reszta się przyłączyła, a Remy krzyczał: „Mów!”, zanim pojął, że czekają właśnie na jego przemowę.

- Poczekajcie, poczekajcie. - Zastępca Szefa Carey podniósł lewą rękę. - Zanim pozwolimy Remy'emu powiedzieć coś, czego wszyscy będziemy żałować, mam coś dla was, sukinsyny. - Carey pochylił się. - Żeby uświetnić tę uroczystość. Smak. - Wyjął plecak i ustawił go na stole. - Wyrazy uznania od szefów. - Odpiął plecak i zaczął wyjmo-

99

wać zegarki, wyciągnięte z pudełek do połowy, jakby były z wystawy, jak małe otwarte szkatułki. Rozdawał je, posyłając je chłopakom przez stół, przy akompaniamencie gwizdów i ryków. Jeden za drugim wkładali zegarki („Och, szefie!”, „Nie może, kurwa, być!”) na potężne, włochate nadgarstki.

- Cholera, szefie. To chyba zbytek łaski.

Carey machnął ręką.

- To nawet nie jest połowa tego, na co zasługujecie. Jesteście, kurwa, najlepszą drużyną w mieście. Nie żartuję. Inni szefowie też tak sądzą.

Remy popatrzył na pudełko, które trzymał w ręku. Ciemne drewno, na środku smukła korona, wyryte w złocie słowo „Rolex”.

- No dalej, załóż go - ponaglił Carey.

Remy gapił się na ciemną tarczę złotego zegarka i uchwycił migotanie światła na kamieniach tarczy. Starł ze szkiełka cienką warstwę kurzu.

- To limitowana kolekcja Gent Omega - powiedział Carey - zegarki

tego pieprzonego Jamesa Bonda. Cebula Remy'ego jest pozłacana.

Chłopaki podwinęli rękawy i podnieśli wysoko nadgarstki. Guterak wyciągnął rękę do Remy'ego.

- Bri, spójrz na to gównu. Jak na mnie wygląda? Kurwa, czy przyszłoby ci w ogóle do głowy, że kiedykolwiek będę nosił rolexa?

Pod zegarkiem Remy'ego leżała złożona koperta. Wyjął ją i otworzył. W środku znajdował się krótki tekst, podpisany przez Szefa. „Za nowe szanse” i „starą lojalność”. Słowo „lojalność” było podkreślone.

- Palnij mówkę! - znowu rozkrzyczały się chłopaki, a Guterak popchnął Remy'ego, który nadal bez przekonania trzymał w ręku zegarek. Spojrzał na niego i otarł wargi.
- Na-naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Szczerze mówiąc, nie jestem do końca pewien, co się ze mną dzieje. Ani dlaczego.

Kilku chłopaków się roześmiało. Inni pokiwali głowami, jakby to trafiło w ich czułą strunę - ta niekończąca się pustka ostatnich tygodni. Remy przejechał ręką po krótkich włosach.

- To znaczy... widzę, że odchodzę. Na emeryturę? Mam wziąć zwolnienie, tak?

Rozległ się śmiech.

- To znaczy... Chyba nie umieram, czy jak? Mam to w oczach?

100

Zastępca Szefa Carey, ponownie wydał z siebie piskliwy skrzek. Chłopaki obejmowali się i śmiali, podnosząc jeden drugiego. Remy spojrzał na stół.

- Może mi ktoś powiedzieć, która szklanka jest moja?

Wydawało się to doskonałym zakończeniem jego przemowy. Fale śmiechu przetaczały się po pokoju, a Guterak wstał i objął Remy'ego.

- To było świetne. Klasyka, Remy. Kocham cię, stary.

Chłopaki jeden po drugim podchodzili do niego z szacunkiem, obejmowali go i mówili, żeby wyluzował, albo życzyli powodzenia, albo, że ma się nie martwić i już po chwili Remy nie mógł pojąć, jakie to ma znaczenie, co się przydarza. To była ważna rzecz, ci faceci, którzy ryzykowali swoje życie, ci faceci, którzy tak bardzo go lubili i jeszcze z jakichkolwiek innych powodów... cóż, to by się wydarzyło, czy o tym wiedział, czy nie.

- Mam nadzieję, sukinsynie, że zdajesz sobie sprawę z tego, jakim jesteś farciarzem - powiedział McIntyre.
- Idziemy do klubu ze striptizem, który należy do dziewczyny Co-pleya, jeśli masz ochotę.

• Nie, chyba nie - odparł Remy. McIntyre objął go znowu.

• Będzie mi cię brakowało, dupku.

W końcu Remy został sam, patrzył, jak koledzy w grupkach po dwie lub trzy osoby zmierzają do drzwi. Wychodząc z chłopakami, Guterak machnął przelotnie ręką. Kiedy już wszyscy wyszli, Remy ostrożnie włożył zegarek z powrotem do pudełka.

Czasami luki pojawiały się jak cięcia w filmie, jedna za drugą, a Remy z trudem łapał oddech. Innym razem zdawał się dryfować, a nawet pozostawać w chwilach, które dla wszystkich innych już się skończyły. Czy coś powinien był wziąć z tych chwil? Wyciągnął zegarek z dna pudełka i popatrzył na tarczę. Po części spodziewał się zobaczyć, że wskazówka sekundnika stoi w miejscu, roztrzęsiona i zatrzymana, czekając, aż coś

rzuci Remy'ego w następną chwilę. Ale igła z wdziękiem przesuwała się po cyferblacie, skreślając chwilę za chwilą, za... Remy ponownie włożył zegarek do pudełka i wyszedł z sali bankietowej, wyłożonym boazerią korytarzem do kuchni. Zerknął przez okrągłe okienko drzwi wahadłowych i zobaczył starego Portorykańczyka w papierowym

101

fartuchu, pracującego przy wysokiej stercie naczyń, garnków i patelni. Remy otworzył drzwi i pchnął pudełko z zegarkiem po podłodze, a potem pozwolił, żeby drzwi się zamknęły. Raz jeszcze zerknął przez okienko. Stary zmywacz zginał się właśnie, żeby podnieść zegarek.

Remy poszedł korytarzem, potem przez pustą restaurację i wreszcie znalazł się na zewnątrz. Rozpoznał linię horyzontu nad rzeką. Wielka wieża zegarowa o czterech tarczach wyglądała za jego plecami jak smok. Pomyślał o tarczy zegarka. I że nie ma na niej ani jednego zera. Tylko w kółko i w kółko. Ani chwili odpoczynku. Ani równowagi. Ani miejsca startu. Byle do następnej liczby. Niebo się przejaśniło, zimne, chmury otwierały się pomiędzy Manhattanskimi kamienicami. Remy stanął na chodniku i obejrzał się na miasto, na spalony koniuszek wyspy i na jasną dziurę na niebie.

Powietrze było chłodne i suche, a wielkie wentylatory warkotały mu nad głową. Remy stał w ogromnym hangarze samolotowym, trzymał notatkę, napisaną najwyraźniej przez konsultantkę do spraw technologii informatycznych Larę Kane do Trávisa Fanninga z działu personalnego Anderson Dugan Rippet, firmy, w której pracowała March Selios:

Re: status report: Firewall, Acrobat, Monitoring CC:

Duncan, Wallace, *Selios*.

UTMI włączony i działa według danych ze spotkania 8-4 i dokumentacji w postaci osobnych arkuszy dla sprzętu, oprogramowania, narzędzi, Maców i PC, aktualizacji, drukarek. W sprawie praw dostępu dla MGT Group, zob. e-maile potwierdzające i logi.

Remy zerknął znad kartki. Hangar był pełen ludzi, segregatorów oraz stołów z nadpalonym i brudnym papierem. Prowizoryczne neonówki wisiały mniej więcej trzy metry nad ziemią, wzdłuż hangaru, w całości wypełnionego długimi stołami i szafami na dokumenty, stojącymi w długich i zdawać by się mogło nieskończonych rzędach. Jak okiem sięgnąć, stoły pokrywały papierzyska - notatki, formularze, rezygnacje, zwroty, jakby udało się na powrót wyczarować cały świat z papieru, który dotąd wyprodukował.

102

Obok każdego stołu stała szafa biurowa. Z sufitu zwisały duże plansze z napisanymi na nich literami. Remy spojrzał w górę. Na tablicy wiszącej nad nim przeczytał: AM-AZ. Wyglądało na to, że takie oznaczenie wisi co mniej więcej trzysta metrów, na jedną planszę przypadało może dziesięć stołów i dziesięć szaf. Na dalekim końcu hangaru z wysiłkiem dojrzał następny symbol: CO-CY. Ile więc kolejnych hangarów może się spodziewać? Pięć? Osiem? Na każdym stanowisku stało kilku pracowników i przeczesywało góry papieru na stołach, inni porządkowali kartki. Mieli na sobie białe, papierowe kombinezony, maski i białe rękawiczki.

- Oczywiście interesują pana także strzępki? - zapytała kobieta siedząca przy stole naprzeciw Remy'ego. Na jej szyi wisiała zdjęta z twarzy

maska.

- Strzępki - powtórzył Remy. Ich głosy wydawały się odległe i silne w tym przepastnym hangarze, który rozbrzmiewał tyłoma innymi zdławionymi głosami.

Kobieta podała mu kolejną zakurzoną kartkę, która przybrała okrągły kształt i miała opalone brzegi jak perfekcyjnie opieczona pianka ślazowa. Była to karta z książki głównej z kolumnami liczb, których nie potrafił do niczego odnieść, bo kawałek z górną rubryką został spalony.

Rekompensata 71 26 44 6

Dodatki pracownicze 11 11 1211

Podróże i rozrywka 9 92 14 71

Suma częściowa pracowników 91 129 70 88

IT (patrz załącznik Selios) 463 903 138 314

Komunikacja 21 34 42 12

Remy przyłożył kartkę do twarzy. Pachniała Strefą Zero. Wszystko pokrywała ta sama cienka warstwa pyłu, prawie płynna forma piasku. Patrzył na kobietę siedzącą przy stole. Była wysoka i szczupła. Nosiła okulary. Włosy miała związane z tyłu. Wyglądała na zmęczoną. Przysunęła się i wyznała mu:

- Próbuję wyjaśnić ludziom, skąd ten smród, ale nie potrafię.

Uśmiechnęła się ciepło i podała mu kolejną kartkę. To była notatka wewnętrzna zatytułowana: STATYSTYKA PORTFELA KAPITALIZACJI

nazwisk, pośród nich Selios. U góry widniał napis WSZYSTKIE STATYSTYKI RYNKOWE PODANO W MILIONACH. Poniżej widniała lista jakichś funduszy wzajemnych:

papiery wartościowe	ważone	średnia liczba	procent
AF Mała Kapitalizacja	107	2,009	49,4
AM Średnia Kapitalizacja	65	6,795	6,7
Oszacowana Kapitalizacja	62	67,698	0,9

Remy zerknął znad notki. Oddał ją tej miłej kobiecie. Atrakcyjnej...

- Ta jest intrygująca - podała mu szybko kolejną kartkę - potwierdzenie przyjęcia towaru z wenezuelskiego statku o nazwie „Rak Morski”. Jako odbiorcy figurowały dwie firmy, w tym Anderson Dugan Rippet. Remy miał kłopot ze zrozumieniem większości dokumentu. Na dole podano tonaż statku, 136 153 320 kg, i:

Liczba i rodzaj opakowań, zawiera 6 kartonów z 40, zawiera: podłużnicę prawą, 5087.117.334 podłużnicę lewą, 5087.117.235 (podpisujący: March Selios dla Anderson Dugan Rippet)

Remy oddał notatkę.

- Wie pani, to chyba wystarczy.
- Jasne, prześlemy te notatki i wszystko, co tam jeszcze znajdziemy - odparła. - Shawn powiedział, że chce pan tylko zerknąć, jak to się odbywa.
- O, tak. - Remy rozejrzał się, a potem schylił, by powiedzieć coś cicho kobiecie. - Czy mam coś z tym zrobić?

Kiwnęła głową.

- Wiem. To dużo informacji do przejrzenia.

Remy rozejrzał się po hangarze i odchrząknął, a ten dźwięk wtopił się w szum rozmów pracujących tu ludzi. Otarł sobie usta.

- Ile jest takich hangarów jak ten? Uniosła jeden kącik ust w kpiącym uśmiechu.
- Proszę pana, czy to jakiś test?

104

- Nie - odparł.

Kobieta wstała.

- Rozumiem, że spędził pan poranek w Dziale Życiorysów i Listów Motywacyjnych.

- Tak?

- Wiem, co ma pan na myśli - powiedziała. - Na ogół tu na dole to się zbiega. Jest jeszcze inne miejsce. - Założyła maskę i ruszyła wzdłuż jednego z rzędów stołów, a po chwili za nią podążył Remy. Każdy blat pokrywały stosy spalonego i zakurzonego papieru: służbowe wizytówki, wykresy, karty z kartotek i materiały biurowe. Wszyscy pracownicy mieli na sobie papierowe kombinezony i rękawice. Większość z nich nosiła także maski chirurgiczne. Kilku spojrzało Remy'emu w oczy, ale raczej koncentrowali się na papierze. Remy i kobieta dotarli do najbliższego końca hangaru.

Nad drzwiami wisiała tablica wielkości billboardu, na której cytowano Szefa.

„Wyobraź sobie, że patrzysz w twarze naszych wrogów, którzy właśnie sobie uświadomili, że zebraliśmy każdy skrawek papieru i odłożyliśmy go na miejsce!” Były tam bardzo inspirujące plakaty, na każdym cytowano Szefa i prezydenta. Akurat pod tym wisiało mniejsze ostrzeżenie z Biura

Wolności i Odbudowy. „Usuwanie nieautoryzowanych dokumentów może skutkować oskarżeniem o zdradę zgodnie z ustawą o uprawnieniach wojennych”.

Kobieta zatrzymała się przed kamerą wiszącą nad drzwiami, w czymś w rodzaju wykrywacza metalu bądź czytnika towarowego, jakich używa się w sklepach odzieżowych. Przez chwilę stała swobodnie, a kiedy drzwi zabzyczały, przeszła. Remy ruszył w jej ślady, wyciągnął ręce przed siebie, i także został przepuszczony.

Znaleźli się w długim, ciemnym aluminiowym tunelu, który wyglądał tak, jakby połączono z sobą kilka metalowych baraków. Tunel skręcał pod kątem prostym w prawo, a kończył się drzwiami z napisem „M.P.D”. Obok znajdował się dzwonek i mały biały interkom. Na niewielkiej planszy widniał cytat z przemówień prezydenta: „Nasi wrogowie to ci, którzy nienawidzą naszego stylu życia i naszej zdolności do mobilizacji! Pokrzyżujemy im plany!” Kobieta stanęła przed drzwiami, wpatrywała się w nie, ale nie dotknęła dzwonka. Odwróciła się do Re-my'ego, który jej się przyglądał.

105

- Proszę pana? - zapytała w końcu.
- Słucham.
- Wie pan, że ja nie mam zezwolenia na wejście do środka, prawda?
- Och - jeszcze raz spojrział na drzwi - a ja mam? Zaśmiała się, wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.
- Jest pan zabawny.
- Dzięki - odparł.

Odwróciła się i z powrotem poszła ciemnym tunelem.

Remy patrzył za nią, ciekaw, czy odwróci głowę i spojrzy przez ramię. Ale nie spojrzała. W końcu zwrócił się ku drzwiom i nacisnął dzwonek.

Po chwili zabzyczało i zamek szczęknął. Remy odczekał może sekundę i sięgnął ręką do klamki. Otworzył drzwi i przeszedł...

- Sen. Tak mi to właśnie wygląda. Jak maligna.

To był ten sam głos, który Remy słyszał, gdy znajdował się w tamtej łazience, nieśmiały kobiecy głos. Leżała na jego brzuchu, odwrócona od niego, widział więc jedynie ciemne kędziory w ciepłym gniazdku ułożonym z koców i prześcieradeł na łóżku, którego nie rozpoznawał

- najwyraźniej jednak należącym do niej. Miał zmęczone nogi. Patrzył w dół, na czubek ciemnowłosej głowy. Gdy kobieta mówiła, czuł wibracje w żołądku, nie widział jednak jej twarzy.

- Wiesz, o co mi chodzi? - zapytała. - O te sny, które masz, gdy jesteś chory... albo o to przechodzenie ze stanu świadomości do stanu nieświadomości i z powrotem, nie całkiem śpisz, ale też nie do końca jesteś obudzony.

Remy przesunął się w bok, mając nadzieję, że prócz tyłu głowy uda mu się zobaczyć twarz kobiety. Ale jedyne, co mógł dojrzeć, to plątanie ciemnych włosów. Jej głos był niski, czuł go i słyszał.

- Nie masz pewności, co jest realne, a co nie... prawdziwy świat zakłóca twoje sny, ale nie do końca możesz znaleźć własną drogę do któregoś ze światów... nie całkiem. Telefon dzwoni, a ty się na niego gapisz, zastanawiasz się, czy powinieneś odebrać, czy może, jeśli to sen, nie powinieneś się przejmować, bo i tak telefon zmieni się w kota.

Remy rozejrzał się po sypialni. Stały tam dwie toaletki. Jej miała lustro nad blatem. Po drugiej stronie łóżka stał mebel bardziej męski,

jego toaletka, wąska i wysoka, ze stojakiem na zegarki i kilkoma butelkami wody kolońskiej. Ale to nie stojak Remy'ego. Nie jego woda. Leżało tam także zdjęcie w ramce, odwrócone twarzą do blatu toaletki. „To wszystko należy pewnie do mężczyzny ze zdjęcia” - pomyślał.

- Głosy przychodzą i odchodzą. Ludzie pochylają się nad twoim łóżkiem. Otwierasz oczy i sylwetki rzeczywistych ludzi stają się twoim snem, także... te zjawy w aureolach. Nie wiesz, czy to, co mówią, jest prawdziwe? Czy to część snu? Nie możesz się obudzić ani na powrót za snąć. Fizycznie jesteś w tym... środku, poruszasz się na jawie, podczas gdy twój umysł śpi.

Remy poczuł jej rękę na udzie i zamknął oczy.

- April? - spróbował cichutko, błagalnie.

Przez chwilę nie wydała żadnego dźwięku, więc Remy się zmartwił, że źle odgadł.

- Tak, Brian? - odezwała się wreszcie. - O co chodzi?

Poczuł taką ulgę, że kobieta ma na imię April i zna jego imię, że nie miał pojęcia, co powiedzieć. W końcu zapytał:

- Wiesz może, która jest godzina?
- Ósma trzydzieści - odparła. - A dlaczego pytasz? Musisz gdzieś wyjść?
- Nie wiem.

Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, dlaczego zapytał o godzinę. Może po to, żeby uchwycić się jakiegoś rzeczywistego szczegółu. Ósma trzydzieści. A potem spojrzał na nią, wyciągniętą na jego piersi. Chciał spojrzeć jej w twarz. Położył April rękę na plecach na wysokości talii i wodził palcami po kolejnych kręgach.

Miała chłodną i wilgotną skórę. Remy poczuł, że kręci mu się w głowie... i zrozumiał, że jest w tej kobiecie zakochany, chociaż nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widział jej twarz, i naprawdę nie miał pojęcia, kim ona jest.

- Czytałeś kiedyś opowiadania naukowe w „Timesie”? - ciągnęła.
- Zawsze sprawiały, że czułam się samotna. O nich właśnie przypomnia mi to uczucie. Ciągłe dają tam historie o jakichś nowych eksperymentach wykonanych w superakceleratorach, to znów o jakiejś świeżo odkrytej cząstce światła, która od powstania wszechświata skacze sobie po kosmosie, i w ogóle nie wyjaśniają, skąd to wiedzą. Odkrywają nowe

107

gwiazdy, galaktyki wywierają wpływ na jakieś inne ciało, wpływ, który mogą określić jedynie matematycznie, i to wszystko nic a nic nie znaczy. Tak jak teraz... wszyscy staliśmy się teoretyczni, załamujemy światło lub mamy wpływ na grawitację, ale nie jesteśmy namacalni.

Remy bardzo chciał się z nią zgodzić, nie miał jednak pojęcia, o czym ona mówi. Paliły go oczy. Plamki powstawały jak popiół z ognia.

- April... tracę nad wszystkim kontrolę - szepnął. Poklepała go po brzuchu
- Wiem.
- Jest coraz gorzej.
- Wiem. Mówiłeś mi.
- Och - westchnął. - To dobrze.

Przynajmniej ktoś wiedział. Wyciągnął rękę i dotknął jej ciepłych pleców.

- To dobrze.

- Może teraz wszyscy jesteśmy jak ludzie ze snów - rzekła. - Świa

domi tego, że nie wszystko jest w porządku, nie możemy jednak otrząsnąć się z iluzji. Może moglibyśmy się nawzajem ocalić, ale tylko przepływamy, ciągnąc jeden drugiego w dół i poruszając się przez własne sny niczym uwolnione zmartwienia. Remy sięgnął i pogłodził...

Mężczyzna miał pięćdziesiąt parę lat, był wysoki, szczupły, arystokratyczny, z szykowną fryzurą i aparatem korekcyjnym na zębach. Ubrany w koszulkę do golfa i spodnie khaki, nosił się w sposób charakterystyczny dla ludzi, którzy na siłę chcą wyglądać zwyczajnie.

-1 co? - zapytał. Siedział naprzeciwko Briana przy stoliku w Starbucksie. Remy słyszał, jak za ich plecami nalewa się mleko z ekspresu ciśnieniowego.

- Dave? Podwójne karmelowe *macchiato* dla Dave'a? - upewnił się barman. Okazało się, że mężczyzna ma na imię Dave, ponieważ to właśnie on wstał i odebrał kawę. W drodze powrotnej do stolika upił łyk.
- Macchiato* oznacza „splamiony”. Powinni *latte* lekko tylko splamić *espresso*. Nigdy nie robią tego, jak należy.

Pianka pokryła aparat korekcyjny mężczyzny. Rozłożył ręce, jakby czekał, że Remy coś powie.

- No więc?

108

- No więc - powtórzył Remy.
- Czego pan chce?
- A czego pan chce?

Dave uniósł głowę, przy czym wyglądał jak profesor, który właśnie wywołał do odpowiedzi studenta śpiącego na zajęciach.

- Co mogę dla pana zrobić?

- To chyba zależy od tego - rzekł Remy - co pan może dla mnie zrobić.

Dave wyglądał na zdezorientowanego i zaintrygowanego zarazem.

- Myślę - powiedział - że to, co mogę dla pana zrobić... zależy od **tego**, co ma pan do zaoferowania.

- A jeśli nie mogę niczego zaoferować?

Poczerwieniał na twarzy.

- To jest pan kompletnym idiotą, ponieważ to pan umówił nas na to spotkanie.

Tego się Remy obawiał. Upił *latte*, które stało przed nim. Cynamonowe.

- Okay - Rozejrzał się za swoim notatnikiem. - Może zacząłby pan od tego, co pan wie na temat March Selios.

- Co ja wiem? - Facet parsknął, a jego ponownie zmrużone oczy wyglądały groźnie. Do Remy'ego dotarło, że chyba nie jest to jedno z jego standardowych przesłuchań. - Niezły z pana gość, panie Remy. Chce pan, żebym powiedział, co wiem o March Selios? Dobrze. Powiem. Wiem, że to ja zażądałem wszystkich dokumentów związanych z tą Selios. Wiem też, że pańskie kanalie, ci pomocnicy z DD, zobaczyli w tym szansę, żeby nas wypierdolić. No i zamiast współpracować z Agencją, z organizacją, która zbiera prawdziwy wywiad, odrzucili naszą prośbę i zdecydowali się wszcząć własne śledztwo. Poza tym wiem, że ponieważ sami stanowią kupę gryzipiórków, muszą korzystać z pomocy najemników - w tym wypadku z pańskiej - by wykonywali prawdziwą robotę.

Remy wziął kolejny łyk pianistego cynamonu, a szczupły mężczyzna z aparatem na zębach mówił dalej.

- Wiem, że wykorzystują to śledztwo, aby usprawiedliwić swoje skandaliczne naruszenie terenu Agencji. Wiem też, że opierają to wszystko na poglądzie, że ona - ta jakaś puszczalska praktykantka do spraw importu - może wciąż żyje, co jest śmiechu warte.

109

- Tak? - zapytał Remy z większą podejrzliwością, niż zamierzał. Dave zmrużył oczy.

- A nie?

- Nie wiem - odparł Remy. Tamten gapił się na niego.

- A co pan wie, panie Remy? Wie pan coś?

- Chyba nie.

Dave znów uniósł głowę.

- Panie Remy, co pan proponuje?

- Dlaczego pan myśli, że coś proponuję?

Mężczyzna rozparł się wygodnie na krześle i pogładził potężny podbródek. Remy pomyślał, że ten facet musiał być kiedyś brodaty, bo w charakterystyczny sposób gładzi palcami twarz.

W końcu Dave się uśmiechnął.

- Lepiej, żeby pan ze mną nie zadzierał.

- Nie zadzieram - zapewnił go Remy. Mężczyzna się rozejrzał.

- Dobra, więc pozostaniemy w kontakcie poza oficjalnymi kanałami? Okazujemy trochę... zawodowej uprzejmości? Czy to pan chce

powiedzieć?

- Nie wiem, co chcę powiedzieć.

Dave jeszcze raz spojrzął na Remy'ego. W końcu upił kolejny łyk swojej *latte*.

- Dobrze, dam wam trochę swobody. Ale jeśli wy, amatorzy, wejście nam w drogę tym śledztwem, to was powywieszam.

Wstał i zabrał swoją kawę.

- Rozumiemy się?

Remy upił jeszcze jeden łyk *latte*.

- Nie bardzo - rzekł, kiedy mężczyzna już odszedł.

„Odeszli, ale... Wieczór jednoaktówek, sztuk i monologów napisanych i prezentowanych przez uczniów". Tak głosił plakat skserowany na pofałdowanym zielonym papierze, gdzie pod tekstem widniał hełm strażacki. Remy przyjechał spóźniony. Usiadł samotnie w rogu, na składanym krześle w tylnym rzędzie, widział, jak smugi w jego oczach roją się w białych światłach sceny. Na dole, w jednym z pierwszych rzędów, dostrzegł

110

Carlę i Steve'a, który ją obejmował. Jakaś kobieta pochyliła się i powiedziała coś do Carli, a ta pokiwała głową i z dumą zasłoniła ręką usta.

Kurtyna podniosła się z szarpnięciem i zgrzytem lin w bloczkach. Scena była pusta, nie licząc pojedynczego światła, padającego na stojący mikrofon. Pierwsza wystąpiła przestraszona uczennica w ciemnych dżinsach. Co kilka sekund przerzucała ciężar ciała z jednej nogi na drugą i przedstawiła monolog o tym, jak tamtego dnia była w szkole, jak przyszła po nią mama, która oglądała to wszystko w telewizji, i jak potem, tego wieczora, dziewczynka

usłyszała, że jej wujek nie wrócił z pracy do domu i że uznano go za martwego. Lubiła wujka, chociaż tak naprawdę był przyszywanym wujkiem. Wyjaśniła, że handlował obligacjami i miał homoseksualne skłonności. To jedyny gej w jej rodzinie, ale uważa go za najfajniejszego ze wszystkich wujków. Zakończyła opisem posiłku, który pewnego razu ugotował jej przyszywany wujek - makaron z grzybami *shitake* i suszonymi pomidorami. Zarzekała się, że co roku tego dnia będzie jadła właśnie tę potrawę. Ostatnie słowa jej monologu brzmiały: „Cały problem w tym, że ja nienawidzę grzybów”.

Dostała gromkie oklaski, po czym na scenę wyszło dwóch chudych białych chłopców, aby oddać raperski hołd zmarłemu strażakowi, który ukończył ich szkołę dziesięć lat wcześniej, (*...zobaczysz ich w tiwi, te chłopaki to hirolsi...*)

Później nadeszła kolej Edgara. Rozległy się gromkie brawa, które zaskoczyły Remy'ego, ludzie wstali z miejsc. Kobieta obok Remy'ego szepnęła do męża: „Jego ojciec”, na co mąż ze smutkiem pokiwał głową. I wtedy pojawił się syn Briana - z potarganą czarną czupryną i w rozpiętej białej bluzie od dresu. Najwyraźniej zdjął opaskę. Prezentował się dobrze, chociaż może był trochę za chudy, ale dziwnie wyglądał tam daleko, w ostrym świetle. Wydawał się starszy i drobniejszy. Usiadł przy małym stoliku po lewej stronie sceny, gdzie ustawił szachownicę i pionki, które dostał od Remy'ego jako dziecko. Podeszedł do stojaka, wyjął mikrofon i wrócił do stolika z szachami. Przez dłuższy czas milczał i patrzył na szachownicę.

- Mój tata nauczył mnie grać - rzekł i usunął jeden pionek.

Remy poczuł dreszcz, patrząc na syna, który sam przy stoliku gra

w szachy.

- Mój tata pokazał mi, jak poruszają się wszystkie figury.

111

Edgar chociaż grał sam, wykonał ruch skoczkiem, aby bronić pionka.

- Na początku miałem problem ze skoczkiem. Pytałem zawsze: „Dwa pola w przód, a jedno w bok, czy jedno w bok, a dwa w przód?”. „To nie ma znaczenia” - odpowiadał ojciec - w efekcie staniesz i tak w tym samym miejscu.

Rozległ się cichy śmiech. Edgar wypowiadał sekwencje ojca przesadnie niskim głosem i pomiędzy każdą wypowiedzią zdawał się czekać na ruch przeciwnika, po czym znów pochylał się nad planszą. Ale po ojcowskiej stronie szachownicy nie poruszyła się ani jedna figura.

- „W efekcie staniesz zawsze w tym samym miejscu.” - powtórzył Edgar. - Tata zawsze pozwalał mi wygrywać - Przesunął kolejny pionek. - „Znów mnie masz, chłopcze”, mawiał. Ale pewnego razu, gdy miałem dziewięć lat, zdarzyło się coś niezwykle dziwnego. Zupełnie jakby szachownica otworzyła się przede mną i mogłem patrzeć we wszystkich kierunkach naraz. Spojrzałem w górę i wiedziałem, że on nie umie tak patrzeć na szachownicę. I że nigdy nie będzie w stanie zobaczyć jej w taki sposób. Wtedy go pokonałem. Naprawdę pokonałem. Bezdyskusyjnie. Myślę, że tamtego dnia pił. Mój tata pił trochę. Potem to on wygrał, ale w przyszłości pozwolił mi nadal wygrywać. Tej jednej nocy ujrzałem jednak strach w jego oczach, strach, bo wiedział, że bezdyskusyjnie go pokonałem. Że przegrał z dziewięcioletnim synem.

Edgar wysunął swojego drugiego skoczka.

- Mój tata był oficerem policji, ale zawsze chciał być kimś więcej, stu

diował więc prawo wieczorowo. Ale go nie ukończył. Przez jakiś czas pracował jako oficer łącznik między policją a urzędem miasta. Zapytałem go kiedyś, kim jest łącznik, na co on odparł, że to osoba, która znajduje się w połowie drogi między różnymi rzeczami. Tak właśnie myślałem o ojcu. Jak o kimś, kto musi pokonać tylko połowę drogi do miejsca, do którego chce dotrzeć. Pewnego razu powiedział mi, że zawsze chciał zobaczyć Zachodnie Wybrzeże, ale najdalej dotarł do Chicago. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: skoro jest to twoim marzeniem, to dlaczego tak ci trudno pojechać na Zachodnie Wybrzeże? Przecież nie wybierał się do Tybetu, prawda?

Rozległ się kolejny pomruk śmiechu, a Remy musiał zwalczyć pokusę, żeby wstać i bronić własnego życia. Człowiek myśli, że na takie rzeczy jak podróże zawsze jeszcze będzie czas, a potem tak po prostu mu to umyka. Nie wstał jednak.

112

- Więc taki był mój ojciec - ciągnął Edgar - i wtedy, gdy pokonałem go w szachy, a potem na niego spojrzałem, przez dłuższy czas widziałem już tylko tę niedokończoną połowę jego życia. Może właśnie tak wygląda życie dorosłych: osiągasz pewien wiek i twoje istnienie w większej mierze definiują rzeczy, których nie zrobiłeś, niż te, które zrobiłeś.

Edgar patrzył na szachownicę, ale po jednej stronie nikt nie wykonał żadnego posunięcia. W końcu chłopiec się podniósł.

- Tej nocy, gdy mój tata nie wrócił do domu, stałem przy oknie w swoim pokoju i rozmyślałem, co wynika ze wszystkich rozmów, które z sobą przeprowadziliśmy, i ze wszystkich uczuć, które mieliśmy względem siebie, zarówno tych omawianych, jak i tych przemilczanych. Czy

wszystko po prostu... wyparowało? Czy dana rozmowa wciąż istnieje, skoro jej jeden koniec nadal tu jest? Czy też może wszystko znika w momencie, gdy zderza się z powietrzem?

Ludzie mówią o bezwarunkowej miłości rodzica do dziecka, ale tak naprawdę to nie to. Tak naprawdę jest odwrotnie. Rodzice decydują się na posiadanie dzieci. Ale jeszcze nigdy żadne dziecko nie zdecydowało się na posiadanie rodziców. Gdy pewnego dnia otwierasz oczy, oni po prostu są. I nie możesz pouprawiać seksu, żeby mieć więcej rodziców, jeśli tych dwoje się nie sprawdzi.

Tym razem rozległ się gromki śmiech. Edgar był zabójczy. On również się śmiał, rzucając to tym wszystkim zapatrzonym w siebie, jakby to były chłopięce przemyślenia.

- Zawsze wyglądało na to, że tata ma na końcu języka coś ważnego do powiedzenia, coś, co właśnie zamierzał wypowiedzieć. Tej nocy, gdy nie wrócił do domu, zastanawiałem się nad tym. Nad tym, w jaki sposób zwykle myślimy o sprawach, o których chcielibyśmy powiedzieć. Nie wiem, co bym powiedział mojemu ojcu. Ale wiem, czego bym nie powiedział. Nie powiedziałbym: „Tato, nawet, jeśli ja cię nie kochałem... nigdy nie chciałem, żebyś ty przestał kochać mnie”.

Edgar włożył na chwilę ręce do kieszeni, potem wyjął je i wrócił do stołu, na którym stały szachy.

- Nigdy tego ojcu nie powiedziałem, ale gdy skończyłem dziewięć lat, mogłem go pokonać w szachy, kiedy tylko chciałem. Pozwalałem mu, żeby pozwalał mi wygrywać.

Edgar sięgnął ręką, żeby zabrać pionek i w tym momencie światło

reflektora zgasło.

Siedział na miejscu pasażera w jakimś nieoznakowanym samochodzie i przez lornetkę obserwował wejście do restauracji. Tylne drzwi były pomalowane na czarno, okno zasłonięte żelaznymi kratami, puste pudełka i pojemniki na śmieci ułożono w stos po drugiej stronie. Remy zerknął okiem na siedzenie kierowcy, gdzie Markham czytał „National Geographic”.

- Jest coś? - zapytał Markham.

Miał na sobie schludny beżowy garnitur.

Remy spojrzał w dół. On również był ubrany w garnitur, nowy, ciemnoniebieski. Ponownie spojrzał przez lornetkę.

- Nie sędzę.

Markham przewrócił stronę w czasopiśmie.

- Ej, Brian, wiesz, ile czasu spędzają ze swoimi partnerkami jele nie?

-Nie.

•Spróbuj zgadnąć.

•Nie wiem.

•Wiem, że nie wiesz. Dlatego chcę, żebyś zgadł. Gdybyś wiedział, nie zgadywałbyś, powiedziałbyś mi i jaki by to miało sens?

•Och... całe życie?

•Nieee. Jeden dzień. Dasz wiarę? Jeden dzień. Cały gatunek zdolny tylko do przelotnej przygody. Czy to nie doskonałe? Gdybyś był jeleniem, oczywiście...

Remy opuścił lornetkę na kolana.

- Nie wiem.
- Nie sądzisz, że jeleni jest seksowny? Jak na zwierzę?
- Nie powiedziałbym - odparł Remy.
 - A ja tak. Nie... no wiesz, nie dla mnie konkretnie. Nie mówię, że koniecznie chciałbym się kochać z jeleniem. Ale sposób, w jaki się łączą, duże tyłki, długie nogi, one są jak ludzie. I mają takie słodkie pyszczki. Cholera, przeleciałbym jelenia. To znaczy, gdybym był jeleniem. Wiesz? Nie mogę tak powiedzieć o każdym zwierzęciu. Gdybym był hipopotamem? Niee. Albo szopem czy czymś takim. Chyba żyłbym w celibacie.

114

Albo kotem? Nie ma mowy. Myślałbyś, że bylibyśmy bardziej atrakcyjni dla goryli albo dla innych naczelnych, ale innych niż te małe czepia-ki, a ja jakoś tego nie widzę. Ale jeleni... nie wiem, potrafię to sobie wyobrazić, tę ideę wszystkich samców, żeby raz do roku pokryć długonogą łanię, a potem uciec do lasu.

Remy ponownie przyłożył lornetkę do oczu. Mężczyzna oddalał się uliczką od tylnych drzwi, plecami do Remy'ego. Niósł plastikową reklamówkę i szedł w stronę samochodu zaparkowanego w alejce.

- Szukamy kogoś?
 - Czy to on? - zapytał Markham. Zabrał Remy'emu lornetkę. - Tak. To on. To nasz przyjaciel. Chodźmy.

Markham rzucił czasopismo na tylne siedzenie.

- Nie zapomnij aktówki.

Remy sięgnął po teczkę, która leżała u jego stóp, po czym obaj z Markhamem wyskoczyli z samochodu i szybkim krokiem ruszyli alejką.

- Chcesz, żebym to ja mówił? - spytał Markham.

- Chyba tak będzie lepiej. Markham zwiększył tempo.

- Przepraszam. Mahoud?

Znajdujący się dwadzieścia kroków od niego Mahoud odwrócił się i odsunął od kabrioletu audi. Był gruby i łysy, trochę przypominał faceta z Bliskiego Wschodu. Pod czarną wiatrówką miał tunikę.

- Mahoud. Jestem Markham, a to pan Remy - Markham pokazał odznakę, którą mężczyzna wziął do ręki, obejrzał, po czym oddał.

- Jak się masz, Mahoud?- zapytał Markham.

- Niezbyt dobrze, jak możecie sobie wyobrazić - odparł - kilka godzin temu zgłosiłem ten akt wandalizmu w mojej restauracji i cały dzień czekałem, żebyście wreszcie przyszli.

- Owszem - odparł Markham - przekazali nam to zgłoszenie. Przepraszam. Mamy dużo takich spraw, jak się pan domyśla. Część z nich jest bardzo poważna. Musimy się skupić na tych, gdzie w grę wchodzi przemoc. Rodziny, dzieci... takie rzeczy... podlegamy w tych sprawach naszym szefom.

- Rodziny? Och. O mój Boże.

Mahoud spojrzał na Remy'ego, oczyma ciemnymi i zagadkowymi.

115

- Nie miałem pojęcia o przemocy. No. Spójrzcie tutaj. Chcecie zobaczyć ten list? Mam go. Chciałem go właśnie zanieść na komisariat.

Mahoud otworzył torebkę i pokazał im list. Ktoś napisał czerwonymi drukowanymi literami: „Wracaj do domu, wielbłądzi wypierdku. Wiemy, gdzie mieszkasz". Do kartki przypięto pomarszczony, różowy i trójkątny fragment skóry.

- Czy to świńskie ucho? - zapytał Markham
- Jakiś dureń pomyślał sobie, że to będzie niezły dowcip, nie? - powiedział Mahoud. - Dać muzułmaninowi ucho świni - Zmarszczył brwi, z goryczą patrząc na obu mężczyzn. - Nawet nie mogę na to spojrzeć, taki jestem wściekły. Mój syn walczy w amerykańskiej armii. Mój syn! Oczy Mahouda zaszyły łzami.

Remy patrzył na list. Zrobiło mu się niedobrze. Te drukowane litery. To W. Jezu... znał to pismo.

- No cóż. - Markham wyjął z tylnej kieszeni notatnik. - I rozumiem, że wrzucili kamień przez okno?
- Tak. Ten liścik i ucho świni były przylepione do kamienia taśmą izolacyjną. To okno będzie mnie kosztowało ze czterysta dolarów. Czterysta dolarów! I nie mogę liczyć na odszkodowanie z polisy.
- Tak. To trudne.
- Wystawiłem dzisiaj tablicę, na której napisałem: „Jestem Pakistańczykiem, nie Arabem!”, ale wiecie, co myślę? Lepiej było tego nie robić. Myślę, że w tym kraju nie powinienem wyjaśniać, że nie jestem terrorystą. Sądzę, że to wyłącznie moja sprawa i niczyja więcej.

Był wkurzony. Otarł usta.

- Tak, to trudne, Mahoud. Chciałbym móc coś zrobić, ale jest wiele takich spraw, dotyczących prześladowań i... szczerze, między nami... ciężko jakąś przesunąć wyżej w kolejce... tylko z powodu kamienia.

- Markham schował notatnik do kieszeni. - W zasadzie musimy się skoncentrować na tych sprawach z użyciem przemocy. Jak pewnie się domyślałeś. Wiem, że to nikła pociecha. - Markham popatrzył na Remy'ego - ale jak kogoś skrzywdzą, wrócimy tu.

- To oburzające - powiedział Mahoud - Ja też jestem obywatelem tego kraju.
- Nie - odparł Markham - nie, masz rację. To znaczy... jedyne, co mogę zrobić, to napisać raport i jakieś dobre słowo o tobie. A potem...

116

kurde, przepraszam. - Odwrócił się do Remy'ego. - Chyba, że masz jakiś inny pomysł, partnerze?

Remy ciągle gapił się na list, próbując zrozumieć, jak...

Markham odwrócił się, żeby odejść, ale nie zrobił nawet kroku, gdy z powrotem odwrócił się do Mahouda.

- Wiesz co, Mahoud. Jest jedna rzecz. Może mógłbym pójść i wstawić się za tobą u przełożonych. Zobaczyć, czy nie mógłbym poświęcić temu specjalnej uwagi.
- Mógłby pan to zrobić?
- Taak, może, gdybyś okazał się... nam pomocny winnym obszarze naszego śledztwa, moglibyśmy dokładniej przyjrzeć się sprawie twojego prześladowania. - Spojrzał na Remy'ego. - Jak myślisz, Brian? Myślisz, że to byłoby możliwe?

Remy tylko na niego patrzył.

- Taak - Markham zachowywał się tak, jakby Remy się z nim zgodził. - Masz ciągle te zdjęcia, prawda, Brian? Może Mahoud mógłby się im przyjrzeć i pomóc nam?

Remy spojrział na aktówkę, którą trzymał w ręku. Otworzył ją. Znajdowały się tam trzy kartki, a na każdej z nich widniało sześć zdjęć z kartoteki. Wszyscy przedstawieni na fotografiach mężczyźni pochodzili z Bliskiego Wschodu. Remy podał je Markhamowi i otarł pot z twarzy.

-Mamy tu paru obcych bez dokumentów, których usiłujemy znaleźć - rzekł tamten nonszalancko. - Kilku koleśków, którzy, jak sądzimy, nie są mile widziani w tym kraju. Pokazujemy te zdjęcia właścicielom restauracji, firmom taksówkarskim, no wiesz... żeby sprawdzić, czy ktoś pamięta, że może zatrudniał któregoś z tych facetów. Może, jeśli widziałeś któregoś z nich, Mahoud, moglibyśmy poświęcić więcej uwagi twojej obecnej sytuacji. Dla spokoju twojej rodziny.

Mahoud popatrzył na Markhama, na Renr/ego i znów na Markhama.

- Nie rozumiem... Markham wzruszył ramionami,
- Tylko się im przyjrzyj. To pewnie nic takiego. Mahoud zerknął na pierwszą kartkę.

- Nie - rzekł - żaden. - Obejrzał drugą i popatrzył na nich, czerwony na twarzy.

117

- To mój szwagier, Bishir. Młodszy brat mojej szwagierki.
 - Co? - Markham popatrzył na Remy'ego, a potem na Mahouda.
- Naprawdę? Który? Ten? Ten przystojniaczek?

Ale Mahoud nie pokazał mu, który to. Zerkał to na Markhama, to na Remy'ego.

- Mówiłem tym innym agentom, którzy przyszli do mojej restauracji, że nie widziałem go od ponad roku. Moja żona powiedziała im to samo. Cztery razy powtarzaliśmy to agentom. Czemu ciągle mnie pytacie, jakbym wiedział, gdzie jest Bishir?
- A wiesz?
- Czy wiem? Markham spoważniał.

- Czy... wiesz, gdzie jest Bishir?
- Nie! Nie. Mówiłem wam! Markham się uśmiechnął.

- Słuchaj, to po prostu małe nieporozumienie. Nic więcej. Żadna wielka sprawa. Nie mieliśmy pojęcia, że już ci to pokazywali, Mahoud, inaczej nie zabieralibyśmy ci czasu. To nie tak, my nie próbujemy prześladować ludzi - zaśmiał się wymuszenie, piskliwie.

Mahoud cofnął się o krok.

- Dlaczego kontaktujecie się ze mną w tej uliczce, zamiast przyjść pod restaurację? Nie chcieliście, żeby ktoś zobaczył, że tu przyszliście?
- ...Co? - Markham włożył ręce do kieszeni. - Daj spokój, Mahoud... Nie popadaj z naszego powodu w paranoję. Wiem, że jesteś dobrym obywatelem.
- Owszem - potwierdził Mahoud.
- I że zrobiłbyś wszystko, żeby pomóc krajowi.
- Oczywiście.

• No więc, popatrz na to z tej strony. Teraz masz szansę. Mahoud zasłonił dłonią usta.

• Kim jesteście?

- Słuchaj, nie ma sensu się denerwować. Jedyne, co masz zrobić, to pomóc nam znaleźć Bishira. - Markham spojrzał na Remy'ego i znów na Mahouda. Głosem tak cichym, że ledwo dało się go słyszeć, dodał:

- Może będziemy mogli chronić twoją rodzinę.

- Mój Boże. Ja nie... - Głos Mahouda się załamał. - Proszę! - Znow zrobił krok w tył. - Może w Miami... tam było dwóch braci, których... znał. Assan i ...Kamal. Ostatnia rzecz, jaką słyszałem to to, że jeden z nich był w Miami.
- Okay - rzekł Markham. - Okay. - Podał Mahoudowi notatnik. - Zapisz imiona braci. Nawet nie wspomnę, że mi je dałeś. Brzmi nieźle, Mahoud?

Mahoud bez słowa nabazgrał na bloczku imię.

- Musisz spojrzeć na jeszcze jedno zdjęcie - rzekł Markham. Wyciągnął rękę do Remy'ego. Ten zajrzał do walizki i spostrzegł odbitkę, która uciekła mu gdzieś na bok. Wyciągnął ją. To było zdjęcie March Selios z Bishirem. Remy podał je Markhamowi, który machnął nim przed oczyma Mahouda.

- Pamiętasz ją, Mahoud? Dziewczynę Bishira, March. Pamiętasz ją?

Mahoud przyjrzał się dziewczynie.

- Tak. Myślę, że tak. To było jakieś dwa lat temu. Bishir miał... dużo dziewczyn. Chodzili ze sobą.

- Wiesz, dlaczego zerwali? Mahoud czuł się skrępowany.
- Nie słucham babskiej gadaniny.
- A wiesz może, czy był z nią w ciągłym kontakcie?

- Nie, nie mam pojęcia. Słuchajcie, mówiłem wam... Bishir od ponad roku nie kontaktował się z moją rodziną. Przykro mi - powiedział to do Remy'ego, który musiał skierować wzrok w inną stronę. - Nie mogę wam pomóc go znaleźć. Ani jej. Przykro mi.

Markham zabrał zdjęcie March Selios.

- Dobrze. Sprawdzimy to. Doceniam twoją pomoc. Naprawdę. Nie masz nic przeciw temu, żebyśmy się skontaktowali, gdybyśmy znów potrzebowali twojej pomocy, prawda, Mahoud? To znaczy... jeśli to znaczy, że będziemy mogli ochraniać twoją rodzinę.
- Kim jesteście? - ponownie zapytał Mahoud.
- Och... jeszcze jedno pytanie - rzekł Markham. - Mimowolnie zauważyłem, że w menu macie osobliwe danie. Solę w pekanach. Czy to jakieś popularne śródziemnomorskie danie?
- Mamy różnorodne menu. Podajemy także makaron ryżowy i wiele rodzajów pizzy.

119

- Jasne. - Markham świdrował wzrokiem właściciela restauracji. - Różnorodne. Cóż, będziemy musieli kiedyś przyjść i spróbować twoich potraw.

Mahoud cofnął się, odwrócił i pośpiesznie odszedł. Remy i Markham odprowadzili go wzrokiem i udali się do samochodu.

- Cholera, dobry jesteś. - Markham zachichotał pod nosem. - Kiedy się zmieniłeś w takie ciche coś... to naprawdę mrozące krew w żyłach. Niemy glina, zły glina, nie?

Remy otworzył drzwiczki auta i usiadł, próbując złapać oddech i przypomnieć sobie... Nie czuł się dobrze.

- Słuchaj, chyba już nie mogę tego robić.

Markham przyglądał mu się dłuższą chwilę. Uliczka była cicha, wielkomijski gwar zdawał się tu nie docierać.

- Dobra - powiedział w końcu Markham. - Następnym razem ja rzucę kamieniem, a ty będziesz gadał.

Remy stał na krawężniku przed domem, w którym mieszkał i patrzył na spadające z nieba płatki. Każdy jawił się świetlisty od środka, każdy niczym słodka tajemnica. Przyszło mu do głowy, że może ten padający śnieg to tylko wytwór jego oczu, i chociaż szybko odrzucił ten pomysł, wydało mu się dziwnie prawdopodobne, że śnieg pada w jego ciele szklistym. Zamknął oczy, ale płatki były inne, swojskie przepływy tkanki, szydzące z prawa ciężenia, to w górę, to znów w dół. Kiedy podniósł powieki, śnieg ciągle padał. Ręką poszukał szwów na głowie, ukrytych w krótkich włosach. Już miał wracać do środka, gdy długa limuzyna zatrzymała się nagle i zajęła przed budynkiem dwa miejsca do parkowania. W samochodzie nie było widać oznak życia, aż w końcu szyba tylnego okna opadła ze świstem. Remy podszedł bliżej i wśliznął się pomiędzy dwa zaparkowane samochody, żeby zobaczyć wyłaniającą się z ciemności owalną twarz Szefa. Schylił się, by zajrzeć do środka, a oczy szybko przystosowały się do mroku. Szef miał na sobie smoking, naprzeciw niego siedział gruby szef policji, również w smokingu ciasno zapiętym pod szyją, jakby to był wąż, a on sam byłby właśnie przelykanym dzikiem. Zaczął opowiadać jakąś historię, ale przestał mrużyć, gdy Szef złapał go za rękę. W samochodzie siedziało jeszcze po bokach dwu mężczyzn, młodzi faceci w małych, okrągłych okularach. Trzymali dyktafony.

120

- Cześć, Brian - powiedział Szef. - Przepraszam, nie mogłem się tu wcześniej dostać.

Szyba powędrowała do góry, Remy cofnął się, a drzwi stanęły otworem.

Szef wysiadł z auta, a za nim jeden z młodych okularników.

- Przejdźmy się - powiedział Szef i jednym pchnięciem zatrzasnął

za sobą drzwi. Szli chodnikiem śledzeni przez długi samochód, który trzymał się ich jak wierny pies, i przez młodego chłopaka, idącego z dyktafonem kilka kroków za nimi.

Gdy Remy obejrzał się przez ramię, Szeff również rzucił okiem na chłopaka i wzruszył ramionami.

- Wyrobnik - rzekł Szeff.

Wyrobnik nie zauważył, że go zauważono. Szeff spojrział na Remy'ego.

- Może mi więc powiesz, Brian, o co w tym wszystkim chodzi? Remy nie cierpiał takich sytuacji.
- Ja... pana wezwałem? Szeff się zaśmiał.

- Właśnie. Słuchaj... przepraszam, że tak długo trwało, zanim tu przybyłem. Jak zadzwoniłeś po raz pierwszy, pomyślałem, że muszę porozmawiać z wydziałem prawnym miasta, żeby się dowiedzieć co... możemy dla siebie zrobić, skoro formalnie ciągle jestem na publicznym garnuszku. Ale teraz jestem tu. O czym myślisz?
- Nie wiem. - Remy znów spojrział na wyrobnika, ale ich spojrzenia się nie spotkały. - Nie jestem pewien... - powiedział do Szefa. - Ta sprawa, nad którą mam pracować...
- Czekaj - Szeff złapał Remy'ego za ramię i podniósł rękę, jakby nie chciał usłyszeć ani słowa więcej. Kiwnął głową na wyrobnika, który wyłączył dyktafon i cofnął się o kilka kroków. Potem Szeff zwrócił się do Remy'ego:
- Mów dalej.
- No po prostu... - Remy szukał słów -.. .przeżywam trudny okres... rwie

mi się ciąg zdarzeń. I mogłem zrobić... - Spojrzał przez ramię na wyrobnika, który trzymał ręce w kieszeniach, i przysunął się do Szefa.

- Mogłem zrobić trochę... bardzo złych rzeczy, proszę pana.

Szef wymierzył palec w twarz Remy'ego.

121

- Słuchaj. Ani się waż wątpić w siebie. Wiem z całą pewnością, że nie zrobiłeś niczego, co nie byłoby konieczne. Prawdę mówiąc, słyszałem... - przerwał - nieoficjalnie... bardzo dobre rzeczy... z samej góry. Rozumiesz?

Bezgłośnie wypowiedział słowo, które mogło oznaczać „Pentagon”.

- Twoja zaradność i poświęcenie, Brian... Ruszasz do walki o... na prawdę podejmujesz heroiczne próby... prawdziwe dowództwo... pokazujesz, że my nie... Nie mogę zacząć...

Remy potarł skronie.

•Czekaj. Chyba wiem, co cię trapi - rzekł Szef.

•Naprawdę?

- Jasne. Czujesz się samotny.

-Tak.

- Myślisz, że ja tego nie czuję? - Machnął ręką, wskazując miasto.

- Wzięliśmy na siebie ich strach. A teraz oni myślą, że poradzą sobie bez nas? Bez nas? Myślą, że byle kto może nas zmienić? Po tym wszystkim, co zrobiłem dla tych małych przerażonych sukinsynów? - Szef splunął tym ostatnim słowem i zakasłał. - Nie.

Zerknął na Remy'ego i najwyraźniej zrozumiał, że mówi o sobie.

- Brian, nam to zawdzięczają. To, cośmy odkryli tamtego dnia... to ma prawdziwą wartość. Może przynieść fortunę. Pomóc wygrać

wybory. Wojny. Ta rzecz... może odmienić świat. Powinni być nam wdzięczni.

Szef rozejrzył się po spokojnej okolicy.

- Tymczasem co to wszystko znaczy? O to pytasz, prawda? Remy nie był pewien.
- Może - odparł.

Szef skręcił między parkometry w stronę limuzyny, która zatrzymała się obok niego. Ten długi samochód wyglądał jak jakiś żywy przedmiot, jak pełzająca, długa, śliska i czarna jaszczurka, która go ochraniała. Otworzył drzwiczki i kiwnął na swojego wyrobnika, który wślizgnął się na tylne siedzenie w sam raz, żeby dosłyszeć koniec anegdoty, którą opowiadał szef policji

- ...trzy tajlandzkie prostytutki i butelka sake.

Szef słuchał przez chwilę, po czym ruszył w stronę chodnika, aż znalazł się o kilka kroków od Remy'ego.

122

- Słuchaj - powiedział cicho - musisz wierzyć w to, co robisz. Dam ci dwa zwykłe słowa, które cię nakręcą. Dwa słowa, które pozwolą ci zrozumieć, dokąd to prowadzi, które ocalą ciebie i mnie, ocalą cały kraj. I to nie jest żadna ścierna.

Remy czekał na te dwa słowa.

- Zamknij oczy - powiedział Szef. -Co?
- Zamknij te pieprzone oczy, Brian.

Remy zawahał się, ale w końcu zamknął oczy, a gdy to zrobił, ujrzał coś w rodzaju zatrzymanej w kadrze rzeczywistości: czarny ekran pełen opadających i przemykających płatków śniegu, niczym jakieś bestie

czołgające się pod soczewkami mikroskopu. Papier opadał przed rozkwitającą ciemnością.

Szef wypowiedział te dwa słowa:

- Sektor. Prywatny.

Przez chwilę Remy stał z zamkniętymi oczami, czekając na coś jeszcze. Usłyszał trzask drzwiczek samochodu, a gdy podniósł powieki, zobaczył, jak limuzyna wolno odjeżdża, światła stopu błysnęły na rogu, ich czerwone ślepie omiotły go ostatni raz, a potem duży samochód skręcił i zniknął za rogiem...

Siedział sam przy autostradzie, na obrzeżach miasta, w nowym fordzie excursion, który dostali od FEMY. Gapił się na wielki znak drogowy na poboczu. Silnik forda był wyłączony. Obok śmigły samochody. Rozglądał się. Musiała tędy przejść burza. Pobocze było mokre. Liście przyklepione do jezdni. Niebo było ciemne i wyglądało porowato, jak pumeks, a w powietrzu Remy wciąż czuł zapach deszczu. Rozejrzał się wokół, ale nie rozpoznał odcinka autostrady, na której się znajdował. Wyglądało na to, że znajduje się na przedmieściach jakiegoś miasta czy miasteczka, gdyż rząd drzew osłaniających przed wiatrem oddzielał go od zabudowań i centrum handlowego. Popatrzył na zegarek. Druga. Na dworze było jasno. Druga po południu. Spojrzał ponownie na znak reklamujący jeden ze sklepów w centrum handlowym. Górną część napisano kursywą: „Czyste Wnętrze”. Dolną część znaku stanowiła tablica z przesuwanymi drukowanymi literami. Widniały na niej zdania: „Boże, błogosław Amerykę. Codziennie dostawa nowych mebli”.

Na kolanach Remy'ego leżała ćwiartka irlandzkiej whisky. Trzęsły mu się ręce. Napił się i spojrzał na znak: „Boże błogosław... Nowe meble”. Gapił się tak, dopóki nie pojawiło się groźne poczucie, że te słowa mają jakiś sens, wtedy włączył silnik i ruszył. Minął dwa kolejne przejazdy, których także nie rozpoznał, a po jakimś czasie przestało już być dla niego istotne, gdzie się znajduje, więc po prostu jechał dalej.

- Chce pan usłyszeć to jeszcze raz? - głos załamał się, uspokoił, a po tem zadrzał. Mężczyzna odchrząknął.

- Przepraszam.

Był ubrany w ubrudzone mąką granatowe spodnie i biały podkoszulek, ukazujący grube, spracowane ręce. Miał pewnie koło pięćdziesiątki. Prosta, dobroduszną twarz, skóra oliwkowa i okolona kręconymi czarnymi włosami, w zaczerwienionych oczach zbierały się łzy. Remy siedział w małym pokoju stołowym na dwuosobowej kanapie z przetartym pokrowcem, a mężczyzna stał nad nim. Otaczały go rodzinne zdjęcia: młodzi, starzy, dzieci, fotki z wakacji. Na kilku zdjęciach Remy rozpoznał March Selios. Mężczyzna naprzeciwko niego, najprawdopodobniej jej ojciec, trzymał w ręku automatyczną sekretarkę, jakby to była jakaś święta relikwia.

Remy zajrzał do swojego notatnika. Zapisał tam wcześniej słowa: „Chciałam, żebyś to wiedział”. Te słowa były podkreślone. Następna uwaga to: „Dwadzieścia minut wcześniej”. I jeszcze: „Powiedzieć do widzenia?”

- Przepraszam - rzekł Remy. - Może niech pan to puści jeszcze raz.

Ojciec March kiwnął głową, zebrał siły i zadrzał, naciskając duży czarny przycisk na sekretarce. Pokój wypełnił młody kobiecy głos: „Cześć

mamo, cześć tato" - w pokoju za Remym zaszlochała kobieta.

- „Tu March. Pewnie jesteście w drodze do pracy. Hm... tak sądzę... Chciałam tylko pogadać. Miałam coś w rodzaju...” - March Selios westchnęła w automacie telefonicznym. W jej głosie brzmiało zmartwienie.
- „Okay. No. To ryle. Chciałam tylko, żebyście wiedzieli, że kocham was oboje i że ja... Chciałam tylko, żebyście to wiedzieli. No to... pa, pa, na razie” - odrobina smutku na końcu, a potem mechaniczny głos: „Wtorek, szósta pięćdziesiąt osiem”.
 - Dzięki - rzeki Remy.

124

Twarz pana Seliosa była zalana łzami. Ścierał je, jakby miał do czynienia z moskitami, które mógł powybijać.

- Zawsze wychodziła do pracy wcześniej, ponieważ pracowała nad różnymi sprawami dotyczącymi Europy i Bliskiego Wschodu, a to inne strefy czasowe. Dzwoniła zawsze wtedy, gdy wiedziała, że już wyszliśmy do restauracji. Myślę, że czasami chciała do nas mówić, ale nie chciała, żebyśmy my mówili do niej. Nie mogliśmy zadawać jej pytań na temat prywatnego życia.
- Połączenie nastąpiło o szóstej pięćdziesiąt osiem?
 - Tak - odparł - około siódmej, tamtego rana... - zasłonił usta.

Szósta pięćdziesiąt osiem w mieście tamtego dnia. Czterdzieści minut przed. Kilka minut po tym, jak według słów mechanika dostała telefon, który nią wstrząsnął. Na kilka minut przed odejściem od biurka.

Matka March Selios, wysoka i ładna kobieta o szerokiej twarzy i czarnych włosach przetykanych srebrnymi kosmykami weszła z filiżanką kawy do pokoju. To ją słyszał Remy płaczącą w kuchni. Próbowwała

doprowadzić się do ładu, ale jej oczy były czerwone i za-puchnięte.

- Proszę. - Postawiła filiżankę przed nim na stole, na którym leżało mnóstwo albumów ze zdjęciami, szkolnych ksiąg pamiątkowych i listów.

- Dziękuję - odparł Remy.

Uniósł filiżankę i wtedy właśnie żona padła mężowi w objęcia.

Tulili się, a ramionami kobiety wstrząsał szloch. Jej mąż też płakał, zmuszał się jednak, by robić to cicho. Remy był uwięziony w pokoju, bo oni stali w drzwiach, a on siedział na kanapie.

- Proszę nam na moment wybaczyć - wykrztusił z siebie pan Selios.

- Oczywiście - odparł Remy - niech się państwo nie śpieszą.

Wyszli z pokoju, a on przetarł oczy. Schował notatnik do kieszeni i rozejrzał się po pokoju. Podniósł jeden z albumów. Znajdowało się tam takie zdjęcie rodzinne: rodzice, March, mały chłopiec i jeszcze jedna dziewczyna, starsza siostra, wyglądająca jak szczuplejsza i lżejsza wersja March, ładna, z ciemnymi włosami i dziwnie znajoma. Czy ją przesłuchiwał i zapomniał o tym? Czy to wrażenie brało się stąd, że przypominała March? Przebiegł wzrokiem kartki i znalazł ślubne zdję-

125

cia siostry. March jako pierwsza drużna, młodszy brat, który też miał ciemne włosy i brwi, był również drużbą weselnym. Remy popatrzył znów na pannę młodą.

- March...

Remy'emu zaschło w gardle. April?!

Gapił się na zdjęcie. Mogło tak być, chociaż teraz nie mógł sobie przypomnieć jej twarzy, tylko tył głowy, dziewczyna, którą miał... April?

April Kraft?

Wstał i rozejrzył się po pokoju. Wszędzie stały zdjęcia obu siostr, ale na żadnym nie było tyłu jej głowy... zdjęcia uczennic przed zwykłymi krzesłami i sztucznymi grotami, niepozowane fotografie w piżamach ze stopkami robione w święta Bożego Narodzenia. March. April. Czy to w tych miesiącach się rodziły? Kolejny imigrancki trik, żeby sprawiały bardziej amerykańskie wrażenie? A jak ma na imię brat... June? Remy ponownie usiadł i potarł skronie. Czy spał z siostrą March Selios, bo tak chciał, czy dlatego, że potrzebował informacji? Był nią szczerze zainteresowany czy... nie chciał myśleć o alternatywie. W gardle miał słono i sucho.

Pan Selios wrócił do pokoju.

- Panie Remy, musi pan wybaczyć mojej żonie. Dwadzieścia lat jej przybyło. To ciężki okres dla naszej rodziny.
- Tak. - Remy udawał, że koncentruje się na notatniku.
- Państwa druga córka...
 - April... to musiało być dla niej najcięższe, powiedziałbym, stracić ich oboje.

Głowa Remy'ego opadła na kanapę.

- Niestety, April i ja... - pan Selios zmarszczył brwi - właściwie nie rozmawiamy ze sobą. Nie rozmawialiśmy od lat. Pierwsza wyszła z domu i wtedy powiedziałem parę rzeczy... myślałem, że to pomoże jej zrozumieć... ale ona ciągle ze mną nie rozmawia. Nawet nie przyszła na pogrzeb March - Pan Selios wzruszył ramionami. - Może stracić March i Dereka tego samego dnia to było dla niej zbyt wiele.
- Derek... jej mąż?
 - Tak - odparł - byli w separacji, gdy to się stało. Pracował w tym samym

budynku, co March. Jako kontraktowy prawnik w innej firmie.

- Derek... Kraft?

-Tak jest.

126

- Jak się poznali?

Pan Selios nie wyglądał na zdziwionego, że Remy zmienił temat i zainteresował się jego drugą córką.

- March ich sobie przedstawiła. Jej firma współpracowała przy kilku kontraktach z jego firmą, przypuszczam więc, że March pomyślała, że on i April się zaprzyjaźnią - Pan Selios westchnął. - Byłem wściekły. Uważałem, że Derek to facet agresywny wobec kobiet. Szczerze mówiąc, byłem przeciwny temu małżeństwu. Derek był starszy i... nazbyt szybki. Wszystko, co się z nim wiązało, było szybkie. Musi pan zrozumieć, ja nie chciałem, żeby moje córki przenosiły się do miasta, zwłaszcza April. O March się tak nie martwiłem. Chociaż była młodsza, zawsze wydawała się... rozsądniejsza. Ciągle martwiłem się o April. Nie podobało mi się, że sprzedaje nieruchomości. Nie jest handlarą. Ma umysł poetki, jest zbyt wrażliwa i... świadoma. Zbyt ufna.

Remy czuł, że ma zęby suche jak papier ścierny.

•Chciałem, żeby April dostała mężczyznę stąpającego twardo po ziemi, nie takiego przyznanego prawnika, nie takiego szybkiego. Odmówiłem więc sfinansowania wesela i... - pan Selios odchrząknął - April się rozłościła i powiedziała, że nigdy nie oczekiwała, iż zapłacę za wesele. Ja odparłem, że ona przynosi hańbę rodzinie - Zasłonił usta, ale przywołał się do porządku. - Panie Remy, jest pan żonaty?

•Rozwiedziony.

- Ma pan córki?
- Syna - i prawie dodał: „...który uważa, że nie żyję”.

Pan Selios kiwnął głową i spojrzał na zdjęcie swojego syna.

- Synowie to diabelska zapłata, prawda?
- Pański syn...
- Augustus. Gus.
- Tak - powiedział Remy. - Gdzie on teraz jest?

- Jest w... - przerwał, jakby zbyt trudno było się do tego przyznać.

„Wwiezieniu?” - zastanawiał się Remy. - „W jakiejś sekcie?”

- W showbiznesie - dodał pan Selios. - Mieszka w Los Angeles.
- Och. Przykro mi.

Pan Selios wzruszył ramionami,

- Tak - powiedział. - Ale dziewczynki. Ach, dziewczynki - Oczy starego mężczyzny zaczerwieniły się pod czarnymi rzęsami. - Chyba

127

byłem porywczym i trudnym ojcem, panie Remy. Chociaż March wciąż ze mną rozmawiała, nigdy by jej nie przyszło do głowy, żeby opowiedzieć mi o swoim życiu. Obie dziewczynki uważały, że jestem... bardzo krytyczny. Staromodny. I pewnie taki byłem. Chciałem dla nich... tego, czego kobiety pragnęły przez wieki. To wszystko. Małżeństwo, dzieci... chciałem, żeby pracowały w rodzinnej restauracji, żeby zostały tutaj, w Kansas. Gdzie mógłbym je chronić - Pochylił głowę. - Kiedy March była ośmioletnią dziewczynką, miewała koszmary. Co noc... sen, że spada. Napinała się i krzyczała, a ja biegłem do jej łóżka, przytulałem ją i mówiłem, że wszystko

dobrze. Czy tak robi zły ojciec, panie Remy? Trudny człowiek, krytyczny?

-Nie.

Pan Selios podniósł głowę i otarł usta.

- Strasznie chciałbym wiedzieć, co jej się przydarzyło tamtego dnia. Oglądam telewizję jak najdłużej, ale w pewnym momencie muszę zawsze wyłączyć. Wyobrażam ją sobie zwiniętą pod biurkiem, jak płacze... albo jak spada... jak wtedy, kiedy była mała. Za każdym razem pokazują któregoś z tych spadających biedaków...

Łzy wezbrały i spływały po szczecinie na krągłych policzkach.

- Po prostu chcę wiedzieć - ciągnął łamiącym się głosem - co się stało. Może ta wiedza byłaby zbyt trudna, ale może zaznałbym trochę... spokoju.

Głos mu się trząsał. Mówił coraz słabiej, jakby przepychał każde słowo przez maskę.

- I tak... panie Remy, nie mogę sobie wybaczyć, że mnie tam nie było.
- Nic by pan nie mógł zrobić - zauważył delikatnie Remy.
- Mógłbym ją złapać - płakał pan Selios. - Złapałbym. Remy poczekał, aż pan Selios się opanuje i wstał.
- Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

Spojrzał na fotografię ślubną w otwartym albumie, a gdy wkładał płaszcz, zerknął jeszcze na zdjęcie policyjne, które przypiął sobie do notatnika: Bishir Madain.

- Zna pan tego człowieka? Pan Selios popatrzył na fotkę.
- Nie. Jak on się nazywa?

Remy wzruszył ramionami.

- Bishir Madain. Znał pańską córkę.

Pan Selios znów spojrzał na zdjęcie.

- Nigdy o nim nie słyszałem - westchnął. - Ale jak mówię, ona nie opowiadała mi takich szczegółów.
- Okay - Remy chciał schować zdjęcie, ale pan Selios wyciągnął rękę i powstrzymał go. Patrzył na fotografię i znów zaczęło mu się zbierać na płacz.

W końcu odszedł od zdjęcia i otarł łzy.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? - zapytał Remy. - Mówił pan, że April pozostawała w separacji z mężem, gdy on...
- Tak - odparł pan Selios - myślę, że od jakichś kilku miesięcy.
- Wie pan, co się między nimi wydarzyło?
- Wiem tylko tyle, co od March... że Derek nie był dla niej dobry.
- Czy ona... czy April była smutna?
- Ależ panie Remy - mężczyzna zbladł - on był jej mężem.
- Oczywiście. Przepraszam.

Podał filiżankę panu Seliosowi i wyszedł z pokoju.

Remy czasem marzył, żeby usłyszeć odgłos wypijanej whisky. Przechylić pół butelki, jak teraz tego dwunastoletniego Jamesona, żeby bąbelki uchodziły w górę z bulgotem, który z każdym łykiem uzyskuje coraz głębsze brzmienie. Powtarzał to raz za razem, a ciepło rozchodziło się po klatce piersiowej do ramion.

Był to gówniany pokój hotelowy: dwa podwójne łóżka stojące naprzeciw

telewizora na obrotowym stojaku. Miesięczna karta dekodująca kanał HBO leżała na szafce nocnej. Obok albo piętro niżej ktoś oglądał film pornograficzny. Słychać było łomot, syntetyzowaną muzykę oraz metronomiczne stękanie. Remy znowu zabalgotał trunkiem, ale tym razem po jego ciele rozeszło się trochę mniej ciepła. Ruszył w stronę drzwi. Otwierały się na korytarz piętra przydrożnego hotelu, który zakręcał podkrową wokół placu, gdzie parkowały ciężarówki, kampery i kilka sedanów. Smugi i męty w oczach wydawały się łagodne. Była noc, ale księżyc stał w pełni i Remy sięgał wzrokiem daleko, od parkingu gdzieś hen, poza wielkie, leżące odłogiem pole, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

129

Idąc przy poręczu, a potem w dół pokrytymi dywanem schodami i wreszcie na parking, cały czas niósł butelkę. Za motelem biegła autostrada i ten podkowiasty budynek stał do niej tyłem, zwrócony w stronę płaskiego ugoru. Remy przeszedł przez parking i zatrzymał się na skraju pola. Za plecami miał hotel, samotny na tle nieba niczym statek osiadły na mieliźnie. Kilka ciężarówek przetoczyło się po autostradzie, ale przed nim widniało tylko lawendowe niebo i płonąca dziura od blasku księżycowej pełni. Stado szarobiałych obłoków płynęło nad horyzontem, tej linii biegnącej na poziomie wzroku prosto i idealnie jak podłoga sceny. Kolory zmieniały się od czarnego przez fioletowy i siną czerwień do tej szarobiałej linii. Remy w życiu czegoś podobnego nie widział, nie dało się tego z niczym porównać. Zestaw równoległych linii: linia prerii i linia horyzontu, linia chmur, nie tylko linie i gorąca otchłań księżycy, nie tylko linie i plamki w oczach. No i bąbelki bulgoczące w szyjce butelki.

Gdy otworzył oczy, obok niego stał na parkingu jakiś mężczyzna. Był to ktoś, kogo, jak mu się wydawało, rozpoznawał, chociaż nie miał stuprocentowej pewności. Facet około sześćdziesiątki, z Bliskiego Wschodu. Nosił małe, okrągłe okulary i piękny wełniany płaszcz szarego koloru. Miał krótkie siwe włosy i kilkudniowe baczki na policzkach. Baczki i płaszcz tak bardzo do siebie nie pasowały, że Remy z trudem wyobraził je sobie u jednego mężczyzny. Stali na skraju pola, obok siebie, patrząc na zachodzące słońce.

- Tyle krajów w tym jednym kraju - odezwał się mężczyzna. - Na rody stapiające się z narodami, ograniczone łańcuchami gór i wielkimi rzekami. Czasami myślę, że ludzie przywykli wierzyć, że jeśli jeden kraj ich zawiedzie, mogą po prostu przenieść się na zachód i znaleźć inny. Ale potem kończy się miejsce.

Remy jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie. Miał brudne na kolanach džinsy i czarną koszulkę, a na tym, o dziwo, ten piękny wełniany płaszcz. Wyglądał nadzwyczaj znajomo.

- Znam pana - odezwał się Remy.
- Czyżby? - Mężczyzna spojrzał na niego znacząco.
- A nie znam? - zapytał Remy
 - Jak mógłbym zadowolająco na to odpowiedzieć? Pewnie mogę zapytać, czyja znam pana, ale byłoby bezczelnością z mojej strony, gdybym mówił panu, kogo pan zna.

130

Remy'emu nic nie przychodziło do głowy. Ale nawet to wydawało mu się znajome.

- Może mógłby pan chociaż powiedzieć, czy jestem na wschód czy

na zachód od Kansas City.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Tak. Jest pan.

Remy wziął kolejny łyk i ponownie przyjrzał się mężczyźnie. Nagle doznał olśnienia.

- Nie. Chwila. Pamiętam. W mieście. Przed pizzerią Raya. Dał mi pan kopertę.
- Nie - odparł tamten - nie dałem.
- Owszem. Dał pan.
- Co było w tej kopercie? - zapytał mężczyzna.
- Nie - nie wiem.
 - Więc mówi pan, że dałem panu kopertę. Ale nie może mi pan powiedzieć, co w niej było? To niezbyt przekonująca historia.
- No, niezbyt.

Remy nadal patrzył na horyzont.

- Wygląda pan na zmartwionego.
 - Taak. Martwię się - zaśmiał się Remy. - Przestałem już kontrolować bieg wydarzeń. Wślizguję się we własne życie i wyslizguję z niego.
- Jasne.
 - Odnajduję siebie w takich oto sytuacjach. Nie wiem, jak się tu dostałem, ani co robię. Nie wiem, co się wydarzy, dopóki to się nie wydarzy. Robię coś, czego nie rozumiem, i chciałbym tego nie robić.
 - Może życie wszystkich ludzi wygląda podobnie? - zapytał mężczyzna.

Remy pociągnął długi łyk whisky.

- Czyżby?

- Nie wiem. Ale dlaczego uważa pan siebie za kogoś wyjątkowe

go?

Remy przyjrzał mu się raz jeszcze.

- Jest pan pewien, że nie widziałem pana w mieście?

- Skąd mógłbym wiedzieć, kogo pan widział lub nie widział? Skąd mam wiedzieć, co się znajduje w pana oczach? W mieście są miliony ludzi. Mam panu powiedzieć, że nigdy nie byłem jednym z nich? Że nie

131

mignąłem panu przed oczami? Jak mogę panu powiedzieć, co pan widział? Nikt nie ma dostępu do widzeń innych ludzi.

- Zaraz zwariuję - powiedział Remy.

Mężczyzna znów popatrzył na horyzont. Klepnął butelkę, którą Remy trzymał w rękach.

- Ludzie mówią, że to doprowadza człowieka do szaleństwa.
- Kto tak mówi?
- Nie wiem. Mądrzy. Trzeźwi. Ludzie, którzy mówią różne rzeczy. Remy podał mężczyźnie butelkę.

- Raz prawie się zabiłem. - Ze zdziwieniem stwierdził, że się zwierza.

Stary mężczyzna wypił łyk.

- Kiedy?
- Ostatnio. - Remy dotknął włosów na głowie.
- Jak? - Facet upił kolejny łyk i oddał butelkę.
- Postrzeliłem się w głowę - Remy zaśmiał się po chwili. - Czy to nie dziwne, że właśnie panu powiedziałem o swojej próbie samobójczej, a pan zapytał, kiedy i jak, a nie zapytał, dlaczego?

•Dlaczego?

- No cóż - Remy gapił się w ziemię, zasnutą purpurą przez zachodzące słońce. - Właściwie nie wiem. Z początku myślałem, że to był wypadek. Albo żart. Ale zaczynam sądzić... - popatrzył na mężczyznę i ponownie na butelkę w ręku - ...że bałem się o to, co mogę zrobić, jeśli tego nie uczynię.
- Tak - odparł cicho mężczyzna. Razem patrzyli na zachód słońca. Po chwili mężczyzna sięgnął do płaszcza i podał Remy'emu kolejną szarą kopertę. A potem odszedł przez parking do czterodrzwiowego sedana. Wsiadł, nie oglądając się za siebie.

Remy wiedział, że jeśli poczeka wystarczająco długo, nie będzie musiał otwierać koperty, i że zdarzy się to, co będzie miało się zdarzyć. Ta myśl była wyzwalająca. Prawdopodobnie nawet nie miałyby znaczenia, gdyby wyrzucił kopertę. Ale zdał sobie sprawę, że jest zaciekawiony, więc ją otworzył. Było tam nazwisko, Assan al-Hafar - to nazwisko też znał, Assan... i adres jakiegoś mieszkania w budynku na czymś, co się nazywa Wyspą Skarbów. Remy podniósł głowę, ale samochodu mężczyzny nie było. Następną jego myśl dotyczyła...

132

Remy spadał, trzymając się czegoś kurczowo, z zaciśniętymi rękami i palcami u stóp, z gradem przemykającym pod powiekami, aż obudził się i wciągnął w płuca stęchłe powietrze, z uczuciem klaustrofobii, przypięty pasami, mając twarz przyciśniętą do zimnego, okrągłego okna.

Rozejrzał się. Znajdował się w ciemnym wnętrzu odrzutowca, wszyscy wokół spali. Siedział przy oknie, sam w swoim rzędzie, twarzą do dziobu maszyny. Wyprostował się i ponownie rozejrzał. Nie było zbyt wielu

pasażerów, ale zdawało się, że wszyscy śpią zwinięci na białych poduszczkach lub trzymając niewielkie szare samolotowe kocyki, jak małe dzieci z pluszowymi zwierzątkami. Nikt się nie poruszał. Remy słyszał historie o lotach, podczas których nawaliła wentylacja i wszyscy stracili przytomność, a samolot się rozbił. Prawdę mówiąc, nie miałby nic przeciw temu; po prostu zasnąłby z powrotem. Spojrzał na zegarek. 2.12. Na zewnątrz ciemno, więc jest 2.12 nad ranem. Jaka strefa czasowa? Czy to ma znaczenie? Czy ustawił zegarek w Kansas City? Czy może według czasu obowiązującego na Wschodnim Wybrzeżu?

Pomacał się po kieszeniach i w końcu w spodniach znalazł zwiniętą kartę pokładową. Miami. Leciał do Miami. Na odwrocie karty można było przeczytać napisane jego charakterem pisma nazwisko Markham i numer telefonu komórkowego. Przez chwilę mu się przyglądał, po czym zmiął papier i wsadził go do kieszonki znajdującej się na oparciu siedzenia przed nim.

Śliczna koreańsko-amerykańska stewardessa podeszła z filiżanką kawy i usiadła w tym samym rzędzie w fotelu przy przejściu.

- Nie wiedziałam, czy pana obudzić... i czy wy, chłopaki, powinniście spać - szepnęła. - Ale wyglądał pan na takiego zmęczonego, że nie miałam serca przeszkadzać.

Remy wziął kawę. Zastanawiał się. Jakie chłopaki?

Stewardessa ścisnęła go za ramię.

- Dzięki - powiedział Remy. - Wie pani... chyba nie powinienem latać. Moje oczy.

Uśmiechnęła się grzecznie, jakby to był kiepski żart. Potem wstała i odeszła pochylona, jakby przechodziła pod śmigłem helikoptera. Remy

pokepał się i w kieszonce na piersi znalazł plastikowe pudełko. Wyciągnął je, ale nie był specjalnie zdziwiony, gdy znalazł tam odzna-

133

kę ze swoim zdjęciem, a pod nim litery NTSA i słowa „Agent ochrony”. Schował odznakę do kurtki, zagłębił się w fotelu i zaczął wyglądać przez okno.

Remy nienawidził zapachu oceanu i tego, jak bił w nos, ale też przenikał przez usta i uszy, wypełniał całą głowę. Przez to przypominał zapach Strefy Zero, przemożny i wszechobecny. Człowiek zabierał go z sobą do domu i gdy tylko czuł go ponownie, wydawało mu się, że woń ani na chwilę nie zelżała. Remy zamknął oczy i poczuł, jak łódź przechyla się mocno, mijając trudne wejście do portu. Brzeg stawał się coraz węższym paskiem za jego plecami. Słońce również znalazło się z tyłu i Remy poczuł zimny powiew morskiego wiatru, który powiedział mu, że powoli suną w stronę nocy. Miał wrażenie, że ciepło ulatnia się z niego przez skórę, jakby przez cały dzień był rozgrzany, a teraz zaczynał marznąć.

Płynął motorówką długości dziesięciu metrów i siedział w odkrytej kabynie naprzeciw Markhama, który miał na sobie śmieszoną żeglarską wiatrówkę i czapkę na bakier - na obu widniała wyszyta złota kotwica. Wciągał powietrze w nozdrza jak stary kapitan, który od lat nie wchodził na pokład. Oprócz nich jedyną osobą na łodzi był pilot, chudy Latynos o kościstych ramionach, w czarnej kurtce i dżinsach. Nad nim unosił się jak poranna mgła dym z grubego cygara. Elektroniczny ekran znajdujący się obok steru wskazywał ich pozycję na mapie topograficznej. Pilot wciąż na nią zerkał, aż w końcu skrzył i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Trafiony, zatopiony! Międzynarodowe wody, moi przyjaciele!
- krzyczał - *Tres Cubanos, porfavor!*

Sięgnął pod siedzenie i wyjął trzy grube cygara. Dwa z nich zaproponował pasażerom.

Remy podziękował, ale Markham radośnie wziął jedno.

- Mogę też wziąć twoje? - przekrzykiwał warkot silnika i podmuchy wiatru.

Remy kiwnął głową i zamknął oczy, pozwalając, żeby wiatr osma-gał mu twarz. Wyobrażał sobie, że na to zasłużył, czymkolwiek była ta kara. Dym z cygara unosił się w słonym powietrzu.

- Hej! - krzyknął do Markhama. - Czy jestem agentem ochrony.?

Markham i pilot wybuchnęli śmiechem.

134

- Rozumiesz, co mam na myśli? - Markham zwrócił się z tym pytaniem do pilota, który jak szalony pokiwał głową - Facet jest zawodowcem. Co chwilę wyskakuje z takim śmiertelnie poważnym tekstem.

Pilot motorówki pokręcił głową z uznaniem.

- Więc co wy, panowie, robiliście tam na łodzi, zanim to wszystko się stało?
- On był policjantem - odrzekł Markham. Spojrzał na Remy'ego, żeby sprawdzić, czy słucha, i dodał cicho: - A ja właściwie byłem szefem kuchni w kurorcie w Idaho.
- Nie chrzaniisz? - zapytał pilot.

Remy znowu zamknął oczy i trwał tak przez dłuższy czas, a gdy je otworzył, wyraźnie pociemniało; słońce opadło za cienką, bladą linię brzegu. Zastanawiał się, czy czas upływa normalnie, czy...

Niewielki frachtowiec, większy jednak od ich motorówki, podrygiwał przed nimi na wodzie. Mogła to być stara rybacka łódź lub może kuter używany do przetwórstwa ryb, zardzewiała kadłub lekko pokryty skorupiakami, którego sylwetka rosła w miarę, jak się zbliżali, do czerwonego jak ketchup paska tuż przy linii wody.

Stanęli burta w burtę z większą jednostką, tak że w przydymionym świetle Remy mógł dojrzeć drabinkę sznurową, zwisającą z atramentowocznego kadłuba. Pilot motorówki wyłączył silnik, po czym podryfowali na frachtowiec, ich łódź mogła mieć jedną ósmą jego wysokości, fale uderzały o siebie z pluskiem, jakby ktoś cmokał ustami.

- Dzięki, Chuck - rzekł Markham. - Powinniśmy zaraz wrócić. Zaczekaj tu.

Markham zarzucił na ramię mały pakunek, chwycił drabinkę i zaczął się wspinać.

Remy ruszył za nim, ściskając rękami mokre sznury, a potem przeskoczył przez reling na opustoszały pokład większego statku, który miał mniej więcej dwadzieścia pięć metrów długości, dwupiętrową kabinę i schodki prowadzące pod pokład. Na górze nie było nikogo, chociaż na mostku przy sterze Remy dojrzał kubek z kawą.

Pokład kołysał się rytmicznie na łagodnych falach, gdy szli w stronę schodów. Remy zerknął na wąskie stopnie prowadzące na korytarz, oświetlone przez nagie żarówki rozmieszczone wzdłuż ściany. U szczytu trapu Markham się odwrócił.

- Okay. Jesteśmy gotowi?

Nie czekając na odpowiedź, chwycił się poręczy i ruszył w dół. Po

chwili Remy podążył za nim.

Korytarz był zbyt wąski, żeby mogli się w nim zmieścić obok siebie, więc Remy szedł, patrząc na plecy Markhama, a ten przemierzał statek, mijając zamknięte owalne drzwi kajut. Remy nie potrafił zidentyfikować zapachu tu na dole, a raczej nie mógł rozszyfrować mieszanki zapachów: potu, soli, dymu papierosów i mocnej kawy. W końcu Markham zatrzymał się przed białymi stalowymi drzwiami, nacisnął klamkę i wszedł do środka, a za nim Remy. Znaleźli się w długim, wąskim przedziale. Ze ścian odchodziła farba, niski sufit łuszczył się, a wszystko oświetlała centralnie umieszczona jasna, naga żarówka. Nie było tam mebli, tylko gruby metalowy pręt, biegnący poziomo przez całą szerokość pomieszczenia, jak poręcz albo drążek baletowy, umieszczony wysoko, około pięciu stóp nad ziemią. Remy gwałtownie wciągnął powietrze.

Tam, na drążku, niczym myśliwskie trofeum wisiał mężczyzna. Ramiona miał związane na plecach i przewieszane przez pręt tak, że trzymał go pod pachami, stopy oparte o ścianę, tkwiły kilkanaście centymetrów nad podłogą. Mężczyzna nie miał na sobie nic oprócz ciasnych czerwonych slipów i jednej białej skarpetki. W pomieszczeniu panował chłód i zaduch. Gęste owłosienie klatki piersiowej więźnia było mokre i zmierzwiłe. Pod jego stopami stało wiadro z wodą. Ramiona i obojczyk znajdowały się nad głową, która zwisała bezwładnie, a bujne czarne włosy ociekały wodą. Dwóch innych młodych mężczyzn opierało się o przeciwległą ścianę - wyglądający na znudzonych osiłki w dżinsach i zwyczajnych bluzach sportowych, krótko ostrzyżeni, strzegli go, śmiejąc się z własnego żartu.

- Hej, koledzy. Robicie sobie przerwę?

- Pomyśleliśmy, że musimy wam coś zostawić. Jeszcze godzina

i facet skruszeje.

Jeden z tych wysokich chłopaków podszedł do niego, wziął puszkę z wiaderka i wylał wodę na twarz mężczyzny, który powoli uniósł głowę. Remy spostrzegł nacięcia na policzkach, czole oraz ustach i zrozumiał, że woda, którą wylewają na więźnia, jest słona. Mężczyzna rozejrzał się wkoło, jego dziki wzrok padł w końcu na Remy'ego, który musiał się odwrócić. Markham kiwnął głową w stronę dwóch chłopaków, a oni szybko

136

opuścili pomieszczenie, zostawiając w nim Rem/ego, Markhama i wiszącego za ramiona młodego mężczyznę z Bliskiego Wchodu. Remy usłyszał kroki w korytarzu, a potem na schodach prowadzących na górę. Markham podszedł do mężczyzny.

- Siema, Assan. Nazywam się Doolittle, a to - wskazał na towarzysza - jest Poppins. Wiesz, dlaczego tu jesteśmy?

Assan tylko patrzył.

- Bo twoje nazwisko pojawiło się na kilku czekach. Dużych czekach.
 - Brat poprosił mnie, żebym je wystawił. Ileś lat temu. Mówiłem tamtym... - zaczął Assan.
 - Tamtym innym? Assan, tamci to mięczaki. Nie umieją sfinalizować sprawy. Czy jesteś wystarczająco długo w Ameryce, żeby wiedzieć, co się dzieje, kiedy sprzedawca samochodów używanych prosi kierownika, żeby sfinalizował sprawę? No, to właśnie my. Myją sfinalizujemy. Jak myślisz, co zrobimy, żebyś wyjechał dzisiaj z placu, hę?
 - Co? - Assan powiódł wkoło dzikim wzrokiem.
 - Co to dla mnie sprowadzić cię na dół i wyrzucić za burtę?
- Assan potrząsnął głową w niemym przeczeniu.

- Widzisz, tamci, Assan, to tylko stażyści. My jesteśmy partnerami w firmie. Oni są jak college, my jak uniwerek.
- P-proszę... - Wargi Assana pokryły się białą pianą. Mówił z lekkim akcentem. - Proszę... nie zrobiłem nic złego. - Siłował się z drążkiem, po czym opadł.
- Słyszysz to? - zwrócił się Markham do Remy'ego. - Assan nie zrobił nic złego. - Spojrzał na mężczyznę. -1 co z tego, Assan? Zawsze dajesz piętnaście procent napiwku, nigdy nie oszukujesz na podatkach, zawsze wyrzucasz śmieci? To masz na myśli?

Dolna warga Assana drżała, gdy spoglądał to na jednego, to na drugiego przybysza.

- Jesteście z jakiejś policji?

- Nie. Nie jesteśmy z żadnej policji.

Assanowi załamał się głos.

- To przestępstwo. Zabrano mnie... z domu. W nocy. Nie przed stawiono mi zarzutów. To jest... nie w porządku. To nielegalne. Żądam rozmowy z adwokatem.

137

- Ja jestem adwokatem - odparł Markham. - On jest adwokatem. A chłopaki, z którymi się wcześniej bawiłeś? Adwokaci. Kapitan statku jest adwokatem. Cholera, wszyscy w Ameryce to adwokaci, Assan. My ślałem, że zdążyłeś się już zorientować.

Siłował się z drążkiem.

- Wiesz, co ci powiem, Assan? Przyślę ci tutaj pierwszego adwokata od praw obywatelskich, jakiego zobaczę na tej łódce, dobra? A teraz... może mi powiesz, dlaczego twoje nazwisko pojawia się na czekach dla

Bishira Madaina?

- Już... - Popękane wargi Assana zakryły białe zęby, spuścił głowę i zaczął płakać jak dziecko. - ...wyjaśniłem... mój brat jest w Arabii Saudyjskiej. Zbierał pieniądze na studia islamiczne. Pracował z Bishirem nad programem wymiany studentów.
- Assan, to mnie nie obchodzi - Markham przybliżył się, jego głos brzmiał jak szept. - Obchodzi mnie jedno. Odpowiedz na jedno pytanie i zaraz zrobi się lepiej. Gdzie jest Bishir?
- Mówiłem im... nie wiem, gdzie jest Bishir.
- Assan, nie odpowiedziałeś mi...

Więzień podniósł głowę, wziął kilka krótkich, płytkich oddechów.

-Nie mam pojęcia, gdzie jest Bishir. Przysięgam! To przyjaciel mojego brata. Nie widziałem go od ponad roku. Naprawdę. Błagam!

Markham odwrócił się do Remy'ego.

-Ho ho. To było przekonujące. Co sądzisz, chłopie? Czy Assan mówi prawdę?

Remy poczuł, jak łódź się zakołysała, a potem upadł. W ustach miał smak soli i żółci. Próbował coś powiedzieć, ale mu nie wyszło.

Assan znów zaczął siłować się z drążkiem, nogi przebierały w miejscu, głowa kiwała się w przód i w tył. Po tym wybuchu wrzasnął w kierunku stropu:

- Są jakieś prawa!
- To prawda - Markham kiwnął w stronę ruty statku. - W każdym razie dwieście kilometrów na zachód stąd. Ale tutaj...

Głowa Assana znowu opadła.

Rozległo się pukanie do drzwi. Markham odszedł od więźnia i słuchał

uważnie, co jeden z chłopaków szepcze mu do ucha. Potem skierował się w stronę Remy'ego, naśladowując krok Johna Wayne'a.

138

- Co sądzisz, chłopie?
- Nie wierzę w to - rzekł Remy - nie możemy tego zrobić.
 - Tak. Tak. Wiem. To wzruszające. Sorki. Pójdę na pokład i sprawdzę, czy ten dupiek powiedział wcześniej cokolwiek pożytecznego. Zaraz wracam. Miej na niego oko.

Remy patrzył, jak Markham otwiera białe stalowe drzwi, i wsłuchiwał się w jego kroki na korytarzu, a potem na schodach prowadzących na pokład. Ściany zdawały się przesiąknięte solą. W końcu Remy się ruszył.

Skóra Assana była zimna i śliska.

- No dalej - szepnął Remy. Zdjął mężczyznę z drążka i położył go na ziemi. Ściągnął kurtkę i okrył nią ramiona Assana. - Wydobrzejesz.
- Facet śmierdział uryną i potem.

Assan leżał skulony na podłodze, jego plecy drżały od płaczu. Ręce miał związane spinką do kabli. Remy znalazł scyzoryk w przedniej kieszeni spodni i przeciął plastik na nadgarstkach mężczyzny. Assan otworzył i zamknął pięści.

- Dziękuję... - zaczął.

- Musimy się pośpieszyć - przerwał mu Remy. - Chodź.

Zarzucił sobie na plecy ramię Assana, który był niższy od niego, i wyprowadził go z pomieszczenia, a potem, przesuwanym bokiem, wiódł go korytarzem. Gdy dotarli do schodów, Remy rozejrzał się, ale nie dostrzegł Markhama ani tamtych dwóch. Nie był pewien, co robi, gdy znajdzie się z Assanem na pokładzie. Chyba nie ma broni. Zrewidował sam

siebie... nic, tylko scyzoryk.

- Poczekaj tutaj - szepnął do Assana.

Zapadł mrok, gwiazdy rozświetlały nocne niebo, księżyc stał w trzeciej kwadrze. Remy wszedł na górny pokład i rozejrzał się. Doliczył się zarysów czterech głów w sterowni i zrozumiał, że oni w ciemności niczego nie zdołają zobaczyć. Wrócił i wziął pod pachy Assana, który ponownie skrzywił się z bólu, gdy Remy ciągnął go przez próg. Powietrze było chłodne i słone. Skradali się po pokładzie, słysząc pod stopami skrzypienie mocnych, mokrych desek i pluskanie niewielkich fal o burty statku, aż dotarli do sznurowej drabinki wciąż wiszącej na rufie. Remy spojrzał w dół. Chuck, pilot motorówki, siedział na oparciu krzesła i palił cygaro.

139

- Za mną - szepnął Remy do Assana i zaczął się opuszczać za burzę frachtowca.

- Gdzie jest Shawn? - zapytał pilot, gdy już znaleźli się w łodzi.

- Zostanie tam jeszcze przez chwilę. Chce, żebyśmy zabrali faceta z powrotem na brzeg.

- Czy on nie ma żadnych ubrań?

- Wypadł za burzę - wyjaśnił Remy - wszystko jest mokre.

Nawet jeśli to wszystko wydało się pilotowi dziwne, nie dał **tego** po sobie poznać.

- Mam wrócić po Markhama? - zapytał.

- Zaraz z samego rana - odparł Remy - mają imprezę.

Pilot długo gapił się na niego, po czym wzruszył ramionami i rzekł:

- Okay.

Remy pomógł Assanowi na ostatnich szczeblach trapu i położył go na

dnie łódki, a następnie przykrył kurtką.

Odepchnął łódź od burty frachtowca i odpłynęli. Motorówka zagrzytała przy starcie, a wkrótce przyspieszyła. Remy zerknął przez ramię. Ciągłe widział mężczyzn stojących w sterowni większego statku, a oni najwyraźniej patrzyli w inną stronę. Właśnie wtedy poczuł, jak szybko bije mu serce, jak krótki ma oddech.

Przykucnął na podłodze łodzi. Assan szlochał. Remy poprawił swoją kurtkę na drżącym mężczyźnie.

- Już w porządku - powiedział Remy. - Będzie dobrze.

Assan chwycił go za nadgarstek.

- Słuchaj. Nie wiem, gdzie jest Bishir. Przysięgam. Musisz im to powiedzieć. Słabo go znałem... w sposobie ubierania się i mowy jest bardzo... amerykański. - Wzruszył ramionami. - Nie miałem z nim kontaktu chyba od ponad dwóch lat, aż nagle się do mnie odezwał.

Głos Remy'ego zachrypiał w warkocie silnika łodzi.

•Czego chciał?

•Dostał moje nazwisko od Kamala. Zbierał od amerykańskich muzułmanów pieniądze na cele dobroczynne. Chciał, żebym coś ofiarował.

•Ofiarowałeś?

•Tak. Trochę. Powiedziałem to tym facetom na statku. Ale od tamtego dnia nie rozmawiałem z Bishirem. Przysięgam.

140

Łódka podskoczyła na grzbiecie jakiejś większej fali i pilot zrobił gwałtowny zwrot, by wejść do portu.

Remy wstał i spojrzał za siebie, ale w ciemnościach niczego nie mógł

dojrzeć. Nawet światła tamtego statku. Przykucnął, żeby dalej rozmawiać z Assanem. Dostrzegł błagalnie patrzące, czarne oczy.

- Jeśli chodzi o Bishira... - Assan przygryzł dolną wargę.
- To co? - zapytał Remy.
 - Nie chcę, żeby mój brat miał kłopoty...on i Bishir mieli pewną słabość... do amerykańskich kobiet. Zwłaszcza Bishir. Bardziej niż własną rodzinę, bardziej niż wszystko inne, tak czasami myślę, lubił te kobiety. Kamal mówił, że nadał im nawet nazwę.
- Jaką? - zapytał Remy.
- Liany.
- Liany?

Assan wyglądał na zawstydzonego.

- Tarzan, tak? Zna pan film? Bishir mówił, że mężczyzna w Ameryce potrafi przeskakiwać z liany na lianę, nawet nie dotykając ziemi.

- I myślisz, że on tam właśnie jest... u jednej z tych lian?

Assan potarł skronie.

- Pamiętam, że mój brat mieszkał kiedyś u jednej z kobiet Bishira. W Wirginii. Nieopodal Charlottesville. Rozwódka. Bardzo zamożna. Swego czasu Bishir zastanawiał się, czy się z nią nie ożenić. Mógłby szlajać się z innymi kobietami, a potem wracać do niej. Spotykał się z młodą dziewczyną w Nowym Jorku...
- March Selios - wymamrotał Remy.
 - Może. Kamal mówił, że Bishirowi naprawdę na niej zależało, ale kobieta z Wirginii miała dużo forsy, więc gdy się już nudził, zawsze do niej wracał.
- Znasz jej nazwisko?

- Herote - przeliterował Assan. - Imienia nie znam.

Remy włożył rękę do kieszeni płaszcza. Obok scyzoryka znalazł długopis, starał się nie myśleć, co to ma oznaczać. Wyciągnął długopis i napisał na ręce: „Herote. Wirginia”.

Ochłodziło się i Assan silniej się trząsał. Remy położył mu rękę na ramieniu.

- Już w porządku. Będzie okay.

141

Podniósł głowę, by spojrzeć przez przednią szybę, ciekaw, czy dostrzeże brzeg. Zamiast tego zobaczył o sto metrów dalej podskakujące światła jakiegoś statku.

Gdy łódź zwolniła, Assan podniósł głowę i krzyknął, widząc, na co Remy patrzy: na statek, który niedawno opuścili. Markham stał w połowie sznurowej drabinki, rękę miał przewieszoną przez jeden ze szczebli i uśmiechał się. Tamci dwaj mężczyźni przemieszczali się wzdłuż burty, trzymając w rękach butelki z piwem.

Assan osunął się na dno i rozplakał.

Łódka zwolniła i dobiła do statku. Markham ruszył w dół i z ostatniego stopnia drabinki zeskoczył na podłogę.

- Jak tam przejażdżka, Assan? Łyknąłeś trochę świeżego powietrza?

Markham ścisnął mocno Assanowi ręce w nadgarstkach plastikowymi spinkami do kabli, po czym założył mu kajdanki. Ze statku zwisała lina, którą Markham zapętlił wokół kajdanek i szarpnął. Assana wyrwało z łodzi, z rękami w górze dyndał jak wisielec.

Remy przetarł oczy. Zdziwił się mniej, niżby chciał. Patrzył, jak

wciągają Assana, który obijał się o burtę statku, aż w końcu wślizgnął się na pokład niczym wielka ryba.

- Masz rację - rzekł pilot do Markhama. - Ten facet jest dobry.

Popatrzył na Remy'ego wzrokiem, w którym szacunek mieszał się ze strachem.

- Przerazająco dobry. Przekonał mnie.
- Więc... masz coś? - zapytał Markham.

Remy'ego zemdliło. Pokazał Markhamowi, co napisał na ręku: He-rote. Wirginia.

- T :naczy, że Assan miał przed nami tajemnice. - Markham pochylił się przed Remyem, oddając mu cześć. - Wątpięm, ale niech szlag trafi, jeśli myliłeś się choćby odrobinę.
- Nic mu nie będzie? - zapytał Remy.
- Och, jasne, że nie - odparł Markham.
- Mówię poważnie. Puśćcie go!
- Jasne.

Uśmiechnął się i odwrócił, po czym sięgnął po drabinkę sznurową. Remy opadł na siedzenie łodzi. Pilot znów poczęstował go kubańskim

142

cygarem, które Remy tym razem wziął. Przesunął się, zamknął oczy i słuchał, jak fale uderzają o burty łódki, a chociaż tym razem z całej siły pragnął, by pojawiła się luka, czas stał w miejscu.

CZEŚĆ DRUGA

WSZYSTKO PRZEMIA

April patrzyła na niego, przemykając wzrokiem po jego czole, podbródku, z

powrotem na oczy i znów w dół. Studiowała dokładnie jego fizjonomię, porównując ją z jakąś twarzą, którą miała w pamięci. Ale jej oczy również były pełne wyczekiwania, zrozumiał więc, że April spodziewa się odpowiedzi na pytanie. Tak się ostatnio dzieje - ludzie oczekują odpowiedzi na pytania, a on nie pamięta, żeby jakiegokolwiek zadano, toteż... udaje, że się zastanawia.

- Hm - mruknął.

Czekała. On leżał na plecach, a ona kulila się przy nim, oddychając łagodnie, naga od pasa w górę. Spojrzał na jej cudowne wystające obojczyki, na piersi i gładki płaski brzuch. Dotąd miał w pamięci zaledwie jakieś przebłyski - stroboskopowe mignięcia jej twarzy, ramienia, uda - zaskoczyło go więc, że oto może kontemplować ją w całej okazałości i obserwować jej cudowne, szczupłe ciało. Miała na sobie tylko spodnie od piżamy w szkocką kratę, a jemu chodziło po głowie tylko to jedno słowo: cudo. Przyglądała mu się ciekawie, jakby chciała rozszyfrować przeciwnika w grze w pokera.

- Hmmm - mruknął znowu.
- To nie jest test - zaśmiała się - to proste pytanie.
- Prawda. Możesz powtórzyć?
- Zapytałam... czy chciałbyś wiedzieć, czego nie cierpię?
- Och. Tak.

April uniosła się, po czym zwała mu się na kolana, tak że twarz miała zwróconą w przeciwną stronę. Klepnęła w gazetę leżącą na skraju łóżka.

147

- Tego.

Po sekundzie Remy również się uniósł. Na jego stopach leżało niedzielne wydanie „Timesa”. Zszokowała go data - czy to możliwe, żeby minęło tyle

czasu? Czy umiał się rozliczyć z tych wszystkich dni?

- Nie cierpisz gazety? - zapytał.
- Nie, nie gazety. Tego. - Podniosła stronę zatytułowaną *Portrety żałobne*, na której „Times” przez cztery lub pięć numerów publikował w małych formatach nekrologi ofiar tamtego dnia, dopóki ich spis się nie skończył.
- Nie cierpię tego, w jaki sposób czytam teraz ten dział - wyjaśniła. - Tak samo czytam zawiadomienia o ślubach. Kiedy pierwszy raz przyjechałam do miasta, nie znałam nikogo i czytałam te zawiadomienia jak ktoś, kto próbuje uczyć się języka. Szukałam ludzi, których znałam, kogoś, z kim chodziłam do szkoły, albo kogoś, kogo poznałam na imprezie, kogoś, komu sprzedawałam mieszkanie. Potem szukałam znanych postaci. Gdzie chodziły do szkoły, dokąd jeździły na wakacje, gdzie mieszkają ich rodzice, gdzie uczęszczały do college[^]. Jakby całe życie można było ująć w jednym akapicie. Wyobrażałam sobie ujęte w ten sposób swoje życie: wielka uroczystość, dwie łączące się wytworne rodziny, romantyczna podróż poślubna, para wraca do swoich fascynujących zajęć. „Panna młoda zamierza zachować nazwisko”. To przepełniło mnie zazdrością i nienawiścią do samej siebie - przełknęła. - Tak właśnie czytam teraz te nekrologi. Nie sądzisz, że to szalone?
- Nie jestem najlepszym sędzią.
- Czego?
- Szaleństwa.
- Nie chodzi mi chyba o szaleństwo. Raczej o pewną płytkość.
- Nie jesteś płytka.

- A skąd wiesz?

Remy nie wiedział, co odpowiedzieć. April zwróciła się w stronę gazety.

- Ciągłe dzwonią do mnie dziennikarze. - Zwinęła papier. - Pojawiają się i są tacy troskliwi, pełni współczucia: „To musi być straszne, tego samego dnia stracić dwoje bliskich”, a ja na to: „Och, tak państwo sądzą?” Zbywam ich... „Nie chcę jeszcze o tym mówić. Może później?”

148

- Dlaczego nie chcesz o tym mówić?
 - Ty też nie mówisz o tym - odparła - co wydarzyło się tamtego dnia.
- Właściwie tego nie pamiętam.
 - Och. A ja tak. - Odwróciła się i patrzyła w miejsce, gdzie podłoga styka się ze ścianą. - Prawnicy też dzwonią. Ci są nawet bardziej uparci.
- A oni czego chcą?
 - Trzeciej ofiary. - Znowu spojrzała na gazetę. - Chyba to mnie zaskakuje. Potem, po tym wszystkim, naprawdę myślałam, że wszystko się zmieni... nie wiem... że się zmienimy. Że nikt już nigdy nie otworzy sklepów... że ludzie pozamykają firmy... prawnicy zlikwidują praktyki i rozbiegną się do lasu - Uśmiechnęła się smutno. - Po prostu sądziłam, że gazeta przestanie wychodzić. A tymczasem... - przygryzła kciuk - To wszystko... stało się po prostu kolejnym działem w gazecie. Jak recenzje filmów. Albo rubryka brydżowa.

Remy spojrzał na toaletkę w sypialni April, żeby sprawdzić, czy zdjęcie, które tam trzyma, jest ciągle zwrócone twarzą w dół. Jej mąż. Derek. Ale zdjęcie zniknęło.

April patrzyła na gazetę i wydawało się, że niezwykle starannie dobiera słowa.

- Po prostu nie wiem, jak my wszyscy... - i znowu się odwróciła, jakby reszta zdania znajdowała się gdzieś za oknem.
- My... co? - zapytał Remy.
- Przywykliśmy - odparła.

April patrzyła do tyłu, jedna pierś wysunęła się spod kołdry, tak że Remy mógł dojrzeć ciemny sutek. Błądził oczami po jej szyi i twarzy: czarne, poważne brwi tworzące łuk nad cukierkowymi, brązowymi oczami. Patrzyła, jak jej się przygląda.

- Co? - zapytała.
- Jesteś piękna.
 - Zawsze mówisz to tak, jakbyś mnie widział po raz pierwszy.
 - Bo tak jest.

Odwróciła się do „Timesa” i czytała przez kilka sekund.

- Tutaj. Popatrz na tę kobietę - klepnęła w gazetę. - Pozwoliła, żeby na przyjęciu urodzinowym swoich wnuczek magik przekroił ją na

149

pół. Chodzi mi o to, że to jest takie... no jakie? Zabawne i ironiczne, smutne i cudowne. Wszystko razem. Nie wiem, jak mam się czuć. Jak powinniśmy się w związku z tym czuć?

- Żywi? - zapytał Remy.
- Wiesz, już nie mam siły się tak czuć.

Sięgnęła ręką w tył i dotknęła jego uda. Remy pomyślał, że mógłby znieść to pozbawione ciągłości, pełne łuk życie, dopóki czasami ląduje tutaj, w

mieszkanu April, w tym łózkowym gniazdku, i może patrzeć na jej ciało, szczupłe plecy i talię. Zastanawiał się, czy to może wystarczyć, czy to go może do niej przywiązać - ta druga osoba dotykająca jego ciała? Chciał coś powiedzieć, o nich albo o niej, ale było to niemożliwe, bo nie miał pojęcia, co zostało już wcześniej powiedziane. Może to też jest normalne. Może każda para żyje w takich lukach pomiędzy rozmowami, niezdolna powiedzieć ważnych rzeczy ze strachu, że już zostały powiedziane albo dlatego, że nie mogły być wypowiedziane? Może każdy związek zaczyna się za każdym razem od nowa wtedy, gdy dwoje ludzi się spotyka?

April ponownie uderzyła ręką w gazetę.

- Albo ten facet. Gdy skończył dwadzieścia dwa lata, kupił sobie zabytkowy motocykl. Jeździł nim po całym kraju i przez miesiąc biwakował w Canadian Rockies, żeby zrobić zdjęcia migrujących gęsi. Jezu! Kto robi takie rzeczy?

April zwróciła twarz w jego stronę i jej długie ciemne włosy spłynęły na jego kolana. Remy przypomniał sobie zdjęcia March. Miała twarz szerszą niż April i o ciemniejszej karnacji. Ich ojciec miał rację: chociaż April była starsza, wyglądała na młodszą i słabszą niż siostra.

Zmrużyła oczy, jakby myślała o tym samym.

- No więc... czy myślałeś, co by było napisane w twoim?
- Moim...? - Remy otworzył oczy.
- W twoim portrecie żałobnym. One nie są jak nekrologi... zobacz. To nie życiorysy ani wyrazy uznania. Przypominają raczej wycinki, stroboskopowe światło padające na jedną część twojego życia. Jeden moment. Jeden temat. Więc co by było na twoim?
- Nie mam pojęcia - powiedział Remy.

- A ja wiem, co by było na moim.

-Co?

150

- Zobaczyła śmierć, niczym kolejne wesele, na które jej nie zaproszono.

-1 widzisz je teraz? - Głos był spokojny, prawie tak spokojny, że brzmiał alarmująco.

- Czy co widzę? - zapytał Remy. Oczy miał zamknięte i siedział na miękkiej kanapie w jakimś miejscu. Pomacał rękoma. Skórzana kanapa.

- Te... jak ty je nazywasz...męty? Błyski? - zapytał spokojny głos.

- Widzisz je teraz, z zamkniętymi oczami? Tak? Są tam? Są z nami?

Ten spokojny głos sprawił, że w Remym narastała ciekawość. To krzyżował, to rozprostowywał nogi.

- Jasne. Zawsze tu są. Przywykłem do nich, ale zawsze są.

- Opisz je. Jak wyglądają?

- Jak sznurki. Wyglądają jak sznurki.

- Sznurki.

- Tak. Jak kawałki sznurków.

- Sznurki? - Mężczyzna był wyraźnie zaintrygowany.

- Tak. Przecież powiedziałem. Sznurki.

- A czy te sznurki wiążą cię ze światem, Brian? Czy to właśnie robią? Czy te liny krępują cię, czy przytrzymują? Czy powstrzymują cię, nie pozwalając ci być kimś, kim pragniesz być?

- Nie. Nie liny. Sznurki. - Remy otworzył oczy. Siedzący naprzeciw niego

facet był po czterdziestce i łysiał. Nosił okulary w niebieskich oprawkach i miał zaciśnięte usta, jak ktoś ssący przez słomkę mleczny shake. Na kolanach skrzyżowanych nóg trzymał żółty, otwarty notatnik. Tabliczka z nazwiskiem na jego biurku oznajmiała, że to dr Rieux. Znajdowali się w niewielkim gabinecie w jakimś starym domu. Stało tu tylko biurko, krzesło i kanapa, na której siedział Remy z rękami ułożonymi po bokach. Resztę pokoju zajmowały półki z książkami, dyplom w ramce i plakat z kreskówki, na którym chłopiec walczył z wielkim smokiem. Smok kulił się ze strachu na widok płomieni buchających z nosa chłopca.

- Czy nie tym właśnie są twoje sznurki? - zapytał doktor Rieux.

— Czy to nie postronki, które powstrzymują cię przed odpłynięciem?
Remy spojrzał na psychiatrę.

151

- Nie. To są maleńkie kawałki tkanki, pływające w moich oczach. Mój okulista mówi, że pływają tam w środku w żelu, w cieczy pozakomórkowej ciała szklistego. Otoczenie tkanki się strzępi. Martwił się, że w końcu może to doprowadzić do odklejenia się siatkówki.
- Ach. Siatkówki... - Psychiatra był wyraźnie przybity. - Hm... - Przekartkował notatnik. Jego głos stracił gładkość: - Dobra, co jeszcze mamy?
- No cóż, są jeszcze te luki.
- Te co...? - Doktor Rieux nawet nie podniósł oczu znad notatek.
- Mam luki.
- Co masz?
- Luki - powiedział Remy. - Robię coś i nagle...

- Wszystko po chwili przemija - mówił Guterak. - Może nie ma w tym nic więcej. - Jego stół bilardowy był cięższy, niż sądzić by można z wyglądu. Remy przystanął na moment u szczytu schodów, żeby zobaczyć, w którym prowadzą kierunku, do środka czy na zewnątrz? Paul pchnął. Okay. Wynosili stół. Schodząc tyłem po szerokich schodach, Remy ugiął się pod ciężarem.

- Chodzi mi o to, że to nie mogło trwać wiecznie, prawda?

- Nie wiem - powiedział Remy.

Stół, chociaż mały i z odkręconymi nogami, miał masywny kamienny blat i był nieporęczny. Przypominało to przesuwanie płyty betonowej, podjazdu.

- Na początku wszystko wyglądało tak, jakby oderwało się od świata, jak jakiś, kurwa, śnieżny dzień - powiedział Paul. - Pamiętasz? Wiesz, jak wtedy, gdy byłeś dzieckiem, i śnieg padał tak mocno, że zamykali szkoły? Pamiętasz te dni?

- Taa... - odparł Remy, walcząc z blatem stołu - tak jakby.

W kuchni obrócili blat na bok, stękając i dysząc. Paul kopnął plastikową piłkę futbolową, ale odbiła się i wróciła do niego.

- Sekunda. Poczekaj - Paul postawił swój koniec stołu, żeby przełożyć piłkę. Remy popatrzył na lodówkę Guteraka, zaśmieconą papierami: menu szkolnych obiadów, świadectwa szkolne, zdjęcia przyjaciół dzieci, nawet zdjęcie Edgara. W kuchni lekko cuchnęło stęchlizną i Remy wyobraził sobie, że pod zmywarką zaklinował się kawałek chle-

ba albo że za lodówką leży skórka pomarańczy. W końcu udało im się przenieść stół bilardowy przez tylne rozsuwane drzwi i załadować go na

pakę czarnego pickupa Paula, obok pudełek z narzędziami, telewizora, toaletki i przenośnej lodówki. Paul wrócił do domu po nogi stołu, a Remy został na dworze i obserwował klucz ptaków, rozplywający się na szarym niebie.

- Naprawdę doceniam twoją pomoc - powiedział Paul, gdy wrócił z pozostałymi dwiema nogami stołu. - Wiem, że ciągle to powtarzam.
- W porządku - odparł Remy
- Po prostu źle się czuję. No i widzisz, twój kręgosłup i oczy są tak schrzanione, że nie możesz już pracować, a ja każę ci nosić to ciężkie gówno.
- Z moim kręgosłupem wszystko jest dobrze, Paul. A oczy... - Remy przymknął powieki i zobaczył pantofelka pływającego w rozproszonym świetle. Otworzył oczy i świat stał się na powrót spłowiały i płaski, pełen zakłóceń jak w starym filmie.

Wrócili do środka i Remy wszedł za Guterakiem na piętro, do sypialni pełnej porozwalanych dżinsów i pogniecionych koszul. Paul złożył Remy'emu na rękach stos koszul na wieszakach, kurtek i spodni. Ruszyli na dół.

- Mówiłem ci, co zdarzyło się w zeszłym tygodniu? - zapytał Paul spod sterty marynarek.
- Nie wiem.
- Odebrałem telefon od agenta - powiedział Paul. - Ni stąd, ni z zowąd. Od łowcy talentów. To koleś Szefa. Wielki, niechlujny sukinsyn z wyłupiastymi oczami, który pomógł Szefowi podpisać umowę na film. Facet specjalizuje się w historiach o tamtym dniu, nie? Mówi, że Szef

chce, żebym się tym zajął, więc wziąłem go na wycieczkę po Strefie Zero i opowiedziałem całą swoją historię. Mówił, że to jedna z najlepszych, jakie słyszał. Mówił też, że dobrze to opowiadam. I że będę miał w banku forsy jak lodu. Mówił, że będą możliwe najrozmaitsze formy rozrywki. Faceci od telewizyjnych show zaczynają, jak on to nazwał, gromadzić materiały. Powiedział, że minie trochę czasu, zanim ktoś zacznie o tym pisać wprost, ale, jak to powiedział, jest dużo podtekstów. I powiedział, że tymczasem ja mógłbym dostać propozycję występów.

- Występów?

153

- No tak. Występów, takie tam gówno. Centra handlowe. Pokazy jachtowe. Parady. Poszukują glin i strażaków, żeby przecinali wstęgi i oddawali honory sztandarom, rzucali piłki futbolowe, czytali wiersze i różne takie. Agent mówi, że będę występował, dopóki rynek filmowy nie dojrzeje do mojej opowieści. Mówi, że wszystko to musi najpierw przejść przez cykl różnych prezentacji: najpierw będą to porywające opowieści, z dziećmi i zwierzętami, takie tam pierdoły; potem opowieści z tłem, on nazwał to zapleczem... no, a potem duża kasa... thrillery.
- Thrillery - tylko tyle Remy zdołał wydukać.
- No. Facet mówi, że teraz chodzi tylko o thrillery, że historia stała się fabułą thrillerów - Paul wzruszył ramionami. - Po thrillerach idą rocznice: pięciolecie, dziesięciolecie i w końcu prawdziwa kasa. - Przeciągnął to ostatnie słowo i upił duży łyk kawy: - ...Nostalgia.
- Nostalgia?
- On mówi, że moja opowieść to jak posiadanie dobrego interesu. A ta

nostalgia jest jak moment, w którym moja mała firemka pokazuje się publicznie. No i jak już wszystko wytłumaczył, zapytał, czy chcę sprzedać ten swój interes? Czy sprzedam mu swoje doświadczenia?

- I co ty na to?

- Powiedziałem: „Możesz być pewien, że sprzedam swoje doświadczenia. Kurna, jestem absolutnie przekonany, że nie chcę ich mieć”. - Guterak wrzucił ubrania na tył ciężarówki. - Chcesz, żebym zapytał, czy twoje też im się przydadzą?

- Moje...?

- Twoje doświadczenia.

- Nie. Nie trzeba. Zostawię je sobie.

- Ale gdybyś zmienił zdanie...

Skończyli ładować pickupa i wdrapali się do kabiny.

Wewnątrz unosił się zapach dymu z papierosów, ale mimo wszystko było miło siedzieć w samochodzie z Paulem. Zupełnie jak dziecko, pomyślał Remy, jechać samochodem, nie mając pojęcia, dokąd, i nie przewidując, ile czasu zajmie podróż. Tylko słońce mrugające między domami.

Skręcili za róg i Remy odwrócił się, żeby się upewnić, czy plandeka jest przywiązana. I właśnie wtedy zauważył jadącego za nimi mniej więcej piętnastoletniego, zdezelowanego srebrnego lincolna. Wyglądał jak

154

nielegalna taksówka, tyle że z przodu siedziało dwóch facetów. To wydało się Remy'emu dziwne. Takie taksówki nigdy nie wożą pasażerów z przodu. Paul skręcił jeszcze dwukrotnie, ale samochód wciąż podążał za nimi. Na światłach Remy poprawił lusterko, żeby dobrze widzieć obu mężczyzn. Kierowca był biały i nosił wąsy. Na głowie miał czapkę bejsbolówkę i

patrzył prosto przed siebie. Pasażer był krępy czarnym mężczyzną i również patrzył w przód. Remy spojrzał na Paula, który chyba nie zauważył samochodu jadącego za nimi. Guterak rozvodził się na temat kobiet.

- A wiesz, dlaczego? Ponieważ one tak naprawdę nie chcą tego, o czym mówią, że chcą. Weźmy Stacy. Przez dwadzieścia dwa lata za wracała mi dupę: „Dlaczego mi nie powiesz, co myślisz? Dlaczego nic nie mówisz?” A jak już w końcu zdecydowałem się mówić, twierdziła, że się nigdy nie zamknę.

Remy się odwrócił. Taksówka ciągle jechała za nimi.

Paul zatrzymał się przy taniej restauracji. Wysiadł, a taksówka przejechała powoli koło nich. Kierowca - ten gruby z wąsami - patrzył w stronę Remy'ego i kiwał głową. Remy wszedł za Paulem do środka restauracji. Zajęli boks w rogu i zamówili dwie kawy. Paul wziął jeszcze zapiekankę z siekanego mięsa i ziemniaków, a Remy *huevos rancheros*, czyli jajka po meksykańsku. Obserwował drzwi.

Paul zapalił papierosa.

- Mówiłem ci, że podzielili Strefę Zero na kwadranty?

-Nie.

- No, każdym kwadrantem zajmuje się inna firma sprzątająca. Kaski nas, kurwa, wypychają. Chcą pracować szybciej. Śnieżne dni się skończyły, chłopie. Nawet sikawkowi chcą wyciągać te biedne gówna. Ale mają tam kłopoty. Sikawkowi nie czują klimatu. Kilku z nich to kompletne dupki, kretyni, jak ci pieprzeni Jankesi w żało bie, wiesz? Ale... muszę przyznać... wiem, jak oni się czują. To zna czy... po pewnym czasie czujesz się tak, jakby to było twoje. Jakby

należało do ciebie.

Remy napił się kawy.

- Pamiętasz tamtą noc, Bri? Gdy tam zeszliśmy, już po tym wszystkim? Pamiętasz? Jak było cicho i strasznie?
- Nie do końca. Nie.

155

- Te wszystkie czarne, palące się kształty... i reflektory, jasność od tego pieprzonego ognia... i nie było widać końca tego wszystkiego. Jakby się doszło do miejsca, gdzie człowiek nigdy wcześniej nie postawił nogi, jakby to była ciemna dżungla. Pamiętasz? W jednej chwili stałeś na ulicy, ale ni stąd, ni zowąd to już nie była ulica... robiłeś pięć kroków i trafiałeś w jakieś niewyobrażalne miejsce, jakby w jakiejś dziurze z dziecięcego koszmaru. Następnego ranka nie mogłem uwierzyć, że wszystko jest takie szare. Tamta noc naprawdę wydawała mi się czarna. - Guterak podrapał się po głowie. - To mnie ruszyło - ciągnął. - Pamiętasz pierwszy poranek, ciężarówki z platformami już tam czekały. Zabrali ponad sto ciężarówek do Fresh Kills. Drugiego, kurwa, dnia, Bri! Od samego początku zaczęli uprzątać ten bałagan... jeszcze zanim się upewnili, co to tak naprawdę jest. Chodzi mi o to... co to jest? Czy to w porządku?
- Nie wiem.
- Chcesz wiedzieć, co ja myślę? - Guterak zerknął przez ramię i przysunął się do Remy'ego. - Myślę, że szefowie cały czas wiedzieli, że nikogo nie znajdziemy. Nie sądzę, żeby się przejmowali. Chcieli to wszystko szybko uprzątnąć, ale musieli udawać, że czekają, aż znajdziemy ludzi. Prawda? Wciąż mówili: „Nie spoczniemy, dopóki...” bla, bla, kurwa, i „...jeszcze jest nadzieja, do cholery”, a tak naprawdę przez cały czas myśleli:

musimy przenieść milion ton gówna, zanim będziemy mogli wynająć tego skurwysyna. A jak przenieść milion ton? Powinieneś to zobaczyć. To w dole wygląda jak kopalnia odkrywkowa. Jakbyśmy prowadzili wykopaliska.

Te słowa brzmiały znajomo i niepokojąco. Remy już bardzo chciał zakończyć ten wątek. Przeprosił i udał się do toalety. Minał bar i wszedł do męskiej ubikacji.

Przejrzał się w odrapanym lustrze swoimi odrapanymi oczami. Gdzieś za nim w jednym z pisuarów bez przerwy ciekła woda. Remy wszedł do kabiny, zamknął drzwi, zdjął spodnie i usiadł, ukrywając głowę w rękach.

Kilka sekund później drzwi do jego kabiny się otworzyły.

- Hej! Nie przeszkadzam?

Remy spojrzał w górę i zobaczył jednego z mężczyzn z lincolna, tego grubego faceta z zakręconymi wąsami, w okularach w kształcie łez i w bejsbolówce, na której drukowanymi literami było napisane jedno słowo: MANIAK.

156

• Miałeś czas na przemyślenie naszej oferty? - zapytał mężczyzna.

• Dopiero usiadłem - odparł Remy.

• Nie bój się, nie chcemy ci przeszkadzać w pracy - rzekł facet.

- Prosimy tylko, żebyś nam okazał troszkę zawodowej... uprzejmości. Informuj nas. W zamian za to Biuro będzie cię informować o tym, co znaleźliśmy. Współpraca. To podstawa, mam rację?

Remy poczuł się dziwnie uległy, siedział pochylony, w ściągniętych do kostek spodniach, a ten gruby facet blokował drzwi do kabiny.

• Tak - powiedział - jasne.

- Znakomicie - rzekł facet w czapeczce z napisem MANIAK. - Widzisz? Współpracujemy. To równie łatwe jak to - przyłożył dwa palce do skroni, po czym skierował je na Remy'ego. - Będę się kontaktował.

Mężczyzna odszedł, zanim Remy zdążył powiedzieć: „To nie będzie konieczne”.

Zrobił, co miał do zrobienia, i ostrożnie wyszedł z kabiny, rozejrzał się, umył ręce, musiał je wytrzeć o spodnie, bo nigdzie nie było ręczników, po czym wrócił nerwowo do restauracji, wypatrując mężczyzny z taksówki. Ale nikogo nie zauważył. Gdy wrócił do stolika, Paul zjadał zapiekankę. Wskazał widelcem na Remy'ego, jakby czekał, żeby dokończyć zdanie.

- Słuchaj, Paul - powiedział Remy. - Nie jestem pewien, czy powinniśmy o tym rozmawiać.

Ale Guterak nie zamilkł.

- Nie robimy już tylu wycieczek. Za duże tłumy. A oni budują tę przeklętą platformę obserwacyjną. Jakby to był jakiś, kurwa, Wielki Kanion. Mają mieszkania z widokiem na Strefę Zero przeznaczone dla ratowników, a szefowie używają ich, żeby organizować tam imprezki, dmuchać dziewczyny i podawać drinki gwiazdom. Miliarde rom i aktorkom z oper mydlanych. Teraz to wszystko wygląda inaczej. Każdego dnia wywożą to gówno, które już nigdy tu nie wraca. Zabierają je do Fresh Kills i wygniatają, dopóki jak sok z pomarań czy nie wyjdzie cały papier i krew. Wtedy wracają po następną partię

- mówił z cichym jękiem. - Oni to wszystko zabiorą, Bri. Wszystko. Posegregują papier, spalą kawałki ciała, a wiesz, kto dostanie stal? Tłum. Ci pieprzeni szefowie rozdadzą całą stal tłumowi. Każdy do stanie po kawałku.

- Posłuchaj, Paul. Nie powinieneś w ten sposób mówić. Dobra? - Remy rozejrzał się po restauracji w poszukiwaniu mężczyzny z taksówki. - Musisz być ostrożny. Musisz być cicho.
- Taak - odparł Paul. - To właśnie powtarza ten mój agent. Za każdym razem, kiedy otwieram pieprzone usta, wyrzucam z siebie to, za co mogliby nam zapłacić. „Ty masz tylko jedną opowieść”, mówi. „Musisz jej strzec”. Obiecałem mu więc, że się zamknę - Paul pokręcił głową. - Ale nieraz wydaje mi się absurdalne, że nie rozmawiamy o tym gównie. Nieraz myślę, że to niedorzeczne, że nie wstajemy i nie krzyczymy o tym na głos.
- Paul - zaczął Remy.
- Chcę im po prostu powiedzieć: Zostawcie to! Wiesz? Niech zostawią to gówno. Wszystko. Te stosy i sterty. Po co ten, kurwa, pośpiech? Pozwólcie mnie i sikawkowym spędzić resztę życia na podnoszeniu po jednej rzeczy naraz, kiedy przyjdzie nam na to ochota.

Kelnerka dołała kawy.

- Może powinieneś się z kimś spotkać? - szepnął Remy. - Z te rapeutą?

- Z kim?

- Z terapeutą. Psychiatrą. Ja chyba mógłbym się z jakimś spotkać.

Paul wzruszył ramionami.

- Tam na dole mają przez cały czas psychologów i księży, którzy raz po raz usiłują zagadać i gapią się na mnie jak na psychola. Sikam pewnego dnia, a tu podchodzi do mnie taki koleś z kucykiem i pyta, jak sobie

radzę. Mówię: „Strumień jest okay, ale wygląda na to, że powinienem włączyć do diety więcej wody”. Na co ten sukinsyn bez poczucia humoru mówi: „Nie, przyjacielu, chcę wiedzieć, jak sobie radzisz”. Odwracam się więc do niego i pytam: „Naprawdę, przyjacielu, chcesz wiedzieć, jak sobie radzę?” On myśli, że znalazł jednego żywego i się rozkręca. „Tak”, mówi, a ja: „Nie tak, kurwa, dobrze, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć”. Ten dupek mówi: „No, nie martw się. Będzie lepiej”. Po prostu. Będzie lepiej. To mój pieprzony psycholog. Nie? I wiesz, co powiedziałem? Po powiedziałem: „Chrzań się. Nie chcę, żeby było lepiej”.

Jedli w ciszy. Remy obserwował drzwi, ale nie widział faceta z taksówki.

158

- Co się stało ze Stacy? - zapytał.
- Daj spokój, Brian.
- Zrób mi tę przyjemność - powiedział Remy.
- Zrobić ci tę przyjemność - Paul napił się kawy, wzruszył ramionami i zagapił się na widelec. - Cóż... to samo. Powiedziała, że może będzie lepiej, a ja jej odpowiedziałem: „Chrzań się Stacy. Nie chcę, żeby było lepiej”. - Ugryzł kęs zapiekanki i jedząc, patrzył przez okno na parking. Remy również wyjrzał. Srebrna taksówka przetoczyła się raz jeszcze, dwóch mężczyzn patrzyło prosto na...

Stojące przed nim biurko było gładkie, wzory na jasnym drewnie przypominały satelitarne obrazy wichur. Przesuwał palcami po prawie pustej powierzchni, po miesięcznym planie, na którym nie było ani jednego zapisu, po stojącej tyłem do niego plakietce z nazwiskiem. Odwrócił ją. Widniało na niej nazwisko: REMY. Obok plakietki stał telefon z przy-

ciskami na pięć linii, żadna z nich nie była jednak oznaczona. Podniósł słuchawkę, wsłuchał się w brzęczenie biurowego sygnału i odłożył ją. Był tam jeszcze wyłączony komputer. Remy nacisnął przycisk pod ekranem, ale nic się nie wydarzyło. Rozejrzał się po swoim pozbawionym okien biurze. Wyglądało na nowiutkie: ściany były prawie puste. Biuro miało odpowiednią wielkość, ściany z ciemnego drewna, dwa krzesła po drugiej stronie biurka i prawnicza przeszklona biblioteczka. Remy przykucnął przy niej w nadziei, że znajdzie jakąś wskazówkę o tym, co on robi w tym biurze. Ale jedyne, co znajdowało się na półce, to tomy World Book Encyclopedia z 1974 roku i dwa rzędy starych i spłowiałych roczników „Reader's Digest”, które wyglądały, jakby pochodziły z wyprzedaży podwórkowej. Na ścianie wisiało też zdjęcie, które przedstawiało go w Strefie Zero jednego z dni po - z jednej strony Szef, z drugiej prezydent. Remy patrzył na fotografię. Nie przypominał sobie spotkania z prezydentem. W biurze nie znajdowało się nic więcej - żadnych segregatorów, zdjęć April ani Edgara. Wrócił do biurka i zaczął otwierać szuflady. W najwyższej znalazł stertę formularzy ze słowem TAJNE napisanym tłustym drukiem u góry strony. Spróbował otworzyć dużą dolną szufladę, ale okazała się zamknięta. Środkowa była pusta, z wyjątkiem szarej koperty z napisanym na niej czarnymi, drukowanymi literami słowem REMY.

159

Podniósł cienką kopertę, odwrócił ją, umieścił na biurku i patrzył. Czy powinien ją otworzyć? Czy to jakiś raport o nim? Może test?

Wziął ten raport, podszedł do drzwi biura i otworzył je, szukając kogoś, kogo mógłby o niego zapytać. Wystawił głowę i rozejrzał się w obie strony, a potem w dół i w górę wyłożonego boazerią korytarza, który ciągnął się na

mniej więcej sto metrów w każdym kierunku. W korytarzu znajdowało się pół tuzina zamkniętych drzwi, wszystkie miały matowe szyby, ale nie wisiały na nich żadne tabliczki. Remy skręcił w prawo i doszedł do końca korytarza, który przybierał kształt litery T, po czym przechodził w kolejny korytarz. Tym razem Remy skręcił w lewo i przebył około piętnastu stóp, aż doszedł do drzwi wahadłowych, prowadzących do ogromnego pokoju, labiryntu boksów z miękkimi ścianami skąpanymi w świetle jarzeniówek. I znowu nie było okien. Słyszał cichy szmer rozmów i stukanie w klawiaturę komputera, jak deszcz. Boksy rozciągały się przed nim niczym wielkie pole uprawne, co jakieś dziesięć metrów podzielone jedynie słupkami. W pierwszym boksie kobieta waliła w klawiaturę komputera, na głowie miała słuchawki telefoniczne, a przed sobą zalaminowany dokument.

- Cholera, zrobił to - powiedziała - Bzdury. Przyjdź teraz!

Prawdopodobnie wyczuła obecność Remy'ego za plecami, bo się odwróciła.

- O, witam pana.

Remy podniósł kopertę ze swoim nazwiskiem.

- Czy wie pani...? - zaczął.

Kobieta wskazała na słuchawki, Remy kiwnął głową i wycofał się.

Opuściwszy pokój, ruszył w drugą stronę korytarza. Na samym końcu znalazł jeszcze bardziej imponujące drzwi, na których na matowej szybie widniał napis SECURE. Remy otworzył drzwi i zajrzał do środka. Przy okrągłym biurku jakaś kobieta przeglądała katalog meblowy. Znajdujące się za nią duże drzwi z ciemnego drewna prowadziły do kolejnego pomieszczenia. Remy cofnął się, puścił drzwi, skręcił w lewo i poszedł korytarzem, aż wreszcie znalazł się z tyłu, przy kolejnym wejściu do

ogromnego labiryntu boksów. Spojrzał przez ramię. Na ścianie nad drzwiami, przez które właśnie wszedł, wisiał następny znak, taki sam, jaki widział w hangarze i w barakach z falistej blachy. „Nasi wrogowie powinni wiedzieć, że Amerykanie nie spoczną, dopóki nie pokonają zła”.

160

W końcu Remy wrócił korytarzem w kształcie litery T i tą samą drogą do swojego biura. Tam dzwonił telefon. Wszedł i odebrał.

- Halo?
- O, dobrze, że ciągle tam jesteś - to był kobiecy głos.
- Ciągle jestem - powiedział Remy.
- Dostałeś kopertę, którą przesłał Shawn? Remy położył ją na biurku.
- Tak.
- Jak myślisz? Coś z tego się przyda?
- Hmm... chyba zbyt wcześnie, żeby powiedzieć - odparł Remy.

- Jasne - powiedziała kobieta. - Mówiłam im, że to może poczekać, aż on wróci z Waszyngtonu, ale znasz tych dupków z Partials...
- Czyżby? - zapytał Remy zdziwiony, że nie zabrzmiało to jak pytanie.
- Wiem. Są tacy tajemniczy. Mogłabym przysiąc, że potrafiliby doszukać się sensu w skrawku zużytego papieru toaletowego. Myślę, że oni przechodzą specjalne treningi w tym kierunku.
- Być może - odparł.
- Zauważyłeś, że wszyscy z Partials przestają w końcu mówić pełnymi zdaniami?

- Nie zauważyłem.
- W każdym razie są na ciebie przygotowani.
- Zgadza się. Kto znowu?

- Czy to nie była prawda? - kobieta zaśmiała się i rozłączyła.

Remy odłożył słuchawkę i otworzył kopertę. W środku znajdowały się dwie kartki zamknięte w plastikowych saszetkach na suwak. Jedna z nich okazała się pogniecioną kopertą zaadresowaną do Lisy Herote z Wirginii. To właśnie nazwisko Assan przekazał mu podczas przesłuchania. Na kopercie znajdował się ślad po kawie i plamka, która mogła być pozostałością po jogurcie, tak jakby kopertę znaleziono w śmieciach. Nie było adresu zwrotnego, ale ktoś przykleił żółtą flagę: „Sprawdzone z próbką Bishira - potwierdzone”.

Remy usłyszał kroki na korytarzu. Podniósł wzrok znad listu i dostrzegł sylwetkę mężczyzny za szybą z matowego szkła.

Odczekał chwilę, zanim się odezwał.

- Dzień dobry.

161

Sylwetka zniknęła.

Remy wrócił do przeglądania dokumentów leżących na biurku. W drugiej plastikowej torebeczce znajdowała się częściowo spalona kartka, jej rogi przypominały zwęglony tost.

Ostrożnie podniósł dokument i przeczytał, nie wyjmując go z torebki. Instynktownie nie dotykał palcami nadpalonych krawędzi, żeby ich nie skruszyć. Był to wydruk e-maila wysłanego z adresu MSeios@ ADR do BFenton w tej samej firmie. Prawy róg kartki był nadpalony i dało się odczytać tylko to, co znajdowało się po lewej stronie.

*Więc zgadnij, kto dzwonił zeszłej no
spałam. Co mam
wokół sprawia, że mnie osła
seks jest w porządku, mimo to i ja
część zainteresowania
martwić się o t
przerazona do
March*

Remy odwrócił dokument, ale po drugiej stronie niczego nie znalazł. Żółta flaga wskazywała na to, że kopia maila została „Wysłana przez Markham, Wydz. Śled., Dep. Dok. odbudowa w toku przez Partials”. Widniały tam trzy podpisy, ale żadnego nie rozpoznał.

Włożył obie torebki z powrotem do koperty, podszedł do drzwi i rozejrzał się po korytarzu. Ostatnim razem udał się w prawo, teraz skręcił w lewo do kolejnego rozgałęzienia, a potem dopiero w prawo. Już po paru krokach, zanim jeszcze przeszedł przez drzwi wahadłowe, zrozumiał, że znajdzie się ponownie w...

Niebo, niemożliwie bliskie, połyskiwało niczym tafla jeziora, Remy miał przewrotne złudzenie, że jeśli zrobi krok poza schody przeciwpożarowe, nie spadnie, ale uniesie się ku temu idealnemu jesiennemu błękitowi. Jako dziecko rokrocznie wyjeżdżał na obóz pływacki na północy stanu. Trener zawsze mu powtarzał, że będzie się unosił na powierzchni, jeśli tylko położy się na plecach i zaufa wodzie, która utrzyma jego ciało. W końcu pewnego lata w Wirginii, na zjeździe rodziny ze strony matki,

Remy spróbował tak zrobić. I uniół się. Było inaczej, niż się spodziewał. Nie unosił się na powierzchni wody, tylko, jak się zdawało, sam stał się wodą, unosił się wewnątrz niej. Może to była odpowiedź. Unosimy się w życiu, jak papier z nurtem wód. Trzeba się po prostu położyć i pozwolić sobie być.

Remy spojrzał na długi sztuciec, który trzymał w ręce, i wtedy dotarło do niego, że trzeba podnieść pokrywę na małym, węglowym grillu. Leżały tam trzy cienkie steki i wegetariański burger. Wszystkie skwierczały nad szarymi węgielkami. Nie dziwiąc się niczemu, przerzucił je na drugą stronę. Idealnie: czarne linie odznaczały się na stekach niczym kraty w celi. Zapach był tak idealny i tak daleki od Strefy Zero, że Remy po prostu stał tam i głęboko wdychał powietrze. „Racja, tak właśnie mają pachnieć steki”. Może więc nie znajdował się w jakimś osobliwym stanie, tylko było to samo życie. I może każdy żyje z chwili na chwilę. Czy nie wszyscy reagują na taki świat, jaki się jawi? Kto zna co innego niż moment, w którym akurat się znajduje? Czemu ufa? Pamięci? Historii? Nie, istnieją po prostu opowieści, i którąkolwiek wybierzemy, żeby ją sobie snuć - tę o własnym małżeństwie, czy tę o murze berlińskim

- zawsze znajdziemy jakieś luki. W całym kraju dziesiątki mężczyzn stoją z pewnością nad grillami, podobnie jak on, zastanawiając się, jakimi drogami ich życie doszło do tego miejsca.

Remy zaczął się rozglądać - klęczał na schodach pożarowych u April. W dole zobaczył idącą po chodniku parę, trzymali się za ręce, spadające przed nimi liście ćwiczyły się w robieniu gwiazdy. Ciche głosy tych dwojga rozbrzmiewały w górze i słyhać je było przy wyjściu na schody pożarowe. Mężczyzna mówił: „...i ten cholerny szczęściarz znalazł ostatniego

naganiacza w Park Slope".

Obok małego węglowego grilla stał kieliszek czerwonego wina. Remy podniósł go i spróbował. Ulżyło mu, że to wino. Każda przyczyna ma swój skutek. Dobre wino. Shiraz? Tak, zrobiło się lepiej. Są miejsca - z April w łóżku, tu, na schodach pożarowych - gdzie czuje, że osiadł na mieliźnie. Naprawdę. Steki, jak to steki, potrzebowały jeszcze kilku minut.

Wczołgał się przez okno do salonu April. Facet pod pięćdziesiątkę, o gęstych brązowych włosach, w czarnych okularach i sportowej marynarce siedział na jednym z krzeseł w ciasnym pokoju, popijając wino.

163

Na widok Remy'ego lekko się wyprostował. April usadowiła się w rogu kanapy, a z drugiej strony kobieta o ostrych rysach twarzy i krótkich, nastroszonych blond włosach. Była atrakcyjna w sposób charakterystyczny dla kobiet w pewnym wieku, i bezpośrednia w sposób charakterystyczny dla kogoś, kto skończył grę wstępną i już nie traci czasu. Uśmiechnęła się sztucznie do Remy'ego. Na szyi miała czerwoną apaszkę zawiązaną a la musznik - wyglądała, jakby ktoś podciął jej tętnicę szyjną. Jedynie między obiema paniami było wolne miejsce i Remy właśnie tam usiadł.

- Steki będą za kilka minut - rzekł.
- Nie mogę się doczekać - odparła kobieta.
- Pachnie smakowicie - dołączył mężczyzna.
- Musisz spróbować sekretnej marynaty Briana, Nicole - powiedziała April do kobiety.
- O! A z czego się składa? - zapytała Nicole z udawanym zainteresowaniem.

sowaniem, kierując na Remy'ego niemrugające niebieskie oczy niczym więzienne reflektory punktowe.

- No, wiesz - odparł Remy - nie mogę ci powiedzieć.

- Mówiłam, że to sekret - dodała April.

Śmiali się wszyscy, jak realni ludzie. Patrzyli na swoje drinki. Nicole odchrząknęła i odezwała się, co brzmiało, jakby czytała zdania ze scenariusza.

- Więc, April, jesteśmy tacy przejęci, że do nas wróciłaś.

- Dziękuję.

- To musiały być trudne chwile.

- Owszem.

- Podejrzewam, że nie sposób sobie wyobrazić, jak to było - mówiła Nicole.

- Nie, nie sposób - odparła April.

- To straszne, stracić dwoje bliskich w ten sposób.

- Mhm - mruknęła April.

- To musiało być okropne.

- Mhm.

- Tak - zdawało się, że Nicole w końcu zrozumiała, iż ten temat należy do zamkniętych. - No, dobrze, że już jesteś. Nasza grupa zatrzymała się na czwartym miejscu, jeśli chodzi o prowizję brutto, ale skoro

164

wróciłaś do zespołu, na pewno już przed końcem kwartału wskoczymy na trzecie.

- Mam nadzieję - odparła April bez przekonania.

- Tacy współpracownicy jak April cały czas odgrywają ogromną rolę - zwierzyła się Remy'emu Nicole. - Teraz wzrost wynosi poniżej czterdziestu.
- Och - powiedział.
- Przepraszam, że tak długo nie wracałam - April sięgnęła po dłoń Remy'ego.
- Och, mój Boże! Nie. - Nicole się przysunęła, jej okrągłe oczy powiększyły się z niepokoju. - Nie, nie, nie! Powiedziałam ci, żebyś wzięła tyle wolnego, ile potrzebujesz. Dajemy sobie radę. A jeśli chodzi o to, przez co przeszłaś... nie, to dobrze, że nie śpieszyłaś się z powrotem do pracy. - Napiała się wina. - Szczerze, April, przez te pierwsze miesiące był mały ruch. Ale teraz... praktycznie wróciliśmy do liczby notowań, którą mieliśmy wcześniej. Właściwie... - Przysunęła się jeszcze, jakby puszczała ważną plotkę. - Wszystko wskazuje na wzrost. Eksplozja. Znowu idziemy w górę, April. Rozżarzimy się do białości.
- Rozżarzimy się do białości - powtórzył mężczyzna w czarnych okularach, patrząc prosto na Remy'ego.
- Czas przestoju wygląda zupełnie jak nagły spadek - ciągnęła Nicole.
- Nagły spadek - powtórzył mężczyzna w ciemnych okularach.
- Wracasz w bardzo ekscytującym momencie - to znowu Nicole. - Będą innowacje... partnerstwa z deweloperami... kupowanie własnych akcji... opcje i zabezpieczenia. Louis mówi, że cały kraj wykorzysta swoje najsilniejsze atuty - zamilkła dramatycznie. - Jesteśmy pełni optymizmu - napiała się wina i pokręciła głową. - Obserwuj. Nieposkromione apetyty. Ludzie będą kupowali już na podstawie wzoru. Będą kupowali szkice artystów. Pomysły.

- Pomysły - powiedziała słabo April.

Remy skorzystał z okazji, żeby wstać.

- Założę się, że steki są gotowe - uśmiechnął się do Nicole. -1 twój sojburger.

April chwyciła jego dłoń, gdy wstawał, teraz zaś ją ścisnęła. A on dopiero wtedy zrozumiał, jak musi być zdenerwowana z powodu dzi-

165

siejszego spotkania z kobietą, która chyba jest jej szefową. Wyswobodził rękę i podszedł do okna, myśląc znowu, że może życie wróciło do normalności i że ta normalność jest ciągiem pojedynczych momentów oderwanych jeden od drugiego. Remy nie miał powodu sądzić, że kiedyś było inaczej. Pracujesz w biurze cały tydzień. Szefowa twojej dziewczyny, pośrednika w handlu nieruchomościami, przyszła z wizytą, a ty gotujesz im obiad. Kiedy zaś nadejdzie czas na spożycie posiłku, nie będzie miało znaczenia, czy to ty go zaplanowałeś. Danie nie martwi się o intencje kucharza - zostaje po prostu zjedzone. W całym mieście, w całym kraju, ludzie wstają z łóżek, uganiają się za tym i owym, walczą, potem wracają w nocy, żeby zasnąć. Liczy się tylko wstawanie, gonitwa, walka i sen. Jeżdżą samochodami zrobionymi w miejscach, w których nigdy nie byli, używają telefonów komórkowych, komputerów i tysiąca innych wynalazków złożonych z drobnych elementów, a zwiezionych z fabryk na całym świecie, z miejsc, których istnienia nikt nie może być pewien, elementów wykonanych według technologii, których nie można nawet postarać się zrozumieć. Wiadomości są nadawane bez względu na to, czyje ktoś ogląda. I nikt nigdy się nie zatrzymuje, żeby krzyknąć: „Zaraz! Nie rozumiem, jak wyprodukowano taki samochód! Dlaczego ten telefon robi

zdjęcia!" Ludzie odbierają telefony. Zajadają steki. A gdy pewnego ranka budzą się rozwiedzeni lub chorzy na raka albo gdy okazuje się, że są na wojnie, zakładają, że rzeczywistość to nierozwiązalne różnice, złośliwe guzy, przeczucie zła.

To jest życie, pomyślał, gładkie podskakujące kamienie, odbijające się od powierzchni czasu, z krótkimi momentami wzmożonej przytomności, gdy człowiek uderza o wodę, zanim wzięci w powietrze, frunąc ponad drogą, ponad tygodniami przesiedzianymi przy biurku, rad, gdy podskakiwanie ustanie, rad, że spędza resztę życia w swego rodzaju zmiennych stanach zadowolenia, z mącą się świadomością, przez stracone weekendy, w blasku telewizora ogrzewającego spokojne twarze, linie uśmiechu narastające w oślepiającym świetle ekranu. Dopił wino.

Na balkonie było chłodno. Pijany Remy głęboko oddychał miejskim powietrzem. Steki pachniały tak przyjemnie, że ledwo to wytrzymał. Oczy zaszyły mu łzami, kiedy sięgał po pokrywę, jak...

166

Siedział zdezorientowany w swoim samochodzie. Zastanawiał się, czy luki w pamięci jakoś się nie pogłębiają. Może miało to coś wspólnego z samochodem, ponieważ najgorsze przeskoki w pewien sposób wiązały się z jazdą. Zdarzały się, gdy był na drodze lub czekał w korku, wystarczyło, że spojrzał w górę, a już znajdował się w tunelu albo na płatnej autostradzie, nie mając pojęcia, dokąd lub skąd zmierza (raz okazało się, że jest mokry po pas i śmierdzi ściekami). Kiedy indziej znów znalazł się nagle w nieznanym sobie dzielnicy, siedział w zaparkowanym przed budynkiem samochodzie, mając na kolanach otwarty notes, a na szyi lornetkę.

Tym razem natychmiast rozejrzał się w poszukiwaniu lornetki, do-

myślając się, że ma jakieś zadanie, którego elementy będzie musiał potem poskładać do kupy lub zwyczajnie odrzucić. Ale szybko się zorientował, że w samochodzie nie ma ani lornetki, ani notesu. Był na jakichś przedmieściach. I nagle zrozumiał, gdzie jest, rozpoznał dzielnicę oraz duży dom Carli i Steve'a, znajdujący się w stadzie innych podobnych, dużych budynków, które pasły się w ślepej uliczce na łagodnym zboczu wzgórza. W tej niespełna dwuletniej dzielnicy, gdzie, jak kiedyś powiedział Steve, występowały cztery podstawowe modele budynków, a jego - ten z ceglana fasadą i gankiem z filarami - był najdroższy, „sto tysiali ekstra”. Remy sprawdził, która godzina. Piętnaście po trzeciej. Dobra, ale co on tu robi o trzeciej piętnaście po południu? Ma na sobie spodnie khaki i kurtkę na zamek błyskawiczny. Nie stoi tuż pod domem Edgara, ale cztery posesje dalej. Rozejrzał się po okolicy. Większość trawników była obrzydliwie zielona, jak mokry mech; na niektórych ciągle jeszcze odcinały się łączenia pasów świeżej murawy - idealne małe kawałki, niczym filc na stole bilardowym. Ile razy zakręcał kosiarz? Cztery? Pięć? I to przed kilkoma domami, bo te małe skrawki trawy zaczynały w niektórych miejscach więdnąć, brązowe kółka jak starcze plamy, gdy korzenie nie zdołały przytwierdzić się do podłoża. W większości ogródków stały także cherlawe drzewa, wciąż młode, podtrzymywane palikami i opatulone w grube płótno. Cieniutkie pnie były owinięte żółtymi wstążeczkami, jak szyje szalikami.

Remy usłyszał pisk hydraulicznych hamulców i we wstecznym lusterku spostrzegł, że za nim na rogu zatrzymuje się szkolny autobus. Dał się słyszeć syk otwieranych drzwi, którymi wyszedł Edgar i jeszcze jeden chłopiec. Obaj podążyli w przeciwnych kierunkach, nie mówiąc

do siebie ani słowa, niczym uczestnicy pojedynku, którzy zapomnieli odwrócić się do walki. Zapaliły się światła stopu, zamigotały i autobus ruszył. Idąc chodnikiem w stronę domu Carli po drugiej stronie ulicy, Edgar podrygiwał w rytm muzyki, którą słyszał przez małe słuchawki. Wyglądał dobrze, chociaż trudno to było stwierdzić z powodu luźnych ubrań, bluzy z kapturem i spodni spiętrzonych przy kostkach nad klapiącymi tenisówkami. Remy'emu wydawało się, że Edgar zerknął na samochód, ale chłopiec wciąż szedł w stronę domu, jakby nie zauważył ojca. Przystanął obok skrzynki na listy, wyjął kilka katalogów i ruszył dalej, schodami na kolumnowy ganek, poszukał w kieszeni klucza, włożył go do zamka i zniknął w domu. Remy miał wrażenie, że mignęła mu w oknie twarz syna, ale zniknęła zbyt szybko, żeby mógł powiedzieć to z całą pewnością. Kilka minut później Edgar wyszedł z domu tak samo ubrany i oddalił się sprężystym krokiem, w ogóle nie patrząc na samochód ojca.

Remy siedział jeszcze przez chwilę, próbując sobie wyobrazić, co mógłby powiedzieć Edgardowi, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Kurczę, nie wydawało się to takie dziwne, że o tym pomyślał - ojciec, niepewny, co powiedzieć synowi i stanowiący dla niego udawkę w jego okresie dojrzewania. Minutę później Remy odpalił silnik i odjechał.

Szedł pod prąd. Na wąskich schodach panował dość niecywilizowany pośpiech. W mijającym go tłumie ludzi dostrzegł coś znajomego, coś, co pamiętał z tamtego dnia, ale odwrotnego, jak na negatywie fotograficznym: oni wspinali się po schodach, po których on schodził.

- Przepraszam, przepraszam - powtarzał raz za razem Remy, przepychając się ramionami, ręce i kolana ocierały się o mijanych ludzi, ale i tak nikt nie zwracał na niego uwagi ani przedtem, ani potem, gdy przepaszając,

usiłował wywalczyć sobie przejście. Ślali gdzieś ponad nim błagalne spojrzenia, ręce trzymali w górze, jakby w każdym momencie byli gotowi torować sobie drogę do wyjścia ze stacji metra. Wyglądali dość znajomo, te twarze z nienaturalną żądzą wydostania się stąd, z ledwie powstrzymaną paniką - twarz z podziemia, twarz z windy, twarz ze stacji kolejowej. Widział wtedy, jak ludzie w tłumie wstrzymują oddech; teraz zobaczył to znowu, gdy wchodzili po schodach, trzymając kurczowo torebki, aktówki i torby z zakupami, jakby to były niemowlę-

168

ta. Popychali własne dzieci niczym bagaże w drodze samolotu, mrużąc: „No, dalej, dalej, dalej” i wyciągając wysoko szyje, by zorientować się, co i dlaczego zajmuje tyle czasu tam u szczytu schodów, gdzie inni wychodzą na zalane deszczem ulice i... Powietrze! Czy jakiegokolwiek inne miasto ceniło powietrze bardziej niż obecnie to miasto? U dołu schodów twarze były bardziej szalone, łzy płynęły po twarzy kobiety, która trzymała wysoko przy piersi małą córeczkę z warkoczykami..

- Proszę - na tyle potrafiła się zdobyć - mam dziecko. Proszę.

Kiedy Remy dotarł niemal do końca schodów, do ostatniego ciemnego podestu, rzeka ludzi wyraźnie się zwężyła. Zostali tylko maruderzy, pracownicy metra oraz bezdomna kobieta, grająca na saksofonie, który wyglądał, jakby przetrwał burzę gradową. Wyciągała otwartą dłoń po datki, nawet gdy ją ewakuowano. Gdy otarli się o siebie, Remy'emu udało się wcisnąć jej dolara.

Jej dłoń była szorstka i zrogowaciała.

- Bóg zapłać - szepnęła, a trzymając już pieniądze w ręku, dodała: - Dupek.

Zapachy, które Remy czuł, kojarzył z kioskami i mapami metra, chociaż zastanawiał się, czy te rzeczy same w sobie mogłyby tak śmierdzieć.

Gdy schodził, miejsce gryzącego pyłu ze Strefy Zero zajęła na moment atmosfera metra; Remy oddychał więc spalonymi hamulcami, pieczonymi kasztanami i rozlaną kawą, jakby był to piękny ogród.

Boksy metra były puste. Remy nie miał żetonów, ale znalazł otwartą bramkę. Nerwowy policjant pracujący w podziemiach, gruby funkcjonariusz w czarnych butach stał na peronie, dźwigając swój znaczny ciężar i oddychając przez papierową maseczkę chirurgiczną. Zdjął ją i powiedział na bezdechu:

- Ty ekspert?
- Czemu nie? - odwzajemnił się Remy pytaniem.

- O, tam - odparł policjant i nałożył maskę. Remy popatrzył we wskazanym kierunku, gdzie był mały punkt etapowy, na którym dwóch innych gliniarzy zakładało taśmę policyjną, a dwóch agentów ubranych w kombinezony kosmiczne stało w pobliżu i robiło zdjęcia plecaka opartego o filar. Okazało się, że z plecaka wysypuje się biały proszek.

169

- Jakiś cywil to dostrzegł. Dwanaście minut temu. - Gliniarz szybko założył maseczkę na twarz. Sięgnął do kieszeni i wyjął papierową maskę dla Remy'ego, który ją zignorował, i ponownie spojrzał w stronę białego proszku.
- Może taki właśnie jest los żołnierza - powiedział Remy. - Idziesz naprzód, bo jak się zatrzymasz i zaczniesz myśleć o kontekście, o tym, co to wszystko znaczy, to po prostu zwariujesz.

- O czy pan mówi? - zapytał przez maskę gliniarz z metra.
- Ach, o niczym - Remy podszedł do plecaka.

W tym momencie zbliżyli się do niego faceci w kombinezonach. **Dał się** słyszeć trzask. Dobięł go także głos z lewego kombinezonu.

- To chyba pan jest facetem, którego przysłali z Dokumentacji.
- Chyba tak - powiedział Remy.

Facet w kombinezonie pokiwał głową.

- Głupie pytanie. Przepraszam - Mrugnął. - Znaleźliśmy jakieś papiery w torbie, w pobliżu NPM.
- NPM? - zapytał Remy.
- Niezidentyfikowany Podejrzany Materiał - wyjaśnił drugi facet w kombinezonie. - Na tych papierach są jakieś zagadkowe napisy, myślimy, że może to być coś w rodzaju manifestu, więc powiedzieli, żeby was wezwać.
- Manifest - zgodził się drugi agent.

Remy przeszedł między obydwojma mężczyznami i podążył w stronę plecaka.

- Hej! Co pan robi? Nie powinien pan zaczekać... aż ktoś przyjdzie? - zawołał za nim jeden z facetów w kombinezonach.
- Ja jestem tym ktosiem - odparł Remy.

Z bliska dostrzegł biały proszek rozsypany na ziemi w pobliżu plecaka. Pochylił się, zanurzył palec w proszku, a potem dotknął języka.

- Jezu! Co pan robi? - zapytał facet w kombinezonie.
- To śmietanka do kawy. - Remy'ego zaskoczyła nuta rozczarowania we własnym głosie. Na ulicy znajdującej się ponad nimi rozlegały się syreny. - Wanilia.

Podniósł plecak i wysypał jego zawartość na peron. Zaczął grzebać w pozostałych rzeczach: kołonoratnik, obwarzanek w celofanie, dozownik tabletek antykoncepcyjnych, paczka papierosów, kilka zapalek i ja-

170

kiś zapisek na książce zatytułowanej *W labiryncie*. Remy go przeczytał. Książka nieszczerólnie podobała się czytelniczce. Napisała, że jest zbyt rozwlekła, zbyt trudna, by za nią nadażyć. Remy otworzył zeszyt. Z prawej strony w rogu widniało nazwisko dziewczyny, Ailea Mendez. Był tam też numer telefonu. Remy ostrożnie schował do plecaka manifest Ailei Mendez, wyprostował się i podszedł do...

Gdyby Remy miał zgadywać, powiedziałby, że ów mężczyzna jest prawnikiem, i to dobrym. Nosił ciemny garnitur i mokasyny z frędzlami. Było coś w sposobie, w jaki przesuwał po stole konferencyjnym swój duży tylek w spodniach - niczym dzieciak, który pokazuje kumplom swoje nowe auto - używając wskaźnika i przedstawiając wyświetlaną na ścianie prezentację z PowerPointa. Niebieski ekran z czerwonymi literami, obiecujący przedstawić podstawowe dane dotyczące starania się o „Odszkodowania federalne dla ofiar lub ich rodzin”.

April siedziała na krześle obok Remy'ego, trzymała jego dłoń, a właściwie miażdżyła mu palce w swojej spoconej pięści. Miała na sobie gładką bluzkę i biały sweterek z koronką zapięty na jeden guzik. Remy'emu wydawało się, że gdyby nie ten jeden jedyny guzik, cała by się rozpadła. Oddychała nierównno.

Slajd PowerPointa: *i. Spadkobierca/ofiara zgadza się nie wnosić żadnych roszczeń wobec linii lotniczych, miasta, rządu federalnego itd.*

- Jest pani pewna co do tej części... - zaczął prawnik.
- Tak - powiedziała szybko April - myślę, że tak.
- Dobrze - odparł - ponieważ to jest pierwszy krok. Ostatecznie będzie chyba blisko dziewięćdziesiąt osiem procent ofiar. Tak... jest pani w dobrej firmie. - Uśmiechnął się, szczerząc kołkowane zęby, i przełączył na kolejny ekran: *2. Ból i cierpienie psychiczne: wzór obliczenia.*

Z gardła April wydobył się odgłos, coś między westchnieniem a stęknięciem, jakby uszło z niej powietrze. Próbowwała udawać, że odchrząkuje. Remy wziął ją za rękę.

- Wszyscy zaczynają od podstawy dwieście pięćdziesiąt tysięcy - powiedział prawnik. Wysunął szczękę i podrapał się po prawej stronie szyi, pokrytej pozostałą po goleniu fioletową wysypką wielkości mandarynki. - Za ból i psychiczne cierpienie. Poradniki w ten właśnie sposób pokazują, ile warte jest życie jednostki, przede wszystkim na

171

podstawowym poziomie żalu. Jeśli dojdziemy do procesu apelacyjnego, zawsze możemy tłumaczyć się szczególnymi okolicznościami, ale w pani przypadku, uwzględniając niedawną separację między panią a zmarłym, lepiej będzie wziąć dwieście pięćdziesiąt tysięcy i nie otwierać puszek Pandory - delikatnie pogładził krosty. - Jest jedna kwestia, którą musimy przedyskutować - rzekł prawnik - i będzie to trudne, chociaż konieczne. Proszę zrozumieć. Muszę zapytać. Czy istnieje możliwość... że ktoś inny... że ktoś również mógłby wysunąć takie roszczenie?

- Ach - ręka April zaczęła lekko drżeć. - Czy rodzice Dereka chcą pieniędzy? Ponieważ ja chciałam...
- Nie, nie. Nie jego rodzice. Nie to miałem na myśli. Oni mogliby to

zakwestionować, oczywiście, ponieważ jednak Derek nie zostawił testamentu, ten przypadek podpada pod stanowe ustawy o prawie dziedziczenia, które gwarantuje współmałżonkowi cały majątek, zatem w tym przypadku wszystko należy się pani.

- Mimo że nie byliśmy razem?
 - Separacja to nie to samo, co rozwód. Jeszcze mogliście do siebie wrócić.
- Nie wrócilibyśmy - wtrąciła szybko April.
 - Rozumiem pani uczucia, ale jeśli mógłbym... pani tego nie wie. Z całą pewnością nie mogą tego również wiedzieć ani matka pana Krafta, ani jego ojczym. Inspektor przesłuchujący i specjalny wyższy urzędnik sądowy będą przestrzegali zasad Funduszu Odszkodowawczego, a te jasno stanowią, że współmałżonek ma prawo do pełnego odszkodowania za ból i cierpienie. Także rodzice mogą wskazać na kilka aspektów poniesionej straty, szczególnie jeśli zmarły wspierał ich finansowo, sporadycznie lub regularnie dokładając się do ich dochodów. Ale nie o to mi chodzi, kiedy pytam, czy ktoś inny może wysuwać roszczenia, miałem na myśli... kobietę, dziewczynę...

- Ach - April spuściła wzrok. - Był ktoś - powiedziała cicho. Zerknęła na Remy'ego i z powrotem wpatrzyła się w podłogę.

- Kobieta - rzekł prawnik tonem stwierdzenia - Tak.

Odwrócił się lekko w ich stronę i przestał się gładzić po wysypce. Remy pomyślał, że mężczyzna wygląda... na podnieconego.

- Myśli pani, że ona będzie wysuwać roszczenia?

- Nie - odparła April.

- Rozumiem, że to trudne, ale musi mi pani opowiedzieć o ich związku, w razie gdyby jakimś cudem pojawiły się dzieci albo jakiś podpisany przez niego dokument.

Wydawało się, że April cedzi każde słowo.

- Nie było żadnych dzieci. I ona nie będzie niczego żądać. Prawnik spojrzał na Remy'ego.

- Mimo to muszę mieć informacje...

- Pracowała w jego biurze - powiedziała April. - I też nie żyje.

- Ach - rzekł prawnik, a Remy mógł stwierdzić, że ucieszyło go to, iż nie spotka po drodze żadnych przeszkód...

- Romans w biurze. Jasne. Stara historia - przypomniał sobie o klientce.
- Przepraszam.

- Aleja chcę, żeby rodzice Dereka dostali część pieniędzy - powiedziała April, próbując zmienić temat.

Prawnik zza dwuogniskowych okularów popatrzył na nią z dezaprobatą.

- Nie radziłbym - spojrzał na Remy'ego, jakby miał nadzieję, że ten przemówi jej do rozumu. - Jeśli da im pani pieniądze, nie można wykluczyć, że podejmą kroki, by dostać więcej... W efekcie da im to do zrozumienia, że wierzy pani, iż na to zasługują.

- Bo zasługują.

Prawnik zaczął się irytować.

- Mam obowiązek przypomnieć pani... że ma pani prawo... do całego majątku po zmarłym. Całego. Co pani dalej robi, no cóż... - A po namyśle dodał: - Ale powinna pani wiedzieć, że nawet jeśli da pani jego rodzinie pewną sumę pieniędzy, to moje honorarium stanowi pewien

procent od całego rozliczenia, a nie od części, którą postanowi pani za trzymać. Powinna pani więc...

Przełączył na kolejny slajd.

- Proszę o tym pamiętać.

Na ekranie ukazał się tekst: 3. *Factoring z pozostałymi na utrzymaniu*. Prawnik odwrócił głowę do ściany.

- Tak. Krewni. Ma pani także prawo do stu pięćdziesięciu tysięcy na każdego członka rodziny pozostającego na utrzymaniu... ale nie mieliście dzieci, zgadza się?

173

- Zgadza się.
- Swego czasu jednak planowali państwo potomstwo?
- Nie. Nie planowaliśmy.
 - Chodzi mi o to, że w którymś momencie musieli państwo rozmawiać o dzieciach - wyjaśnił, jakby podsuwał April pewną sugestię. - Młoda para... i te sprawy.
- Nie. Powiedziałam panu, że byliśmy w separacji.
 - Oczywiście. Rozumiem. To już ustaliliśmy. Ale z całą pewnością w którymś momencie rozmawiali państwo o dzieciach.
- Nie. Nigdy nie poruszaliśmy tego tematu.

Ponownie zwrócił się w ich stronę, ociężale, jakby to była jakaś mordęga, żeby spojrzeć w inną stronę niż na swojego PowerPointa. Ręka szybko powędrowała ku wysypce na szyi.

- Pani Kraft, proszę posłuchać. Nie mam zamiaru sugerować, co powinna pani powiedzieć, ale jaka para przynajmniej raz nie rozma-

wia o dzieciach? Rozumie pani? To są szczegóły, które mogą wpłynąć na przesłuchującego i urzędnika sądowego. I mają znaczenie przy zasądzeniu odszkodowania...

- Nie planowaliśmy dzieci.
- Młoda, atrakcyjna para, całe życie przed nimi, planowali powiększenie rodziny, ale mieli trudny okres, tymczasową, próbną separację...
- Nie mogę mieć dzieci - przerwała mu cicho April. - Wycięto mi macicę, gdy miałam dziewiętnaście lat.
- Ach - powiedzieli w tym samym momencie Remy i prawnik. April spojrzała na Remy'ego.

Prawnik wysunął szczękę.

- Okay. W porządku - otworzył usta.

Remy pomyślał, że adwokat i tutaj znajdzie jakąś korzystną okoliczność, ale chyba poczuł, że nie powinien, bo tylko pokiwał głową i przełączył na następny slajd PowerPointa. 4. *Wyliczanie przyszłych dochodów.*

Prawnik wyjął okulary, założył je i popatrzył na wykres na ścianie.

- To godne ubolewania, ale będzie tego o wiele mniej, niż zmarły mógł w rzeczywistości zarobić... w taki właśnie sposób wypłacane są te odszkodowania... ale powinna pani wiedzieć, że w pani przypadku bę-

174

dziemy starali się o więcej, ponieważ, szczerze mówiąc, to jeden z niewielu obszarów, gdzie możemy uzyskać lepszą pozycję... A teraz, w rubrykach uwzględniających wiek i dochody, przewiduje się, że... - Spojrzał w dół na

swój notes, żeby znaleźć imię. - Całe przewidywane zarobki Dereka mogłyby wynieść dwa miliony dwieście tysięcy, ale my wystąpimy o uznanie za podstawę trzech milionów, oprzemy się bowiem na naturze prawa handlowego, zakładającego, że tam, gdzie jest wysokie ryzyko, tam jest wysoki zysk. Wykorzystamy też jego akta osobowe i powiemy o potencjale Dereka do pozyskiwania partnerów. Nie dadzą pani takiej sumy, ale musimy o nią wystąpić. Dobrze by było, gdyby dostarczyła pani wyciągi z wysokością pensji, roczne PIT-y, kopie wpłat podatku dochodowego, odcinki wypłat premii, które mógł posiadać... to by nam bardzo pomogło.

April pokiwała głową, nie podnosząc wzroku.

- Tak jak i inne dokumenty: rachunki za badania, wydatki na po grzeb, wizyty u psychologa, do którego mogła się pani udać, wszelkie dochody po opodatkowaniu, które mógł mieć pani mąż. Przedstawimy również argument, że Derek jako specjalista od prawa kontraktowego, posiadający stopień naukowy w dziedzinie finansów, praktycznie nie miał szans na bezrobocie - Uśmiechnął się do April. - Tak to jest, gdy dostaje pani odszkodowanie za to, że on spędzał cały czas w pracy.

Remy zakasłał i oboje spojrzeli na niego, jakby chciał na coś zwrócić uwagę. Prawnik przestał na nich patrzeć i spuścił głowę. W końcu zerknął na ścianę, a wtedy przyszło mu na myśl jeszcze coś. Odwrócił się w stronę Remy'ego i April:

- Czy może pani przynieść zdjęcia na przesłuchanie?
- Zdjęcia?
- Tak. Ślubne zdjęcia, zdjęcia z wakacji, świąt, i tym podobne. Fotografie są niesamowicie przekonujące. Może pani opowiedzieć najbardziej ckliwą historyjkę pod słońcem, ale tak naprawdę sprzedadzą ją

dopiero zdjęcia. - Już miał się odwrócić w stronę ekranu, ale pomyślał o czymś jeszcze. - Och. Proszę też przynieść zdjęcia siostry. Oczywiście, nie posiada pani praw do jej majątku, ale nie zaszkodzi mieć zdjęcia pod ręką.

- Przepraszam - April poderwała się i wyszła z pokoju, zakrywając usta ręką.

175

Prawnik znowu wystawił szczękę, znowu pogłaskał się po szyi i westchnął:

- To się często zdarza. To... trudne.

Czekali w milczeniu kilka minut, aż prawnik spojrział na zegarek.

- U mnie jest pora obiadowa, więc powiem panu resztę, a pan wytłumaczy to potem pani Kraft, dobrze?

Zaczął przesłakiwać slajdy PowerPointa, zatrzymując się na najważniejszych.

Remy zerknął na korytarz, żeby zobaczyć, gdzie podziała się April.

- To są analizy odliczeń, które komisja przyznająca odszkodowania odejmie od całości: ubezpieczenie na życie, plany emerytalne, ubezpieczenie społeczne, odszkodowanie pracowników, suma, która, jak obliczyliśmy, wyniesie milion sześćset tysięcy, i jeśli odejmiemy ją teraz od dwóch milionów siedmiuset uznanych przez nas za podstawę...
- Niezbyt dobrze zapamiętuję różne rzeczy - zauważył Remy chrapliwym głosem.
- Proszę się nie martwić. Wszystko to znajdzie się w raporcie, który otrzyma pani Kraft. - Przeskoczył jeszcze kilka slajdów, zanim doszedł do strony zapisanej mniejszym drukiem niż pozostałe. Była to analiza

honorarium, które weźmie kancelaria prawnicza. Powiedział, że biorą obniżoną stawkę, ale wskazał na dwie kolumny u dołu strony, odliczenia za „Delegowaną traumę” i „Trud współczucia”.

Remy przysunął się bliżej. Trud współczucia?

•To dla... pana?

•Tak. Dla prawników zajmujących się tą sprawą. Jak sobie pan może wyobrazić, to są trudne sprawy... emocjonalnie - Zdjął okulary i wytarł suche oczy. Wtedy przyszło mu do głowy coś jeszcze i ponownie założył szkła. Popatrzył uważnie na Remy'ego.

- O, gdyby to pana niepokoiło, April może ponownie wyjść za mąż i nie będzie to miało żadnego wpływu na jej majątek. Inny mi słowy, nie będzie pan musiał czekać - Uśmiechnął się, jakby on i Remy pracowali w tym samym zawodzie. - Więc to dobrze. Dla pana. Oczywiście.

Uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni, z której wyjął pudełeczko miętusów, i poczęstował Remy'ego...

176

Ogromna ciężarówka, największa, jaką kiedykolwiek widział, stała na podnośniku tuż przed nim. Był to pickup wysokości dwupiętrowego budynku, o kołach większych niż człowiek. Na początku Remy pomyślał, że stracił zmysł orientacji, że oczy płatają mu figle, ale rzeczywiście widział ogromną ciężarówkę. Rozejrzał się. Znajdował się na jakiejś pustej i ciemnej arenie, tylko reflektory oświetlały brudną podłogę na środku i stojącą tam tę wielką ciężarówkę. Przyjrzał się jej dokładniej. Była dwukolorowa, czerwona i niebieska, amerykańskie flagi wymalowane sprayem powiewały na niewidzialnym wietrze, spoglądał z nich gniewnie orzeł siedzący na masce, a

na drzwiach widniały długie listy znajomo brzmiących nazwisk - policjantów i strażaków, Włochów, Irlandczyków i Latynosów, jakby to był harmonogram rozgrywek piłkarskiej ligi szkół katolickich.

- I co myślisz? - Guterak obszedł samochód dookoła i wpatrując się w niego, stanął obok Remy'ego. W garniturze, ale bez krawata, ze starannie wyznaczonym przedziałkiem. Wyglądał na zdenerwowanego. Zdawało się, że jego głos zanika na tej pustej arenie.
- Wielka ciężarówka - powiedział Remy.
- No - odparł Paul. - Całkiem fajna. Hej, jeszcze raz dzięki, że przyszedłeś.
- Jasne.
- Imponująca z bliska, prawda? - Usłyszeli głos za plecami.

Remy odwrócił się i zobaczył kobietę, wychodzącą z zapadni w podłódze areny. Miała kręcone, brązowe włosy, rozjaśnione na końcach. Była ubrana w wąską, dzinsową spódnicę niczym piosenkarka country. Na głowie miała słuchawki od telefonu komórkowego i wyglądała, jakby właśnie odeszła od okienka dla kierowców baru szybkiej obsługi.

Podeszła i podała Guterakowi jakieś dokumenty.

- Proszę, Paul. Kontrasygnowane kontrakty, tak jak Michael obiecywał. I plan na przyszły tydzień.
- Codziennie o dziewiętnastej wyścigi traktorów, po nich demonstracja, a przed samym finałem chwila ciszy. I wtedy ty wchodzisz.

Kobieta była po trzydziestce, a jej szczupłe nogi znikwały w wymyślnych kowbojskich butach. Uśmiechnęła się.

- Zapowiemy: „Ciężarówka z Orłem, Bohater Numer Jeden” i wtedy wejdiesz, razem ze strażakiem... - zerknęła na notatki - Davidem

Ryanem. Obaj będziecie w mundurach. Ruszycie, pomachacie do ludzi,

177

popatrzycie... wiesz... poważnie, czy jak tam będziecie chcieli. Wejdziecie po schodkach i staniecie w ciemnościach na platformie. Zdejmiecie czapki. Chwila ciszy i bum! Zapalą się światła, puścimy *America the Beautiful* i wtedy wyjdzie Bohater Numer Jeden. Ludzie dostaną świra, a ciężarówka rozjedzie całą tę kupę gówna i wszyscy rozejdą się do domów. Proste, prawda? Założę się, że to dużo prostsze niż ściganie bandytów.

Kobieta podała Paulowi ulotkę, którą ten przeczytał i przekazał Remy'emu.

**ZMIENIAMY ARENĘ WETERANÓW W
OGROMNY DÓŁ BŁOTA,
BY UCZCIĆ PAMIĘĆ ZMARŁYCH
BOHATERÓW!**

Wyścigi traktorów, olbrzymich ciężarówek, derby zniszczenia!

I po raz pierwszy na świecie:

„Ciężarówka z Orłem, Bohater Numer Jeden”

z dojmującym pokazem obrazów namalowanych pistoletem
natryskowym, przedstawiających zmarłych bohaterów Ameryki.

10% wpływów zostanie przeznaczone na fundusz dla wdów i sierot.

- A kiedy zaczynam mówić? - zapytał Paul, gdy przekartkował scenariusz.
- Mówić? - zapytała kobieta. - O czym?
- No - Paul rozejrzał się po arenie - nie wiem. Może źle zrozumiałem.

Myślałem, że mam zacząć mówić.

- Nie, nie - Uśmiechnęła się kobieta. - Nie ma potrzeby, żebyś mówił.
- Ach, tak. Rozumiem. Myślałem, że będę coś opowiadał.
- Nie. Żadnych opowieści.

Paul zrobił kilka kroków i popatrzył na ciężarówkę.

- Nie. Widzisz, kiedy ja to właśnie robię... Opowiadam. Wiesz... o tym, co widziałem.
- Nie - odparła - żadnych opowieści. - Przysunęła się. - Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby ludzie ich jeszcze oczekiwali. Przez

178

pewien czas tego chcieli. Ale myślę, że mają już dosyć. To już minęło. Nie, ty masz po prostu... odpowiednio wyglądać.

Wzruszyła ramionami, otworzyła torebkę i podała Paulowi kopertę. Trzymał ją przez chwilę, zanim zdecydował się otworzyć.

Kiedy Guterak patrzył na czek, Remy podszedł do ciężarówki i zaczął odczytywać listę nazwisk. Rzeczywiście były wymalowane pistoletem natryskowym i to z takim artyzmem, że cienie wydawały się prawdziwe, a litery miały niepokojącą głębię. Nazwiska - wszystko, co pozostało po dobrych ludziach - wyrastały jak blizny ze zluszczającej się farby do metalu.

Dokument kształtem przypominał zarys Australii. W zasadzie była to w pewnym sensie Australia, opalone brzegi dokumentu idealnie odwzorowywały kontur wybrzeża, charakterystyczny... gruby, podłużny kształt kontynentu, zagięty w środku, z dziurką na górze, idealnie odpowiadającą zatoce Karpentaria. Na szczęście ktoś dołączył do pliku obecną mapę

Australii. Remy przerosił wzrok z opalonej kartki na mapę i z powrotem, a także na żółtą flagę na plastikowej torebce, w której umieszczono dokument. „Przesłać do ZABEZPIECZENIA. Czy to nie przedziwne? Czyż to nie wygląda jak Australia? - S.M.”

Remy rozejrzył się wokoło. Siedział za biurkiem. Ściany nadal były puste, z wyjątkiem fotografii przedstawiającej go z Szeferem i prezydentem, nic więcej nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek tu pracował. Otworzył górną szufladę, znalazł długopis i napisał na fladze „tak”. Po chwili podpisał się inicjałami. Zanim nastał tamten dzień i zanim ta kartka zmieniła się w Australię, stanowiła jedynie zestawienie wydatków ze spotkania na lunchu March Selios z mężczyzną o nazwisku Bobby al-Zamil, którego zidentyfikowano jako wicepre... (reszta tekstu spłonęła w okolicach Wielkiej Pustyni Piaskowej), z restauracji „Feynman-Mid-Ea...” (dalszy ciąg spalony w pobliżu gęsto zaludnionych terenów niedaleko Melbourne i Sydney).

Remy rozejrzył się po biurze. Ponownie odwrócił plakietkę tylko po to, żeby się upewnić. Widniało na niej nazwisko REMY. Dobrze. Poczował, że może traktować luki z nonszalancją i uznał, że najlepiej będzie z takim samym wzruszeniem ramion potraktować ów spalony papier. Podniósł telefon i wykręcił zero. Po kilku sekundach odezwała się telefonistka.

179

- Tu Dianę.
 - Och, witaj Dianę. Tu Brian Remy. - Znowu się rozejrzył. - Mam ten kawałek nadpalonego papieru, który wygląda jak Australia. Czy mam coś zrobić z...
 - Sprawdzę, czy uda mi się go złapać na telefon w jego samochodzie.
- Po kilku minutach Remy usłyszał bzyczenie w aparacie. Odebrał

Markham, który akurat był w drodze.

- Markham.
- Tu Remy.
 - Hej, kolego. Właśnie wracamy. Więc... czy otrzymałeś australijski dokument, który ci przesłałem? Czy to nie szaleństwo?
 - Taa... - powiedział Remy, podnosząc kartkę.
 - Chciałem, żebyś zobaczył oryginał, zanim zaczną o niego walczyć firmy od ustalania prawdopodobieństwa.
 - Firmy od ustalania prawdopodobieństwa?
 - Tak. Już się licytują.
 - Licytują?
 - No, wiesz, żeby zbadać te opalone wzory. - Markham po prostu wyjaśniał dalej, jakby podanie jeszcze kilku informacji miało sprawić, że Remy'emu wszystko zaskoczy w głowie. - Nakładają modele możliwych przypadkowych i linearnych ruchów na wzory powstałe z dokumentów wskutek nadpalenia.
 - Ja nie...
 - Nie widziałeś artykułu w „Timesie”? Tego całego rozwijającego się przemysłu przypadkowości... częściowego odzyskiwania dokumentów i interpretacji... dawno wymyślonego eksperymentu z chodem pijaka?... Nieuchronność i losowe wzory, domyślanie się nieodwrotnych trajektorii i niepreferowanej kierunkowości? Nakładanie tego na opalone kartki? Wiesz.
 - Nie, myślę... że nie wiem.

- Cała pedagogika części... Jezus na paluszku rybnym*?

Remy bał się, że to będzie trwało w nieskończoność, powiedział więc:

Objawienie, którego doznał pewien Kanadyjczyk: Jezus ukazał mu się na przypalonym paluszku rybnym.

180

- Ach, Jezus na paluszku rybnym. Jasne. Słuchaj, chcesz, żebym coś z tym zrobił?

- Nie, chciałem tylko, żebyś to zobaczył. To wszystko. Radzimy sobie poza tym. Teraz skupiamy się na al-Zamilu. Dzisiaj wieczorem powinniśmy być gotowi, żeby się za niego zabrać. Dziś wieczorem.

Coś w głosie Markhama zaniepokoiło Remy'ego.

- Zabrać się?

Markham się zaśmiał.

- Wyluzuj. Przestrzegamy protokołów, które napisałeś. Przyjeliśmy je. Żadnego niedbalstwa więcej nie będzie. Obiecuję.

- Czekać. Protokołów?

Markham znowu się zaśmiał.

- Daj spokój. Nie sprawdzaj mnie. Obiecuję. Niczego już nie schrzanimy.

Przez słuchawkę Remy usłyszał, jak jakiś mężczyzna jadący samochodem z Markhamem coś do niego mówi, być może: „Rusza się”.

- Hej, muszę kończyć - powiedział Markham. - Zadzwoń, jak będziemy gotowi.
- Czekaj! - krzyknął Remy, ale tamten już się rozłączył. Brian wykręcił ponownie numer centrali i po chwili usłyszał, że Markham jest

niedostępny.

Remy odłożył słuchawkę i znów popatrzył na biurko. Czy sporządził jakieś protokoły? Sprawdził szuflady biurka, ale z wyjątkiem kilku czystych kartek, nożyka do listów i paru długopisów nie znalazł nic. Duża, górna szuflada na dokumenty była ciągle zamknięta. Remy szarpnął ją i rozejrzał się po gabinecie w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby ją podważyć. Spróbował nożykiem do otwierania listów, ale tylko zgiął ostrze. Zaraz, przecież to jego biuro. Wyciągnął klucze z kieszeni i odłączył jeden mały. Nie przypominał sobie, żeby go kiedykolwiek miał. Klucz rzeczywiście pasował do zamka i szuflada stanęła otworem.

Dokumenty były ułożone alfabetycznie i zakodowane na kolorowo pod różnymi tytułami, wydrukowanymi na zakładkach indeksujących. Kilka z nich (AGENCJA, BIURO, FLORYDA, ICEMAN) zaintrygowało Remy'ego, ale bojąc się, że znów będzie miał lukę, przeskoczył do pliku o nazwie PROTOKOŁY i już miał go otworzyć, gdy spostrzegł tytuły

181

dwóch kolejnych folderów: PRZEPISY i ten, który szczególnie go zaciekał, blisko końca szuflady, z zakładką zatytułowaną OBIEKT A.

To mogło być wszystko.

Wyciągnął dokument. Był cienki, zawierał jedynie dwa raporty z datą, w przedziale czterech miesięcy, w każdym nie więcej niż kilka krótkich zdań. W pierwszym można było przeczytać: „Kontakt z Obiektem A nawiązany. Kontynuacja inwigilacji”.

Podpisany był jego inicjałami - B.R. Remy przeczytał drugi raport, który był troszeczkę dłuższy.

Obiekt A pozostaje powściągliwy, możliwe, że jest podejrzliwy, przyczyną może być ogromny żal... zbyt wcześnie, by ustalić, czy obiekt zataja jakieś informacje... Zalecenie: dalsze rozpozn., inwigilacja i informacje wywiadowcze.

Ten dokument też był podpisany inicjałami B.R. Przełknął ślinę. Tu niekoniecznie chodziło o April. Obiektem A mogło być cokolwiek.

Lub ktokolwiek. Spojrzał na drugą stronę. Na odwrocie raportu znajdowała się ręcznie sporządzona notatka z datą wskazującą na to, że powstała kilka dni wcześniej.

Zaprowadzono obiekt A do prawnika w celu wniesienia roszczenia o odszkodowanie z tytułu śmierci męża. W dalszym ciągu zdobywanie zaufania - zaleca się rozszerzoną inwigilację...

Remy pochylił głowę. Otworzył górną szufladę i znalazł pióro. Na górze drugiego raportu nagryzmolił: ANULOWANO. Przemyślał to, zwinął oba raporty w kulę i wrzucił je do kosza na śmieci. Na dokładkę wyrzucił też pustą teczkę. Nie mógł złapać powietrza. Wmówił sobie, że skoro poddał się temu pełnemu poślizgów, chybotliwemu życiu, nie kwestionując go, może się okazać, że wszystko jest OK. Jak się idzie jakąś drogą, po co o nią pytać? Ale może to działa tylko wtedy, pomyślał nagle, jeśli można sobie zaufać w chwilach pomiędzy momentami przytomności? „Co robię w chwilach, których nie pamiętam?” Opadł na krzesło, zamknął oczy i poczuł, jak ta chwila się ulatnia.

kartach katalogowych, które odkrywał w swojej aktówce lub kieszeni: „Co dzisiaj robiłeś?” i „Dokąd poszedłeś?” Ale nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek na nie odpowiadał, a jeśli nawet to robił, były to tajemnicze odpowiedzi - częściowy numer lub akronim albo jakieś inne niejasne rezultaty pracy - w sumie wszystko to wyglądało na kpiny. Wpatrywał się w konkretny zapisek sporządzony własną ręką, normalnymi drukowanymi literami na odwrocie wizytówki, którą znalazł w portfelu za kartą kredytową. Widniały tam słowa: „Nie skrzywdź nikogo”. Podniósł wzrok.

Barman patrzył na niego wyczekująco.

- Mówił pan coś? - zapytał Remy.
- Pytałem tylko, czy chcesz to, co zwykle, Brian?
- Och. Ok.

„Nie skrzywdź nikogo”. Remy wsunął wizytówkę z powrotem do portfela i rozejrzał się. Było późne popołudnie, a on siedział w jakimś kolejnym barze hotelowym w centrum. Próbował oznaczać jakoś w myślach te bary, ale wszystkie wydawały się podobne do tego, a cała różnica dawała się zauważyć dopiero wtedy, gdy później ich dziwne, jednowyrazowe nazwy odczytywał na rachunku z karty kredytowej: Affair, Hedge, Ninę i Chain, jakby słowa wybierano na chybił trafił ze słownika. I chociaż te wszystkie nazwy były inne, nie mógł oprzeć się myśli, że to jeden i ten sam bar, który tylko co kilka dni zmienia nazwę i wystrój. Zdawało się, że wszyscy barmani w tych miejscach znają go osobiście i że w każdym z nich zamawia to, co zwykle - hojnie nalewaną szkocką, bourbon lub gin, które, zanim jeszcze zdążył zdjąć płaszcz, w magiczny sposób pojawiały się przed nim na papierowych podkładkach. Zwykle wypijał dwa lub trzy drinki, a potem przychodziła April i jedli kolację.

Spożywali w milczeniu, nie czuli potrzeby gawędzenia. Doceniał to. Czasami pytała, jak mu minął dzień, a on odpowiadał, że dobrze, albo że nie pamięta, lub też że po prostu mu przeleciał. Gdy z kolei Remy pytał o sprawy związane z jej pracą w nieruchomościach, przewracała oczami tak długo, aż przeżuła jedzenie, które miała w ustach, tak że on zwykle zapominał, o co pytał.

Przy barze zauważył, że za każdym razem zamawia tę samą potrawę, jeśli tylko pojawia się ona w menu. Kaczkę marynowaną w sosie

183

z czerwonego wina i przyprawioną wasabi. Zamawiał to danie w wielu restauracjach, ciągle myśląc, że musi to być jedna z tych nowych potraw, które dopiero niedawno znalazły się w karcie. Zauważał, że za każdym razem zastanawia go na nowo, jak ta kaczka może smakować, więc ją zamawiał, zapominając, jak smakowała ostatnim razem.

- Jak kaczka z wasabi? - pytała zawsze April.

Przesuwał kęs z jednej strony ust na drugą. Mniem. Ale odnosił wrażenie, że już nieomal w chwilę po ugryzieniu kaczki zapominał, jak smakuje.

Remy myślał o April, rozglądając się po restauracji w jej dzisiejszej wersji, z wysokim sufitem, kręcącymi się wiatrakami, przydymionymi lustrzanymi ścianami. Wziął do ręki menu; kaczka z wasabi marynowana w czerwonym winie, niezawodnie. Dwadzieścia osiem dolarów. Kelnerka uśmiechnęła się do niego, przechodząc obok.

- Cześć, Brian. Spotykasz się dzisiaj z April?
- Mam taką nadzieję. Ponownie pojawił się barman.
- Wygląda na to, że dojrzałeś do następnego, Bri.

- Znasz mnie - powiedział Remy i postawił pustą szklanę na kontuarze.

Zdażył wypić kolejne dwa drinki, gdy weszła April. Miała na sobie czarne spodnie i krótką, zieloną kurtkę, która kończyła się w okolicy bioder, jak kamizelka torreadora. To sprawiało, że wyglądała egzotycznie i na wyższą niż jest. Remy poczuł rozkoszne zakłopotanie, którego - jak sobie wyobrażał - doświadczają faceci w średnim wieku związani z pięknymi, młodszymi dziewczynami.

- Świetnie wyglądasz - powiedział. Wstał i pocałował ją. Uśmiechnęła się nerwowo.
- Dzięki, że przyszedłeś.
- Och - sięgnął po czwartą szklanę whisky. - Jasne.

Wziął ją za rękę i chwiejąc się trochę od alkoholu, poprowadził do restauracji. Widział gapiów siedzących przy stolikach - ocienione twarze, spoglądające na nich w jaskrawym świetle płonących na stołach świec. Wszyscy wyglądali tak, jakby aż do przesady starali się dobrze bawić i sprawiać wrażenie zwyczajnych ludzi. Remy'emu przeszło

184

przez myśl, że mogą być jakimiś duchami, duchami tych, którzy wcześniej też chodzili do restauracji, zanim stało się to manifestacją patriotyzmu. Światło świec potęgowało błyski i męty w oczach Remy'ego, ale nie mógł odwrócić od nich wzroku, cząstki roily się niczym ćmy letnią porą wokół migocącego płomienia.

W końcu zamknął oczy i pozwolił, żeby April przeprowadziła go przez labirynt stołów.

Na miejscu przekonał się, dlaczego podziękowała mu za przybycie.

Starsza brokerka od nieruchomości, która gościła swego czasu w mieszkaniu April, Nicole o ostrych rysach twarzy, czekała na nich w narożnym boksie. W eleganckim różowym garniturze wyglądała jak wycięta z żurnala. Gdy pierwszy raz mrugnęła, jej rzęsy trzasnęły niczym kastaniety.

- Troy nie dał rady przyjść? - zapytała April.
 - Och... nie - odparła Nicole i zmierzyła Remy'ego takim wzrokiem, jakby zamierzała go nabyć. - Nie zaprosiłam go. Myślałam, że będziemy we dwie.
 - Hm... naprawdę? - zapytała April. - Musiałam źle zrozumieć.
- Remy zdążył już zdjąć kurtkę i zawiesić ją na oparciu krzesła.
- Ach... - powiedział - może powinienem... - April złapała go za rękę.
 - Nie - westchnęła Nicole. - W porządku. Może się pan przyłączyć... o ile nie przeszkadza panu rozmowa o sprawach zawodowych.
 - Nie, nie przeszkadza.

Usiadł, napili się. Remy przez chwilę był zaskoczony smakiem nie-destylowanego napoju.

- Ufam, że to widziałaś? - zapytała brokerka i przesunęła po blacie spis nieruchomości z innej firmy, gdzie znajdowało się zdjęcie balkonu w apartamencie wieżowca.

Zanim April wzięła śliską kartkę i przeczytała to, co było na niej napisane, Remy dostrzegł słowa „dozorca” i „szklane dobudowy”.

- Sześć do ośmiu pokoi - mówiła Nicole - i całe, i połówki. To by łyby idealne dla Morgan. Ale te dupki z Klinerman Davies wykorzystali długi weekend, żeby zataić spis. Byli tam dwie doby wcześniej, zanim inni dowiedzieli się, że budynek został otwarty. I wtedy w poniedziałek

aż do czwartej nie odbierali telefonów. Słuchaj April, przez to nie mo-

185

żemy włączyć tego budynku do oferty. Dokładnie coś takiego powinni dla nas wytropić nasi współpracownicy.

- Przepraszam - powiedziała April.

- Nie możemy siedzieć i czekać, aż te rekiny pokażą swoje spisy, ponieważ ich zakichani klienci zaczną rozpakowywać pudła, zanim w ogóle my o tym usłyszymy - mówiła Nicole. - Musimy być czujni, gdy coś takiego ma się pojawić, bez względu na to, czy oznacza to, że trzeba dać w łapę sekretarkom, czy też wykosić kogoś z rynku obrotu nieruchomościami. Cokolwiek jednak mamy zrobić, musimy zrobić to natychmiast. Rozumiesz? Honor już się nie liczy. Teraz jest wojna, kochana. W obronie naszych wartości. Ponieważ oni są gotowi zatłuc cię na śmierć za dziesięciocentówkę leżącą na chodniku. Jedyna odpowiedź na taką agresję to zatłuc ich na śmierć za pięciocentówkę.

Podczas gdy Nicole wciąż gadała i gadała, Remy miał poczucie, że unosi się gdzieś w przestrzeni. April przycisnęła menu do piersi, jakby była to tarcza, ale nie mogła odwrócić się od Nicole, której menu leżało przed nią zwinięte, bo brokerka krytykowała pracę April, udając jednocześnie zmartwioną. (Wszyscy partnerzy się zgadzają: to niepodobne do ciebie, żeby w ten sposób przepuszczać takie sprawy). Przyniesiono drinki i Nicole przeszła do natchnionej części swojej wypowiedzi, mówiąc bez związku o nowych możliwościach i spisach, które April powinna dostawać. Wypili kolejne drinki i głos Nicole wzmógł się na tyle, by zagłuszyć zgiełk panujący w restauracji - wyżej i szybciej, mówiła jak opętana, co sprawiało, że dziewczyna coraz bardziej się denerwowała: rywalizujący brokerzy to węże,

klienci to idioci, deweloperzy - złodzieje. „Kochanie, musimy wiedzieć, że jesteś w stanie poradzić sobie z każdym z nich”. April potakiwała z lekka głową i sięgała po pustą szklanę, a Nicole ostrzegała tymczasem przed partnerami, którzy oszustwem pozbawią ją pozycji w komisji, przed brokerem w firmie, znanym ze skupiania wokół siebie „agentów z przedmieścia i z miasta, którzy bez chwili zastanowienia rozsialiby wśród potencjalnych klientów plotki o tym, że April ma AIDS”.

April zakasłała, zasłaniając usta ręką, i rozejrzała się po sali, jakby szukała drogi ucieczki.

- Słuchaj, kochana - podjęła Nicole - końcowy wynik, na to właśnie będziemy teraz patrzeć, jak na zaranie nowej epoki, niespotykany okres wzrostu na rynku nieruchomości. I nie chcę, żebyś to przegapi-

186

ła. Żadnemu brokerowi nie pozwolę tego przegapić. Nie pozwolę na to mojemu zespołowi. Ani firmie.

April zapewniła, że rozumie, podziękowała szefowej i dwukrotnie zmieniła temat, ale nawet gdy Nicole mówiła o innych sprawach - opowiedziała długą historię o synu Milo, który idzie do prestiżowego przedszkola, a Remy zauważył, że opowiada o nim jak o nieruchomości, jakby istniał gdzieś jakiś kwitnący interes, w który można by zainwestować rozwój Milo i czerpać z niego zyski. Zapisanie go do właściwego przedszkola było po prostu kolejną funkcją oczekiwania na tendencje rynkowe i podniesienie standardu, a także na korzystne stopy procentowe. W pewnej chwili April próbowała się wtrącić, ale popełniła błąd, nazywając rynek bańką mydlaną. Na to Nicole wstała z krzesła, przekonując, że jest to „triumf połączonej pracy pokoleń”.

Zamówili wino i przystawki, a Nicole wciąż paplała o nieruchomościach, ojej skrywanej nadziei, by partnerować deweloperowi, który odpicuje i opchnie piętnaście budynków w Heights. Zamówili dania główne (Remy - marynowaną kaczkę z wasabi), podano jedną butelkę wina, potem drugą i wydawało się, że to trochę odprężyło Nicole, ponieważ zmieniła temat na lżejszy - bajki o nieruchomościach, opowieści o ludziach, którzy mieli ostatnio świetną transakcję, natknęli się przypadkiem na kolejny Williamsburg lub zaczęli się na nieznaną dotąd ulicy, albo też znaleźli ostatni nieodnowiony budynek w Bowe-ry czy jedyny cichy blok w dzielnicy, w której porcuje się mięso. Może to przez alkohol, a może wskutek opowieści wypływających z wąskich i małych usteczek, ale Remy'emu zdawało się, że Nicole opisuje świat, w którym każdy znajduje się w ruchu. On miał w głowie obraz kolonii zapracowanych mrówek śpieszących do swojego mrowiska. Wszyscy, czy o tym wiedzieli, czy nie, byli na rynku, żeby kupować apartamenty, mieszkania w kondominiach oraz domy. Każdy był panem swojego przeznaczenia, prznosił się z miejsca na miejsce i Remy wyobraził sobie historyczną migrację: mieszkańców Oklahomy zamykających zakurzone farmy rodzinne, wypłacających oszczędności swojego życia, wdrapujących się do mercedesów i jadących sześćdziesiąt przecznic dalej do zamożnych dzielnic, do pięciopokojowych mieszkań w budynkach bez wind i z widokiem na rzekę. Remy upił duży łyk wina, popatrzył na April i uśmiechnął się - czy to wszystko nie brzmi... jakby... miło? Ta-

lerze z kolejnymi daniami pojawiały się i znikwały, a Nicole bezustannie mówiła i mówiła, jej głos przechodził w rodzaj poetyckiego zaklęcia, gdy

recytowała z pamięci lub brała z powietrza niezwykle nowe spisy. Remy pomyślał, że ona musi świetnie znać każdy dom w mieście. A może wystarczy, że je sobie tylko wyobrazi, a już stają się realne: trzypokojowe z zadaszonym tarasem w West Nineties, dom z frontem na północ i portierem w East Twenties, komunalny budynek, który ma przejść pod zarząd przedszkola Montessori po drugiej stronie ulicy. Remy pojął, że każda rozmowa sprowadza się teraz tak naprawdę do nieruchomości i że rozmowa o nieruchomościach jest w rzeczywistości rozmową o rozwoju - rozkwicie cywilizacji, poszerzaniu demokracji. Ta okolica zmieniła się albo się zmieniała, albo też miała się zmienić. Zdaniem Nicole żadna okolica nigdy nie podupada. W policji było tylko coraz gorzej, za to w nieruchomościach wyłącznie coraz lepiej. Zauważył, że dryfuje sobie gdzieś myślą szczęśliwie, gdy Nicole opisuje świat, w którym bogacze bezinteresownie próbują ocalić miasto, może cały kraj, może cały świat, a może jedną okolicę raz na jakiś czas, oczyszczając sektory i podwajając wartość posiadłości. O ile wydawało mu się wcześniej, że miasto jest na skraju upadku, w okresie anarchii, że rozpadającym się dzielnicom grozi opanowanie przez bandytów, o tyle teraz przekształciło się wskutek milionów małych zmian ustrojowych - mili zawodowcy oczyszczali sektor, zakładając żaluzje, ustawiając w oknach doniczki z kwiatami, a pod oknami saaby i lexusy.

Dryfując tam i z powrotem, Remy słuchał Nicole, jakby słuchał muzyki. Nie zawsze chwycił tekst, ale urzekła go melodia. Skończyła się kolejna butelka wina. Zamknął oczy, przepływały w nim obrazy: przedwojenne dwupokojowe na poddaszu, z wyposażeniem kuchennym, pracownie nad Hudsonem i wyremontowane rzeźnie z belkowanym sufitem

na wysokości trzech metrów, sześć pokoi z biblioteką i widokami na miasto, fronton, zwierzęta mile widziane - głos Nicole osiadł na nim jak mgła, dopóki nie dotarło do niego, że ona opisuje inne miasto, nieskończenie wielkie miasto, każdy budynek to Układ Słoneczny w sąsiedztwie różnych galaktyk we wszechświatach gmin: Wielki Wybuch pięciopokojowych mieszkań w budynkach bez wind i przeprojektowanych domów jednorodzinnych, częściowo widok na park, eleganckie, urządzone z przepychem, wytworne. I gdy blada i drżąca April wstała,

188

by odebrać telefon komórkowy, Remy poczuł, że jest pijany i nie może oderwać wzroku od Nicole, która po prostu nie przestawała mówić („luksusowe poddasza" w Helis Kitchen, „pod klucz" w Bryant Park). Był już zbyt pijany, żeby rozumieć słowa, ale wciąż wyczuwał świat,

o którym mówiła Nicole, świat błyszczącego bogactwa i nieskończonej urody, gdzie zbędni stali się gliniarze i strażacy, byli w nim zaś jedynie różowi agenci od nieruchomości, przepływający nad miastem na fali niebywałych możliwości.

Wąskie usta na jego ustach, zęby gryzące jego dolną wargę, może właśnie skubnięcie tych zębów spowodowało, że Remy otworzył oczy i ujrzał całującą go Nicole. Prawą ręką obmacywała z przodu jego spodnie, jak ktoś, kto szuka kluczyków samochodowych. Siedzieli w jego zaparkowanym aucie przed jej domem.

- Nie, nie - powiedział. - Czekał. - Kiedy przesiadał się na miejsce dla kierowcy, skóra fotela zaskrzypiała, jakby z niego drwiła. - To nie jest dobry pomysł. - Głos miał zachrypnięty od zbyt dużej ilości drinków. -

Nie powinienem tego robić.

- Hej, to ty mnie pocałowałeś - powiedziała Nicole.
- Och - Remy potarł czoło. - No cóż, przepraszam - odrzekł - nie powinienem był tego robić. Nie byłem sobą.
- Okay. Ciasto właściwie i tak nie rosło.

Remy spojrział w dół i zobaczył, że Nicole ma rację. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i przejrzała się w lusterku.

-To chyba i lepiej - powiedziała. - Mam jutro zwariowany po rane. - Różowym paznokciem pstryknęła w kącik ust. - I na pewno przyda mi się dodatkowe sześć minut snu - Cmoknęła i z powrotem odchyliła osłonę. Popatrzyła potem na Remy'go, jakby widziała go po raz pierwszy. - Powiedz April, że mam nadzieję, iż czuje się już lepiej.

1 że zobaczymy się w poniedziałek.

Wysiadła z auta, obciągając wąską spódnicę i prostując szew. Sięgnęła jeszcze po kurtkę, po czym odeszła, nie oglądając się.

Nie, nie, nie, myślał Remy, jadąc szybko czarną aleją pełną krążących tu i tam taksówek. Wracał do domu April. Próbował poskładać w całość to, co się właśnie wydarzyło. Przynajmniej się powstrzymał. Może zawsze potrafił się powstrzymać, zanim posunął się za daleko. Tak,

189

kontrolował się. To się właśnie przydarza mężczyznom. Robią rzeczy, których żałują. I tyle. Remy znalazł miejsce parkingowe na ulicy w pobliżu budynku, w którym mieszkała April, i przebiegł resztę drogi, zeskakując w pewnej chwili z chodnika, żeby idące naprzeciw niego dwie pary mogły przejść, trzymając się za ręce.

Z ulicy widział okno April. Światło było zgaszone. Podeszedł do drzwi

wejściowych, zastanawiając się, czy powinien zadzwonić domofonem. Zdziwił się jednak, widząc, że są otwarte, bo podparto je menu z restauracji, w której jedli wieczorem. Wyjął kartę i wślizgnął się przez drzwi, które zaraz się za nim zamknęły. Wszedł po schodach i wolnym krokiem ruszył korytarzem. Drzwi do jej mieszkania też były otwarte. Remy wszedł i skierował się do sypialni. Stał nad łóżkiem. Spała, zwinięta na skraju, włosy rozsypane na poduszce, usta uchylone, jakby jakaś maleńka myśl - jakiś tęskny fragment snu - podważyła jej wargi i wczołgała się do środka. Remy zaczął się rozbierać i znów spojrzał na śpiącą. W końcu odwrócił się i zawiesił marynarkę na gałce zamkniętych drzwi, po czym rozpiął spodnie.

- Dzięki, że odwiozłeś Nicole do domu - powiedziała April, nie otwierając oczu.
- Jasne.
- Przepraszam, że musiałeś wytrzymać krytykę mojej osoby.
- Nie ma sprawy.
- I że musiałeś zająć się Nicole.

Remy się odwrócił. Jej głowa była mocno wtulona w poduszkę. Otworzył usta, by powiedzieć, że nie ma sprawy, bo dobrze się bawił, ale pomyślał, że może mógłby znaleźć na to lepsze określenia.

- Powiedziałam ci, kto dzwonił? - zapytała.
- Dzwonił?
- Podczas kolacji.

Remy próbował sobie przypomnieć moment, kiedy jej telefon zadzwonił w restauracji.

- Nie - odparł - nie powiedziałaś mi. -Gus.
- Ach tak.

- Przyjeżdża do miasta i chce się ze mną zobaczyć.
- Naprawdę? Ha - powiedział Remy, kończąc się rozbierać.

190

Poczuł ulgę, gdy April zaczęła znowu równo oddychać. Nie musieli już rozmawiać o Nicole, chociaż nie miałby nic przeciwko, żeby zapytać, kim właściwie jest ten Gus.

Na jednym z jego butów był jakiś znak, swego rodzaju plama. Remy stał przy drzwiach do swojego mieszkania i przyglądał się jej. Buty stały obok framugi, dokładnie tam, gdzie zawsze je zdejmował po wejściu do domu.

Podniósł but. Plama miała kolor czerwonego brązu, taki lśniący. Dotknął jej, ale zniszczyła mu się na palcu. Na podeszwie i napiętku było więcej takich czerwonych, brązowych plamek. Odwrócił drugi but i znalazł kolejne czerwone zaschłe plamki. Odstawił buty na podłogę i odwrócił się, pocierając brodę. Okay. Wyjrzał na zewnątrz. Ciągle było ciemno. Musiała być trzecia, może czwarta rano. Okay.

Nie ma żadnego wytłumaczenia, pomyślał. Po co znów szaleńczo wyobrazać sobie to wszystko, po co próbować odnaleźć w tym jakiś sens? Poszedł po ściereczkę do kuchni. Nie, pomyślał, nie ma żadnego dobrego wytłumaczenia. Obrócił się w stronę kuchennego krzesła, na którym wisiała jego kurtka. Zdjął ją i pogrzebał w kieszonce na piersi w poszukiwaniu portfela. Wyciągnął kartkę, na której kiedyś napisał: „Nie skrzywdź nikogo”. Pod tymi słowami widniał dopisek jego charakterem pisma: „Dorośnij”.

Brian Remy stał w przedpokoju, z kartką w jednej ręce, a ściereczką w drugiej, i myślał, że to nie może tak dalej trwać. Ale zarówno ta chwila, jak i

ta myśl umknęły, zanim zdążył zetrzeć krew z butów.

Samochód kojarzył się znajomo, srebrny lincoln, dziobaty i odrapany, ta cholerna taksówka (trochę zanadto zapuszczona, pomyślał Remy, przyrzawszy się jej ponownie). Za kierownicą siedział jeden z tych mężczyzn, których zobaczył po raz pierwszy, gdy śledzili jego i Guteraka, ten, który wparował mu do toalety w restauracji, tęgi biały facet w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych, o grubym karku i z krzaczastymi wąsami, dłuższymi z jednej strony, jakby przycinał je ślepiec. Wpatrując się w samochód, Remy pojął, dlaczego coś go niepokoi w jego wyglądzie: ten główniany stary wóz miał idealnie nowe opony! Tylne drzwi otwały się z trzaskiem.

191

- Wsiadaj - rozkazał facet.

Remy się rozejrzył. Stał przed starą pięciopiętrową kamienicą o elewacji z piaskowca. Nie był to jednak dom jego ani April. Fasadę osłaniało rusztowanie, okolone u góry drutem kolczastym, a po bokach zastawione sklejką zapaćkaną graffiti. Tunel pod rusztowaniem prowadził do drzwi. Poza nim, Remym, na ulicy nie było nikogo. Przykucnął i zajrzał do auta. Kierowca zdecydowanie patrzył na niego, chociaż czarne okulary zasłaniały mu oczy. Był ubrany we flanelową koszulę i stare dżinsy - nie do końca tak, pomyślał Remy jeszcze raz, jak powinien wyglądać kierowca takiej taksówki. Na głowie miał czapkę z napisem MANIAK. I niezależnie od tego, czy to było jego przezwisko, zdawało się, że nawet do niego pasuje.

- Wsiadaj - warknął Maniak ponownie. -Co?
- Remy, pakuj tyłek do tej przeklętej fury. Co z tobą, do cholery? „Słuszne

pytanie" - pomyślał Remy. Rozejrzał się i zniknął we wnętrzu wozu.

Ledwie zdążył się usadowić na wytartym tylnym siedzeniu z winylu, kiedy samochód zerwał się jak spłoszony koń. Tylne drzwi zachybotwały się i zamknęły, a Remy utracił równowagę, kołysząc się na boki, po czym wyprostował się przy gwałtownym skręcie, gdy wtopili się w ruch uliczny.

- No - podjął Maniak. - No... może zechcesz mi powiedzieć, co do cholery wyprawiasz? - Zjeżdżał ze swojego pasa ruchu i znów na niego wjeżdżał, jakby taksówka była w szczególnie złym stanie.
- Co... wyprawiam?
- Wchodzisz na boku w układy z Agencją, a może nie? -Z jaką agencją?
- Remy, nie udawaj głupka.
- Nie udaję.

Facet zatrzymał się na światłach. Wyjął zdjęcie z szarej koperty i rzucił je na tylne siedzenie. Remy podniósł fotografię, przedstawiającą go w towarzystwie szczupłego mężczyzny o wyglądzie arystokraty, którego od razu rozpoznał. Aparat korekcyjny. Karmelowe *macchiato*. Khaki.

- Dave - powiedział Remy.

- Taak. Znam jego imię, dupku. Chcę tylko wiedzieć, co ty wyprawiasz, spotykając się z nim?

Remy nie miał pojęcia.

192

- Czemu ty mi nie powiesz?

Maniak w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych spojrział na

swojego pasażera we wstecznym lusterku. Remy zobaczył, jak facet odbija się w jego oczach.

- Ty arogancki kutasie - Maniak skręcił nagle, nawet nie przyhamowując. Remy rzuciło na drugą stronę przez całe siedzenie. Lincoln wpadł pędem na boczną ulicę, przemknął obok zajmującej dwa miejsca parkingowe ciężarówki i stanął. Remy tak kurczowo trzymał się klamki, że aż zbieleły mu ręce.

Maniak zdjął okulary i trzepnął w lusterko wsteczne, by patrzeć teraz Remy'emu prosto w oczy. Facet miał lekkiego zeza w lewym oku i wąsy krzywo przycięte po tej samej stronie.

- Gadaj. Jak ja wyglądam? Jak kretyn, kurwa?
- No... - odparł Remy, odwracając wzrok od odbijającego się w lusterku mężczyzny.
- Remy, mieliśmy układ. Biuro przekazuje ci informacje... a ty masz nas powiadamiać o tym, co kombinuje ta twoja pedziowata ekipka sekretarska. Patrz, popierałem cię. No i jak to teraz wygląda, że dyrektor przychodzi do mnie ze zdjęciami z twojego spotkania z tym pedziem z Agencji? Jak myślisz, w jakim świetle mnie to stawia?
- Nie... nie wiem.
- Jak ci się wydawało, co mógłbyś w ten sposób osiągnąć?
- Nie wiem... może pomogłoby mi to odnaleźć tę dziewczynę, tę March.
- Daj spokój - powiedział Maniak - obaj wiemy, że nie to robisz.
- A co robię?

- Próbujesz znaleźć punkt oparcia. Wygrywasz Biuro przeciwko Agencji, sądząc, że Dave nigdy się nie dowie, że pracujesz ze mną, a ja, że

pracujesz z nim. No cóż, przyjacielu, to jest cholernie niebezpieczna gra. Pokazać ci kolejne zdjęcie, które tu mam?

•Nie... nie wiem.

- Daj spokój. Nie zgadniesz, co tu jest?

-Nie.

Mężczyzna rzucił Remy'emu szarą kopertę. Zanim ją otworzył, spojrzął na swoje odbicie we wstecznym lusterku. Zdjęcie ukazywało mężczyznę o bliskowschodnim typie urody, z gę-

193

stą brodą i krótko ostrzyżonymi włosami. W jasnobrązowych spodniach i białej koszuli leżał skulony na chodniku. Twarz miał zwróconą ku ziemi, nogi podniesione, jakby właśnie spadł z roweru. Z szyi i głowy spływała krew, tworząc plamę.

•Pamiętasz go?

•Nie - powiedział Remy, ale przypomniał sobie krew na swoich butach i przełknął ślinę.

•Aha, więc nigdy wcześniej nie widziałeś tego mężczyzny, czy tak?

•Nie - powtórzył Remy. - Nigdy.

•I przypuszczalnie nazwisko Bobby al-Zamil nic ci nie mówi?

Remy zakrył usta ręką. Raport o zwrocie kosztów za lunch, mężczyzna, który jadł lunch z March, zanim zginęła, mężczyzna, nad którym Markham miał popracować. Remy jeszcze raz spojrzął na zdjęcie.

•Czy to on?

•Pieprz się - Maniak znowu gwałtownie przyśpieszył, aż Remy-'ego wcisnęło w siedzenie. - Mówiłem ci, że rozpracowujemy al-Zamila. I

co? Ty się spotykasz z koordynatorem terenowym z Agencji i zaraz się dowiadujemy, że al-Zamil w stanie przygnębienia wyszedł na spacer przez okno swojego mieszkania. - Maniak pochwycił we wstecznym lusterku spojrzenie Remy'ego. - Powiedz swojemu małemu przyjacielowi z Agencji, że jeśli mu się wydaje, że wymiksuje nas ze sprawy, to mu się chyba w głowie pojechało.

- Przysięgam, nic o tym nie wiem - powiedział Remy. - Widziałem nazwisko tego mężczyzny na nadpalonym kawałku papieru, który miał kształt Australii. To wszystko.

Maniak ryknął śmiechem.

- Australia. Remy, jesteś pieprzonym kretynem. Wiesz o tym?

- Wcisnął gaz, aż samochód wyrwał do przodu.

Remy wpatrywał się w zdjęcie i zakrył dłonią usta.

- Przysięgam...

- Słuchaj - odezwał się Maniak. - Dam ci jeszcze jedną szansę, bo dostarczyłeś nam rzetelnych informacji i dlatego możemy cię potrzebować - Wzruszył ramionami. - Tak czy owak nie rozpracowaliśmy jeszcze al-Zamila... a przez ciebie wyszedłem na durnia. Musisz dać mi coś, z czym będę mógł wrócić do dyrektora.

194

- Nie wiem, co mógłbym ci dać.
- Wystaw mi swojego informatora.
- Mojego informatora od...
- Wyprzedziłeś nas o krok przy rozpracowaniu tej komórki organizacyjnej, Remy, więc muszę się dowiedzieć, w jaki sposób to zrobiłeś. Podaj mi nazwisko tego przekłętą informatora.

- Jakie nazwisko?

- Tak, więc postawiłeś na swoim, ty zadowolony z siebie sukinsynu - powiedział facet. Założył okulary przeciwsłoneczne. - Okay, twar-dzielu. W porządku.

Opony auta ponownie zaświergotały, wpadając na następnym zakręcie w poślizg. Hamulce się zablokowały, samochód szarpnął i zatrzymał się przy krawężniku, w tym samym miejscu, z którego wyruszyli.

- Wsiadaj - rozkazał Maniak.

Remy otworzył drzwiczki auta.

Mężczyzna zwrócił się ku niemu i po raz pierwszy znaleźli się z sobą oko w oko. Jego twarz była szeroka i asymetryczna. Obrócił czapeczkę, tak że Remy mógł ponownie zobaczyć napis MANIAK. Facet podniósł palec, którym pokiwał na boki pod kątem trzydziestu stopni.

- Idź, graj w te swoje małe gierki. Ale gdybym był tobą, ty wyra-chowany, chłodny sukinsynu, o tym jednym bym pamiętał...

- Fantasmagoryczne obrazy - mówił doktor Rieux, psychiatra Remy-'ego. - To, co opisujesz, to książkowy przykład zespołu stresu pourazowego. Wizje. Wywołane stresem urojenia. Dysocjacyjne epizody. Może nawet syndrom Briqueta. Widzisz... - Zaśmiał się. - Jestem całkowicie pewny, że nie pracujesz dla żadnego ściśle tajnego wydziału, próbując dociec, czy siostra twojej dziewczyny sfingowała swoją śmierć.

- A nie pracuję?

- Nie sądzę, Bri. Tajni agenci naszli cię w toalecie? Krzyczeli na ciebie w taksówce, kupowali ci *latte*? Tajemniczy Arabowie w wełnianych płaszczach?

- Więc wszystko to... halucynacje?

- Jasne. Czemu nie? To się często zdarza, Brian. Ciągłe się z tym spotykam.

- Tak?

195

- No... osobiście tego nie doświadczyłem. Ale wszystko jest opisane w fachowej literaturze. Ci, którzy przetrwali, mogą się spodziewać, że doświadczą urojeń, prześladowań, paranoi. Delirium. Cholera, po tym, co kilku z was przeszło tamtego dnia... Dziwię się, że do pracy nie odwożą was skrzydlate małpy.

- Czyli że... ten papier? Krew na butach?

- Masz lepszy pomysł?

- Nie wiem. To po prostu... nie czuję tego w ten sposób. Jest pan pewien?

- Czy jestem pewien? - Obrócił się na krześle i wskazał na dyplom wiszący na ścianie - Myślisz, że dają go za walenie konia? No... - Zaśmiał się ponownie, po czym natychmiast spowaźniał. - Słuchaj. Nie chciałbym być protekcyjny, ale kilka rzeczywistych spraw, które opisujesz ... nie te fantazje, tylko to, że twój syn oddala się od ciebie, tę twoją niezdolność do stworzenia monogamicznego związku, obawy o etykę twojego zawodu, alkoholizm... to zwyczajne, standardowe w przypadku faceta w twoim wieku.

- Mówisz - zapytał Remy - że to jakiś kryzys wieku średniego?

- Nie zamierzam tego lekceważyć. Ale masz już swoje lata. Przeszedłeś ciężką traumę. Straciłeś przyjaciół. Współpracowników. I wtedy, gdy

powinieneś z tego wychodzić, musiałeś nagle porzucić udaną karierę w mieście z powodu problemów z kręgosłupem...

- Nie, to nie kręgosłup - Remy zaprotestował słabo - to moje oczy.
- Nie wydaje mi się - Psychiatra obrócił się na krześle, otworzył szufladę, przejrzał kartotekę i wyciągnął kartkę z krótką notatką. - Widzisz, to jest tu - Podał Remy'emu karteczkę, na której wyraźnie było napisane: Niezdolność do pracy z powodu chronicznego bólu kręgosłupa.
- Nie, to taka przykrywka - upierał się Remy. - Ze względu na zadanie, które wykonuję.

Ale doktor Rieux wyciągnął z szuflady biurka bloczek z receptami i coś na nim nabazgrał. Oderwał kartkę i podał Brianowi.

- Proszę.

Remy przeczytał receptę.

- Co to jest?
- To pomoże - odparł lekarz.

Remy ciągle miał w ręku notatkę medyczną.

196

- Dlaczego nie ma tu nic o lukach? - zapytał.
- Lukach? - Doktor Rieux trzymał receptę w wyciągniętej ręce. - O jakich lukach?
- Tych lukach - powiedział Remy, sięgając po receptę i...

Mgła wisiała w powietrzu, drobne kropelki unosiły się nad ziemią, jakby zawieszane na nitczkach z nieba, w taki sposób zniekształcając dystans, że wydawało się, iż duży dom stoi o wiele mil stąd, po drugiej stronie wałów mokrych pagórków i dzikich traw. Dom stał między dwoma ogromnymi

dębami; trzecia kondygnacja sięgała do połowy ich wysokości, w oknach były żaluzje, a z przodu weranda - piękny, wiejski dom w stylu kolonialnym, z tyłu znajdował się wybieg dla koni i stajnia. Remy przyglądał się budynkowi przez mgłę, która wszystko spłaszczyła, sprawiając, że świat wyglądał na ospały i nieruchawy. Trzysta metrów dalej widział samochody wlokące się wąską autostradą. Zwalniały, aby podjechać pod stromiznę, niczym żałobnicy przystający nad trumną. Nastął brzask, a on siedział sam na polu, jakieś dwieście metrów od domu. Pochylił głowę. W ręku trzymał lornetkę. Podniósł ją do twarzy i skierował w stronę najwyższego piętra domu. Atrakcyjna kobieta po trzydziestce jadła jogurt z kubeczka. Remy miał zestaw słuchawkowy - maleńką końcówkę do ucha i mikrofonik - ale niczego nie słyszał. Obserwował tę kobietę, która chodziła od okna do okna. Miała na sobie strój sportowy, getry do przejażdżek rowerowych, a może i koszulkę z kołnierzykiem.

W narożnym oknie zdołał zobaczyć, że obraca się to w jedną, to w drugą stronę, jakby oglądała się w lustrze. W ręce ciągle trzymała kubeczek z jogurtem.

Remy odrzucił lornetkę i popatrzył na siebie. Był ubrany w spodnie bojówki i czarną kurtkę. Zdjął z głowy wełnianą, również czarną czapkę, i też się jej przyjrzał. Czy należy do niego?

W trawie leżał zielony plecak wojskowy. Remy otworzył go i zaczął przeglądać. Znalazł notatnik i długopis, rękawiczki, półautomatyczny pistolet i pudełko ciasteczek Dolly Madison Zingers, wyglądających jak Twinkies z żółtą polewą. Otworzył pudełko, wyjął jedno ciastko i ugryzł je. Było smaczne: gąbczaste żółte ciasto z nadzieniem i polewą. Potem rozłożył notatnik. Znalazł w nim dwa opisy sporządzone jego ręką: „06.45 - światło

- Obiekt wyszedł spod prysznic, włożył strój sportowy". Spojrzał jeszcze raz na plecak i na jego dnie dostrzegł... pełną fiolkę przepisanego leku. Odłożył ciastko, rozejrzał się po polu i wyciągnął buteleczkę. Otworzył ją i połknął dwie kapsułki. Zamknął oczy i zwinął się w kłębek na ziemi w nadziei, że psychiatra wiedział, o czym mówi, i że ta halucynacja zaraz się rozplynie. Ale pod powiekami widział znów jedynie błyski i męty. Gdy otworzył oczy, w dalszym ciągu znajdował się na polu. Zniechęcony, położył się na plecach na trawie.

- Fresca Dwa. Tu Fanta Jeden. Odbiór.

Wtulił się w głęboką trawę, mając nadzieję, że lekarstwo zacznie działać i wszystko zniknie.

- Zaraz zadzwonię - to był głos Markhama. - Życz mi szczęścia.

Remy podniósł głowę i rozejrzał się po okolicy. Wszystko ciągle tam było - dom, dęby, stajnia i zagroda, z tyłu autostrada, po prawej koryto rzeczki otoczone krzakami, a po lewej zagon. Z tyłu ocieniały go drzewa, których korony poruszały się na delikatnym wietrze jak palce po klawiszach pianina.

Kilka sekund później Remy usłyszał dzwonek w słuchawce, którą miał w uchu. Przyłożył lornetkę do oczu, skierował na dom i zobaczył kobietę, która niemal przeskoczyła przez pokój i odebrała telefon już po drugim sygnale.

- Halooo - jej głos zaświergotał w uchu Briana.
- Szukam Lisy Herote - usłyszał głos Markhama.

- To ja - Patrzył na nią przez lornetkę, jej wargi poruszały się lekko, ciut wcześniej, zanim Remy usłyszał słowa.
- Witam, tu Mikę Brady z kwiaciarni Brady, tu, w mieście - ciągnął Markham. - Mamy zamówienie, które chcielibyśmy pani dostarczyć od... - odgłos przekładanych papierów - Bishira Madaina.
- Och - rzekła. Remy przez lornetkę zobaczył, że kobieta kładzie rękę na piersi, jakby właśnie usłyszała komplement - Bishir? Naprawdę? - Przekrzywiła głowę. - Och.
- Tak, przepraszam, że popsulem niespodziankę - mówił Markham. - Niestety, mieliśmy awarię komputera, gdy ten pan zadzwonił, i mój dzieciak zapisał informację na kartce, a potem wylał na nią Doktora Peppera. Wskutek tego nie mamy numeru karty kredytowej pana Madaina ani żadnego z nim kontaktu. Nie możemy dostarczyć bez...

198

- Och, zapłacę za kwiaty - przerwała szybko, jakby nawykła do płacenia za Bishira.

Oczywiście Markham się tego nie spodziewał, zakasłał więc i odchrząknął.

- Tak, ale to wbrew naszym zasadom. Gdyby jednak mogła pani podać nam numer telefonu pana Madaina, moglibyśmy to wszystko wyjaśnić.
- Nie mam. Nie rozmawiałam z Bishirem od miesiąca. Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Właśnie dlatego to taka miła niespodzianka, że przesyła mi kwiaty.
- Naprawdę nie ma pani pojęcia, gdzie on przebywa?
 - Nie. Najmniejszego. Mieliśmy trudne rozstanie - wyjaśniła. - Nie był do

końca... zaangażowany w ten związek.

- Ach tak, przepraszam. I nie ma pani pojęcia...
- Nie, żadnego. Przykro mi.
- Szkoda.
 - To znaczy... myślę, że ciągle przebywa w San Francisco. Czy **nie** stamtąd dzwonił z zamówieniem?
- San Francisco - odparł Markham, ożywiając się. - A, tak.
- Mówił, że tam właśnie jedzie.
- Okay, no dobrze...
- Czy dostanę kwiaty?

W słuchawce Remy usłyszał sygnał, a potem:

- Fresca Dwa. Tu Fanta jeden. I jak poszło? Nieźle, nie?

Remy go zignorował.

- No, Brian. Dobrze mi poszło, prawda? No! Wiem, że tam jesteś.

Patrzę na ciebie.

Remy ukrył się głębiej w trawie.

- Hej, otworzyłeś te ciastka? Umieram z głodu tu na górze. Zjadłem chrupki kukurydziane. Miałeś rację. Nie powinienem był ich brać. Mogę zjeść ciasteczko?

W końcu Remy powiedział:

- Skończyły się.
 - Na pewno nie - odparł Markham. - Nie ma takiej możliwości, żebyś przed ósmą rano zjadł całe pudełko Zingerów. To fizycznie niemożliwe. Nawet tak nie gadaj, chłopie.

- Daj mi spokój - przerwał Remy. - To nie jest nawet prawdziwe.
- Zdjął zestaw słuchawkowy i rzucił go na ziemię.

Pomijając szelest głębokich traw, na polu było cicho. Remy znów spojrzął na flakonik z lekarstwem, ale zamiast pigułki zjadł kolejne ciastko. Było niesamowicie dobre. Sięgnął po pudełko, żeby sprawdzić składniki. Nie wspomniano o rzeczach, których smak czuł: ciasto, krem, polewa... zupełnie jakby te rzeczy tak naprawdę nie istniały, tak jakby to, co miało być kawałkiem żółtego ciastka z polewą, było w rzeczywistości wyłącznie spisem cukrów, kwasów, konserwantów, siarczanów i żółtych barwników.

- Widziałem to, ty chytrusie - marudził Markham, a jego piskliwy głos rozlegał się w słuchawkach leżących w mokrej trawie - Wiem, że jesteś...

Leżąc nago na pościeli w łóżu królewskich rozmiarów, Remy rozglądał się po dużym pokoju hotelowym z widokiem na park. Nie był pewien, gdzie się znajduje - nie przypominało to żadnego znanego mu w mieście miejsca. Za oknem, ponad wijącą się rzeką, wartę pełniła kępa wierzb. Ubrania Remy'ego leżały złożone w stosik na krześle, a na stoliku nocnym obok pustego kieliszka, na którym widać było jedynie bordową obwódkę wokół nóżki, stała do połowy opróżniona butelka wina. Remy usiadł i nalał sobie kolejny kieliszek.

Popatrzył na zamknięte drzwi łazienki, zza których doszedł go nagle szum wody.

Naciągnął kołdrę na kolana. Po kilku minutach z łazienki wyszła ona. Nicole, szefowa April.

•O, Jezu - rzekł Remy.

- Tak lepiej - odparła. Była ubrana w krótki czerwony szlafroczek z jedwabiu, przewiązany w pasie. Trzymała kieliszek wina o takim samym kolorze jak jej pomalowane paznokcie u rąk i nóg.
- Fiu, fiu, chłopcze - powiedziała. - Nie przywykłam do tak długiego seksu. Z Troyem to trwa tyle, co szczepionka - Upiła łyk wina.
- O Boże - powiedział. - Ja nie... czyja?
- Ach, myślę, że tak - Uśmiechnęła się i przekrzywiła głowę. - No nie? Czyżbyśmy mieli wyrzuty sumienia, kochasiu? Tego się obawiałam.
- Nie. Nie mogę tego zrobić - powiedział Remy.

200

- No przez kilka godzin chyba nie.
- Słuchaj, przepraszam, ale to było nie w porządku... nie powinienem tutaj być.

Nicole stała, patrząc na niego, i w końcu upiła łyk wina.

- Słuchaj, jeśli cię to pocieszy, nikt nie chce robić tego zaraz po tym, jak to zrobił - Wzruszyła ramionami. - Może z wyjątkiem nastoletków - Mrugnęła. - I kobiet w pewnym wieku - Postawiła na stoliku nocnym kieliszek z winem. - Powiem ci coś... teraz wyjdę... nie interesuje mnie cała ta... część pokutna.

Wróciła do łazienki i zaczęła się ubierać. Remy wyłapywał mignięcia jej postaci w lustrze, gdy zmagiała się, ubierając się w nieprawdopodobną sznurowaną bieliznę i wpychała nogi w czarne spodnie. Wyszła, zapinając guziki różowej marynarki.

Remy próbował znaleźć usprawiedliwienie dla swojego zachowania.

- Słuchaj, ostatnio nie jestem sobą. Powinienem... Ja nie... całkiem się kontroluję...
- Jasne - Upiła wina. - Czy to właśnie... nie o to chodzi?
- Nie - odparł - nie chcę skrzywdzić April. Więc... gdybym usiłował... przespać się z tobą jeszcze raz... byłbym wdzięczny, gdybyś mnie po prostu zignorowała.

Wzdrygnęła się.

- Jasne. Zrobi się - Uśmiechnęła się smutno, wsunęła stopy w buty na wysokich obcasach i spojrzała na niego, czerwona na twarzy. - Za ciągasz mnie tutaj, obmacujesz jak jakaś pieprzona ochrona na lotnisku i w chwili, gdy twój pistolet opada, na powrót zakochujesz się w swojej dziewczynie. Powiem ci coś. Kiedy już wszystko tam na dole w końcu mi uschnie, poczuję ogromną ulgę. Może wtedy będę mogła ignorować takich dupków jak ty.

Remy objął głowę rękami. Opanowała się.

- Teraz możesz na powrót być grzecznym chłopcem. Trafię do wyjścia.

Wymknęła się na korytarz, a drzwi same zamknęły się za nią. Po chwili Remy wstał. Zaczął szukać w kieszeniach spodni tabletek od psychiatri, zastanawiając się, jak szybko zaczną działać. Otworzył fiolkę i zażył o dwie tabletki więcej. Potem na kłamce z drugiej strony drzwi

201

zaczepił wywieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Zasuwał zasuwkę, a głową walnął o futrynę.

Remy szedł rękawem do samolotu. Przed nim podążała para w jedna-

kowych szortach i z takimi samymi plecakami oraz kobieta z wielkim dzieckiem balansującym na jej biodrze. Wszyscy wylali się na czysty terminal, w większości pusty, ponad dwadzieścioro podróżnych czekało przy bramkach, kryjąc się za gazetami lub pochylając się nad telefonami komórkowymi i kubkami z kawą, gdy dwaj żołnierze przechodzili między nimi jak pasterze. M-16 mieli skierowane w ziemię. Remy nawiązał kontakt wzrokowy z jednym z żołnierzy, który zmierzył go od stóp do głów, raz jeszcze spojrzał mu w oczy i w końcu poszedł dalej.

Brian stał pod znakiem informującym o rozwidleniu dróg, jednej prowadzącej do taksówek i autobusów, drugiej po odbiór bagażu i do kas biletowych.

Wybrał kierunek na chybił trafił, zszedł po schodach i wydostał się na zewnątrz. Ulżyło mu, gdy dostrzegł Guteraka, który opierał się o samochód i rozmawiał z policjantem z drogówki. Słońce zachodziło, a niebo za nim stanowiło tło dla jego poniżenia.

- Dobrze się bawiłeś? - zapytał Paul, gdy policjant poszedł.
- Nie wiem.
- Wracasz z wakacji i nie wiesz, czy się dobrze bawiłeś? Co z tobą? Masz bagaż?

Remy odwrócił się w stronę terminala.

- Myślę, że nie.
- Nie wygląda na to, żebyś mógł gadać o pogodzie - powiedział Paul - pewnie miałeś filtr przeciwsłoneczny. To dla mnie teraz najtrudniejsza rzecz, nałożyć filtr. Lub zapiąć chrzaniony pas bezpieczeństwa. Wszystko to, co wyglądało na zdrowy rozsądek... teraz... chodzi mi o to... no wiesz? Mam się nasmarować osiemdziesiątką? Zatrzymywać się na czerwonym

świetle? Muszę wkładać rękawice kuchenne, żeby zdjąć z kuchenki gorącą patelnię? Chodzi mi o to... daj spokój... rękawice kuchenne?

Pokazał Remy'emu oparzenia na kciukach.

Wdrapali się do nieoznakowanego wozu Paula. Skręcił gwałtownie między chmarę oczekujących taksówek, okazji i śmieciarek, po czym zaczął oddalać się od lotniska, zostawiając je gdzieś z boku.

202

-1 jak sobie radzisz? - zapytał Paul.

- Nie za dobrze - odparł Remy.
 - Martwi cię kręgosłup?
 - Mój kręgosłup? Nie. Mój kręgosłup jest...
 - Mówiłem ci, że agent sprzedał moją opowieść? - zapytał Paul.
 - Nie. To świetnie.
 - Ja też tak myślę. Nie wzbogacę się w najbliższym czasie, ale to ciągle dobry układ - rzekł Guterak. - Wybrali moją opowieść, ale zapłacą dopiero wtedy, gdy rzeczywiście pójdzie do produkcji.
 - Więc... film? - zapytał Remy.
 - No nie... niezupełnie - Paul włączył kierunkowskaz i obejrzał się przez ramię, płynąc w poprzek pasów. - Ta firma wykonuje wszystkie produkty. DVD. Papierosy. Jedzenie. Płatki.
- Rozejrzał się.
- Płatki?
 - Taaa... Do tego mnie właśnie chcą. Do nowych płatków o nazwie... - Paul się zawahał i wydusił w końcu: - Pierwszy respondent.
 - Pierwszy respondent?

- Taaa - odparł Guterak. - Potrzebowali jednego sikawkowego i jednego gliniarza do reklam, do PR i takiego tam gówna. Chcieli spróbować z aktorami, ale zdecydowali, że na pudełkach chcą mieć prawdziwe opowieści i prawdziwych mężczyzn. Sikawkowy ma na imię Brad. Lubię go. To porządny facet. On jest na płatkach kukurydzianych, ja na piankach. Mój agent twierdzi, że miałem prawdziwe szczęście, że dostały mi się pianki.

- Tak, domyślam się.

- Taaa - Paul wzruszył ramionami.

Remy popatrzył na starego partnera i przyjaciela. Przez chwilę chciał mu się zwierzyć z tego, że zdradził April, ale powstrzymał się, nie mając pewności, czy sam przed sobą chce się do tego przyznać. Włosy niczym resztki wiosennego śniegu przykrywały czubek głowy Paula, przycięte wysoko nad uszami, zdawały się topnieć na czole.

Jedną ręką delikatnie skręcił kierownicą i samochód posłusznie poddał się temu ruchowi, a Remy poczuł, jakby znowu znajdował się na oceanie. Złapał za uchwyt i przytrzymał się go, starając się sam siebie wpasować w tę chwilę.

203

Przymknął oczy. Pod powiekami smużki zdawały się tańczyć dla niego w rytm powolnego walca, cząsteczki delikatnie krążyły wokół siebie w ciemnościach, niczym przeciwnicy podczas pojedynku. Otworzył oczy i spojrzał na płaski krajobraz, ciągnący się wzdłuż płatnej autostrady - wyznaczone zaroślami brzegi rzeki i mury osiedli, wagony towarowe poustawiane jak stare pudełka od butów, rafinerie płaskie jak rzeki i widoczne za szarą gładkością wody, ceglano-stalowo-szklane mrowiska

miasta. April tam była, w jednym z tych budynków. I wtedy właśnie Remy'emu przyszła do głowy pewna myśl.

Oparł głowę na zagłówek.

- Paul, mógłbyś coś dla mnie zrobić?
 - Co tylko zechcesz, stary. Wiesz o tym. Dla ciebie zrobię wszystko. To znaczy... w granicach rozsądku. Wiesz, oczywiście, nie zjadłbym śmieci z chodnika ani nie przespałbym się z facetem... no... to znaczy, gdyby chodziło o twoje życie czy coś takiego... wiesz, zależy, co by to było za gówno. I jak by wyglądał ten facet.
 - Chcę, żebyś mnie śledził.
 - Śledził cię.
 - Właśnie.
 - Śledził cię?
 - Tak.
- Guterak podrapał się po głowie.
- To znaczy... śledzić tok tego, co mówisz? O takie śledzenie chodzi?
 - Nie. Chcę, żebyś fizycznie siedział mi na ogonie. Chodził za mną i patrzył, gdzie łąkę. Co robię. Śledzić bieg rzeczy. I nie pozwolić, żebym cię zauważył.
 - Nie chcesz mnie widzieć?
 - Taak. Nie chcę wiedzieć, że mnie namierzasz. I zapisuj wszystko, co robię, a potem mi o tym mów. Sporządzaj raport.
 - Komu mam dawać ten raport?
 - Mnie.
 - I dlaczego mam to robić?
 - Żebym mógł ustalić, co robię.

- Ho, ho. Chcesz, abym cię śledził, żebyś mógł ustalić, co robisz.
- Tak. Chcę się dowiedzieć, czy mam halucynacje, czy rzeczywiście jestem w coś zaplątany... w coś złego.

204

- Och - powiedział Paul - no dobra.
- Zrobisz to?
 - Jasne, że tak - odparł. - Użyję mojego czarnego helikoptera. Wepchnę ci w tyłek jeden z tych pieprzonych transponderów GPS, włożę drut w zęby. Każę cię śledzić któremuś trutniowi z Air Force. Albo... pamiętasz ten film, gdzie zmniejszają koleś i wsadzają ich w ciało prezydenta? Tak właśnie zrobię - Guterak potrząsnął głową i śmiał się, prowadząc auto.
 - Zabijasz mnie stary, kurwa - Popatrzył na Remy'ego i potrząsnął głową. - Wiesz, z każdym dniem stajesz się coraz zabawniejszy.

- Czekaj, czekaj - tęga kobieta w dzinsach i z przypiętą do paska pękata saszetką weszła do pokoju April. - Zobacz, to było super, ale to nie całkiem to. Myślisz, że można powtórzyć tę wymianę?

Remy siedział z April na kanapie, naprzeciw młodego mężczyzny, który spoczywał na krzeselku i pochylał się nad ich kolanami, jakby coś im zdradzał. Miał oliwkową cerę i grube brwi, które kończyły się kilka milimetrów przed linią bujnych włosów. Ale to w oczach tego chłopca Remy dojrzał April, a szczególnie March i starego pana Seliosa, w oczach, które spowodowały, że nagle pojął, iż patrzy na Gusa - brata April, Augustusa Seliosa.

Za Gusem ganiał facet z kamerą telewizyjną na ramieniu i paskiem narzędziowym u pasa, zmieniając co rusz pozycje, podczas gdy kobieta z

saszetką poruszała kablami i przestawiała masę sprzętu audio. Światła w pokoju oślepiały.

- Musimy mieć to znów za drugim podejściem - powiedziała wesoło. Ona i kamerzysta mieli na sobie płaszcze z napisem „Z popiołów”.
- To było niesamowite, Gus. Naprawdę mocne.

Ten uśmiechnął się w odpowiedzi na ten komplement, po czym starał się zmienić wyraz twarzy.

- Okay - powiedziała producentka - jak powiem „akcja”, chcę że byście wy dwoje powtórzyli to, co właśnie powiedzieliście. Dokładnie tak, jak przed chwilą. Naturalnie.

- Jasne, Tina - rzekł Gus. Remy doszukiwał się na jego twarzy po dobieństwa do April, ale im dłużej się im przyglądał, tym bardziej wyglądało na to, że tych dwoje ma ze sobą coraz mniej wspólnego. Kamerzysta ustawił się w jadalni za jego plecami.

205

- Mikrofony - rzucił i producentka Tina przypięła przekaźnik mikrofonowy z tyłu do paska Gusa, tak żeby nie było go widać w kadrze.
- Szkoda, że nie możemy użyć pogłosu.
- No, nie możemy użyć pieprzonego pogłosu - warknęła producentka, po czym uśmiechnęła się i zapytała: - Gotowi?

Następnie zwróciła się do Gusa, który kiwnął głową i wziął ręce April w swoje.

- Słuchaj, siora - Gus patrzył w jej oczy. - Przepraszam, że mnie przy tobie wtedy nie było. Po tym wszystkim. Ja po prostu... nie miałem siły się z tym zmierzyć. Chyba byłem... - spojrzał przez okno i zrobił wyćwiczoną pauzę - ...wściekły. Wściekły na siebie, że mnie tu nie ma.

April zerknęła kątem oka na kamerę, a następnie na producentkę.

- Nie patrz na mnie - rozkazała Tina scenicznym szeptem.
- Co mam powiedzieć? - zapytała April.
 - Powiedz coś w stylu: „W porządku, nie mógłbyś nic zrobić, żeby przywrócić życie March i Derekowi”. - Tina przyszła z pomocą.
 - Chyba nie mogę tak powiedzieć - odparła April. Popatrzyła na Remy'ego, który starał się być pomocny, chociaż czuł się, jakby go zesłano na banicję w najdalszy róg pokoju.

Producentka i kamerzysta naradzali się przez chwilę, ale choć stali blisko Remy'ego, usłyszał jedynie kilka słów: pierwsza część, ciężarówka, i huk, a potem jeszcze montażownia.

Wtedy Tina odwróciła się i uśmiechnęła.

- Wiesz co? Dobra. Jest okay - powiedziała. - Pete mówi, że mamy nagranie i możemy coś zmontować. Nie... jest dobrze. Powiedźcie sobie po prostu do widzenia, a my się tym zajmiemy w obróbce - Przygryzła paznokieć kciuka i wzruszyła ramionami w stronę kamerzysty, jakby to było wszystko, co mogła zrobić.

April i Gus stali zakłopotani jak aktorzy w scenie, która właśnie się nie udała. Gus pił wodę z plastikowej butelki i kołysał ramionami, a April rozglądała się po pokoju, jakby szukała kryjówki. Tina złapała ją za ramię.

- Słuchaj, April, całkowicie rozumiem twoje skrepowanie. Całkowicie. I szanuję to. W zasadzie nie chcę, żebyś robiła cokolwiek, co sprawia, że czujesz się jak oszustka. To byłoby wstrętne. Wiesz, dlaczego nazywamy to reality show? Wiesz? Ponieważ jest najlepiej, gdy jest...

tragiczne historie i wpuszczamy do nich ludzi. April znowu spojrzała na Remy'ego.

- Więc... zapomnij, że tu jesteśmy. Powiedz swojemu bratu do widzenia - rzekła Tina. - Po prostu powiedz do widzenia, w taki sposób, w jaki chciałabyś powiedzieć... że go kochasz, cokolwiek... teraz jest was dwoje, wiesz... mów o żalu... i udawaj, że nas tu nie ma.
- To trochę trudne - odparła April.
- Jasne. Pojmuję. Tylko staraj się być jak najbardziej naturalna. Wiesz, przytul go. Płacz, jeśli chcesz. Najważniejsze, żebyś się zachowywała, jakby nas tu nie było. Rób dokładnie to, co każdy normalny człowiek by zrobił, widząc ostatnią żywą osobę z rodzeństwa... po raz pierwszy, odkąd twoja siostra... zginęła w tak straszny sposób, potworną śmiercią. To jest rzeczywistość, my chcemy rzeczywistych emocji.

Gus podniósł się i rozejrzył po mieszkaniu.

-Może moglibyśmy się objąć... w drzwiach... a ja powiedziałbym coś w stylu... - Smutek wykrzywił mu twarz... - Tak bardzo ją przypominasz...

Kiedy skończył, miał już normalną minę.

- Tak, to jest dobre - Tina zdjęła kawałek paznokcia z języka i popatrzyła na niego - albo... mam pomysł... - Podeszła do okna i spojrzała w dół. - Pete - Kamerzysta doszedł do niej, trzymał kamerę za rączkę jak walizkę, a Tina pokazywała coś za oknem na ulicy. Mówili ściszymi głosami. Pete wzruszył ramionami, jakby nie miał nic przeciwko temu.
- Słuchajcie - powiedziała. - Zróbmy to na dole. Nakręcimy dwa ujęcia. Chcę, żebyście najpierw zeszli we dwoje i pożegnali się, a my to nagramy z góry. Wtedy będziecie mieli trochę prywatności tam w dole,

na chodniku. Dźwięk nagramy z mikrofonów, a wy... wy bądźcie sobą. Upewnijcie się tylko, że stoicie na prawo od ganku. Wiecie... pogadajcie przez sekundę i przytulcie się... może złap ją za głowę, Gus... jakbyś jednocześnie pocieszał i przekonywał. A potem, Gus, odejdiesz. Tylko się nie oglądaj. Zejdziemy i złapiemy to w drugim ujęciu z bliska. Dobra? Wszyscy gotowi?

Remy nie odpowiedział. Tina wzruszyła ramionami.

207

- No, to będzie dobry odcinek. Ten jej brat jest... naprawdę... jest niezły. Puścimy to po wakacjach.
- Gotowy - oznajmił Pete i Tina podeszła do okna. Remy także. Patrzyli w dół, jak Gus na ulicy bierze siostrę w ramiona i jak oboje tulą się, stojąc na chodniku. April wyglądała z góry na taką maleńką. Zaczęła patrzeć w kamerę, na Remy'ego, ale Gus wziął jej twarz w rękę. Potem coś powiedział i odszedł, nie oglądając się, a kamera śledziła każdy jego krok.

W ogóle nie wyglądało na to, żeby opróżniano hangar. Remy wpatrywał się w alfabetycznie ułożone znaki, AM-AZ, wiszące nad stołami pokrytymi papierem, stosy i stosy białego papieru. Technicy ubrani w białe kosmiczne kombinezony brali do rąk każdy świstek i raz za razem podawali innym pracownikom, którzy układali je w rzędach szaf biurowych pod wiązkami fluorescencyjnych świateł. Na końcu hangaru dwa wózki widłowe przewoziły palety z szafami.

Coś dziwnego było w tym papierze, a zanim Remy zrozumiał, co to jest,

minęło trochę czasu. Podeszedł do najbliższego stołu i od razu rzuciło mu się w oczy, że te kartki nie są przypalone ani pomięte, ani pomarszczone. Ponadto były idealnie poukładane. Wziął kawałek papieru z jednej sterty i zdziwił się, że w ogóle nie pachnie Strefą Zero. Był to rachunek za elektryczność z jakiegoś domu w San Leonardo w Kalifornii, datowany na kilka miesięcy po atakach.

Remy prawie odruchowo poklepał się, szukając lekarstwa.

- Nie powinien pan tego dotykać bez rękawiczek - Usłyszał za sobą kobiecy głos.

Remy odłożył rachunek na stos.

- One nawet nie są z tego dnia - Podeszedł do kobiety, która stała pomiędzy dwiema tablicami, na jednej napisano CZEŚCIOWE, na drugiej OSOBISTE/RÓŻNE.

Kobieta lekko przechyliła głowę. Mówiła głosem o wyuczonyj dykcji.

- Ustawa Departamentu Wolności i Odbudowy upoważnia do odzyskiwania i uzupełniania dokumentów. Nie ogranicza nas konkretnie do odzyskiwania dokumentów jedynie z tamtego dnia.

- Więc... grzebiecie w śmietnikach... czy co?

Kobieta zaczerwieniła się.

208

- Panie Remy, być może powinien pan podyskutować o tym z kimś wyżej ode mnie postawionym. Ja stosuję się w pracy do poleceń z góry. Rozumiem, dlaczego jest pan w złym humorze, ale wyzywanie się na mnie nie spowoduje, że naprawi pan błąd.

Remy poczuł się paskudnie.

- Ja nie...

Pokiwała głową. Była wysoka i szczupła, z bliznami po trądziku.

- Proszę mi wierzyć. To wystarczająco zawstydzające, nawet jeśli mnie pan nie wyśmiewa - powiedziała kobieta.

Podawała mu kawałek nadpalonego papieru w plastikowej torebeczce.

- Powód, dla którego ta notatka została niewłaściwie skatalogowana, jest taki, że źle odczytaliśmy początkowe cyfry daty jej sporządzenia

- Skrzywiła się. - Wiem, to idiotyczna pomyłka i nie ma takiej możliwości... po tym wszystkim... żebyśmy nadal popełniali takie błędy.

Remy spojrział na trzymaną w ręce notatkę, napisaną flamastrem na papierze firmowym firmy prawnej March Selios. Znaczna część prawej strony była spalona, zrozumiał więc od razu, dlaczego ktoś mógł pomyśleć, że to początek daty.

Hej,

Musimy pogadać. Zmieniłam zda

Nie mogę przez to przejść be

Rozumiesz.

March

Remy odwrócił kartkę. Była pusta.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem sugerować, że zrobiła pani coś nie tak - Zaśmiał się. - Nie mógłbym. Nawet nie wiem, jakie są pani obowiązki.

Oczy kobiety zaszły łzami.

- Teraz mnie pan lekceważy.

- Nie - Remy wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. - Nie. Przy sięgam, nie lekceważę. Nie miałem niczego złego na myśli. Proszę po

słuchać, czyja mogę... zapytać panią o coś?

Kobieta wzruszyła ramionami.

209

- Czy sądzi pani... - Zaśmiał się. - Czy to w ogóle jest możliwe... że to... wszystko jest iluzją, że dzieje się tylko w naszych głowach?

Kobieta rozejrzała się po ogromnym hangarze, po gromadzie pracowników wypełniających miliony stron dokumentów. Ponownie się zaczerwieniła i ponownie łzy zakręciły się jej w oczach.

- Och, niech pan idzie do diabła - powiedziała.

Edgar był w ubraniu tak podobnym do tego, w którym go widział poprzednio - luźne spodnie, bluza z kapturem, do tego małe słuchawki - że Remy się zastanawiał, czy to nie są te same ciuchy. Ale mimo to wyglądał jakoś inaczej. Wydawał się... większy. Czy Remy oglądał go z takiej odległości, że przeoczył jego spory wzrost? Zaparkował przecznicę dalej, po drugiej stronie ulicy, i obserwował Edgara przez lornetkę, idącego tą przedmiejską drogą i podskakującego w rytm muzyki hip-hop.

Kiedy chłopiec zniknął z pola widzenia, Remy odpalił samochód i przejechał kilka przecznic, aż ponownie znalazł się w jego pobliżu. Zatrzymał się na szczycie wzgórza, na parkingu gabinetu dentystycznego, naprzeciwko tylnego wejścia do minimarketu. Skierował lornetkę na chodnik po drugiej stronie drogi.

Edgar sprężystym krokiem wchodził na wzgórze. Nagle zatrzymał się, wspiął na mur oporowy i zniknął na parkingu minimarketu. Remy przekręcił kluczyk, ruszył i objechał kwartał, docierając na tyły parking. Niebo było przygaszone, zachmurzone, jakby na okoliczne przedmieścia

zarzucono szary brezent.

Remy jechał wolno przez parking, wypatrując syna. Budynek sklepu miał kształt litery U z dziedzińcem pośrodku i małymi stoiskami przy-czepionymi jak rzepy do tego U, wewnątrz i na zewnątrz. Jadąc, Remy przebiegał wzrokiem ekspozycję stoisk - serwisy telefonów komórkowych i sprzedaż gitar, rekrutację do wojska, bajgle i lody, solaria i sprzęt do golfa, importowane towary z rattanu - i czuł, jak rośnie mu ciśnienie krwi. Gdzie jest Edgar? Chiropraktyka, akcesoria imprezowe i ubrania ciążowe. Remy poczuł, że coś w nim pękło: Mam dość tego stroboskopowego życia, pomyślał. Pieprzyć to! Dlaczego ja to wszystko robię? Zestawy samochodowe audio, tacos, espresso i naprawa komputerów. Dlaczego śpiam z szefową April? Dlaczego poluję na własnego syna? Przygotowywanie podatków, materace ekologiczne i ubezpieczenie.

210

„Do cholery, Edgar. Gdzie jesteś?” Jeśli było coś, co chciałby chłopcu powiedzieć, to: „chrzanić to” - tak miał zamiar powiedzieć. Czuł, jak się czerwieni. I właśnie wtedy poczuł się wystarczająco silny, żeby po prostu odrzucić to dziwne, kretyńskie życie, czymkolwiek ono było - halucynacjami czy chorobą, lub też po prostu aktualnym sposobem egzystencji. Życie to działanie, jeśli więc chce, żeby świat był inny, musi zacząć działać inaczej. Każda minuta stwarza codziennie okazję do robienia rzeczy słusznych, stworzenia czegoś z tego całego bałaganu. Nie musi zdradzać swojej dziewczyny. Nie musi być zaplątany w jakieś mętne śledztwo, które może skrzywdzić niewinnych ludzi. I z całą pewnością nie musi jeździć w kółko, zastanawiając się, co chce powiedzieć synowi. Gdyby odnalazł chłopaka, otworzyłby drzwi samochodu i wysiadł, złapał go za ramiona i powiedział...

coś. Przednia szyba, fizjoterapia, kopie i...

Tym razem nie próbował protestować ani pytać, co się stało, nie wziął też lekarstwa, ani nawet nie błagał jej, żeby dała mu spokój. Skórę miał pokrytą śliską warstwą potu, nie tylko własnego. I nawet, jeśli nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co zdarzyło się, zanim zobaczył, jak Nicole wychodzi z wielkiego łóża i wlecze się do łazienki, wiedział już, że jest za późno.

- Fiu, fiu - gwizdnęła Nicole - rozumiesz, że korzonek podczas szybkiego numerka musi być szybciotki, prawda?

Remy miał stopy zaplątane w pościeli. Rozejrzał się po pokoju. Sypialnia Nicole. W każdym kącie wysoki na dwa metry azjatycki wazon pełen suchych gałązek i kwiatów. Na przeciwległej ścianie tryptyk złożony z abstrakcyjnych obrazów, na każdym różowe plamy. Obok rodzinne zdjęcie Nicole, jej męża i syna.

Usłyszawszy, że z prysznicza leci woda, Remy podniósł się, wskoczył w spodnie, włożył koszulę i skarpetki, potem buty, zdjął z krzesła kurtkę i chyłkiem wymknął się z mieszkania Nicole. W windzie zjeżdżał z kobietą trzymającą na smyczy teriera. Pies go obwąchał, po czym wlepił ślepią w kobietę, jakby chciał potwierdzić jej przypuszczenia. Na parterze portier czytał „Daily News”, ale spojrzał na czas, żeby mrugnąć. Remy szybko przemknął obok niego i wyszedł.

Na ulicy rzuciło mu się w oczy auto przypominające samochód Guteraka, ale szybko odjechało. Remy patrzył na taksówki sunące po

alei w kierunku centrum miasta i rozważał, czy wystarczy mu pieniędzy na

jedną z nich. Wyciągnął portfel, żeby sprawdzić stan kasy i zobaczył kawałek kartki z własnoręczną notatką: „Nie skrzywdź nikogo/ Dorośnij”. Wyciągnął ją, przeczytał i wsunął z powrotem do portfela. Wtedy po raz pierwszy przeszło mu przez myśl, że może trzeba inaczej spojrzeć na ten problem, że może, w jakiś sposób, jest dwóch Remych, jeden, którego zna, i drugi, którego nie zna, i że tych dwóch mężczyzn może się różnić jak...

Odczekał, aż starzec wysiadzie z autobusu, opatrzonego po bokach napisem Senior Services w Englewood. Pomagał mu kierowca, któremu długie włosy ułożyły się z tyłu w coś na kształt półki. Kiwnął głową i zwrócił się do starego mężczyzny tak głośno, jak się mówi do przygłuchego emeryta.

- Jak się pan dzisiaj miewa, panie Addich? Wygrał pan wszystkie pieniądze?
- Zawsze wygrywam wszystko - odparł starszy pan. Był niski i nie-nagannie ubrany w garnitur, ale nie miał krawata. Trzymał kurczowo czarny notes wielkości Biblii spotykanej w pokojach motelowych. - Jestem zwycięzcą!
- A co z tamtymi starszymi paniami? Wali pan w którąś z nich, panie Addich?
- Nigdy nie walnąłbym kobiety. Chyba, że to ona mnie pierwsza walnie - Starszy pan mrugnął okiem.

Kierowca śmiał się z tego jeszcze w chwili, gdy wsiadał do autobusu. Drzwi się zamknęły, pojazd ruszył, a pan Addich skierował się w stronę podmiejskiego domu swojego syna.

- Panie Addich? - Remy wysiadł z auta i przebiegi przez drogę.
- Przepraszam, czy pan Gerald Addich?

Mężczyzna odwrócił się wolno i popatrzył na Remy'ego, nie rozpoznając go.

- Tak. Kim pan jest? - Starszy pan nadstawił uszu, dwu dużych uchwytów przedzielonych cypelkiem siwych kręconych włosów, opadających na czoło. Rozdziawił usta. Mówił z chropawym akcentem trzeciego pokolenia z irlandzkiego osiedla. - Czym mogę służyć?

Remy podszedł do mężczyzny.

212

- Zna mnie pan?

Starzec zastanawiał się przez chwilę.

• Nie, nie wydaje mi się. Ale jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że wygląda pan na gliniarza.

• To ja znalazłem pański organizator w mieście - powiedział Remy.

• O, dziękuję panu - odparł Addich. - Miło z pana strony, że go pan zwrócił. Pogubiłbym się bez niego - Odwrócił się w stronę domu.

- Pański syn mówił, że tamtego dnia nie było pana w mieście.

Starszy pan się nie odezwał.

- Widzi pan - Remy usiłował roześmiać się nonszalancko - śmieszne jest to, że w pana organizatorze było umówione tamtego dnia spotkanie... ze mną albo z kimś o moim nazwisku.

Addich popatrzył na organizator.

• Jak się pan nazywa?

• Remy. Brian Remy.

• Nigdy o panu nie słyszałem - odparł mężczyzna - nie wiem więc, jak mogłem mieć umówione z panem spotkanie...

• Czy mógłbym zajrzeć do środka? - zapytał Remy, wskazując na

organizer.

- Tu? - Pan Addich podniósł notes.

Wtedy właśnie otworzyły się drzwi i wyszedł Tony Addich w spodniach od garnituru, białej podkoszulce i skarpetkach.

- Chodź, tato. Już prawie pora obiadu. Będzie łoś.

- Przepraszam. Muszę iść - rzucił Gerald Addich do Remy'ego

- będzie rybka. -1 zanim skierował się w stronę domu, popatrzył przez chwilę na Remy'ego.

Tony Addich podszedł i pomógł starszemu panu wejść na chodnik.

- Niech pan go zostawi - powiedział przez ramię, zaciskając zęby.

- On nie może panu pomóc.

Remy stał na drugim piętrze czegoś, co przypominało stary magazyn, na wprost ciężkich drzwi z jakiegoś chropowatego metalu, ścieranego i polerowanego tak długo, że świecił się jak raca. Rozejrzał się, następnie otworzył drzwi i wszedł korytarzem do ogromnego nieumeblowanego i właściwie nieskończonego loftu: na wierzchu widać było cegły i dźwigary, nad ma-

213

lowanymi drewnianymi podłogami wisiały belki stropowe i rury. Całość sprawiała wrażenie zimnej i nagiej, ścian nie przykryto nawet płytami gipsowymi, brakowało dywanu i jakichkolwiek zdobyczy cywilizacyjnych.

- Halo - zawołał - jest tu kto?
- Tutaj - odezwał się męski głos.

Remy przeszedł przez długi, wąski salon, na którego końcu widać było dwa wielkie okna i chropowate cegły przeciwległej ściany. Po prawej stronie mieściła się mała kuchnia, wyposażona w ciemnoszary blat w kształcie

litery L, otoczony pofałdowanym aluminium. Nad kuchenką gazową i piekarnikiem wisiał metalowy okap. Przy schodach stała para młodych ludzi, chłopak w wypłowiałych dżinsach i narciarskiej czapce oraz dziewczyna w obcisłych czarnych spodniach. Oboje mieli rozwiane blond włosy, co przywiodło Remy'emu na myśl miejsca w Kolorado, których nigdy dotąd nie widział.

- ...ale dla sześciopalnikowej kuchenki nie warto ryzykować straty tego mieszkania - mówiła kobieta.

Potem oboje popatrzyli na Remy'ego.

- O, hej - rzucił potargany mężczyzna. - Ona jest na górze.
- Tam na górze? - zapytał Remy, patrząc na otwartą klatkę schodową.
- Taa... kolego - odrzekł tamten. - Pokazywała nam to mieszkanie, kiedy ktoś zadzwonił z jakąś informacją. I po prostu straciła rozum.
- Nawet przedtem nie wyglądała zbyt dobrze - zauważyła kobieta, zwracając się do męża.
- Nic jej nie było - warknął facet, jakby już wcześniej debatowali nad tą kwestią - ale po tej rozmowie telefonicznej wyglądała na naprawdę... wystraszoną.
- Zamknęła się w łazience i nie chce wyjść - dodała kobieta.
- Nie wiedzieliśmy, co robić - ciągnął mąż. - Zapowiedzieliśmy jej przez drzwi, że zadzwonimy do agencji, i wtedy właśnie odrzekła, że ona zadzwoni do kogoś innego. Chyba to właśnie pana miała na myśli?
- Tak mi się wydaje - odparł Remy.

Zerknął na klatkę schodową, okoloną żelaznymi słupami, zwieńczonymi czymś na kształt kręgli. Podeszedł bliżej i spojrzał w górę. Na suficie widniało malowidło, rodzaj plamy na słońcu, ciemne w środku z żółtymi kroplami

płomieni rozchodzącymi się w różnych kierunkach.

214

- Przepraszam - rzekł mężczyzna. Remy odwrócił się i popatrzył na niego, opierając się o poręcz w kuchni. - Proszę posłuchać, jesteśmy jakby... martwimy się, że stracimy ten lokal. Jeśli z nią wszystko w porządku, może mógłby jej pan powiedzieć, że chcemy załatwić sprawę, zanim ktoś inny weźmie to mieszkanie?

- Okay - odparł Remy.

Wszedł po schodach i znalazł ją w łazience, gdzie wciąż trzymając telefon, siedziała po ciemku przy blacie toaletki.

- April?

Remy włączył światło. Gapił się na telefon, który trzymała w ręce, i zastanawiał się, czy to Nicole zadzwoniła do niej i coś jej powiedziała. W żołądku czuł ucisk, jakby powstał mu w tym miejscu węzeł.

- Na początku myślisz, że to pokuta - powiedziała z rezerwą - do której odprawienia cię zmuszono. Myślisz, że jeśli cierpiełeś wystarczająco długo, ludzie, których utraciłeś, mogą po prostu... wrócić. - Spuściła wzrok. - Ale nie. Nigdy nie wracają. To jest taka sztuczka. Co kilka miesięcy umierają dla ciebie po raz kolejny.

Remy zdjął płaszcz i próbował ją okryć, ale ona podniosła rękę.

- Śnią mi się... czasem. Oczekuję, że powiedzą mi coś głębokiego lub podnoszącego na duchu. Ale są zbyt zajęci, by mówić. Biegają w kółko, spóźnieni na różne zajęcia, nawet nie patrzą mi w oczy. A ja myślę... po co ten pośpiech? Nie żyjecie. Dokąd was niesie?

Spojrzała mu w oczy.

- Jest coś, co chyba powinnam ci powiedzieć. Powód, dla którego

nie lubię rozmawiać o Dereku. Pamiętasz tę noc, gdy spotkaliśmy się w barze i wszystko ci o nim opowiedziałam?

Remy kiwnął potakująco głową, chociaż nie pamiętał.

- Powiedziałaś, że przed jego śmiercią nie rozmawialiśmy z sobą od czterech miesięcy - zaczęła. - Cóż... to nie całkiem była prawda. Nie wiem, dlaczego skłamałam... chyba chciałam, żebyś ty albo żebym ja wierzyła, że wszystko między mną a nim jest skończone. - April otarła usta i wciąż wpatrywała się w ten sam punkt, znajdujący się nad głową Remy'ego. - Zaraz pod koniec lata zadzwonił... powiedział, że tęskni za mną. Chciał, żebyśmy do siebie wrócili. Rozmawialiśmy o tym... przez cały sierpień i pierwszy tydzień września. I wtedy, pewnej nocy... - urwała.

215

- Spaliście ze sobą - powiedział Remy.

Kiwnęła głową.

- Ciągle byliście małżeństwem - Wzruszył ramionami, jakby to nie było nic wielkiego. I nie powinno być, chociaż poczuł ukłucie w sercu, jakby się nadział na haczyk od wędki. Pomyślał znowu o Nicole i wbił wzrok w podłogę.

- Kilka dni później spał u mnie po raz drugi. - Odchrząknęła.

- I to było... mile. Następnego ranka... Następny poranek to był tam ten poranek.

Popatrzyła na niego błagalnie, mając nadzieję, że nie będzie żądał dalszych wyjaśnień. I nie zażądał. Nie potrzebował ich. Zdawało mu się czasami, że to był w ogóle ostatni poranek. Teraz każdy dzień zaczyna się w południe.

- Wyszedł do pracy. Leżałam w łóżku, myślałam o nim i o tym, czy moglibyśmy do siebie wrócić. Wtedy zobaczyłam, że na stoliku przy łóżku zostawił telefon komórkowy. Migало światelko. Przyszła wiadomość. Nie chciałam jej odsłuchać, ale byłam ciekawa, czy zmienił kod w telefonie. Oczywiście... nie zmienił, idiota jeden - Uśmiechnęła się.

- Odsłuchałam więc.

Remy pamiętał spotkanie z prawnikiem.

- To ta inna kobieta - powiedział. - Ta z jego biura?
- Tak - April kiwnęła głową.

Remy usłyszał przez drzwi, jak ktoś wspina się po schodach. Dobiegł go głos faceta z Kolorado:

- Przepraszam.
- Chwileczkę - rzucił Remy do April. Wyszedł na korytarz i dojrzał głowę mężczyzny wyłaniającą się na środku schodów.
- Proszę wybaczyć - powiedział facet - ale moja żona naprawdę się denerwuje, że stracimy to mieszkanie. Myśli pan, że mógłby powiedzieć swojej dziewczynie, że zadzwonimy w tej sprawie do kogoś innego z agencji?
- Jasne - odparł Remy - śmiało.

Gdy wrócił do łazienki, April wyglądała przez okno. Po chwili wypuściła z ręki telefon, który stuknął o podłogę. Gapiła się na komórkę, jakby nigdy w życiu czegoś takiego nie widziała.

Wzięła głęboki oddech.

- Zadzwonił prawnik - mówiła cicho. - Właśnie kiedy pokazywa

łam im mieszkanie. Ma moją rekompensatę. Sześćset dwadzieścia tysięcy - Jej ciało zdawało się wisieć na kręgosłupie jak podomka na haku.

- Myślę, że tyle właśnie dostaje się teraz za lekko zużytego, oszukującego męża. Sześćset dwadzieścia. Myślę, że to sprawiedliwe - Spuściła głowę.
- Powinnam była zapytać, tak dla porównania, ile jest warta siostra.

Ale ten dowcip był płytki, zakryła więc usta pięścią i zaśmiała się sama z siebie z pełnym odrazy chichotem.

Remy ruszył w jej kierunku, ale przystanął, schylił się i podniósł telefon.

- Przepraszam, Brian. Najgorsze jest zawsze to, jak bardzo za nim tęsknię. Nie chcę tego... ale tęsknię.
- Wiem - powiedział Remy i podał jej...

Siedział samotnie przy barze w pewnej restauracji na Upper West Side i patrzył przez szklaneczkę pełną whisky o barwie karmelu, zniekształcającą wszystko wokół. Za nim, w czerwonych boksach pod lampami ozdobionymi paciorkami, siedziały różne pary. W tym zacisznym i komfortowym miejscu Remy czuł się odprężony. Wyjrzał przez okno. Na zewnątrz panował mrok, ta niespodziewana wczesnozimowa ciemność spływała niczym narysowana zasłona. Ponownie zerknął na małą szklanekę bursztynowej cieczy stojącą naprzeciw niego na kontuarze, podniósł ją, zawahał się, po czym przyłożył do ust i wypił do dna. Jakie ciepło. Zastanawiał się, czy jest na dzisiaj umówiony z April. Wyciągnął telefon i chciał do niej zadzwonić, ale nagle pojął, że nie może przypomnieć sobie numeru.

- To dobra whisky, chłopie - barman mówił z pretensjonalnym irlandzkim akcentem, ale Remy'emu to nie przeszkadzało, bo była to

rzeczywiście dobra whisky. - Wiesz już, co chcesz zjeść?

Remy odłożył telefon i sięgnął po menu. Jasne, jest. Przynajmniej to go ucieszyło.

- Wezmę kaczkę wasabi marynowaną w czerwonym winie.
- Wybrał pan sposób przyrządzenia? - Barman wziął menu i otworzył je. - O tak, to to. Musi być nowy, hę? - Klepnął kartą o swoją nogę. Mrugnął i popchnął w stronę Remy'ego kolejną whisky, a ten opróżnił szklankę.

217

- Przepraszam. Pan Remy?

Stał za nim mężczyzna w białej koszuli kucharza, zapinanej na ramieniu.

- Tak? - Zastanawiał się, skąd kucharz zna jego nazwisko.
- Brian Remy? - Tak, to ja.
- Polecono mi, żebym panu powiedział... - Mężczyzna rozejrzał się, a potem nachylił do Remy'ego. - To dość kłopotliwe - Spojrzał mu w oczy. - Nie ma marynowanej kaczki wasabi. - A ponieważ Remy nie odpowiedział, facet dodał: - Rozumie pan?
- Myślę, że tak - odparł Brian, odsuwając się od niego. - Czy mogę zamówić coś innego?
- Rozumie pan, co mówię? - zapytał szef kuchni.
- Nie ma kaczki.
- Właściwie... - Mężczyzna zaszurał nerwowo nogami. - To wygląda tak, jakby nigdy nie było tu żadnej marynowanej kaczki wasabi - próbował się zaśmiać, dając do zrozumienia, że to wszystko było tylko zabawnym nieporozumieniem, ale w jego śmiechu było coś nerwowego

i nieprzyzwoitego.

- Dooobrze - powiedział Remy. - To może dostanę... stek?
 - Oczywiście - odparł mężczyzna z ulgą. - Czy chce pan, żebyśmy przyjęli to zamówienie?
- T-tak sędzę. Tak.
- Świetnie. Jaki rodzaj?
 - Nie wiem - odparł Remy - befsztyk? Mężczyzna uniósł brwi.
 - Befszyk!
 - Tak, tak sędzę.

- Powiem im - Szef kuchni podsunął Remy'emu zapaliki na tekturce i odwrócił się, by odejść. Remy spojrzał na tekturkę. Otworzył ją. U góry było napisane jedno słowo: IDŹ.

Sięgnął do kieszeni, znalazł fiolkę z pigułkami od psychiatry i szarpał się z zakrętką. W końcu wyjął dwie tabletki i połknął je, popijając dużą ilością wody z cytryną. Potem ponownie przeczytał słowo napisane na tekturce zapalek.

- Jak pan sobie to życzy? - obok niego znowu stał szef kuchni.

218

Remy podskoczył. -Co?

- Befszyk, proszę pana. Jak przyrządzić?
 - Nie wiem - Remy rozejrzał się, szukając pomocy. - Średnio... - ale facet wyglądał na zaniepokojonego, więc Remy dodał: - ...wysmażony? Średnio wysmażony?

- Świetnie - Szef kuchni zgiął się w ukłonie. - Przekażę im.

Gdy Remy wypił kolejną whisky, podano befsztyk. Mięso parowało na talerzu podane z ziemniakami i pęczkiem szparagów. Było lekko poprzerastane tłuszczem, nóż przesunął się po nim. Dźgnął je widelcem, obficie wypłynęła krew. Włożył kawałek do ust. To było niesamowite, najsmaczniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadł. Befszyk pokrywał sos z niebieskiego sera pleśniowego, a krew i ser nadały talerzowi purpurowej barwy. Także czosnkowe puree ziemniaczane zabarwiło się na purpurowo, podobnie jak pędy szparagów. Cały talerz pływał w ciemnej krwi. Remy nie mógł uwierzyć, że stek może mieć tyle krwi i tak smakować. Jedząc, przewracał oczami. Podano kolejną whisky i ona też była lepsza, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy pił tak dobrą whisky.

Skończył, włożył płaszcz i ruszył przez oślepiający ruch uliczny. Mijał domy z pustymi werandami, workami na odpady wystawionymi dla śmieciarzy, skręcił w kolejną ulicę i dotarł do parku. To była miła niespodzianka, znaleźć się w parku, przeciął północno-zachodni kraniec plant i znalazł się już w głębi ogrodu, gdy nagle przystanął i zastanowił się, dlaczego nie ma samochodu albo dlaczego nie wziął taksówki. Jaki miał zamiar? Iść do domu, mijając czterdzieści przecznic? Mimo wszystko było to miłe: świetny befsztyk, trochę whisky i spacer przez park, szczególnie po tej stronie, jego ulubiona część - mniejszy tutaj ruch, budynki czające się za drzewami. Zawrócił i znów szedł z miłym uczuciem, że znajduje się gdzieś u kresu, że kołyszą go te ciepłe budynki, ta cywilizacja. W miejscu, gdzie chodnik skręcał w stronę ciemnej kępy drzew, Remy zauważył, że dwie latarnie uliczne się nie palą. Zwolnił. Ktoś czaił się w cieniu.

- Chcesz wiedzieć, co mnie zainteresowało? - odezwał się znajo

my głos.

Remy podszedł bliżej i zobaczył, że to ubrany w długi wełniany płaszcz starzec z Bliskiego Wschodu. Opierał się o ocienione drzewo. Remy nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale był pewien, że to on.

219

- Sposób, w jaki ludzie wyśmiewają tutaj religię, która obiecuje męczennikom dziewice w lepszym świecie. Twoja własna kultura zdaje się podkreślać, że nie ma niczego głębszego od seksu, niczego skromniejszego czy pełnego wdzięku lub też silniej działającego na wyobraźnię niż tajemnica stworzenia. A mimo to pomysł umieszczenia w raju dziewic w jakiś sposób zdaje się wzbudzać twoją największą pogardę. Czy wydaje ci się, że twoje niebo jest niebem pozbawionym seksu? Jaki to raj, w którym są harfy i anioły, a nie ma orgazmów?

Remy cofnął się o krok.

- O co chodzi? Wyglądasz na rozczarowanego moim widokiem.
- Miałem nadzieję, że jest pan majakiem - Remy znów sięgnął do kieszeni po fiolkę z lekami. Otworzył zakrętkę i na jego rękę wypadły dwie kapsułki. Połknął je. - Mój psychiatra powiedział mi, że pan nie istnieje.
- To nic dziwnego - Mężczyzna uśmiechał się ciepło i mówił miękkim, melodyjnym głosem, jak profesor podczas wykładu - Zawsze się przekonujecie, że świat nie jest tym, czym jest, że żadna inna rzeczywistość nie ma znaczenia, oprócz waszej. Dlatego jako ofiary wypadacie nędznie. Nie można zrozumieć cierpienia, jeśli nie zna się gniewu. A nie poznasz prawdziwego gniewu, jeśli nie zaznasz straty.
- Tak się dzieje wtedy, kiedy państwo staje się firmą *public relations*.

Zapomina się o prawdzie. Wszystko zamienia się w Alamo. Widzicie zwycięstwo w każdej klęsce, życie w każdej śmierci. Deklarujecie wojnę, gdy nie ma wojny, a gdy prowadzicie wojnę, udajecie, że jej nie prowadzicie. Reszta świata lamentuje i poprzysięga zemstę, grzebie zmarłych, a wy włączacie telewizję. Albo idziecie do kina.

Facet odsunął się od drzewa, tak że jego nogi i skraj długiego wełnianego płaszcza niemal pływały w świetle najbliższej latarni.

- Teraz wytwarzacie wyłącznie rozrywkę. A to tylko kolejna propaganda, najbardziej podstępna, największa akcja propagandowa, jaką kiedykolwiek obmyślono, i to wasz jedyny eksport: kawa i tytoń, proch i pszenica. A gdy wszędzie indziej ludzie umierają, walcząc z propagandą tyranów i innych władców, wy swojej łakniecie. Domagacie się propagandy rozrywki i banału. I to stało się waszą religią, waszą narodową wiarą. W tej wierze jesteście poważnymi i zacofanymi fundamentalistami i nie różnicie się zbyt od poważnych i zacofanych fundamentalistów,

220

z którymi chcecie toczyć walkę. Jeśli oni są barbarzyńcami pukającymi do bram i oferującymi wam opowieści o pięknych dziewczicach w życiu pozagrobowym, to czy wy także nie jesteście barbarzyńcami, oblekającymi świat w kable pełne historyjek o długo i szczęśliwie żyjących blondynkach, animowanych rybkach i gadających autach?

Remy zamknął oczy. Smużki i męty pod powiekami płynęły pod prąd, małe ptaszki niestrudzenie leciały w górę nurtu.

- Znowu coś mi pan da, prawda? - zapytał Remy. - Szarą kopertę czy coś takiego? - Otworzył oczy.

- Nie, nic panu nie dam - odparł mężczyzna.

Wyjął szarą kopertę z płaszcza i podał ją Remy'emu.

-1 myślę, że pan ma coś dla mnie.

- Tak? - Remy przełożył kopertę do drugiej ręki i przeszukał kieszeń. Za buteleczką z pigułkami poczuł grubą kopertę wielkości połowy cegły. Dlaczego nie zauważył jej wcześniej? Czy dał mu ją ktoś w restauracji? Wyciągnął obie rzeczy z kieszeni. Podał mężczyźnie grubą kopertę, ten ją otworzył i zaczął liczyć banknoty.

- Mogę to zobaczyć? - Mężczyzna wskazał głową na fiolkę z lekarstwem, nie podnosząc wzroku znad banknotów, które ciągle liczył.

Remy zerknął na buteleczkę, którą trzymał w ręku. Otworzył dłoń.

Mężczyzna przestał liczyć. Wyszedł z cienia, wziął lekarstwo i przeczytał etykietkę, patrząc spod oprawek okularów.

- Na ból kręgosłupa - Podniósł wzrok. - I pomaga?

Remy zabrał pigułki i po raz pierwszy przeczytał etykietkę. Poczuł się przygnębiony.

- Nie wiem - mruknął. - Nie boli mnie kręgosłup.

- Wobec tego na pewno działają - rzekł mężczyzna i wznowił liczenie.

Remy otworzył szarą kopertę, którą dostał. Nie było w niej nic oprócz numeru telefonu. Nie rozpoznawał numeru kierunkowego. Był wykończony.

- Co to jest?

- To numer, o który pan prosił.

- Ale czyj to numer?

Facet nie podniósł wzroku.

- Niech pan nie będzie taki podejrzliwy.

- Nie jestem podejrzliwy. Nie wiem, czyj to numer. - Remy zawsze czuł dziwną potrzebę zwierzenia się temu mężczyźnie. - Proszę posłuchać... nie żartuję teraz. Jestem w złym stanie. Niemal ciągle chodzę pijany. Zdradzam swoją dziewczynę, nawet jeśli tego nie chcę. Właściwie nie mam nawet pojęcia, że to robię, dopiero po fakcie. W rzeczywistości zajmuję się w pracy papierami i ścigam martwych ludzi, ale nie mam pomysłu, co to może znaczyć. Robię rzeczy, które nie mają sensu, i ranię ludzi. Wracam do domu z krwią na butach i... - Remy zaśmiał się gorzko - mój syn nawet nie zauważa, że żyję.

- Witamy w Ameryce - mruknął facet, nie podnosząc wzroku. Remy czuł, jak wymyka się sam sobie.

- Niech pan posłucha. Proszę mi powiedzieć, co ja robię? Mężczyzna prawie skończył liczyć.

- Proszę - powtórzył Remy. - Może mi pan cokolwiek powie dzieć?

Facet jednym palcem wsunął banknoty do koperty.

- Czy mówiłem panu, że w Koranie są dziewięćdziesiąt trzy wzmianki o Jezusie?

- Tak - Remy osunął się na drzewo. - Chyba pan mówił.

- Och - westchnął mężczyzna. Wsunął kopertę do kieszeni. - No cóż... trzeba to teraz powtarzać.

Mahoud się trząsł. Oblizął wargi, ledwo trzymał w jednej ręce telefon, a w drugiej kawałek papieru. Remy się rozejrzał. On, Markham i Mahoud siedzieli w lśniącym, czerwonym boksie w opustoszałej restauracji

Mahouda, światła były zgaszone z wyjątkiem tego w kuchni, krzesła ustawione na stołach pośrodku sali.

- Uspokój się - powiedział Markham. - Miło i spokojnie. Już prawie koniec.

Mahoud kiwnął głową, naciskając klawisze telefonu i przenosząc wzrok z kartki na telefon i z powrotem. Odchrząknął.

- Halo? - odezwał się. - Wiesz, kto mówi? Tak, jestem gotowy. Chcę się włączyć - Słuchał przez chwilę. - Wiem, co powiedziałem, ale zmieniłem zdanie - spojrzał na Markhama. - Bo ktoś musi coś zrobić.

Rozmówca powiedział coś do Mahouda, a ten zaczął pisać.

222

Remy poderwał głowę, jakby obudził się ze snu.

- Co to jest? - zapytał - co my robimy?

Markham spojrzał na niego i położył palec na ustach.

- Nie. Nie. Nie będę tego więcej robił - rzekł Remy. - Wycofuję się.

Wstał i poszedł w kierunku drzwi restauracji. Były zamknięte, więc odsunął zasuwkę, wypadł na ulicę i pobiegł. Biegł chodnikiem aż...

Remy jechał sam windą. Nie było słychać muzyki. Spojrzał na przyciski - dwa rzędy długie jak ramię. Ta winda jechała na dwudzieste pierwsze piętro; przywykł do wind, które mówiły mu, dokąd jedzie. Czekał więc, aż zapaliło się światełko na dwudziestce jedyńce, drzwi się otworzyły i wyszedł na korytarz Shannon Phelps Breen, agencji nieruchomości, w której pracowała April. Za okrągłym stołem stała odwrócona tyłem recepcjonistka, połączona z biurkiem przewodem słuchawek telefonicznych. Patrzyła na

rząd oszklonych biur, gdzie najwyraźniej toczyła się jakaś awantura. Inni ludzie stali na korytarzu, kobiety i mężczyźni w służbowych ubraniach, stali pod ścianą i gapili się na to samo oszklone biuro jak dzieciaki na placu zabaw, które zebrały się, żeby popatrzeć na bójkę.

I wtedy właśnie Remy usłyszał podniesiony głos April, dochodzący z oszklonego pomieszczenia.

- Nie muszę się uspokajać! - krzyczała. - Zostawcie mnie w spokoju.

I wtedy zobaczył ją, stojącą za biurkiem. Dwóch mężczyzn zbliżało się do niej z przeciwnych stron, ręce mieli uniesione, jakby próbowali obezwładnić samobójcę.

- Dzięki, że przyszedłeś.

To był jej głos.

Remy odwrócił się i ujrzał Nicole. Ręce trzymała skrzyżowane na piersiach, a ubrana była w garnitur w kolorze brudnego różu, który wyglądał, jakby go wykonano z obicia zabytkowej kanapy. Pod jej nosem widniała plamka krwi. Remy musiał patrzeć na to zbyt długo, bo dotknęła krwi środkowym palcem, starła ją i spojrzała na palec.

- Obawiam się, że ona potrzebuje pomocy - oznajmiła Nicole.
- O Boże. To wszystko nie jest o...

223

Nicole popatrzyła na niego z politowaniem, jakby oskarżał ją o to, że jest idiotką.

- No co ty - powiedziała scenicznym szeptem. - Zaufaj mi trochę. Sądzisz, że powiedziałabym emocjonalnie zwichrowanej podwładnej, że pieprzę się z jej facetem? Daj spokój. Według mojej wiedzy, ciągle

nie zdaje sobie sprawy z tego nieistotnego faktu. I taka porada: Jeśli chcesz się przyznać do zdrady, moim zdaniem to raczej nie jest... najlepszy moment.

Remy odwrócił się, żeby popatrzeć na April przez szybę. Płakała i wymachiwała czymś. Najpierw zmartwił się, że to może pistolet, ale to był tylko zszywacz.

- Straciła panowanie nad sobą - powiedziała Nicole. - Wezwałam ją na telekonferencję z niezadowolonym klientem, który twierdził, że nie chciała mu sprzedać opcji na zabezpieczenie, które chciał kupić. Straciła rozum, zaczęła na niego krzyczeć i rzucać, czym popadło. Stłukła wazę za tysiąc dwieście dolarów. Rozłączyłam się i wyszłam stamtąd, ale ona wciąż krzyczała - Głos Nicole stał się monotony. - Powinnam chyba mieć sama do siebie pretensję. Nie była gotowa wrócić do pracy. Pomyślałam, że jej to pomoże, ale pewnie...

Nie musiała kończyć tej myśli, bo mężczyźni podeszli do April zbyt blisko, więc wyjął, rzuciła w jednego z nich zszywaczem. Facet się uchylił, ale drugi dopadł ją i zamknął w żelaznym uścisku. Chciała się wyrwać z jego objęć, ale tamten nie puszczał. Wtedy właśnie Remy ruszył w ich stronę. Pozostali agenci, ich asystenci i sekretarki stali pod ścianami i gapili się, wielu z nich zakrywało usta ręką, jakby właśnie byli świadkami stłuczki. Remy przeszedł między biurkami i doszedł do gabinetu Nicole. Wysoki, ubrany w granatowy garnitur Amerykanin pochodzenia japońskiego powstrzymywał April, stojąc za nią i obejmując, tak że jej ramiona były unieruchomione.

- No. Uspokój się już, April. Wyrywała się facetowi.

- Puść mnie, do cholery! Nic mi nie jest.

Wydała z siebie gardłowy krzyk i odrzuciła głowę do tyłu, ale nie trafiła w twarz mężczyzny.

- April? - Remy stanął w drzwiach.

Podniosła wzrok, spojrzała mu w oczy i opadła z sił.

224

- Już w porządku - powiedział Remy. - Może pan ją puścić.

Facet gapił się na niego, jakby miał do czynienia z szaleńcem, ale coś w głosie Briana przekonało go, więc zwolnił uścisk. April wyrwała się i rozejrzała, a zobaczywszy, że wszyscy na zewnątrz przyglądają się jej, padła na podłogę i zaniosła się łkaniem. Remy rzucił okiem na gabinet. Na biurku nie było książek, roślinek ani zdjęć rodzinnych. Porozrzucane fotografie, obrazy i potłuczone szkło leżały na podłodze, tak jakby nieudolny magik próbował wyciągnąć spod nich obrus. Dwaj mężczyźni wolno opuszczali pokój.

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak wybuchnął - odezwał się jeden z nich. Poprawił swój idealnie prosty krawat.- Baliśmy się, że zrobi sobie krzywdę. Wzięła coś?

- Nie wiem - odparł Remy.

Okrążył biurko, kierując się do miejsca, w którym April siedziała z podciągniętymi do klatki piersiowej kolanami. Przykucnął.

- Dobrze się czujesz?

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Przełknęła ślinę.

- Właściwie nie.

- Co się stało?

Przechyliła na bok głowę. Jej twarz przebiegł skurcz, jakby zaraz miała

się rozplakać. Ale opanowała się.

- Nie jestem pewna. Ja po prostu... miałam dość. Nie mogłam chodzić wokół, udając, że to wszystko ma jeszcze jakikolwiek sens. Wszyscy zachowują się jak wariaci, Brian. Tutaj i... - Spojrzała na niego - wszędzie. Czy z nami jest wszystko w porządku?

I nagle Remy pomyślał, że potrafi widzieć świat wyraźnie. Próbował sobie radzić, czekając, aż mgła opadnie i wszystko wokół nabierze sensu. Ale jeśli nigdy nie opadnie? Wtedy pojawiło mu się w głowie słowo, jakby nie zrodziło się w nim samym, ale przyszło z zewnątrz.

„Działać”, mówiło mu coś. Działać.

- Tak, wszystko w porządku - szepnął Remy. I wtedy powiedział tak cichutko, jakby sam nawet nie chciał tego usłyszeć:
- Jedźmy dokądś. - Wydawał się zadowolony, że ta myśl wykorzystwała nieuwagę samego myślącego, czyli jego.

April przekrzywiła głowę. - Co?

225

- Ty i ja. Jedźmy dokądś. Rzuć wszystko i wyjedźmy z miasta. Cze mu nie? - Czuł ekscytację. Chyba nigdy nie przyszło mu do głowy, że może sam siebie zaskoczyć.

- Kiedy? - zapytała. „Nie myśl”.
- Teraz - powiedział - dzisiaj.
- Dzisiaj? - popatrzyła na niego, miała w oczach łzy. - Naprawdę?
- Jasne. Po prostu jedźmy.
- Dokąd?
- Ty wybieraj.

Wpatrywała się w niego, widziała, że on mówi poważnie i wytarła mokre oczy.

- Możemy tak zrobić?

- Tak sądzę - odparł Remy. - Myślę, że możemy zrobić, co tylko zechcemy. A nie?

Zakryła usta ręką.

- Nie wiem. Nie pamiętam.

- Słuchaj, zaraz wracam - powiedział Remy. - Nie ruszaj się.

Zostawił ją skuloną za biurkiem, ukrytą przed ludźmi stojącymi na korytarzu, i wyszedł z gabinetu.

- Zabiorę ją stąd - rzekł do Nicole, gdy ostatni ciekawski wyszedł, żeby poczekać na nich na zewnątrz - ale mogłabyś wyprosić stąd wszystkich gapiów? To jest już i tak trudne.

- Oczywiście.

- Zapłacimy za wszystkie wyrządzone szkody - dodał.

- Myślisz? - Nicole się uśmiechnęła. - To z pewnością fatalistyczny sposób patrzenia na sprawę. Jeśli o to chodzi, może powinniśmy zrobić więcej szkód? - Przejechała palcem po pasku jego spodni.

Remy się cofnął.

- Miałem na myśli szkody, które wyrządziła April w twoim biurze.

- Ach, te - Nicole wzruszyła ramionami. - Nie zwracaj sobie tym głowy.

Remy zaczął się odwracać, ale się zatrzymał.

- Co ją wyprowadziło z równowagi?

- Szczerze? Nie mam pojęcia - Nicole spojrzała nad ramieniem Remy'ego na swoje zniszczone biuro. - Ten młody analityk giełdowy

chciał, żebyśmy zrobili ofertę transakcji zyskowej w wypadku zmiany statusu terenu w Bartery Park City. April z jakiegoś powodu po prostu... odmówiła spełnienia tej prośby. Ciągłe powtarzała, że to szaleństwo. Że to nie ma sensu. Że to za dużo pieniędzy i że sprzedajemy powietrze. Powiedziała, że ktoś to musi przerwać. Płakała i krzyczała: „To nie ma sensu. Wszyscy udajemy, że ma, ale nie ma”. Jak możesz się domyślać, nie jest to stanowisko wskazane dla agenta nieruchomości.

- Przepraszam - powiedział Remy. Ale przyszło mu coś do głowy. - Ile kosztowało to mieszkanie?
- To nie było mieszkanie. To była opcja. Właściwie była to bardziej opcja na opcję - zawahała się - na opcję.
- Ile to kosztowało?
- No właśnie szaleństwo. Tylko sześćset dwadzieścia. Prawie darmo. Remy zamknął oczy. Sześćset dwadzieścia tysięcy dolarów. Jasne.
- Okay. Dzięki - zebrał się do wyjścia.
- Zadzwoń do mnie? - zapytała.

- Mam nadzieję, że nie - odparł, nie odwracając się w jej stronę. Wrócił do biura Nicole, potłuczone szkło chrzęściło mu pod stopami. Uklęknął i raz jeszcze wziął April w ramiona. Spojrzał znad biurka i zobaczył, że Nicole oczyściła korytarz. Remy pomógł April wstać i wypro-wadził ją z biura, obejmując ramieniem, na którym oparła głowę.
- Możemy jechać dokądkolwiek? - zapytała.
- Dokądkolwiek.

- Co byś powiedział na...
- Ciii - przerwał Remy. - Nie mów mi. Ja raczej będę...

Wciskając głowę w okrągłe okienko z tyłu samolotu, Remy przyglądał się czemuś pływającemu po zatoce, co przypominało statki-zabawki. Ich kilwatery wyglądały jak maźnięcia kredą na tablicy. Samolot się przechylił i Remy poczuł, że jakaś siła przyciska go do drzwi. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby zobaczyć, gdzie się kończy woda i postrzępiona linia wybrzeża. Miasto rozłożyło się nagle przed nim jak siatka tranzystorów, szare i białe prostokąty i refleksy słońca, wznoszące się pośrodku półwyspu niczym kopiec przesianego piachu. San Francisco. Nigdy nie był w San Francisco. A przynajmniej nic mu o tym nie było wiadomo. Zawsze chciał pojechać do Kalifornii.

227

Pilot wyrównał lot.

- Przepraszam pana - stewardesa wzięła Remy'ego za ramię i uśmiechnęła się do niego. Kapitan włączył znak informujący o konieczności zapięcia pasów. - Musi pan wrócić na miejsce. Będziemy lądować.

Remy spojrzał na pełne rzędy ludzi, sto głów wystających ponad fotele. Słyszał ciche rozmowy, ale nie widział ani jednej pary poruszających się ust, tak że ryk samolotu i szmer rozmów wydawały się przez chwilę jednym dźwiękiem, jakby samolot leciał na „pustej gadce”. Czy powinien po prostu iść przed siebie, aż znajdzie wolne miejsce? Z nadzieją przeszukał kieszenie spodni. Ulżyło mu, bo wyciągnął pomięty bilet. Miejsce 2A. Pierwsza klasa. No, nieźle. Ale coś było jakby nie tak. Jeśli ma miejsce w pierwszej klasie, to dlaczego znajduje się w ogonie samolotu?

Ruszył do przodu i nagle opadły mu ręce. W dziesiątym rzędzie od końca Markham w hawajskiej koszuli i okularach przeciwsłonecznych, w pozycji półleżącej czytał magazyn linii lotniczych. Jak on się dowiedział o tym locie? Gdy Remy się zbliżył, Markham wstał i udawał, że szuka czegoś w schowku nad głową, a potem odwrócił się i niby przypadkiem wpadł na mijającego go Briana, po czym wcisnął mu w rękę telefon komórkowy.

Remy schował telefon do kieszeni i poszedł do przodu. Ponownie odwrócił głowę i spojrzał przez ramię, ale Markham ukrył się za czasopismem. Przy wrzędze Remy przeszedł między odsuniętymi zasłonami do pierwszej klasy i z ulgą dojrzał April na siedzeniu 2B. Trzymała kieliszek czerwonego wina. Kolejna minibuteleczka wina Syrah czekała na swoją kolej na tacce obok jej siedzenia. Remy usadowił się ostrożnie, zapiął pas i wyjrzał przez okno. Znajdowali się na południe od San Francisco i właśnie kołowali nad lotniskiem.

- Miałaś rację - powiedziała April, wznosząc za niego toast. - To naprawdę pomaga. Bardzo pomaga - napełniła szklanekę i dodała: - Żeby pomogło jeszcze bardziej.

Remy obejrzał się przez ramię.

- Więc dlaczego poszedłeś na tył samolotu? - zapytała.
- Myślę, że po to, żeby się z kimś spotkać.
- Naprawdę? - Zaśmiała się. - Jesteś teraz członkiem podniebnego klubu?

228

- Nie - powiedział. - Tam był facet, którego znam. Dał mi telefon komórkowy.

Na dowód tego wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął obracać ją w

dłoni.

- Ktoś ci dał telefon? - Przytuliła się do jego ramienia. Śmiała się.

- To nie ma żadnego sensu - Znowu się zaśmiała. - Lubię być pijana.

Nowy telefon komórkowy zadzwonił.

- Hej! - powiedziała zachwycona.

Zanim Remy go odebrał, popatrzył na niego.

•Halo.

•Jest tu coś śmiesznego - powiedział Markham. - Wiesz, że ludzie zawsze opisują ekscytującą część filmu jako wyścig z czasem? No bo w końcu trzeba odkryć szczepionkę, zanim wirus wszystkich wymiecie, albo przeciąć kable na bombie, zanim ta wybuchnie, albo znaleźć bezwzględnego mordercę, zanim zaatakuje. Ale pomyśl, jakie to głupie: wyścig z czasem. Nie można się ścigać z czasem. To jakbyś próbował płynąć szybciej niż woda. Choćbyś nie wiadomo jak szybko szedł, poruszasz się w czasie. To miara, którą się określa twoją szybkość. Jak możesz się ścigać z czasem? Wydaje mi się, że już Einstein pokazał, w jaki sposób czas nagina się przy pewnych prędkościach. Czas albo płynie wolniej, albo szybciej, ale i tak nie jest to wyścig z czasem i tak czy owak nie możemy poruszać się z tymi Einsteinowskimi szybkościami... bo są jak wyjęte z *science fiction*, nie? Mam na myśli, że... nie możesz być szybszy od czasu. To by nawet nie miało sensu. To jakby być wyższym od wiary, wiesz? Albo mądrzejszym od nadziei. W każdym razie wiedziałem, że to takie coś, co cię dręczy, no wiesz, w takiej sytuacji.

Remy zerknął na April. Wtulona w fotel, trzymała kieliszek wina i uśmiechała się do Briana.

- Kto to? - zapytała bezgłośnie.

Remy nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Proszę pana - odezwał się steward - w czasie lotu nie wolno używać telefonów komórkowych.
- Muszę kończyć - rzucił Remy do słuchawki.
- Aha - odparł Markham. - Jasne. Chciałem ci tylko powiedzieć, czym wydało mi się to całe ściganie się z czasem. Po prostu mnie rozśmieszyło, to wszystko. I wiedziałem, że dostrzeżesz niedorzeczność takiego stwierdzenia-

229

nia. Chociaż, szczerze mówiąc, nie wiem, czym byś to zastąpił: zapaśniczą walką z wiarą? - zaśmiał się Markham. - Grą w karty z letargiem?

- Proszę pana - powtórzył steward. Remy zatrzasnął telefon i steward odszedł.
- Kto to był? - zapytała znowu April.

Zanim zdążył odpowiedzieć, samolot wpadł w turbulencje i zatrzęsł się. April złapała Briana za rękę i zamknęła oczy.

- Och, nienawidzę tego - Dopiła wino, a steward zabrał kieliszki.
- Wszystko dobrze - powiedział Remy.

Czasem Brian wiedział pewne rzeczy, chociaż właściwie nie pamiętał, skąd o nich wie. Wiedział więc również, że April po raz pierwszy od tamtego dnia leci samolotem. Popatrzył na twarze pasażerów, mnóstwo oczu rozglądało się wokół, jedna kobieta przesuwiała paciorki różańca i szeptała modlitwy. Para w rzędzie po przeciwnej stronie kołysała się, zdjęta wspólnym strachem.

Remy się odwrócił.

- Naprawdę. Wszystko będzie dobrze - powtórzył, a samolot przechylił się i zakołysał.
- Po prostu tego nie cierpię - powiedziała April. - Zamykam oczy i widzę...
- Wiem - odparł i poklepał ją po dłoni, oglądając się na rzędy błagalnie patrzących oczu. - Wszyscy to widzimy.

Samolot z piskiem i wyciem obniżył lot, kierując się w stronę lądowiska. Zdawał się unosić kilka metrów nad nim, po czym zachybotał się i poderwał, opadł trochę niżej i wypoziomował, podwozie hydrauliczne strzeliło, obróciło się i chwyciło, a potem, szalone sprzężenie sterów wysokości, naprężenie tysięcy nitów, szarpnięcie hamulców, a później tysiące cudów technologicznych... Remy szedł z April po płycie lotniska i nerwowo oglądał się przez ramię. Działaj, pomyślał. Rób po prostu to, co masz zrobić. To twoje życie. April zatrzymała się, żeby przelożyć walizkę do drugiej ręki, ale Remy szedł dalej, lawirując w tłumie.

- Och - westchnęła. - Śpieszymy się.

Szli z prądem i już dotarli do punktu odbioru bagażu, gdy Remy'e-mu mignęła gdzieś z tyłu hawajska koszula, popchnął więc nagle April w stronę wyjścia.

- Szybko.

230

- A co z naszymi bagażami? - zapytała.
- Zostaw je - odpowiedział.

Na lotnisku weszli do gigantycznej hali odpraw w kształcie podkowy. Powietrze było wypełnione szumem samochodów osobowych i dostawczych, brzęczących jak muchy na padlinie. Prowadząc April do

taksówki, Remy usłyszał dźwięk telefonu. Otworzył drzwiczki i podał taksówkarzowi adres hotelu Union Square.

- Sekundkę - rzucił i pobiegł z powrotem, żeby wrzucić dzwoniący telefon do śmietnika.

Rozebrali się spokojnie i zaczęli się kochać. Z początku Remy śpieszył się w obawie, że zanim skończy, znów utraci świadomość następstwa zdarzeń.

- Hej, hej - szepnęła - zwolnij. Nigdzie nie idę.

I rzeczywiście, w tym popołudniowym pokoju hotelowym panowało cklive rozleniwienie, więc uwierzył April. Wpadli w rytm, który zdawał się trwać cały wieczór, dopóki Remy nie poczuł, że doświadcza wszechogarniającej zmysłowości, w ogóle nie wiążącej się z tym, co robią. Jego ciało poruszało się swoim tempem, gdy tymczasem on z przyjemnością myślał o dochodzących go z ulicy odgłosach klaksonów i ciężarówek, a także o leżącym na nocnym stoliku magazynie dla turystów „San Frań!” (na okładce zdjęcie tej sławnej, kompletnie poskręcanej uliczki) i obserwował krople potu na swojej twarzy, słuchał, jak w sąsiednim pokoju ktoś ogląda telewizję, aż wreszcie, gdy słońce zaczęło zachodzić za oknem i rzucać na ich ciała rozpalone błyski, zwariował na punkcie wnętrza jej ucha, zawijającej się różowej małżowiny, która zafascynowała go swoją delikatnością i całkowitą sprawnością, małżowiny obciągniętej skórą jak bęben, do której wpływały wszystkie dźwięki unoszące się w pokoju („o tak, mmmm, tak”), a tam były sortowane, precyzowane i niezwłocznie uwzględniane. To sprawiło, że Remy pomyślał o innych ludzkich cudach, które uważał za oczywiste: o mowie i powonieniu, o jego własnym roztrzaskanym wzroku i właśnie w tej chwili takie myśli zostały pokonane

przez istną tyranię zakończeń nerwowych, tych w opuszkach palców i oczywiście tych w nagle silnym gdzie indziej, które wtedy było jedynym uczuciem, mokrym, ciepłym tarcieniem, powodującym cichy jęk, który rósł w jego krtani, aż w końcu...

231

- Hm - sapnęła, gdy z niej zszedł. - To było z pewnością... dużo seksu - Podrapała go po brzuchu i od pasa w dół owinęła się prześcieradłem. Leżeli na tym ogromnym łóżku i oddychali głęboko. April położyła głowę na piersi Briana.
- Co jest przeciwieństwem przedwczesności? - zapytała. - Za-późność?
- Przepraszam - odparł Remy i przypomniał sobie Nicole. Zacisnął powieki, żeby to wyobrażenie zniknęło, żeby zgubiło się w wirze odrywającej się tkanki.
- Chciałeś pobić jakiś rekord wytrzymałości? A może sprawdzałeś, czy mógłbyś uczynić mnie wyższą?
- Zamyśliłem się - odparł - przepraszam.
- Nie, to było miłe. Zawsze się zastanawiałam, jak by to było uprawiać seks z wieżą wiertniczą.

Remy stał obok łóżka.

- Przyrowadź mi wózek inwalidzki i lecimy na obiad.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Na chodnikach było pełno ludzi z aktówkami. Szli w stronę miejskich wzgórz. Wszyscy odchylali się do tyłu, jakby wsysały ich bruzdy miasta, jakby wyciekali z jakiegoś odpływu.

- Każdy facet ma taką samą dupę - powiedziała April, przesuwając się na łóżku. - Jak jesteście młodzi, wszyscy się różnicie, ale jak dochodzicie do pewnego wieku... taka sama dupa. Dlaczego tak jest?

Są tysiące różnych odmian kobiecych tyłków, ale wy wszyscy macie takie same.

Remy wrócił do łóżka. April wyjęła z minibaru buteleczkę wina i zaczęła z niej pić, trzymając jednocześnie w drugiej ręce pilota. Przeskakiwała kanały tak szybko, że Remy w ogóle nie mógł się zorientować, jakie mija programy.

- Nic nie widzę - powiedział. - Co oglądasz?
- Elektrony - odparła.

Oglądał więc te elektrony razem z nią, na ekranie migały obrazy, i co chwilę łapał inny, ale wszystkie wyglądały jak obrazy starej dobrej Ameryki: kobieta na farmie prowadziła ciężarówkę, ktoś biegł po boisku piłkarskim, palił się dom, jakaś para brała ślub, a potem pojawiły się twarze, tysiące twarzy, których niepodobna było zapamiętać,

232

pozostawało tylko wrażenie jednego zmieniającego się oblicza. Pomijając szybkość, było w tym coś hipnotyzującego i znajomego, coś odurzającego w takim oglądaniu życia, coś, co wydawało mu się znane. Ale w końcu migotliwa telewizja zaczęła zbytnio przypominać zaburzenia jego wzroku i Remy musiał się odwrócić. Sięgnął po informator hotelowy.

- Masz ochotę na porządną butelkę wina?
- Tego - poklepała go po udzie - właśnie chcę.

Remy przeglądał kartę dań, żeby dojść do spisu win, gdy nagle się odwrócił.

Menu było włożone w segregator z trzema kólkami zatraskowymi, ale wypadła z niego jedna luźna, odręcznie napisana kartka, na której widniały specjały dnia.

- Musimy wyjść.

Remy wstał i zaczął się ubierać. Menu leżało na łóżku, otwarte na stronie ze specjalnością dnia: marynowana kaczka wasabi.

- Nocą bezdomni w San Francisco działają jak taksówkarze - wyjaśniła mu, gdy szli szybko wzdłuż bloków. - Zaufaj mi, znam to miasto. Jeśli nawiązesz kontakt wzrokowy, wskażą ci drogę albo pójdą z tobą tam, dokąd się wybierasz. Jest tu całe podziemne miasto bezdomnych, którzy wychodzą w nocy, żeby zdobyć pieniądze na wino i pizzę. I zawsze znajdzie się jeden chętny, żeby za dolara lub dwa pokazać ci drogę do hotelu albo zaprowadzić cię do najlepszego klubu czy restauracji. Wszyscy się znają i mijając się, machają do siebie albo przewracają oczami, jak taksówkarze wożący niemiłych klientów. Myślę, że istnieje nawet jakieś stowarzyszenie - mówiła April.
- Jak Pięć-Jeden-Sześć czy coś takiego, międzynarodowe braterstwo bezdomnych i ubogich.

Opowiadała tak, gdy śpieszyli ulicą, mając ze sobą jedynie podręczne torby. Remy co jakiś czas zerkał przez ramię. O jeden budynek za nimi, w tłumie ludzi czekających na przejście na ulicy Geary, mignęło mu coś, co wydało mu się hawajską koszulą Markhama. Remy i April przeszli dwie przecznice dalej do ulicy Suttera, dwa razy zawrócili, po czym dali nura do hotelu na rogu. Tu w holu roiło się od Japończyków wybierających się na kolację.

233

- Powinniśmy iść z nimi - powiedziała April. - Udawać, że nie umiemy mówić po angielsku. Robić zdjęcia wszystkiego, co się da. Ku

pować kartki pocztowe i szklane kule ze śniegiem.

Remy przepchnął ją przez hol i boczne drzwi, gdzie natrafili na czarnoskórego mężczyznę w poszarpanych dżinsach i czapeczce z daszkiem. Uzębienie miał szare i niepełne. Wszystkie zęby u góry, ale tylko kilka na dole.

- Ej wy tam, nie znacie drogi? - zapytał. - Znam to miasto lepiej niż pan zna cycki swojej żony.
- Musimy zobaczyć pańską legitymację związkową - zaśmiała się April.

Facet ją zignorował, bo Remy poszukał w kieszeniach gotówki. Podał mężczyźnie banknot pięciodolarowy.

- Kręci się tu taki białas w hawajskiej koszuli. Szatyn, na oko bardzo młody. Gdyby szedł tędy, niech go pan zatrzyma. Niech go pan za pyta o pieniądze, powali go, zrobi cokolwiek.

Poszli dalej, klucząc ulicami, a April odwracała się ciągle i czytała napisy na markizach teatrów, nazwy sklepów i barów. W końcu Remy wepchnął ją do hotelowego holu, gdzie przy stoliku w rogu zanurzyli się w głębokich fotelach.

- Posiedzimy tu chwilkę, a potem pójdę nas zameldować - powiedział Remy.

- Brzmi ładnie - powiedziała słodko April, troszkę już pijana.

- Możemy założyć peruki i zapuścić wąsy, żeby nikt nas nie rozpoznał. I nauczę się szyć. Uszyję nam całe jedzenie. Będziemy się utrzymywać z rusztu i mieszkać w chacie zbudowanej z pustych butelek po winie.

Gdy podeszła kelnerka, Remy zamówił whisky dla siebie i lampkę czerwonego wina dla April. Spojrzał przez ramię na ulicę na zewnątrz.

Twarze przechodniów migały jak obrazy w telewizorze.

April podrapała się w stopę, opierając ją o nogę Briana.

- Moglibyśmy zdjąć ubrania i wczłgać się pod stół - powiedziała.

- Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby nas tam szukać.

Kelnerka przyniosła napoje, Remy wypił swój i gestem poprosił o następną porcję.

April podniosła kieliszek.

234

- Tak między nami, panie Remy, to są najlepsze chwile mojego życia.

Uśmiechnął się.

• Cieszę się. - Ale wtedy zrodziła mu się w głowie dręcząca myśl. Wziął menu i przekartkował je szybko, przesuwając palcem po rzędach przystawek i dań głównych. Gdy zobaczył, że nie ma tam kaczki wasabi, westchnął, odłożył kartę i opadł na fotel.

• Wyluzuj - powiedziała April. - Dobrze wykonujesz swoją pracę, czymkolwiek jest to, co robisz.

- Wybrali państwo coś?

Za nimi stała kelnerka.

- Ja tak - odparł Remy z ulgą, która graniczyła z radością, i zamówił auesadillę z żółtą papryką, czarną fasolą i karczochami.

W tym hotelu też się kochali, a potem Remy wziął długi prysznic. Zamknął oczy i pozwolił gorącej wodzie spływać kaskadą po twarzy, ściekać po powiekach i czole. Otwierał usta, nabierał wody, a potem ją wypluwał, powtarzając to raz za razem. Gdy wrócił do pokoju, April już spała.

Patrzył na nią przez chwilę, jej piersi unosiły się powoli i opadały.

W końcu Remy zrzucił z siebie ręcznik i wszedł do łóżka, wtulając się w plecy dziewczyny i wpatrując w plątaninę jej ciemnych włosów. Pocałował ją w czubek głowy, a ona delikatnie się poruszyła. Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i odwróciła ponownie głowę.

- Jak było pod prysznicem? - szepnęła.
- Dobrze.
- To dobrze. Lubię prysznice. Lubię, gdy woda spływa po mojej twarzy, jakbym stała pod wodospadem.

Leżeli przez chwilę w ciszy, dopóki jej oddech nie zrównał się z jego oddechem, przez moment razem wdychali i wydychali powietrze. W końcu jej oddech zaczął się odróżniać malutkimi, słodkimi podmuszkami powietrza. Remy nagle zrozumiał, że nie mają żadnych ubrań oprócz tych, w których przyjechali, tych, które teraz leżą na podłodze. Muszą więc albo wrócić na lotnisko, żeby odebrać bagaż, albo iść na zakupy.

- Słuchaj, jutro... - zaczął Remy.

235

- Ciii... żadnego jutra.

O dziesiątej obudziło go delikatne pukanie do drzwi. April ciągle spała. Podniósł wzrok. Ściany w pokoju były szarawobiałe. W jasnej dębowej zdobionej szafie mieścił się telewizor, lodówka i sprzęt grający. Drzwi wciąż były zamknięte na zasuwkę.

- Tak? - spytał.
- Obsługa - odpowiedział głos zza drzwi.
- Może pan przyjść później?

- Pewnie. Mogę przyjść później.

Remy usiadł i rozejrzał się po pokoju. Był mniejszy niż inne pokoje hotelowe. Oprócz szafy, łóżka i małego biurka z telefonem nic więcej się tu nie znajdowało. - Zadzwoił po kawę, owoce i bagietki.

- Moglibyśmy tu zostać na zawsze - odezwała się April.
- Tak myślisz? - zapytał Remy.
- Po prostu jeździć z hotelu do hotelu, wygłupiać się i udawać, że ktoś nas śledzi.

Remy nic nie odpowiedział.

- Codziennie zmienialibyśmy imiona. Dzisiaj... będę Moniąue.

A ty?

-Co?

- Kim będziesz?
- Hmm... Stevem.
- Steve i Moniąue. Dobrze. Okay, kim jesteśmy? Co robimy?
- Nie wiem - powiedział.
- Moniąue jest złodziejką biżuterii. Ma pięćdziesiąt dwa lata. Kiedyś aktorka i łyżwiarka figurowa, pochodząca z byłego Związku Radzieckiego, skąd uciekła jako nastolatka, ale gdy skończyła się zimna wojna, zatęskniła za dawną fascynacją, pracuje więc dla międzynarodowego kartelu, kradnąc kosztowności bogatym przedsiębiorcom i innym dupkom, którzy zarabiają na biednych pracownikach.

Remy spojrzał na nią.

- Moniąue nie wygląda na pięćdziesiąt dwa lata.
- Przeszła wiele operacji plastycznych.

- A więc kim jest Steve? - zapytał.
- Dentystą. Z Akron. W Ohio.

236

- Tak... Chyba nie chcę być Stevem.
- Okay - zgodziła się. - Więc ja będę Stevem, a ty Monique. Chodź tutaj, Monique, połóż się na plecach i otwórz buzię.

Wtedy naszała go myśl, którą spychał dotąd gdzieś głęboko i która sprowokowała go do pytania:

- April - powiedział. - Gdyby Derek nie umarł... czy byłaby szansa, że ty i on...

Wyglądała na zaskoczoną, a jej wzrok niepostrzeżenie skierował się w jakiś punkt umiejscowiony gdzieś za nim. -Nie.

- Ale ciągle go kochałaś. Tak mówiłaś.
- Tak - odparła - kochałam.
- To przez tę inną kobietę?
- Nie... Myślę, że między nimi tak naprawdę nic nie było - odparła cicho. - W jakiś sposób to było... nieistotne.
- Więc co... po prostu nie mogłaś mu tego wybaczyć?
- Coś w tym stylu - powiedziała. - Słuchaj, ja nie... - Usiadła i sięgnęła po koszulę, włożyła ją bez stanika, a od pasa w dół owinęła się prześcieradłem - Brian, tak dobrze się bawiliśmy. Dlaczego musiałeś... - ale nie dokończyła. Wzięła pilota i znowu zaczęła przerzucać kanały.

Remy patrzył, jak na ekranie jedna rzeczywistość przeskakuje błyskawicznie w drugą. To było hipnotyzujące. Pomyślał, że dobrze to zna, te przeskoki z wiadomości na sport, na teledyski. Sposób, w jaki nie-

uchwytnie luki wiodły od smutku do humoru i patosu, od teleturniejów do telewizyjnych list nieruchomości, do rozmów panelowych o książkach. Ale tym razem obrazy przeskakiwały dla April zbyt wolno, toteż po minucie tej bezmyślnej kołowacizny wyłączyła telewizor i cisnęła pilotem przez pokój. Walnął o ścianę. Na ziemię spadły baterie paluszki i kawałki plastiku.

Kupili nowe ubrania w sklepie o nazwie Fugue. April wybrała czarne skórzane spodnie i mały top na wąskich ramiączkach, a on wypłowiła džinsy i jasnoniebieską bluzę dresową. Brian niósł ich stare ubrania w reklamówce. Poszli do butiku z obuwiem i kupili sobie po parze butów: jej miały wiązane z tyłu paski wokół kostek, a jemu spodobały się półbuty z kwadratowymi czubkami.

237

- Wow, wyglądamy seksownie - powiedziała, gdy wyszedł w nowych butach. - Mam ochotę nas przelecieć.

Wskoczyli do taksówki, April powiedziała, że chcą jechać do romantycznej restauracji, więc taksówkarz wyrzucił ich w małym, miłym miejscu na North Beach, gdzie zjedli lunch i na świeżym powietrzu wypili butelkę chianti. Zanim podano dania główne, wino się skończyło. Dostali drugą karafkę i bez pośpiechu spożywali podane w miseczkach *spumoni*.

- Jak się państwo nazywają? - zapytał kelner, Włoch o oczach w kolorze włoskiego orzecha.
- Ja jestem Steve - odparła April. - A on ma na imię Monique.
- Steve - kelner spojrzał na Remy'ego. - Monique. Mogę wam coś powiedzieć?
- Może nam pan powiedzieć wszystko - odparła April.

Kelner zaczął im opowiadać, że wychował się w winnicy i hotelu na zachodnim wybrzeżu Włoch. I o tym, jak się zadłużył przez wydatki na hazard i jak uciekł do Stanów Zjednoczonych, żeby pracować u wuja, który od zawsze trzymał go w restauracji jako kontraktowego niewolnika. Remy nie wiedział, czy wierzyć w tę historię, ale bardzo mu się podobała.

- Jak myślisz, Steve, ile mam lat? - Przybliżył twarz do Remy'ego. Wyglądał na około pięćdziesiąt, pomyślał Remy.
- Nie wiem... czterdzieści?
- Daj spokój - powiedział mężczyzna. - Wyglądam spokojnie na sześćdziesiąt. Steve, powiem ci, mam trzydzieści osiem lat. To wszystko. Trzydzieści osiem. A wiesz, Monique, dlaczego wyglądam tak staro? Opierała brodę na rękę, uśmiechała się.
- Dlaczego?
- Ponieważ nigdy nie zakochałem się tak mocno jak wy - Kelner wsunął rękę między Briana i April, jakby dawał im ślub. - Nigdy nie znajdę nikogo, kto mnie tak uszczęśliwi.
- Spotka pan kogoś - powiedziała April.
- Nie. Nie ja. Nigdy więcej.
- Z pewnością znajdzie pan.
- Nie. W porządku - Wyglądał tak, jakby nie mógł znaleźć słów. - W Ameryce wszyscy myślą, że każda historia ma happy end, tak? Jak

238

nie jesteście z czegoś zadowoleni, co robicie? Oskarżacie się wzajemnie. To takie głupie. Jak każda historia może mieć happy end? Ktoś musi być smutny.

Znak na słupku zapowiadał Imprezę Końca Świata w klubie nieopodal Haight, a ponieważ April chciała, aby dokądś poszli w nowych ubraniach, wzięli taksówkę, potem zaś, już na miejscu, stanęli w kolejce ludzi młodszych od nich przynajmniej o dziesięć lat. Wyrośnięci chłopcy z baczkami, dziewczyny z tatuażami wyłaniającymi się spod spodni niczym kępki włosów, wszyscy podskakiwali na palcach i krzyczeli coś do telefonów komórkowych. Remy i April patrzyli na drzwi, słuchając tego łomotu przez jakieś pół godziny, aż wreszcie gruby bramkarz wziął dwadzieścia dolców i ich przepuścił. Weszli przez przedsionek, za żelazną bramę i prosto w dół klatką schodową do wyżłobionej piwnicy z filarami, oświetleniem podłogowym i niskim sufitem. Disc jockey puszczał punkową muzykę elektroniczną z prostego stołu obrotowego ustawionego na pakach po mleku, breję z gitar, syntezatorów i syków, przerywanych takim samym dudnieniem bębnów, ledwie słyszalnych na zewnątrz, a teraz natrętnych, bo znajdowali się na pulsującym parkiecie.

Panował tu taki tłok, że jedyne, co mogli robić i co robili również inni, to podskakiwać, kiwać głowami i zajmować kawałek własnej przestrzeni. Remy był zaskoczony, że w takiej wyginającej się i wiercącej masie ludzi tak mało się dotykają. Próbował jakoś określić tę muzykę, ale jego punkty odniesienia wydawały się co najmniej przeterminowane, może nawet anachroniczne - covery Davida Bowie grane przez roboty? W środku tłum nie wyglądał tak młodo jak w kolejce przed wejściem, ale Remy'emu wydawało się, że ci wszyscy ludzie, nim przyjechali tutaj, dostali jakąś instrukcję, jak powinni się zachowywać w takim klubie. Wszyscy tańczyli tak samo, kiwające się głowy, wijące się ciała, żadnego partnera na widoku i ręce unoszone w tym samym momencie. Przede wszystkim jednak

wiedzieli, jak się z sobą komunikować, przyskaku-jąc do lewego ucha słuchacza tak, że z dala każda rozmowa wyglądała, jakby ptasia mama karmiła swoje pisklęta.

Nie było stołów, a wszyscy pod ścianami tańczyli. Wyglądało na to, że ludzie piją, więc Remy zaczął szukać baru. Wtedy właśnie dojrzał schody po lewej stronie sceny, gdzie ustawiała się kolejka po coś do picia.

239

April tańczyła z zamkniętymi oczami, jej ciało wyginało się jak sztywny pejcz, kiwała głową, jakby w kółko zmuszano ją, żeby zgadzała się z czymś, co uważała za obrzydliwe. Kiedy zapomniałem, jak się tańczy? - pomyślał Remy. Kiedy przestałem nadążać za muzyką i za tym, co się z nią robi?

- Napijmy się! - krzyknął, ale ona nie otworzyła oczu, więc zachował się jak owa ptasia mama i krzyczał jej do ucha: - Drink! - a ona otworzyła oczy i złapała go za ramię, kręcąc przecząco głową.

- Ja idę po jednego - powiedział i wskazał głową w kierunku schodów. Czytał z jej warg.
- Nie. Stój tutaj. Tańcz. Chyba, że boli cię kręgosłup.
- Mój kręgosłup ma się dobrze - krzyknął.

Tańczyli jeszcze ponad godzinę, dopóki rzeczywiście nie zabolął Remy'ego kręgosłup, a głowa nie rozfalowała się od nieustającego bębnienia. W końcu nie mógł już tańczyć i stał po prostu pośród tych wijących się młodych ciał, patrząc, jak April - z zamkniętymi oczami - cała się wygina, od obcisłych skórzanych spodni po kosmyki czarnych włosów, bezlitośnie smagających jej twarz.

Nazajutrz rano Remy siedział zmarznięty i nagi na łóżku hotelowym, bo wszystkie możliwe okrycia zabrała przez sen April, która nadal spała spokojnie, odwrócona do niego tyłem. Rozejrzał się po jasnym pomieszczeniu. Dwie puste butelki po winie na stole, obok kieliszków z czerwonymi obwódkami, a nowe ubrania leżały rozrzucone na podłodze w głowach łóżka.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Obsługa pokoju.

Remy zerknął na zegarek. Za piętnaście dziesiąta.

- Czy może pan przyjść później?
- Jasne - odparł mężczyzna - Przyjdę później.

Remy wszedł po cichu pod prysznic, a chwilę później dołączyła do niego April i mydliła go tak namiętnie, że zaczęli się kochać, a gdy skończyli, wrócili do łóżka.

Opuścili pokój hotelowy o czternastej. Zjedli gyros w małej greckiej budce, na której widok April powiedziała, że przywodzi jej na myśl gotującego ojca. Kupili więcej nowych ubrań. Ona króciutką spódnicz-

240

kę dzinsową oraz wysokie kozaki i wciąż mówiła Remy'emu, żeby luzował, a on kupił koszulę z ekstrarękawami i dzinsy z wymyślnymi rozdarciami na udach, a gdy powiedział, że czuje się w nich głupio, zabrała go do baru i kazała wypić trzy szklaneczki whisky pod rząd. Wtedy musiał przyznać, że już nie czuje się idiotycznie.

- Skąd jesteście? - zapytała barmanka.
- Kolumbia Brytyjska - odparła April. - Małe miasto w Górach Skalistych u stóp lodowca. Wspinamy się i nosimy wiadra z lodem, żeby

mieć wodę do picia. Nie ma elektryczności, a Dustin, ten tu, musi rąbać polana, bo palimy w piecu, aby coś upichcić lub się ogrzać.

- Maggie szyje nam ubrania - dodał Remy. - Jemy tylko korzonki. Latem chodzimy nago. Ja mam w domu łosia.
- No, no - powiedziała barmanka. - Jak tam trafiliście?
- Dustin był dekonikiem - odparła April. - Z przekonania. Przeniósł się do Kanady, a ja do niego dołączyłam. Pieprzony rząd, wiesz. Mieliśmy już tak dosyć Ameryki, że nie mogliśmy tego dłużej wytrzymać. W pewnym momencie jakieś miejsce zmienia się na niekorzyść tak, że człowiek nie ma wyjścia i musi je porzucić - Przysunęła się jakby powierzała komuś sekret. - Szczerze mówiąc, myślę, że robi się jeszcze gorzej.
- Prawda, prawda - przyznała barmanka, wkładając szklanki do zmywarki. Przy tym popatrzyła na nich i Remy zauważył, że próbuje oszacować ich wiek.
- Pojechał pan tam, żeby uniknąć służby w Wietnamie? - zapytała barmanka.
- Nie - powiedziała April. - W Panamie.
- A - odparła tamta. - Jasne.

Za radą barmanki pojechali kolejką na stadion baseballowy, a stamtąd poszli na pobliską przystań, gdzie w wielkim kontenerze znaleźli mężczyznę z szarą, spiczastą bródką, wynajmującego kajaki i stroje do nurkowania. Facet zapytał, czy mają doświadczenie z morskimi kajakami.

- Niespecjalnie - odparła April - ale byłam przewodnikiem na rzece w Wielkim Kanionie tego lata, gdy wystąpiłam z Korpusu Poko

ju, a Toody, ten tu, prowadził załogę w Princeton.

241

- Rezerwowy w reprezentacji uczelni - dodał Remy.
 - Wobec tego - uznał mężczyzna od kajaków - nie powinniście mieć kłopotów.

Wyłynęli trochę niezdarnie na spokojne wody przystani, szybko chwytając wymaganą równowagę. Remy'emu bardzo się podobało, jak wiosło znika w ciemnej wodzie i jak łódka prze do przodu, choć w mięśniach ramion czuł ostry, piekący ból od wysiłku. Nabrali szybkiego tempa. April z przodu zanurzała wiosło, a jej małe ramiona zaczęły drżeć ze zmęczenia. Kiedy jednak Remy chciał ze względu na nią zwolnić, zaczęła pracować mocniej, więc i on się dostosował. Przechyliłami i wiosłami pracowali zgodnie, dopóki nie zaczęli płynąć tak szybko, że czuło się, jakby rzeźbili wodę, jakby ich kilwater mógł ciągnąć się kilometrami poprzez zatokę, i dalej, w cały świat. I wtedy właśnie April się zatrzymała i rozejrzała. Popatrzyła na rozproszone chmury porozrywane przez jasny błękit nieba.

- Dlaczego zapytałeś mnie o Dereka? - zapytała, nie odwracając głowy.
- Nie wiem - odparł.
- On pochodził stąd. Z San Francisco. Wiedziałaś o tym?
- Nie mam pojęcia.
 - Przepraszam. Może przyjazd tutaj był błędem. Ale nie **myślałam** o Dereku, jeśli to cię trapi.
- Nie. W porządku.

Nie powiedziała już nic więcej. Okrążyli cypel i popłynęli do serca zatoki, uderzając mocniej wiosłami, ponieważ wiatr pchał ich na głębszą

wodę, drobne krople pryskały im na oczy, a cienie żaglówek sunęły obok nich, pochylając się na falach jak połyskujące zjawy.

- Do diabła z tym - powiedziała.

W snach, a przynajmniej w rym śnie, wzrok Remy'ego był idealny, świat przejrzysty, czysty i pozbawiony zaburzeń, do których Brian się przyzwyczaił. I nawet śpiąc, zauważył, że nie śnił od...

Rozejrzał się, zaskoczony przejrzystością i ciszą wszystkiego, co widzi. Stał przed starą szkołą podstawową syna, czekając, aż chłopiec wyjdzie z budynku, i patrzył na strumień znajomych twarzy wypływających ze szkoły: dawna niania Edgara, za nią Guterak, potem Billy Joel, który stał się kolesiem od gyrosa zawsze rozstawiającym się poza cen-

242

trum miasta, a następnie sprzedawcą gyrosa z San Francisco, w końcu zaś ojciec April, z dezaprobatą kręcący głową. Ale chociaż budynki i drzewa, a także wszystko wokół, jawiły się w jego oczach wyraźnie, to gdy tylko skierował wzrok w górę, od razu widział błyski i męty na niebie, które było szarawe i po którym chmury z popiołu i pyłu płynęły nad głowami niczym rzeka gruzu. Kiedy zaś patrzył w dół, plamki również tam schodziły. Szkoła Edgara zmieniła się w Komendę Główną Policji, a Remy stał przed barykadą, gdy policjanci w panice uciekali z budynku. Drżał z lęku o syna, który pewnie wciąż był w środku. Brian usłyszał czyjś płacz, obudził się gwałtownie, usiadł i otworzył oczy. April siedziała na końcu łóżka, wciąż ubrana w dzinsową spódniczkę, ale w nic ponadto. Łkała, oczy miała zalane łzami, mokre strużki spływały jej po policzkach. Remy uczynił ruch, jakby chciał do niej podejść, ale podniosła rękę, żeby się nie zbliżał.

- Zgodziłam się na wszystko, tak? - zapytała. - Dobrze się bawiliśmy, prawda? I nawet gdy zachowywałeś się kompletnie po wariacku, jak paranoik, udawałam, że to jest normalne.

- April...

- Ale wtedy musiałeś zapytać o Dereka.

- Przepraszam.

Odwróciła się do niego.

- Jeśli ci powiem... wszystko, obiecasz, że nigdy więcej o nic nie zapytasz? Obiecay, że już nigdy nie będziemy musieli o tym rozmawiać.

- Okay - odparł. - Spróbuję.

Wstała i podeszła do okna, odsunęła zasłony i wyjrzała na ciemną ulicę. Blask latarni na jej bladej skórze przypominał aureolę.

- Gadaliśmy ze sobą przez cały weekend, a w tamten poniedziałek zjedliśmy kolację w restauracji - mówiła w stronę okna. - Pozwoliłam mu zostać na noc... a we wtorek nawet poszedł do pracy w tych samych ciuchach. Myślał, żęto zabawne... to było takie naturalne, jak przed jego odejściem. Przy drzwiach pocałowałam go na do widzenia. I myślę, że to był pierwszy raz, gdy naprawdę dopuściłam do siebie myśl, że bardzo za nim tęskniłam i że moglibyśmy do siebie wrócić - Okręciła się, by spojrzeć Remy'emu w twarz, a on przypomniał sobie, jak wiosłowała na kajaku, gdy jej ramiona napinały się z wysiłku. - Już po tym, jak wyszedł za drzwi, zobaczyłam na półce jego telefon komórkowy, w któ-

243

rym migiała lampka, informując o otrzymanej wiadomości. Odsłuchałam ją więc...

- Kobieta z jego biura - powiedział Remy.

- March - April wypluła to imię, jakby utkwilo jej w gardle, po czym głos jej się załamał. Odwróciła się ponownie i chyba w tej chwili dotarło do niej, że jest naga od pasa w górę. Podniosła z podłogi ręcznik i owinęła nim ramiona.

- To March była kobietą, która...

- O Jezu - powiedział Remy.

- April uśmiechnęła się blado.

- Rozmawiałam z nią w poniedziałek... I powiedziałam, że Derek ma przyjść do mnie... że rozważamy pojednanie się. Była taka cicha. Pomyślałam... - Zaśmiała się gorzko - ...pomyślałam, że ona po prostu się o mnie martwi, że znowu zostanę zraniona. Powiedziałam jej więc, aby się tym nie przejmowała, i że Derek jest teraz innym mężczyzną. Wiem, co robię.

- Chyba nie czuła, że łzy spływają jej po twarzy.

- Ona i Derek zawsze ze sobą... flirtowali. Myślałam, że to wymierzone we mnie... wiesz, że siostry zawsze tak próbują się nawzajem wyprowadzić z równowagi. Wzbudzić zazdrość. Ale jak tylko usłyszałam jej głos w telefonie, wszystko zrozumiałam. Zrozumiałam. Chciałam cisnąć tym telefonem przez cały pokój. Chciałam się rozłączyć. Ale nie mogłam. Po prostu słuchałam.

- Remy zapytał, czego dotyczyła wiadomość.

- Gadała, wkurzała się. Chciała wiedzieć, czy to prawda, że Derek myślał o powrocie do mnie... mówiła, że ją okłamał. I czuła się okropnie. Nigdy by się z nim nie przespała, wiedząc, że on wciąż coś do mnie czuje. Mówiła, że była bezradna po zerwaniu z jakimś innym żonatym mężczyzną i Derek to wykorzystał, no nie wiem... - April znowu się

uśmiechnęła. - Powiedziała, że jeśli Derek mnie skrzywdzi, ona go zabije. Jeśli on mnie skrzywdzi... on... uwierzyłbyś? Niech ją szlag.

- Co zrobiłaś?
- Zadzwoiłam do niej do pracy. Krzyczałam na nią.
 - Tamtego ranka? - Ziemia się ugięła pod nogami Remy'ego. - Ty do niej zadzwoniłaś? Tamtego ranka?

March odbiera telefon, płacze przy biurku.

244

- Krzyczałam, że jest dziwką i że nie jest moją siostrą. I że już nigdy więcej nie chcę z nią rozmawiać. Że powiem ojcu, jaką jest dziwką - April potrząsnęła głową. - March tłumaczyła, że źle to zrozumiałam, że to było tylko raz, że byli pijani, wszystko jedno... Próbowала szeptać, pewnie dlatego, że była w pracy - April opadła na krzesło. - I to mnie wkurzyło, że ciągle zwraca uwagę na to, co ludzie o niej pomyślą. Rozłączyłam się... wysłuchałam wiadomości jeszcze raz i zadzwoniłam do niej do biura. Ale już jej nie było. Więc zadzwoniłam do biura Dereka i... - April zadrżała - ...March była tam. W jego biurze. To było najgorsze: że ona przebywała tam z nim. Ja całkiem sama w moim mieszkaniu, a oni dwadzieścia przecznic dalej, w innym pomieszczeniu. Razem. Na zawsze, jak się później okazało.
- Czy biuro Dereka znajdowało się na tym samym piętrze? - zapytał cicho Remy.
- Nie, cztery piętra wyżej.

Wzburzona March rozłącza się, biegnie do windy.

- Wiedziałam, że ona tam jest. Derek mówił, kazał mi się uspokoić, ale nic mi nie było... nic. Czułam się całkowicie pusta. Jakby mnie

ktoś wydrażył.

Przez dłuższą chwilę patrzyła w siebie tylko wiadomy punkt gdzieś za plecami Remy'ego, po czym zaśmiała się gorzko.

- Więc... się rozłączyłam. Chciałam powiedzieć coś mądrego. Albo podłego. Ale tylko zdjęłam słuchawkę z widełek i wróciłam do łóżka. Nie poszłam do pracy. A godzinę później... usłyszałam krzyki w domu i... włączyłam telewizor i zobaczyłam... - April była coraz bliższa załamania, ale się opanowała. - Myślę o nich... tam wysoko w obliczu końca... razem... i nie nawidzę ich najbardziej ze wszystkich za to... że na końcu mieli siebie.

Ma rację, pomyślał Remy.

Mogliby po prostu zamieszkać w tym pokoju hotelowym na zawsze.

Wszystko, czego człowiek potrzebuje, jest w hotelowym pokoju.

To szczyt cywilizacji, kulminacja ognia, koła i cyfrowego radia. Wszystko tam jest.

Gdyby nie wspomniał o Dereku, mogliby tak trwać przez lata, kochać się i kupować nowe ubrania, jeść w restauracjach i pływać kajakiem po zatoce, zmieniając sobie imiona co kilka dni.

- Przepraszam - szepnął.

245

April zakryła twarz rękami i ręcznik zsunął się jej z ramion. Znowu drżała, szlochając. Remy wstał, zaprowadził ją do łóżka i przytulił się ciasno do jej pleców, po czym trwał tak, dopóki drzenie nie ustało, a ona nie zaczęła oddychać swobodnie.

- Wiesz... - Złapała oddech. - O czym ja ciągle myślę - Odwróciła się przez ramię i spojrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się. - Tyle mi sięcy po tym wszystkim, a ja ciągle myślę: Czy to nie byłby cholernie

piękny portret żałobny?

- Obsługa.

Remy się poderwał. Spojrzał na drzwi pokoju hotelowego, a następnie na zegarek stojący na stoliku nocnym. Było wpół do ósmej. April spała tak mocnym snem, jakiego jeszcze u niej nie widział. Pocałował ją lekko w czubek głowy, wstał i ubrał się. Podeszedł do drzwi i uchylił je.

Gładka i uśmiechnięta twarz Markhama wypełniła szparę.

- Cześć, Brian.

Remy wymknął się na korytarz i zamknął drzwi za sobą.

- Jesteś gotowy do drogi? - Markham miał na sobie sportową kurtkę i niebieską koszulę z grubej bawełny, a w ręku trzymał cienką brązową aktówkę. Z przesadnie spóźnionym refleksem popatrzył na nowe buty Briana.
- No, no, cóż my mamy za buty! - powiedział. - Nowe? Muszą być nowe. Spójrz no na siebie, panie Hipster. Wiesz, ja nie mogę nosić takich słodkich bucików, takich z kwadratowym czubkiem. Lubię buty, ale moje stopy są za długie i w takich bym wyglądał jak Frankenstein. - Markham mówił głosem komika. - Właściwie, wyglądałbym jak Frankenstein-gej, jak Frankenstein, który idzie na pedicure, albo spotkać się ze swoim chłopakiem Wilkołakiem na małą karmelową kawę w Starbucks. Metrostein czy coś takiego. Co nie, co nie?

Remy poczuł się pokonany.

- Jak mnie znalazłeś?
- Obsługa - powtórzył Markham. - Jasne, że wrócę. Hej, przepraszam za telefon komórkowy. Miałeś rację, że go wyrzuciłeś, by stracić mnie z oczu na kilka dni. Mogłem cię zdemaskować. Stałem się niecierpliwy. To było

głupie z mojej strony. Zwłaszcza to, że byliśmy tak blisko siebie.

Remy obejrzał się na drzwi pokoju.

246

- Więc... czy działa zmiana otoczenia? Masz coś nowego?
- Słuchaj, nie chcę już tego robić - powiedział Remy. - Cokolwiek... to jest... Ja z tym kończę. Mam zamiar wrócić tylko do tego pokoju i...
- No, wiem, co masz na myśli. Jestem zmęczony lataniem samolotami, odkąd tu przyjechaliśmy - Przysunął się. - Wysralesz się? Boja nie. Pieprzone żarcie w samolocie. Jak jedzenie makaronu.
- Słuchaj - przerwał mu Remy. - Jeśli to ma jeszcze jakieś znaczenie, wydaje mi się, że March nie żyje.

Markham pokiwał głową.

- Taaa... cała sprawa z March wygląda tak, jakby utknęła w martwym punkcie. Przepraszam za ten kalambur. Ale nie, cały czas miałeś rację. March prawdopodobnie nie żyje. Chyba, że stary Bishir to twardszy orzech do zgryzienia, niż na to wygląda.

Remy nie mógł pohamować ciekawości.

- Znalazłeś Bishira?
- No... tak. A jak myślisz, co my tu robimy? Zwiedzamy?
- I rozmawiałeś z nim?
- Taa, jak pracowałeś nad dziewczyną, pomyślałem, że weźmiemy Bishira i będziemy go przez parę dni zmiękczać, zanim...
- Nie... proszę - Remy wyciągnął rękę. Pomyślał o plamach krwi na swoich butach, o Assanie i o zdjęciu March podczas lunchu przed śmiercią, o al-Zamirze. - Już... nikogo nie zmiękczej.

Markham uśmiechnął się jak dziecko, które dorwało się do gorzałki swoich rodziców.

- Upss - Uśmiechnął się. - Mam problem.
- Jezu, co zrobiłeś? - zapytał Remy.
- Właściwie - zaczął Markham - to całkiem zabawna historia.

Zdrowy kawał ryby soli w pekanach spoczywał na zębach widelca o kilka centymetrów od otwartych ust Bishira.

- Niewiarygodne - rzekł i wsunął widelec do ust - Mmmm - mruknął, a gdy mógł już mówić, ciągnął: - Mielicie absolutną rację. To jest przepyszne. Kto by pomyślał, że to będzie takie wilgotne i tak łatwo da się kroić. No a te pekany!
- Co mówiłem? Ha? I co ci mówiłem? - zapytał Markham, ubrany w niebieski fartuch, w którego kieszeni miał schowaną solniczkę i pie-

247

przniczkę. - Orzechowe, ale lekkie. Ilekroć dodaje się orzechy włoskie lub pekany i trzeba użyć czegoś, co by to związało, potrawa staje się za słodka albo za lepka, co psuje smak ryby. Natomiast tutaj wszystko jest idealnie zrównoważone. I to lubię najbardziej. Widzisz, dlaczego wybraliśmy ten wariant - Markham trzymał łąpatkę jak różdżkę - To naprawdę dobry przepis.

Znajdowali się w ogromnym apartamencie hotelowym, gdzie stały kolonialne meble i wisiały elektryczne zasłony. Bishir w mechatej białej galabii siedział na krześle z szerokim oparciem, pochylając się nad talerzem z solą garniowaną pekanami, zieloną fasolką z masłem i czymś, co Remy'emu przypominało puree ze słodkich ziemniaków. W małej kuchni

Markhama coś skwierczało na dwu nierdzewnych patelniach, a drzwiczki piekarnika stały otworem i dochodził stamtąd zapach słodkiej ryby.

- Brian, jesteś pewien, że nie chcesz skosztować? - zapytał Bishir.

- Nie - odparł Remy.

Czuł się skończony, niezdolny nadać niczemu więcej sensu. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu barku.

- Chcesz poznać sekret całej tej sprawy? - zapytał Markham Bishira.

- Mmm - mruknął Bishir z pełnymi ustami.

- Brian, powiedz mu - rzekł Markham.

Remy'emu wydawało się, że cokolwiek zrobi, ten obłąd będzie tak trwał i go wykończy. Krążył po pokoju, wypatrując wszędzie klucza do minibaru.

- Miód - powiedział. - Sekretem jest miód.

- Chrzanisz. Miód? - zapytał Bishir i nałożył sobie jeszcze jeden kawałek. Remy zdziwił się, że ten je tak starannie i kulturalnie. Pokiwał głową, jakby... tak, teraz, gdy Markham o tym wspomniał... miód. Przystał ruszać szczęką, widelec trzymał przy skroni. - Zastanawiam się...

- Nad czym? - zapytał Markham.

- Nad niczym.

- No - zachęcił Markham. - O co chodzi?

- Zastanawiałem się tylko, czy można by to zastąpić syropem kukurydzianym.

- Dobre pytanie - Markham wycelował łopatkę w Bishira. - Bri?

Remy otworzył właśnie barek i kucnąwszy przed nim, grzebał wśród małych buteleczek. Odwrócił się w stronę mężczyzn.

- Zbyt lepki. Miód lepiej się gotuje. Pozostawia glazurę, nie sklejjając potrawy.

- Jasne - przyznał Bishir. - Czuję to.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszyscy z wyjątkiem Remy'ego podnieśli głowy.

- To pewnie nasz przyjaciel - rzekł Markham trochę nerwowo.

- Okay. Jesteśmy na to gotowi, Brian? - Podeszedł do drzwi i je otworzył. - Chodź. Dzięki, że przyszedłeś.

Do środka wszedł wysoki, majestatyczny mężczyzna z aparatem korekcyjnym na zębach i wyszczotkowanymi włosami. Miał na sobie wyprasowaną koszulę do golfa, prawie sztywną. Remy'ego nie zdziwiło specjalnie, że to Dave, agent od karmelowego macchiato.

- Witaj, Bishir - rzucił Dave. Bishir kiwnął głową.

- Shawn Markham - powiedział Markham, podając agentowi dłoń.

- Dave - odparł Dave.

- To mój partner, Brian Remy - dodał Markham.

- Miło cię poznać, Brian - powiedział Dave ostrożnie, jakby się nigdy wcześniej nie spotkali. - Cóż tam serwujemy dziś rano?

- Solę garniowaną orzechami pekana - zameldował Markham.

- Oczywiście - odparł Dave. - Słyszałem dużo dobrego o tym przepisie. Podobno używacie go, żeby wściubiać swoje nosy nie tam, gdzie trzeba. Ty nie jesz... Brian, prawda?

Remy go zignorował. Otworzył małą buteleczkę z ginem i wypił jej zawartość.

- Taa, Brian Remy - powiedział Markham. - Wykonuje dla nas

pewną kontraktową robotę.

Dave usadowił się przy stole. Jednym ruchem ręki rozłożył serwetkę.

-1 jak leci, Bishir? Czy te czwartoligowe szpicle dobrze cię traktują?

- Nie mogę narzekać - odparł Bishir z ustami pełnymi ryby.

Markham podsunął Dave'owi talerz z potrawą. Ten spróbował ka wałek i pokiwał głową z uznaniem.

- Brian, czy mógłbyś mi łaskawie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Dave. - Dlaczego dwóch drani z departamentu papieru przetrzymuje moją wtyczkę z CI?

249

Remy zignorował pytanie. Czuł się osobliwie wyluzowany, kompletnie zaskoczony. Mógłby tylko pić, dopóki wszystko się nie skończy. To wydawało się dobrą strategią, chociaż zauważył, że na środku lewego oka ma znowu duży męt.

Dave czekał, w końcu zaczął się denerwować. Rzucił okiem na Markhama, który odwrócił wzrok.

- Nie doczekam się odpowiedzi?
- Chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju - powiedział Remy.
- Och, doprawdy. Chcesz, żebyśmy ci zeszli z drogi, tak? Markham nerwowo przygryzał paznokcie kciuka.

- Naprawdę chcesz zagrozić temu śledztwu, bezpieczeństwu narodu, przez co... przez walki o sfery wpływów - Dave gapił się na Remy'ego.

Brianowi kręciło się w głowie od tego kucania, więc ukląkł. Odwrócił się w stronę półki z małymi buteleczkami. Przez chwilę czuł się otumaniony różnicą wielkości: Guliwer na popijawie u liliputów. Zdecydował się na Crown Royal, który wlał w siebie jak łatwy komplement.

Bishir przełamał lodowatą ciszę.

- Ci kolesie myśleli, że się gdzieś ukrywam ze swoją dawną dziewczyną... tą laseczką, March - Wskazał widelcem na Markhama. - To była teoria tego głupka, ale wiesz co, gdybym mógł ostrzec choćby jedną osobę, to mogłaby to być ona. Była słodka. Dobra w łóżku.

Markham wzruszył ramionami.

- Taa... tak nam się wydawało.

Dave odłożył widelec i zakręcił się na krześle.

- Dobra - rzekł. - Przejdźmy do przysłowiowego pościgu.

- Wiesz, nie sądzę, żeby istniało takie przysłowie - powiedział Markham.

- Co? - zapytał Dave.

- Powiedziałeś: przysłowiowy pościg. Nie ma takiego przysłowia.

Dave patrzył na Markhama z niedowierzaniem, zanim zwrócił się w stronę Remy'ego.

- Czego wy chłopaki chcecie... jak mu tam... Brian?

- Tak - rzeki Markham. - Ma na imię Brian.

- Mówiłem ci - wtrącił Remy. - Niczego nie chcę.

Dave odchylił głowę, a jabłko Adama zaczęło mu się poruszać w górę i w dół niczym winda towarowa.

250

- Daj spokój. Obaj wiemy, że nie schwytałiście Bishira przypadkowo. Czego więc chcecie?

- Jedyne, czego chcę, to żeby wszystko zniknęło - odparł Remy. - To wszystko. Wy wszyscy.

- Och, to byłoby miłe, prawda? - wyrzucił z siebie Dave, a jego koścista twarz poczerwieniała. - Słuchaj. Przez ponad rok zbieraliśmy wspólnie członków tej komórki. Jeśli choćby przeleciało ci przez głowę, że Agencja się wycofa i będziesz mógł przejąć kontrolę nad tym śledztwem... - Jego usta wykrzywiły się w grymasie ogromnego niezadowolenia. - Potrzebujemy tego! Chcesz rozpieprzyć biuro, dobra. Ale wydaje mi się, że nie do końca doceniasz naciski, które się na nas wywiera.

Wódka, pomyślał Remy, i to hasło odwołało się do jakiegoś podstawowego poziomu: czysta, brązowa, brązowa, czysta. Złamał plombę, odkręcił nakrętkę i zaczął pić, jakby przesuwiał malutki czerwony dywanik przez gardło.

- Dajcie mi spokój.
- Dać ci spokój? - Dave skrzyżował bezczelnie ramiona, a gniew zdawał się rozchodzić po jego czerwieniejących uszach. - Pieprz się, Brian. Chcesz się zwrócić do moich przełożonych? W porządku. Pewnie myślisz, że znajdziesz dziennikarzy z „The Hill” albo niedobitków w mediach, którzy chętnie usłyszą, że Agencja może się zachowywać, delikatnie mówiąc... - nie mógł dobrać słów.
- Bezprawnie - wsparł go Markham.

Dave skrzywił się, jakby nie tych słów szukał. W pokoju na moment zapadła cisza. Gdy Dave odwrócił się do Re-my'ego, ten uśmiechał się z z troskaniem.

- Jesteśmy więc w impasie. Okay. Ale muszę wierzyć, że dojdziemy do porozumienia. Tak? Że możemy razem pracować? W innym wypadku nie dzwoniłbyś do nas. To znaczy... mamy wspólnego wroga, tak?

Biuro? No to powiedz mi, czego chcesz.

Remy chciał czegoś brązowego. Otworzył buteleczkę z Glenliver.

- Chcemy swojej części - odezwał się Markham z kuchni, patrząc na Remy'ego, w poszukiwaniu poparcia. - Chcemy uznania. Nie chcemy, żeby nasza praca się zmarnowała.
- A to oznacza...? - spytał Dave.

251

- Wspólne oddziały specjalne - odparł Markham, wciąż patrząc, czy Remy się z nim zgadza. - Operacyjne, taktyczne, dowódcze... chcemy połowę naszego ciasta.
- Waszą połowę?! Chyba ci odbiło?! - krzyknął Dave do Markhama i odwrócił się do Remy'ego, jakby ten był rozsądniejszy. - Daj spokój, Brian. Stresujesz mojego informatora, natykasz się na komórkę, którą śledzimy od miesiący, zagrażasz tajnemu projektowi, a teraz oczekujesz, że dostaniesz...
- Oddziały. Specjalne - powtórzył Markham - A jak nie, to pójdziemy do Kongresu. Może nawet do prasy.
- Prasy? - Dave się zaśmiał. - Do kogo zadzwonisz? Do Morleya Safera? Edwarda R. Murrowa? Daj spokój. Prasy już nie ma.
- Oddziały specjalne. To ostateczna odpowiedź. - Markham odwiązał fartuch.
- Czekaj, wiem, co to jest.
- Taa...? - zapytał Markham - Co to jest?
Remy pił.
- To jest wymuszenie - odrzekł Dave. Rozparł się wygodnie na krześle i

założył nogę na nogę. - To zidiociała, polityczna próba brania dalszego udziału w grze. Skończyło się wasze upoważnienie i kończy się dofinansowanie, więc wyciągacie papiery ze śmietników, próbując znaleźć grunt pod stopami... Zabierzcie się za jakąś rzeczywistą operację śledczą. Jesteście jak Biuro sprzed osiemdziesięciu lat pod rządami tego elegancika Hoovera. No, przepraszam, ale ani myślę przyczyniać się do przyznania wam funduszy na następną dekadę. Nie ma mowy. Kluczowa pomoc dochodzeniowa - powiedział Dave. - To moja ostateczna oferta.

- Mówisz poważnie? - Markham zaśmiał się z kuchni. - Kluczowa pomoc dochodzeniowa? Dlaczego nie powiesz, że będziemy odbierali telefony? Przynosili chłopakom kawę? Daj spokój. Proponujesz nam brandzlowanie, Dave. Przychodzisz tutaj na kolanach i proponujesz nam brandzlowanie? Co to ma być?
- To on jest na kolanach - powiedział Dave, pokazując na Remy-'ego, który rzeczywiście klęczał przy najświętszej szufladzie pełnej plastikowych buteleczek z gorzałką. Wtedy usta Dave'a drgnęły i uśmiechnięty podszedł do Briana. Mówił ściszym głosem:

252

- Daj spokój, Brian. Bądź rozsądny. Zastanów się przez chwilę, o co prosisz.
- O nic nie proszę - odparł Remy i opróżnił buteleczkę Gilbeya. Czuł, że jego głowa kręci ósemki. Zdawało się, że męt w lewym oku rośnie.
- Więc to dzień w stylu „rozpieprzyć Agencję”, tak? W porządku. Chcecie lecieć ze mną w kulki? Lecieć ze mną w kulki?! - wrzeszczał. Potem zaśmiał się gorzko i przybliżył się, tak że stanął dokładnie nad

Remym. - Remy, wiem o różnych sprawach. I nie zawaham się zacząć mówić o tym, co wiem. - Gdy ten nic nie odpowiedział, wyrzucił z siebie: - Myślisz, że blefuję?

Remy spojrzał w górę przez smużki i męty wprost na rozdęte nozdrza tego starszego faceta.

- Nie mam pojęcia, co ty robisz.

Dave syknął.

- Niech cię szlag. - Ale odszedł kawałek, otarł usta i przez dłuższą chwilę patrzył na Markhama, a potem znowu na Remy'ego. - Okay

- rzekł w końcu. - Nie mogę wam dać oddziałów specjalnych. Po prostu nie mogę. Ale oto, co mogę wam dać: Agencję Współpracy. Drugi solidny stołek. Ty możesz mieć jednego faceta od siebie, który na konferencji prasowej będzie stał z tyłu, a ty możesz przedstawić swój własny komunikat o swoim udziale w sprawie. Ale to tyle. To wszystko, co mogę wam dać.

Markham rzucił Remy'emu spojrzenie w stylu "Jak myślisz?". Wydawało się jednak, że Remy nie może się nasycić wódką, nie dość szybko.

- Agencja Współpracy - powtórzył Markham, wskazując łopatką. - Dwóch gości na konferencji, wspólny komunikat oraz nasze logo na podium.

- Wasze logo! - wybuchł Dave - Wasze pier...! - Rozdziawił usta.

- Wasze...

Markham kontynuował:

- Oraz wyjaśnimy, że przygotowaliśmy własny wywiad w odniesieniu do tej przestępczej Komórki, niezależnie, poprzez sekcję Utraconych Danych z Ustawy o Wolności i Odbudowie. Jeśli się nad tym

zastanowisz, zrozumiesz, że to dla ciebie dobry układ. Pewne zgromadzone przez ciebie informacje mogą być niewygodne dla pewnych ludzi

253

i można by je uznać za nielegalne, ale my moglibyśmy dostarczyć wam dla nich przykrywkę zgodnie ze starymi zasadami.

Dave zmrużył oczy, jakby rozważał tę propozycję.

Markham zrozumiał, że teraz jego ruch.

- Jasne. Wszystko... co niewygodne, możesz przypisać... nam. Wykorzystać chwilową swobodę, którą dano nam na wywiad wewnętrzny.
- Oraz - ciągnął Markham - jeszcze jest Biuro, któremu musimy dopieprzyć.

Remy nie wiedział, czy właśnie wypił czystą, czy brązową, wziął się więc za małą designerską buteleczkę z wódką z malin. Ale była za słodka. Spojrzał na Bishira, ale ten wszystko ignorował, koncentrując się na garnirowanej pekanami soli, którą miał na talerzu.

- Ale... i to jest ważne... - mówił Markham. - Musimy dostać drugi mikrofon na konferencji prasowej.
- Drugi mikrofon! - wrzasnął Dave ponownie. - Daj spokój! Bądź rozsądny. Chcesz też nasze samochody? Nasze telefony satelitarne? Nasz helikopter? Mój gabinet? - Wstał z krzesła i pochylił się tak, że patrzył Remy'emu w oczy. - Daj spokój, Remy - rzucił cały w płamach i pręgach. - Bądź rozsądny. Przyłożyliście nam nóż do gardła. Obaj o tym wiemy. Ale dla dobra kraju...

Na to Markham i Bishir się zaśmiali, aż ten ostatni na chwilę zakrztusił się rybą.

Zapadła cisza. Dave się wyprostował, zagapił przed siebie i w końcu westchnął.

- W porządku. Agencja Współpracy, ale nie ma wątpliwości, że to my dowodzimy, prawda?
- Nie ma - odparł Markham - oczywiście.

- My utrzymujemy kontrolę operacyjną i taktyczną... będziemy wam codziennie dawać instrukcje. A wy możecie mieć tam człowieka, gdy wszystko ucichnie - kontynuował Dave. - My będziemy uchwalać, a wy dostaniecie swoje... - słowo utkwilo mu w gardle - logo na podium. Ale wszystko, co mogę zagwarantować, to trzecią wypowiedź do mikrofonu podczas konferencji. Trzecią. To wszystko, co mam, chłopi. Nie oddam wam naszego czasu antenowego bez względu na to, co powiecie.

254

Markham spojrzał na Rercr/ego, który patrzył w inną stronę i sięgał po kolejną butelkę. Był już nieźle zakrecony i chybił. Potykał się i kiwał na boki... I w tym momencie coś jakby wystrzeliło mu w oku: przeszywający ból przeciął mu czaszkę, Brian posuwał się do przodu i zacisnął powieki. Upadł obok minibaru i skręcał się, jęcząc.

- Brian? - zapytał Markham.

Remy wył z bólu, rękami zakrywał twarz, turlając się po dywanie na drugi koniec pokoju.

- Dobra! - usłyszał, jak Dave klasnął mu nad głową. - Możecie mówić na konferencji jako drudzy.

Remy dotarł do ściany, przesuwał się po niej i otworzył oczy. Nie było dobrze. Miał spory problem z lewym okiem. Ciemna, mętna smuga

znajdowała się pośrodku jego pola widzenia. Znów zacisnął powieki i otworzył jedynie lewe oko, ale czarna smuga wciąż tam była, jakby ktoś wyrwał środek pokoju niczym stronę z czasopisma. Ból zdawał się zbierać u podstawy czaszki i narastał, aż wreszcie stał się prawie nie do wytrzymania. A kiedy go tak skręcało, ból rozkwitał na zewnątrz i wewnątrz niczym czarna woda z bulgotem wydostająca się z ziemi. Jak pióropusze dymu mącące czystość dnia.

CZEŚĆ TRZECIA

STREFAZERO

- Panie Remy, już się pan obudził?

Interesujące pytanie. Przecież nie może spać, skoro słyszy jej głos. A jednak, skoro naprawdę nie śpi, czy ona musi pytać? Czy to nie jest oczywiste? Może to pytanie tylko mu się przyśniło. Jak April opisywała swój żal? Jako sen w gorączce? Sen - to pomogłoby wyjaśnić wszystkie luki w pamięci i ogólną niedorzeczność obecnego życia - cykliczne powtórki wydarzeń w wiadomościach w kablówce, fale... klęsk żywiołowych, naukowców ogłaszających w kółko te same odkrycia (Planeta X, latające dinozaury, klonowanie, jakieś kody genetyczne), losowa codzienna zmiana sojuszy państwowych, piekielnie sławni ludzie, których początków sławy nikt nie pamięta, nagle wybuchające i wygasające epidemie, powstawanie i upadki rządów, serie skandali, wyznania win i rehabilitacje, burzliwe wybory, w których przegrani ogłaszają zwycięstwo, a wyścigi po władzę są powtarzane w tym samym porządku, wydarzenia, które wyrwały się spod kontroli niczym plagi bezsensu... jak gdyby we wszystkich równaniach zastosowano jakąś błędną matematykę, uszkadzając programy

komputerowe i piętrząc pokrętne argumentacje; a także kolejne przeskoki - urywki piosenek samplowane jeszcze przed oficjalnym wydaniem, filmy przerabiane przed premierą, zwycięstwa ogłaszane przed rozpoczęciem wojen, gwałtowne wahania na giełdach (panika ustępująca spokojowi, ustępującemu panice, ustępującej spokojowi, ustępującemu panice), a wszystko okraszone urywkami rozmów nad pozowanymi zdjęciami oraz oznaczonymi na kolorowo ostrzeżeniami i żółtymi wstążkami na drzewach.

259

- Panie Remy? Czy może pan ścisnąć moją dłoń?

Kolejne trudne pytanie. Miał odpowiedzieć czy ścisnąć? Czy ściśnięcie byłoby odpowiedzią? Co powiedziała April? „Nie mogłam już udawać, że to wciąż ma jakikolwiek sens”. Być może nic już nie ma sensu (luki w pamięci dotyczą wszystkich), a to jest jakaś kulturowa choroba, na którą wszyscy zapadli. Ale kiedy Remy już prawie dotarł do sedna pytania, poczuł dłoń kobiety w swojej dłoni i uświadomił sobie ból w głębi oczu, huczący i piszczący w jego głowie jak pociąg, który wtacza się na peron, błyskają światła, piszczą hamulce, ale wtedy nastąpiła zmiana... ból stał się bardziej konkretny, jakby ktoś przybijał Remy'emu lewe oko gwoździem do czaszki, uderzenia młota, dźwięk łamanej trzypensówki i naj okrutniej sze katusze atakowały w głębi oczu, wymazując objawienie, które Remy próbował przeżyć, wymazując je właśnie w chwili, gdy ubierał je w słowa: „A jeśli tylko ja o tym wiem?”. Samotna, mrożąca krew w żyłach myśl, której wcale nie było mu żal pożegnać. Pozostawiła jedynie ulotne wrażenie jak odcisk stopy na piasku, zanim go rozwieje wiatr. Zaciśnął kurczowo dłoń.

- To boli - wychrypiał.

Znów zobaczył smugi na czarnym tle, umykające, gdy tylko próbował się na nich skupić, ale tym razem było ich o połowę mniej i pojawiły się jedynie z prawej strony. Po lewej nie było nic prócz tej wsysającej agonii, drut kolczasty wwierał mu się przez lewe oko wprost do mózgu, a ktoś na zewnątrz szarpał nim tak, żeby rozedrzeć wszystko po drodze. Remy próbował otworzyć zdrowe oko, ale było szczelnie zabandażowane razem z tym chorym. Był wdzięczny za smutki i męty po prawej stronie, bo przynajmniej to mógł sobie obejrzeć.

- Przyniosę panu coś przeciwbólowego - wyszeptał głos.
- Dziękuję - odparł Remy.

Podniósł dłoń i dotknął grubych bandaży na oczach, które opinały mu prawie całe czoło i policzki.

- I powiem chirurgowi, że się pan obudził. Chce z panem porozmawiać.
- Jaki dziś dzień?
 - Środa.
 - Aha.

260

Remy usłyszał jej kroki na twardej podłodze. Pożałował, że nie zadał jej innego pytania, pytania o April. To, że jest środa, nie miało żadnego znaczenia. Przez kilka minut towarzyszył mu tylko ból, a potem znów rozległy się kroki, a w nozdrza uderzył morski zapach wody kolońskiej.

- Jak samopoczucie, panie Remy? - Lekarz źle wymówił nazwisko, z długim „e”, ale Remy go nie poprawił. - Nazywam się doktor Destouches. Jestem chirurgiem okulistą - Głos wypachnionego lekarza był łagodny i spokojny, jak u prezentera radiowego prowadzącego w sobotni wieczór audycję jazzową.

- Naprawdę boli - stwierdził Remy.
- No, myślę. Tylko dzięki temu wiem, że dobrze się spisałem - lekarz przyjął ton profesora dającego wykład. - Pooperacyjna trauma oczna objawia się doprawdy niezwykłym rodzajem bólu, panie Remy. Nie jest on konkretnie zlokalizowany, jak w przypadku złamanej nogi czy oparzenia ręki. Nie można go dotknąć. To ból uogólniony, ale nie jest to ciągle ćmienie. Równocześnie jest on ostry i rozproszony.

Remy marzył tylko o tym, żeby ten człowiek przestał mówić o jego bólu.

- Ciało postrzega każdą operację oka jako poważne naruszenie - kontynuował doktor Destouches - wyjątkowy wstrząs pod każdym względem. Oko nie jest stworzone do tego, by je kroić tak jak skórę. Centralny system nerwowy nie wie, jak potraktować sytuację, w której ktoś zaczyna grzebać na najwyższych piętrach.
- A po co była ta operacja? - zapytał Remy.

- Nie pamięta pan?

- Nie.

Lekarz się roześmiał.

- No cóż, skoro na zgodzie widnieje pański podpis, zakładam, że pańskie słowa są wynikiem znieczulenia i że nie bez pańskiej zgody otworzyliśmy panu głowę, próbując przykleić panu siatkówkę.
- Nie - odparł Remy. - Mam problemy z orientowaniem się na bieżąco w tym, co się dzieje. Doświadczam przeskoków czasowych.
- To przez znieczulenie - stwierdził lekarz. - Za kilka godzin zacznie się pan na powrót rozeznawać we wszystkim.
- Nie - odparł Remy. - Dzieje się tak od dłuższego czasu. Pojawiają mi się luki w pamięci.

- Rozumiem, to może tak wyglądać - rzekł lekarz - ale proszę się nie martwić. Gdy tylko przestanie działać znieczulenie, a zaczną z kolei działać leki przeciwbólowe, poczuje się pan zdrów jak ryba. - Znów szelest przekładanych kartek. - Jeżeli chodzi o operację, z przykrością muszę pana zawiadomić, że siatkówki nie udało się przykleić. Była za daleko. Tak więc to oko będzie słabe, panie Remy. Po zdjęciu bandaży może będzie pan widział zamazane obrazy, szczególnie przy brzegach, ale zasadniczo to oko pan... utracił. Zgasło. Kaput. - Zamilkł, ale nie dał Remy'emu wiele czasu, bo już znowu mówił.
- Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem takie oczy, jak pańskie. Zupełnie jak w podręczniku. Zwrodnienie i odwarstwienie, cienkość siatkówek. Niewiarygodne. Nigdy nie widziałem tak cienkiej, porwanej tkanki u istoty ludzkiej, no poza zwłokami. Jak franki w przyczepie, panie Remy. Jak pościel w starym burdelu. Jak...
- Okey - przerwał Remy.
- Czy w pańskiej rodzinie często występowały choroby oczu?
- Raczej nie - odpowiedział Remy.
 - Bo ma pan oczy dziewięćdziesięciolatka - stwierdził doktor Destouches. - Muszę jeszcze zapytać: czy pan tu przyleciał samolotem?
- A wciąż jestem w San Francisco? -Tak.
- W takim razie przyleciałem.
- Czy pański okulista w Nowym Jorku wyraził zgodę?
- No nie. W zasadzie, to chyba zabronił mi latać.
 - No to nici z procesu o błąd w sztuce lekarskiej - Remy znów

usłyszał przekładanie papierów. Dobra, jeżeli tak można powiedzieć, wiadomość jest taka, że wciąż widzi pan prawym okiem... na razie. W pańskim polu widzenia znajduje się mnóstwo zanieczyszczeń... błyski, męty, tego typu rzeczy.

-Tak.

-No cóż, jeśli należy pan do osób, które w największym paskudztwie chcą dostrzec dobrą stronę, to udało nam się zredukować paskudztwo o połowę. - Lekarz roześmiał się, rozbawiony własnym dowcipem i odchrząknął. - Ale proszę wyświadczyć sobie samemu przysługę i wrócić do Nowego Jorku pociągiem albo autobusem. Pańskie oczy są deli-

262

katne niczym origami. Kruche niczym pewność siebie grubaski na balu maturalnym. Niczym...

- Zrozumiałem - wtrącił Remy. Słowo „kruchy” przywiodło mu na myśl April. Zastanawiał się, czy czeka na spotkanie z nim.
- Zmiana ciśnienia podczas lotu byłaby dla pana bardzo niekorzystna - kontynuował doktor Destouches. - Rozumie to pan?
- Tak - odparł Remy, podążając za plamkami w zdrowym oku.
- Zapiszę to tutaj. Żadnych lotów. - Remy usłyszał, że lekarz pisze coś na podkładce. - I drobna rada: przydałoby się ograniczyć mocne trunki. Przynajmniej dopóki bierze pan leki. We krwi miał pan 1,6 promila alkoholu. Czterokrotnie przekroczył pan dopuszczalny limit, panie Remy. Czy pan rozumie, co do pana mówię?
- Żadnego picia ani żadnych lotów...

Walcząc z przyciąganiem ziemskim, samolot zatrząsł się i zadrżał z

trzaskiem uformowanych i dobrze dopasowanych plastikowych części i ze zgrzytaniem silników odrzutowych, a kiedy już zdawało się, że za chwilę strząśnie z siebie swoją aluminiową powłokę, oderwał się od ziemi i znieruchomiał. Byli w powietrzu. Remy otworzył oczy, a w zasadzie tylko prawe, gdyż lewe było wciąż uwięzione pod bandażem. W ręku trzymał buteleczkę whisky z rodzaju tych, jakie dają w samolotach. Spojrzał na fotel po lewej ręce, mając nadzieję, że zobaczy tam April, ale siedział tam Markham, przygryzający ołówek i skupiony nad otwartą krzyżówką. Markham pochylił się w jego stronę.

- OK. Siedem liter. Rozłam. Ostatnia A. Trzecia być może H.

Remy zamknął oko i odchylił się do tyłu. Otworzył usta, żeby powiedzieć „schizma”, ale wyszło z tego...

- Komórka - powiedział wolno agent Dave, zatrzymując się przy każdym słowie - z tego, co byliśmy w stanie ustalić w ciągu ostatnich miesięcy, ma następującą strukturę.

Remy rozejrzał się po surowo urządzonej sali konferencyjnej. Siedzieli z Markhamem na obrotowych krzesłach przy owalnym stole. Dave

- wysoki, szczupły agent z aparatem na zębach - stał w poświacie dużego monitora komputerowego zawieszzonego na przeciwległej ścianie.

263

Na ekranie widniał napis KOMÓRKA 93 i wykres łączący sześć schematów głów w piramidkę. Pod każdą z nich było widać cyfrę: jeden, dwa i trzy w dolnym rzędzie piramidki, cztery i pięć w środkowym i sześć na szczycie. Przez jedną z głów, numer piąty, przebiegała czerwona linia, nad numerem drugim widniał znak zapytania.

- Tak to wygląda? - spytał cicho Markham Remy'ego. Dave odwrócił się do nich przodem.

- A co jest nie tak?

- Nie, nic.

Dave spojrzał na ścianę, po czym znów odwrócił się do Markhama.

- Zrozumcie. W tej operacji bierzecie udział gościnnie. Agencja zazwyczaj nie współpracuje w ten sposób. Nie mam żadnego wsparcia. Bardzo zatem docenię każdą pomoc. I profesjonalizm.

- Masz rację. Przepraszam - rzucił Markham. - Moja wina.

- Dziewięćdziesiątka trójka to klasyczna, niewielka Komórka bez dowódcy, *sui generis* - kontynuował Dave, rzucając Markhamowi krótkie, niechętne spojrzenie. - Każdy z jej członków ma kontakt z jednym lub dwoma innymi członkami, ale żaden nie zna więcej niż dwóch innych, jeśli więc jedna osoba odpadnie, dwie lub trzy mogą uciec i Komórka teoretycznie może powstać na nowo. Zupełnie jak z węzem, który gubi ogon. Dlatego tak liczy się dla nas dotarcie do jak największej liczby członków.

- Czemu to nazywa się Dziewięćdziesiątka Trójka? - spytał Markham.

- Nie jesteśmy pewni. Może grupa powstała w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, choć większość relacji pochodzi z dużo wcześniejszego okresu. Inna teoria naszych analityków mówi, że nazwa odnosi się do dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Allaha, bo po odjęciu sześciu członków grupy wychodzi dziewięćdziesiąt trzy. Oczywiście monitorujemy też stacje radiowe, nadające na tej częstotliwości, słuchamy sygnałów wywoławczych, dedykacji, nadawanych utworów, tego typu rzeczy - Dave przycisnął kciuk do przełącznika slajdów. - Przyjrzyjmy

się teraz członkom Komórki.

Na ekranie pojawiło się czarno-białe zdjęcie z kamery monitorującej. Widać na nim było szczupłego Araba w błyszczących dresach, rozmawiającego przed jakąś kamienicą przez telefon komórkowy.

264

- Obiekt Numer Jeden: Kamal al-Hassan, urodzony i wykształcony w Arabii Saudyjskiej, bardzo uczuciowy i inteligentny, mówi świetnie po angielsku... Maniak japońskich samochodów sportowych. Być może w wieku dwunastu lat, kiedy to jego drużyna z Taifu została wyeliminowana w pierwszej rundzie światowej małej ligi baseballu, rozczarował się Ameryką.

Markham nie podniósł wzroku znad swoich notatek.

•Pozycja?

•Druga baza - odparł Dave. - Tylko rękawice, bez kija. Miał przyzwoity zasięg, ale jego ramię speszzyłoby tylko sześciolatkę. Już jako dorosły człowiek przeprowadził się do Syrii, gdzie pracował jako agent zbierający pod przykrywką usług dla uchodźców pieniądze na kluby sportowe dżihadystów. - Dave ponownie nacisnął przełącznik i pojawił się kolejny slajd: inne zdjęcie Kamala. Tym razem w garniturze, wysiadał z limuzyny. - Mamy podstawy sądzić, że ostatnio przedostał się na obszar naszego kraju, prawdopodobnie przez Kanadę.

Pojawiło się zdjęcie przedstawiające znajomo wyglądającego Araba w garniturze. Dave powiedział:

- Obiekt Numer Dwa: Assan, brat Kamala, mieszka w Miami...

Remy gwałtownie wciągnął powietrze, ale nikt tego nie zauważył.

Tego człowieka torturowali na statku niedaleko Miami. Remy spojrzał na

Markhama, który rzucił szybko okiem na niego, nabazgrał coś w notesie na kolanach i z powrotem utkwiał wzrok w ekranie.

- Przynajmniej w Miami Assan żył - ciągnął Dave. - Naprawdę nie potrafimy powiedzieć, gdzie jest teraz. Zaginął kilka miesięcy temu. Myśleliśmy, że sprzeciwiał się rosnącemu radykalizmowi brata, ale być może zszedł tylko do podziemia, żeby przygotowywać jakąś akcję.
- Mówiłeś, że go wypuścisz - syknął Remy do Markhama, który twardo gapił się przed siebie.
- Kolejny członek grupy - oznajmił Dave, a na ścianie pojawiło się zdjęcie Bishira -jak... dobrze wiecie, to wtyczka CI Agencji, Tarzan-Bishir. Mianowaliśmy go Obiektem Numer Trzy, choć oczywiście dostarcza nam informacji. Naturalnie jego współpraca daje nam ogromną przewagę nad naszym przeciwnikiem, Biurem - obrzucił wzrokiem Markhama i Remy'ego. - Nie chcę się chwalić, ale według nas to najgłębsza w historii infiltracja komórki terrorystycznej przez Agencję USA.

265

Markham uprzejmie zamarkował oklaski. Dave po raz kolejny wcisnął przełącznik, a Remy dopiero po chwili rozpoznał następną twarz.

- Numer Czwarty według nas to najślabszy członek grupy: szwagier Bishira...

To był Mahoud, właściciel restauracji.

- Daj spokój - z niedowierzaniem rzucił Remy. - On nie jest...

Ale Markham chwycił go za ramię i delikatnie pokręcił głową.

- Mahoud Tasneem to pakistański właściciel jednej z restauracji w mieście - mówił Dave. Nie jesteśmy stuprocentowo pewni jego zaangażowania ani motywów... wiemy jedynie, że ostatnio skontaktował

się z Bishirem i zgłosił się na ochotnika, być może w roli pomocniczej, oferując transport lub bezpieczne schronienie.

Dave wcisnął przycisk i na ścianie pojawił się obraz, który Remy rozpoznał - mężczyzna leżący w kałuży krwi na chodniku. To zdjęcie pokazał mu Maniak w taksówce.

- Jak wiecie, Obiekt Numer Pięć, Bobby al-Zamil, nie żyje. - Dave odkaszlnął. - Al-Zamil był wcześniej współpracownikiem Bishira. Zwróciliśmy się do was w sprawie March Selios właśnie dlatego, że Bishir nas do niej doprowadził. Mówił, że poznał ją przez al-Zamila, który robił z nią interesy. Nie wiemy, dlaczego al-Zamil został wyeliminowany. Być może grupa chciała go usunąć, bo był obserwowany, albo zaczął się wahać, albo też wzorem *realityshow* zagłosowali, że jest nominowany. Niemniej jednak wydaje się jasne, że zabili go, aby nie narażać na szwank operacji.

Markham gorliwie skinął głową.

- Ale śmierć al-Zamila zamiast zniechęcić grupę, pobudziła jej członków do działania i prawdopodobnie przekonała ich do przyspieszenia akcji. Co prowadzi nas do Obiektu Numer Sześć. Najbardziej tajemniczego członka grupy. Nawet Bishir nie jest pewny jego prawdziwego nazwiska. Nazywają go Ibn 'Arabi, co zdaje się jest ironicznym nawiązaniem do pacyfistycznego nauczyciela sufi. Nadaliśmy mu kryptonim Jaguar.
- Dlaczego nie Iceman? - zaproponował Markham.
- Co? - spytał Dave.
- No tak - odparł Markham. - Wiecie... na waszym miejscu nazwałbym go Icemanem.

Dave nie dowierzał własnym uszom.

- Iceman?

- Tak, Iceman.

- Chcesz, żebyśmy go nazywali Icemanem? Ale jego kryptonim to Jaguar.

- Czy to nie jest za bardzo... przewidywalne?

Dave z rozgoryczeniem położył dłoń na piersi.

- Nie, nie jest przewidywalne... wybraliśmy Jaguara ze względu na

Tarzana. No wiesz. To takie zwierzę.

- No, domyślam się. Ale czy to nie jest nieco melodramatyczne? Dave sprawiał wrażenie, jakby poczuł się dotknięty krytyką.

- A Iceman nie jest?

- To odniesienie do literatury. Jest bardziej wyszukane.

- *Top Gun* to odniesienie do literatury?

- Nie... Iceman ze sztuki Eugene'a O'Neill'a*. Dave zgrzytnął zębami.

- Czy to ta sztuka, w której ohydne dzieciaki próbują grać chór?

- Nie, to *A Chorus Line*.

- To było naprawdę okropne. _

- Nie proponuję nazwania kogoś na podstawie *A Chorus Line*". Mówię tylko, żebyś rozważył nazwanie przywódcy komórki Icemanem.

Dave wzruszył ramionami.

- I tak nie możemy. Za późno. Zresztą mamy już Icemaną w Rija-dzie. Za bardzo by się myliło.

- No, ale Jaguar?

- Tak - odparł Dave. - Jaguar. Tak więc, jak już mówiłem, Bishir uważa...

- Jaguar? - mruknął Markham.

Dave odchrząknął.

- Bishir uważa, że Komórkę finansuje... Jaguar. Niestety, nie mamy pojęcia, skąd Jaguar bierze pieniądze. Śledzimy standardowe akcje cha-

Chodzi o bohatera sztuki Eugene'a O'Neill'a The Iceman Cometh znanej w Polsce pod tytułem Zimna śmierć nadchodzi.

Chodzi o głośny musical Marvin'a Hamlischa (muzyka) i Edwarda Klebana (teksty), którego premiera odbyła się w Public Theatre w Nowym Jorku (1975). Dziesięć lat później został zekranizowany przez Richarda Attenborougha.

267

rytatywne, szwajcarskie konta, sprzedaż narkotyków, rynki energii, tantiemy z muzyki w całym kraju i tym podobne... ale na razie nic nie mamy. Oprócz skrytki pocztowej Bishira. Tydzień temu pojawiła się tam pusta pocztówka - bez odcisków palców - z miejscem spotkania.

Pocztówka ukazała się na ekranie. Napis brzmiał WM Park 0800. Tym razem Remy nie był zbyt zdziwiony tym, że rozpoznał własny charakter pisma.

- Według nas na tym spotkaniu zostaną wyznaczone cele. Po fakcie mamy dwie możliwości. Możemy ich zgarnąć na spotkaniu, ale nie możemy nic zrobić, póki nie odmeldują się wszyscy członkowie grupy, a w szczególności Jaguar. Jeżeli zrobimy coś... za szybko, ryzykujemy, że niektórzy z nich uciekną. Jeśli z kolei będziemy zbyt powolni i...

- To wyścig z czasem - stwierdził Markham, po czym parsknął, zakrywszy usta dłonią, jak uczeń próbujący powstrzymać się od śmiechu w klasie.
- Co? - spytał Dave.
 - Nic - odparł Markham, prostując się. Zamknął oczy i parsknął ponownie.
- Co cię tak bawi? - zapytał Dave. Markham przybrał poważny wyraz twarzy.
- Nic. Tylko... nie, nic.

Dave nacisnął przycisk i pojawiło się kolejne zdjęcie. Dave przyglądał się Markhamowi z dezaprobatą.

- To nasze jedyne zdjęcie człowieka, którego uważamy za Jaguara.

Ziarnista fotografia przedstawiała dwóch mężczyzn, opierających się o barierkę na promie. Z początku Remy próbował przyjrzeć się mężczyźnie z lewej, który najwyraźniej palił papierosa.

- Mężczyzna z lewej strony to Assan - oznajmił Dave, naciskając przycisk po raz kolejny.

Pojawiło się powiększenie twarzy Jaguara, jeszcze mniej wyraźne niż pierwotne zdjęcie. Nie sposób było rozpoznać jego rysów. Ale Remy stwierdził, że mężczyzna musi być starszy, prawdopodobnie po pięćdziesiątce lub nawet nieco po sześćdziesiątce oraz że pochodzi z Bliskiego Wschodu i ma krótkie siwe włosy. Ubrany był w długi, szary wełniany płaszcz.

- No nie - mruknął pod nosem Remy.

Dave go zignorował.

- To jest Jaguar, mężczyzna, o którym mówią Ibn 'Arabi". To ironiczne odniesienie do nauk islamu jako religii miłości. Według nas Jaguar mógł kiedyś być wykładowcą i uczyć jednego lub kilku członków grupy. Sądzymy również, że jest zamerykanizowany, dobrze wykształcony i zna się na materiałach wybuchowych...

- Nie, ja znam tego gościa - przerwał Remy.

- Taa... - westchnął Dave i odwrócił się w stronę zamazanego zdjęcia Jaguara. - Mam podobne wrażenie.

Podszedł do ściany i przyjrzał się rozmytemu zdjęciu mężczyzny w wełnianym płaszczu.

- Kiedy w końcu zobaczysz twarz wroga, wydaje ci się, że znałeś go przez całe życie.

- Nie... - zaczął Remy.

- Aha! Jest jeszcze... jedna kwestia - powiedział Dave powoli, jakby szukał właściwych słów. - Pochodzi z najwyższego szczebla i nie wolno jej powtarzać nigdzie poza tą salą. - Wziął oddech. - Istnieje... obawa - jak już mówiłem, na najwyższym szczeblu - że postrzeżenie zagrożenia uległo...

- Osłabieniu? - dokończył Markham.

- Tak. Uważamy, że przyniesie to efekty przeciwne do zamierzonych, jeżeli ogólnie uważać się będzie naszych wrogów za bandę nieszkodliwych czubków, szaleńców z bombami w butach, nieudolnych fanatyków. Innymi słowy, nie możemy pozwolić sobie na schwytanie bandy nieuzbrojonych kierowców taksówek i telefonistów

z motelu.

Markham podniósł wzrok i unióśł brwi, jak gdyby usłyszał dobrą nowinę.

- Nie szukamy niczego urojonego - mówił Dave. - Nie musi to być od razu ktoś w gotowości bojowej. Ale wróg bez broni jest jak pies bez zębów. Nie będziemy zatem nic robić, póki wróg nie będzie posiadał ładunków wybuchowych. - Dave poczekał, aż wszyscy przyswoją sobie tę informację. - A wtedy... musimy działać szybko.

Ibn 'Arabi jest autorem m.in. *Traktatu o miłości*.

269

Ale kiedy Remy miał już wstać, by stwierdzić, że to wszystko szaleństwo, Markham wybuchnął nerwowym, urywanym śmiechem.

- To pojedynek ortograficzny ze śmiercią - powiedział. - Mecz hokejowy ze złem...

April otworzyła drzwi swojego mieszkania i patrząc ponad zapiętym łańcuchem, utkwiała zimny wzrok w gościu. Miała na sobie dzinsy, a pod bezrękawnikiem koszulę zapiętą pod szyją. Włosy związane w kucyk. Jej twarz zdawała się szczuplejsza. Bledsza.

Remy był przyjemnie zaskoczony faktem, że znalazł się w tym miejscu.

- Cześć - rzucił.

Nie odpowiedziała na spojrzenie jego zdrowego oka.

- Czego chcesz, Brian?
- Co się stało?
- Czego chcesz?

- Czego chcę? Chcę... się z tobą spotkać.

- Po co?

- Żeby pogadać.

- O czym?

Remy był zaskoczony jej lodowatym **nastawieniem**.

- Tęsknię za tobą.

- Powiedz mi, Brian, czego chcesz?

- No... - Nie był pewien, od czego zacząć. - Chyba jestem w coś uwikłany i... nie wiem. Muszę z tobą pogadać.

Wreszcie podniosła wzrok i dopiero teraz dostrzegła opaskę na jego oku.

Ale nie skomentowała jej ani słowem.

- Jestem pewna, że dasz sobie z tym radę - stwierdziła.

- O co chodzi? - zapytał. - Nie mogę wejść? - Spojrzał ponad jej ramieniem w głąb mieszkania. Cały salon był zastawiony tekturowymi pudłami. Na pudle stojącym najbliżej drzwi leżała sterta swetrów. - April, wybierasz się gdzieś?

- Tak - odparła. Remy odniósł wrażenie, że mówią za cicho i za szybko, jak aktorzy powtarzający znaną scenę. - Przeprowadzam się.

- Co? Dokąd?

- Brian, teraz nie mogę.

270

- Nie mogę wejść?

- Nie - odparła. - Nie możesz wejść.

- Czemu?

- Jestem z kimś.

Remy spojrzał jej przez ramię.

- Nikogo nie widzę.
- Nie zobaczysz duchów.
- Duchów? April, o czym ty mówisz?
 - Proszę cię, nie rób tego - powiedziała z wzrokiem utkwionym w podłogę.
- Nie rób czego?
- Nie zachowuj się tak, jakbyś nie pamiętał.
- Nie pamiętam. Nic nie pamiętam. To przez te luki.
 - Tak - powiedziała, łagodnie zamykając drzwi. - Więc twierdzisz...

Edgar wyglądał inaczej - dojrzałej, pewniej - choć może to dzięki fryzurze. Czuprynę, kiedyś bujną, miał teraz znacznie krótszą, po bokach ściętą najeża, z niewielką kępką z przodu. Stare, workowate ubrania zastąpiły spodnie od dresu i kurtka przeciwdeszczowa. I był zdecydowanie smuklejszy, jak już Remy zauważył wcześniej, jakby podnosił ciężary - chudą szyję zastąpiło coś w rodzaju postumentu. Remy znów o zmierzchu zatrzymał auto na ulicy, na szczycie wzgórza naprzeciwko tego samego co dawniej parkingu przy centrum handlowym. Jednym okiem obserwował przez soczewkę lornetki ruch uliczny, sznur aut wspinających się pod górę. Pomiedzy nimi dostrzegł Edgara idącego chodnikiem. Chłopak przystanął w tym samym miejscu, co poprzednio, przeskoczył murek i znów znalazł się na parkingu. Remy, tym razem zdecydowany nie zgubić Edgara, rzucił lornetkę na tylne siedzenie, wyskoczył z samochodu i torował sobie drogę wśród przechodniów. Pobiegnął chodnikiem i wspiął się na ten sam murek. Osłonięte oko bolało. Gdy znalazł się na parkingu po drugiej stronie

murku, zaczęło mżyć. Spadając z półtorametrowej wysokości, skrzył nogę w kostce. Pozbierał się jakoś, ale chłopaka już nigdzie nie było.

- Edgar!

271

Parking upiększały skrzynki z drzewkami, które stały na końcu każdego szeregu samochodów. Remy, kulejąc, obszedł samochody i rachityczne drzewka. Co kilka minut stawał na palcach, przeszukując wzrokiem środek parkingu.

- Edgar!

Grupki ludzi sunęły chodnikami w stronę głównego placu w centrum handlowym. Zatrąbił samochód i Remy w porę zszedł na chodnik.

- Edgar!

Uważnie mijał witryny sklepowe, zaglądając do każdej z nich. Sklep z futonami. Biuro rachunkowe. Ubrania ciężowe. Obsługa przyjęć. Krę-garz. Meble rattanowe z importu, sprzęt golfowy, solarium. Nigdzie nie dostrzegł syna i szczerze mówiąc, jakoś go sobie nie wyobrażał w żadnym z tych sklepów.

- Edgar! Gdzie jesteś?

Lody w gałkach i bajgle, rekrutacja do wojska i sprzedaż gitar, i telefony komórkowe, i...

Przystanął i zaczął się przyglądać sklepom, które minął. Pomyślał o fryzurze Edgara. Powoli ruszył w stronę ciasnego biura rekrutacyjnego. Była to płytka wnęka, sprawiająca wrażenie, że więcej miejsca znajduje się za pojedynczymi drzwiami w głębi. Sierżant o niepokojąco błękitnych oczach, cienkich wąsach i cofniętej brodzie siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Remy wszedł do środka. Sierżant spojrział na niego i skończył

rozmowę.

- Witam pana - rzekł. - Czym mogę panu służyć?

Remy się rozejrzył. Ta część biura wyglądała tak, jakby miała drugie dno - niewielka przestrzeń z drzwiami prowadzącymi dalej do środka albo do tylnego wyjścia.

- Czy był tu mój syn?

- Słucham...? - spytał sierżant.

- Edgar Remy. - Remy wskazał na drzwi prowadzące na zaplecze. Na plakacie widniała twarz nastoletniego twardziela w mundurze polowym, umazanego barwami ochronnymi, jakby tylko szedł pograć w futbol. Napis pytał: CZY JESTEŚ GOTOWY? - Edgar jest tam w środku?

Mężczyzna odpowiedział wolno, uspokajającym tonem:

- Proszę pana, nie jestem upoważniony, by mówić, kto tu jest lub kogo tu nie ma, nikomu poza najbliższą rodziną.

272

- Jestem najbliższą rodziną - odparł Remy. Ruszył w stronę drzwi, ale żołnierz szybko zastawił mu drogę. Dzielił ich niespełna metr. - Proszę zrozumieć, nie jest wam potrzebny. To jeszcze dziecko.

Żołnierz uśmiechnął się ciepło.

- To normalna reakcja, gdy młody mężczyzna zgłasza się na ochotnika. Trudno pogodzić się z faktem, że dziecko staje się mężczyzną.

- Ma zaledwie szesnaście lat - powiedział Remy.

Sierżant sprawiał wrażenie autentycznie rozbawionego.

- Może być pan absolutnie pewien, że szesnastolatkom nie pozwalamy się zaciągać.

Remy nie poczuł się ani trochę lepiej. Czy Edgar może mieć osiemnaście

lat? Wprawdzie minęło trochę czasu, ale chłopak nie jest jeszcze w takim wieku, żeby wstąpić do wojska. A może jednak miał już osiemnastkę?

- To jakaś pomyłka. Nie powinno go tu być. Jeszcze niczego nie podpisał, prawda?

Żołnierz wziął Remy'ego pod ramię.

- Proszę posłuchać. Nie mogę powiedzieć, kto tu jest, a kogo tu nie ma. Kiedy jednak młody mężczyzna podejmuje tego typu decyzję, nie ma od tego odwołania. A jeśli ten młody mężczyzna jest przypadkiem kimś, kto stracił ojca, i chce zrobić coś, aby pomścić tego dobrego człowieka, to nie potrafię sobie wyobrazić, jak ktokolwiek, komu naprawdę na nim zależy, może choćby pomyśleć o nazwaniu tego pomyłką.
- Ja jestem jego ojcem - powiedział Remy bezsilnie.
- Jego ojczymem? - zapytał sierżant.
- Nie. Jego ojcem.

Sierżant uśmiechnął się bez zniecierpliwienia.

- Ależ proszę się nazywać, jak tylko pan chce. Rozumiem, że nie łatwo jest wychowywać dziecko innego mężczyzny. To bezinteresowne zadanie. Rozumiem, że...

- Proszę mnie posłuchać...
- Nie - żołnierz powiedział to tak cicho, że Remy musiał się pochylić, aby go usłyszeć. - To pan niech posłucha. Byłem bardzo cierpliwy. Ale nie będę siedział beczynn timer, gdy obraża pan młodych mężczyzn i kobiety, którzy podjęli wielkoduszną decyzję o przywdzianiu mundurów. - Mężczyzna przechylił poważnie głowę, a jego elektryzująco niebieskie

oczy nabrały błagalnego wyrazu. - Jeżeli nie zamierza pan uszanować i

wesprzeć decyzji tego młodego żołnierza, będę musiał prosić pana, żeby pan wyszedł... zanim zhańbi pan pamięć jego ukochanego ojca.

Remy się roześmiał. Dźwięk własnego śmiechu wydał mu się nieco psychotyczny. Zastanawiał się, czy gdyby ruszył biegiem, udałoby mu się minąć żołnierza i dopaść do drzwi. Ale werbownik zdawał się tego spodziewać i cofnął się o krok. Po chwili Remy wyszedł z biura. Za zamkniętymi szklanymi drzwiami podoficer rekrutujący stał ze skrzyżowanymi ramionami.

Remy odwrócił się w stronę chodnika, najpierw ruszył w jedną stronę, potem w drugą. Zupełnie jakby pokazano mu kierunki, którym nie całkiem ufał, zawahał się więc i ruszył.

-Hej.

Odwrócił się. W drzwiach biura werbunkowego stał Edgar i patrzył w dół, a rekrutujący podoficer obserwował ich nerwowo przez okno, gotowy do skoku, w razie gdyby Remy wykonał jakiś podejrzany ruch. Edgar wyszedł przez szklane drzwi, które zakołysały się i zamknęły za nim. Jego czarne włosy, które zawsze miał potargane, ścięto tak, że nie dałoby się teraz zrobić przedziałka. Została jedynie króciutka szczecinka, ledwo pokrywająca różową skórę jego głowy.

-Chciałem tylko, żebyś wiedział - zaczął Edgar - że rozumiem, jak się czujesz. - Wciąż gapił się w ziemię - Naprawdę. To po prostu...

Popatrzył w lewo, przyjmując pozę tak Remy'emu znaną, że aż go zabolął ten widok i zaczął się zastanawiać, co ten wygolony młody mężczyzna zrobił z jego synem.

- To po prostu co? - zapytał Remy.

- Hmm - Edgar wzruszył ramionami. - Zrobiłem już takie postępy.

- Postępy - powtórzył Remy.
- Nie tylko ja tak myślę. Mama też. I mój terapeuta - Przysunął się. - Przeszedłem przez wszystkie stadia żałoby. Nie możesz chcieć, żebym wrócił. Po co? Żeby zaprzeczyć? Albo na złość? - Pokręcił głową. - W każdym razie nie wydaje mi się, żebym mógł wrócić. Nie teraz. Nie po tym, jak w końcu zaakceptowałem twoją śmierć - Edgar podniósł wzrok. Był już wzrostu ojca. Ale całkiem inny. - I tak naprawdę któregoś dnia przecież umrzesz. Prawda?

274

„Tak” - pomyślał Remy. „Któregoś dnia”.

Stali naprzeciwko siebie, na chodniku przed wejściem do supermarketu i patrzyli w ziemię. Edgar otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami. W końcu popchnął szklane drzwi biura werbunkowego. I zanim Remy zdążył cokolwiek powiedzieć, czy też pomyśleć, co mógłby powiedzieć, chłopiec znowu zniknął za...

April opierała się o uchylone drzwi, miała zaczerwienione oczy.

- Proszę cię, Brian. Za każdym razem sprawiasz mi ból.

Znów stał przed jej mieszkaniem, próbując przebłagać ją przez zapięty łańcuch. Zamknął oczy, by pozbyć się uczucia, że dopiero co przeżył tę chwilę.

- April. Nie wiem, co złego zrobiłem. Musisz mi uwierzyć. Nie pamiętam.

- Nie pamiętasz.

-Nie.

- Nie pamiętasz, jak zostawiłeś mnie w pokoju hotelowym w San

Francisco?

- Zrobiłem coś takiego? - Skrzywił się. - Przepraszam, April. Zrozum, odkleiła mi się siatkówka - Dotknął opaski na oku. - Moje oko jest...

Ale ona nawet na niego nie spojrzała.

-1 nie pamiętasz, jak zostawiłeś mi wiadomość, że nie możesz być z kimś, kto kocha ducha?

- Aha. Przepraszam - Remy przymknął zdrowe oko. - Naprawdę mi przykro. Nie chciałem. Proszę. - Spojrzał ponownie na kartonowe pudła poustawiane przy drzwiach. - To chociaż powiedz mi, dokąd się przeprowadzasz.

Spojrzała za niego.

- Rozdałam pieniądze.
- O czym ty mówisz? Jakie pieniądze?
- Z ugody. Pieniądze, do których wzięcia mnie przekonałeś. Wszystko rozdałam. Część dostał prawnik. Część dałam rodzicom Dereka. A resztę przeznaczyłam na cele charytatywne. Jeżeli po to tu przyszedłeś...

275

• Co? - Remy oparł się o framugę. - Nie, April. Nie obchodzą mnie pieniądze. Nigdy mnie nie obchodziły. Zrozum, ja nie wiem, co zrobiłem, mimo to... przepraszam. Wiem, że zachowywałem się dziwnie, ale potrzebuję cię.

- Potrzebujesz mnie.

Zaszokował go beznamiętny ton jej głosu. Nie znał April od tej strony.

- Zapomnijmy o tym szaleństwie i po prostu... jedźmy dokądś. Zamieszkamy w hotelu i... będziemy kupować codziennie nowe ubrania.

Zmienimy nazwiska...

• Jesteś niesamowity.

• Proszę. Zrobię wszystko, żeby cię odzyskać. - Wziął ją za rękę. - Co mogę zrobić?

• No cóż - April zabrała swoją dłoń. Oczy nadal miała półprzy-mknięte, jak gdyby miała za chwilę usnąć. A ponieważ były głęboko osadzone, dawało to efekt chłodu i celowości.

- Mógłbyś - powiedziała April - przestać pieprzyć moją szefową.

I delikatnie zamknęła mu drzwi przed nosem.

Remy stał tak przez chwilę, a potem oparł głowę o...

Drzwi innego mieszkania. Ze środka dobiegał śmiech. Remy podniósł głowę. Nie wiedział, czyje to drzwi. Kręciło mu się w głowie, jakby podskakiwał w łodzi na środku oceanu, szukając wokół jakiegoś punktu zaczepienia. Usłyszał zbliżające się kroki i choć nie pamiętał, żeby pukał, drzwi otworzyły się zamaszyście i stanął w nich Guterak ze schludnie przystrzyżonymi włosami i butelką importowanego piwa w ręce.

- Cześć, wiedziałem, że dotrzesz! - Odwrócił się i oznajmił McIn-tyre'owi i Careyowi: - I co powiedziałem? Nie mówiłem przed chwilą, że ten sukinsyn za nic nie przepuściłby mojej premiery? To się nazywa przyjaciel. Zapamiętajcie sobie, niewdzięczne darmozjady. Hej. Wchodź, stary.

Guterak wyglądał szczupłej, głównie w ramionach i klatce piersiowej, jak gdyby schudł w zupełnie niewłaściwych miejscach - przypominał kręgiel. Fryzurę też miał inną, wystylizowaną na zamierzony nieład i nażelowaną. Trzciniowata kobieta z krótkimi czarnymi włosami, również niedbale roztrzepanymi, ustawiała tace z jedzeniem

- siedmiowarstwowe *nachos* i chleb ze szpinakowym dipem - na stoliku Guteraka, przed Careyem i McIntyre'em, którzy z butelkami piwa w rękach siedzieli obok siebie na kanapie. Spojrzeli do tyłu i skinęli w stronę Remy'ego.

- Tara - powiedział Guterak. - Musisz tu przyjść i poznać tego faceta. To jest Brian Remy, o którym ci opowiadałem. Jeździliśmy kiedyś razem, ja i on. Pracowaliśmy wspólnie nad zbieraniem informacji dla Szefa, zanim ten tu skurczybyk nie załapał się na robotę za biurkiem, a potem załatwił sobie milusią grupę inwalidzką. Swego czasu przeszliśmy razem przez niezłe bagno.
- Tak, mówiłeś mi - odparła, a Remy'emu wydało się, że wychwycił delikatną nutkę poirytowania w jej głosie. Podeszła do nich, była co najmniej piętnaście lat młodsza od Guteraka. Balansowała na granicy bycia to słodką, to niedostępną: laserowo zielone oczy i kolczyk w prawej dziurce od nosa.
- Remy - Guterak mówił najoficjalniej, jak się dało - to jest Tara. Pracuje dla przedsiębiorstwa produkcyjnego, w którym się zatrudniłem. I najwyraźniej czuje niezdrowy pociąg do byłych gliniarzy.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Wiele o tobie słyszałam - powiedziała.

Gdy puściła jego dłoń, Remy z zażenowaniem dotknął opaski na oku. Zastanawiał się, czemu nikt nie wspomniał dotąd o jego oku.

- Jak tam na wcześniejszej emeryturze, leniwcu? - spytał McIntyre. Usiadł z piwem na futonie Guteraka.
- Z twoim kręgosłupem nie jest chyba aż tak źle - stwierdził Carey, gdy

warstwa dipa spadła z tortilli na jego grubą dłoń. - Wciąż chodzisz wyprostowany.

- Z moim kręgosłupem wszystko w porządku - odrzekł cicho Remy.
- Chodź. Dam ci piwo.

Paul poprowadził go do kuchni. Remy rozejrzał się po niej, przyglądając się zdjęciom dzieci Guteraka na małej lodówce. Wziął piwo i pociągnął spory łyk. Oparł się o stół.

- Słuchaj, Paul... potrzebuję twojej pomocy. Zaplątałem się w coś... nie wiem... dzieją się różne dziwaczne rzeczy i... być może stoję po nie właściwej stronie.

277

- No, naprawdę schrzaniłeś sprawę, kolego. Rozmawiałem z April. Powiedziała mi, że spałeś z jej szefową. Co ty sobie wyobrażałeś?

- Rozmawiałeś z April?

Guterak przysunął się bliżej.

- Kto by pomyślał, że trafią nam się takie młode babki, co? Jakby trafił się nam, kurwa, seks analny, no nie? Przehandlowaliśmy stare kobitki za te cizie. Powinieneś zdecydowanie do niej wrócić. Kurwa, na kolanach, stary.
- Nie, nie chodzi tylko o April. Gubię się we wszystkim... robię rzeczy, których nie pamiętam. Zupełnie, jakby było mnie dwóch - Pochylił się w stronę Guteraka. - Najpierw ta sprawa w Miami, a potem trafiłem do San Francisco... i jest to danie z pekanami, i kaczka, i ten stary Arab w wełnianym płaszczu... Jezu, zaczynam myśleć... - i kiedy słowa nabierały kształtu w ustach, Remy zrozumiał prawdę, którą z

sobą niosą - zaczynam myśleć, że... ta zła rzecz zdarzy się bez względu na to, co zrobię.

- Zadzwonię jutro do April. Pogadam z nią.
- Tu nie chodzi o April!
- Paul! - zawołała Tara z pokoju. - Już jest.
- Chodź, stary. Musisz to zobaczyć.

Guterak udał się do salonu. Po minucie spędzonej samotnie w kuchni Remy poszedł za nim. Stał z tyłu.

W telewizji leciał serial policyjny, którego zapowiedź zawsze krzykliwie oznajmiała, że jest „wydarty prosto z nagłówek gazet”. Rozległa się muzyka - *ta-da* - i wreszcie się zaczęło. Jakiś zaopatrzeniowiec pcha wózek z dużym telewizorem, gdy nagle natyka się na trupa. W kolejnej scenie dwóch policjantów z dochodzeniówki przykuca nad zwłokami. Remy znał ten rytuał: najpierw zawsze pojawia się ciało, a potem policjanci mają łązić po mieście i wypytywać ludzi, zadawać im jedno lub dwa pytania i przechodzić do kolejnej rozmowy, tak aby na pewno złapać mordercę przed rozprawą, która rozpoczyna się w drugiej części filmu. Kamera zjechała na dół, żeby pokazać ofiarę - młodego Araba rozplaszczonego na chodniku. Potem pokazała okno na górze, z którego chłopak wypadł przez przypadek lub, co bardziej prawdopodobne, całkiem nieprzypadkowo.

Remy wyprostował się i spojrzał na Guteraka, ale ten nie zareagował.

278

Film włókł się dalej. Gliniarze przepytali świadków - jedna z osób, pracowniczka socjalna, mieszkająca w tym domu, powiedziała policjantom, że rozpoznała stojącego w pobliżu mężczyznę zaraz po tym, jak ofiara wypadła z okna - to był emerytowany policjant Bruce Denny, który

niedawno wystąpił z policji z powodu problemów z kręgosłupem. Ludzie z laboratorium zabezpieczyli też odcisk buta, który chcieli porównać z butem Bruce'a Denny'ego.

Remy zakrył usta. Rozejrzał się, ale wyglądało na to, że nikt poza nim nie widział nic dziwnego w oglądanym filmie.

Ta-da. Jeden z detektywów dopadł Bruce'a Denny'ego na lotnisku, żeby go przesłuchać. Bruce Denny w filmie nosił opaskę na oku. Remy ponownie dotknął swojej opaski.

- Jezu, Paul - zaczął Remy.
- Ciiii - uciszyła go Tara.

Policjant zapytał Denny'ego o rozmiar buta. Dwunastka - taki sam rozmiar, jaki miał odcisk z miejsca zbrodni, taki sam rozmiar, jaki nosił Remy. Potem Bruce Denny zapytał, czy może się zwierzyć policjantowi. Może i był na miejscu zbrodni, zwierzył się Denny, ale nie pamiętał tego. Powiedział, że ma pewne problemy z pamięcią, że pojawiają się w niej „luki”. I poprosił, żeby policjant go śledził.

- Śledzić pana? - zapytał detektyw.
- Tak. Proszę mnie śledzić.
- Mam... śledzić pański tok rozumowania?
 - Nie. Niech pan za mną chodzi. Myślę, że jestem w coś wplątany, i chcę wiedzieć, co to jest.

W tym właśnie momencie nastąpiła pierwsza przerwa reklamowa.

Remy spojrział na Guteraka z niedowierzaniem.

- Jezu, Paul, czy ty...
 - Ciiiiii... - Guterak podniósł dłoń i wskazał telewizor. - O, już jest.

Weszły reklamy, a Remy zauważył, jak płynnie to się odbywa, przejście

z jednego świata w drugi. Policjanci zniknęli i pokazano dwoje dzieci stojących w czystym salonie jakiegoś podmiejskiego domu - „zupełnie jak w domu Carli i Steve'a” - pomyślał Remy - i gapiących się przez okno, podczas gdy światła alarmowe migały na ich twarzach.

279

„Super!” powiedziało jedno z nich. Muzyka narastała, a kamera wyszła na zewnątrz, aby zatrzymać się na strażaku i gliniarzu, którzy stali na ulicy, rozmawiając i gestykulując, wpatrzeni w jakieś niewidoczne zagrożenie - w płamę policyjnej taśmy i wirujących świateł. Policjantem był Guterak. Wraz ze strażakiem odwrócił się do kamery, oświetlano ich i filmowano od dołu, jak bohaterów.

- W razie kłopotów... - zaczął strażak.
- Które na pewno się pojawiają... - dodał Guterak.

Wówczas obydwaj powiedzieli jednocześnie wprost do kamery, zarazem jakby wskazując ją gestem:

- Potrzebne ci solidne śniadanie! Śniadanie bohaterów.

Zmiana planu. Słoneczny stół śniadaniowy. Na stole dwa pudełka płatków ustawione pod idealnym kątem. Za nimi rozmyty obraz dzieci, pochłaniających te płatki tak żarłocznie, jakby od miesięcy nic nie jadły. Każde z pudełek przypominało grafiką flagę amerykańską. Na jednym był strażak, na drugim Guterak - wyglądał poważnie, wpatrzony w przestrzeń. Dzięki magii telewizji obydwaj mężczyźni mrugnęli z opakowań płatków.

Kamera wróciła do fotogenicznych dzieci, trzymających łyżki pełne solidnych porcji owsianych wspaniałości.

- Mam płatki! - obwieściło dziecko, a Remy'emu wydało się, że wyczuł lekki ton zawodu w głosie tego chłopca, który w płatkach miał

również plasterki banana.

- A ja mam pianki! - dodało drugie dziecko bez żadnych zastrzeżeń. Wtedy głęboki głos narratora oznajmił:

- Pierwsze w nagłych przypadkach. Płatki bohaterów. McIntyre, Carey i Tara zaczęli bić brawo. Remy nie wiedział, co robić.

- Kotku - powiedziała Tara - jesteś gwiazdą.

- No i co myślisz, Brian? - zapytał nerwowo Guterak.

Ale nim Remy zdążył odpowiedzieć, poczuł jak ta chwila mu umyka i...

O świcie biegacze okrążali trawnik o kształcie nerki. Odgłos ich kroków odbijał się miękkim echem od murków otaczających planty. Remy siedział na schodkach prowadzących do parku, ponad pokrytą rosą tra-

280

wą. W ręku miał otwartą książkę, ale gapił się ponad nią na wilgotną murawę. Przyzwyczajał się do patrzenia jednym okiem, do patrzenia kątem oka. Zastanawiał się, czy w pewien sposób nie jest to właściwsze spojrzenie na świat, bez tej przerwy między oczami, owej niewielkiej odległości, którą koryguje mózg. Myślał też o martwych punktach - czy nie istnieją rzeczy, które może zobaczyć tylko teraz, a których nie dostrzegają dwuocznici.

W parku jakaś kobieta wyprowadzająca pieska rozejrzała się na boki, zanim pozwoliła zwierzęciu obesrać korę wokół czerwonych drabinek. Bliżej, na brzegu trawnika, spał bezdomny, rozdzielając strumień biegaczy tak zgrabnie, jak kamień rozdziela nurt rzeki. Przy pierwszym okrążeniu Remy doliczył się sześciorga - pięciu mężczyzn i kobieta, w następnym

okrażeniu było ich już siedmioro, a potem dziewięcioro i dwanaścioro, jak gdyby oglądał ich na trzeszczącym filmie poklatko-wym. Do parku zaczęło się wlewać światło słoneczne. Prawie wszyscy biegacze mieli słuchaweczki w uszach - każdy słuchał swojej muzyki, będąc w tej chwili najsamotniejszy na świecie. Wkrótce prócz nich pojawili się pierwsi ludzie zmierzający do pracy. Wolnym krokiem szli przez park w stronę dzielnicy finansowej, niczym komórki krwi płynące w stronę rany.

Kobiety w ciemnych rajstopach i tenisówkach niosły ogromne torby; mężczyźni w garniturach przechadzali się bez celu, czekając do telefonów komórkowych. Remy pomyślał o tamtym poranku, odległym i nagłym, o końcu lata, przeblysku chłodnej jesieni, dniu prawyborów, ludziach idących zagłosować, odwożących dzieci do szkół i przedszkoli, docierających właśnie do biur, siadających za biurkami, układających zdjęcia, przeglądających harmonogramy. Wyobraził sobie April. Jej mąż, który dopiero co do niej wrócił, poszedł właśnie do pracy. Ona, krzątając się po domu, myśli, że dostała oto szansę na nowe życie. Znajduje jednak jego telefon komórkowy, odsłuchuje wiadomości i dzwoni do siostry do pracy, a March płacze za biurkiem - obydwie pomyślały, że tamten poranek jest najgorszy w ich życiu, dopóki głuchy odgłos gwałtownego rumoru nie przeszył porannego powietrza...

Bezdomny wstał. Był wielkim czarnoskórym mężczyzną w poplamionych tłustymi plamami džinsach i parce. Przeciągnął się i od razu przystąpił do pracy - nawet bezdomni muszą tu być ambitni, pomy-

ślał Remy, żebracy pierwszej klasy, ale wyciągnięta dłoń czarnoskórego sprawiła tylko, że strumień przechodniów przeniósł się nieco dalej.

Większość ludzi podnosiła ręce, by w ten sposób powstrzymać żebraka przed wyrażeniem prośby, kilka osób pokręciło głowami, a w końcu jakiś mężczyzna dał się namówić na dobry uczynek, bo bezmyślnie przekopywał kieszeń, rozmawiając jednocześnie przez komórkę, zupełnie jakby żebrak był automatem na żetony.

Jeszcze dwie odmowy i bezdomny złowił kolejną osobę - młodego mężczyznę z Bliskiego Wschodu. Remy podniósł głowę. Ofiarą bezdomnego okazał się... Kamal, brata Assana, Obiekt Numer Jeden. Był tego pewien. Kamal miał na sobie niebieską marynarkę i jasnobrązowe spodnie, wyglądał jak chudsza wersja Assana... jak rosnąca wyżej gałązka tego samego drzewa. Niósł brązową paczuszkę zapakowaną tak, jak pakuje się kanapki. Rozglądał się nerwowo po parku. Próbował uwolnić się od bezdomnego, który chwycił go za ramię i wyglądał, jakby koniecznie chciał mu coś ważnego powiedzieć. Wreszcie Kamal skinął głową i ruszył dalej, aż dotarł do ławki, na której usiadł sztywno, jak gdyby na kogoś czekał. Położył obok siebie na ławce coś, co przypominało kanapkę. Remy sprawdził godzinę. Za trzy ósma.

Punktualnie o ósmej do ławki, na której siedział Kamal, podeszła druga osoba. To był Bishir, człowiek Agencji w Komórce. Miał na sobie wiatrówkę. Usiadł i udawał, że nie zna się z Kamalem. Po chwili Obiekty Numer Jeden i Dwa wstały, jeden po drugim, i ruszyły w stronę ulicy. Tym razem to Bishir niósł brązowy pakunek. Szli obok siebie, ale poruszali się sztywno, bardzo starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, co jednak wyglądało śmiesznie.

Remy przecisnął się w dół po schodach i podążył za obu mężczyznami, którzy przeszli powoli przez ulicę i zatrzymali się przed jakąś szkołą

podstawową, klóćąc się o coś przed jej wymyślnym ogrodzeniem z cegieł i żelaza. Kamal gestykulował, wskazując na ogrodzenie, które wyglądało niczym okręt na leniwie falującym morzu. Remy dotknął swojej pirackiej opaski na oku i poczuł, że robi mu się zimno. „Tylko nie szkoła. Nie zrobilibyście tego w szkole...”

Ruszyli, a Remy za nimi. Za rogiem, gdzie skręcili, zobaczył w zaparkowanym samochodzie agenta Dave'a, siedzącego z mężczyzną, którego Remy nie poznawał. Czy Agencja to wszystko kontroluje? Czy

282

Remy ma jeszcze śledzić Kamala? Chwilę później Kamal i Bishir zniknęli na schodach, prowadzących na stację metra. Dave i drugi agent pospieszyli za nimi.

To już? Czy Remy zrobił, co do niego należało? W zasadzie istniała taka możliwość, że gdyby dał się po prostu nieść biegowi wydarzeń tak, jak po sobie następowały, wszystko byłoby w porządku. Ruch na ulicy zgęstniał. Może nawet mógłby zjeść śniadanie...

Wtedy Kamal wyszedł z podziemi po drugiej stronie ulicy. Sam. Szedł szybko chodnikiem, a wreszcie zaczął jakby truchtać. Remy bez powodzenia wypatrywał Dave'a, a tymczasem Kamal pędził już przecnicą. Brian przebiegł więc przez ulicę, starając się wyglądać jak ktoś, komu uciekł autobus. Trzymał się w stosownej odległości za Kamalem, którego głowa gibała się regularnie w rytm kroków, jak u jaszczurki. Za sprawą wyrzutu adrenaliny Remy czuł się jak szalenciec. Czy powinien zatrzymać Kamala? Czy dzieje się coś istotnego? Czy potrafiłby to stwierdzić?

Śledził dalej młodego Araba, rozglądając się przy okazji za Davem, ale nigdzie go nie było. Czy Kamal go zgubił? Obiekt Drugi skręcił na północ,

potem na zachód, południe, a w końcu na wschód - obszedł cały kwartał dookoła. Remy pozostawał w tyle, mając go w zasięgu wzroku, i próbował zachowywać się nonszalancko, co nie było łatwe przy tempie narzuconym przez Kamala. Zatrzymywał się tu i tam, ostentacyjnie patrzył na zegarek i szedł dalej.

Kamal spieszył w kierunku siedzib rozmaitych urzędów i instytucji publicznych. Remy'ego zalała fala gniewnej bezsilności. Tu wszystko może być potencjalnym celem. Kopuły, łuki i wzniosłe neoklasycystyczne zabudowania na końcu ulicy. Wszystko tam się nadaje, pomyślał Remy, wszystkie budynki są pełne ludzi i mają znaczenie symboliczne. Przypomniawszy sobie mapę atrakcji turystycznych centrum, którą kiedyś widział, i pomyślał: „Całe miasto jest celem”. Kamal nagle się zatrzymał, zerknął przez ramię i skręcił gwałtownie w lewo, znikając w bogato zdobionym budynku, wciśniętym między pozostałe większe budowle, na który Remy nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi.

Próbował dogonić Kamala, ale nie miał pewności, czy powinien wchodzić do środka, a nie chciał zgubić Araba, który mógł za chwilę wyjść. Zboczył więc tylko do niewielkiego parku po drugiej stronie ulicy, skąd widział cały budynek. Stał za drzewem i objął wzrokiem

283

front wielkiego budynku, który, jak właśnie zauważył, wyglądał niczym zakodowana mapa. Trzy łuki na pierwszym piętrze ustępowały rzędowi kolumn sięgających trzeciego piętra oraz przypominającemu tort weselny zwieńczeniu z posągami mężczyzn - sławnych mężczyzn, których Remy nie rozpoznawał, mężczyzn patrzących na niego z góry osądającym wzrokiem, mężczyzn czekających na jakieś historyczne wydarzenie. Nawet górując nad

ulicą, zdawali się realistyczni w każdym szczególe, aż po wyrzeźbione fałdy spowijających ich szat. Nad posągami wystawały z dachu okna na poddaszu. Była to siedziba cherubinów, orłów i tarcz, symbolicznego alfabetu nie do rozszyfrowania. Wyzwolił on w Remy'ego dawną tęsknotę za lepszym wykształceniem, które pomogłoby mu zrozumieć, jak istotny jest dziób okrętu albo żołnierz i niewiasta z jednej strony oraz Indianin i pielgrzym z drugiej, gapiący się na niego w dół z niewzruszoną cierpliwością, tym najbardziej przerażającym uczuciem, jakiego kiedykolwiek doświadczył.

Coś zabrzęczało przy pasku Remy'ego. Sięgnął ręką i znalazł tam telefon komórkowy. Otworzył go i przyłożył do ucha.

- Jest taki teleturniej, którym chciałbym się posłużyć - powiedział znajomy głos po drugiej stronie. To był ten starszy mężczyzna z Bliskiego Wschodu, ten w wełnianym płaszczu. Jaguar. - Z jakiej to świętej księgi: „Zabijajcie nieprzyjaciół waszej wiary wszędzie, gdzie ich spotkacie. Wypędzajcie zewsząd... Bałwochwalstwo gorsze jest od zabójstwa”.
- Gdzie jesteś? - zapytał Remy.

Rozejrzał się po parku i skierował wzrokiem z powrotem na posągi zdobiące budynek przed nim.

- Inny cytat - oznajmił Jaguar. „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!” **.
- No dobra, to które jest z czego? - Wydał dźwięk naśladujący bzy-czek z teleturniejów. - Nie, przykro mi. Prawidłowa odpowiedź brzmi: nie ma żadnej różnicy, no może poza kwestią, czy powstaliśmy z prochu czy ze skrzepu krwi.

Cytat z Koranu. 187-214 Krowa Surah al-Baqarah objawiona w Medynie, w tłumaczeniu Jana Murzy Tarak Buczackiego z 1858 roku. Biblia Tysiąclecia, Wj 20,4.

284

- Gdzie jesteś? - zapytał ponownie Remy.
- A skoro już mowa o rzeźbionych podobiznach, to jest coś, czego nie rozumiem - ciągnął Jaguar przez telefon. - Wszyscy ci ludzie, którzy szczerze wierzą, że widzieli twarz szatana w dymie tamtego dnia. Nie wydaje ci się, że to nieco demoralizujące walczyć ze średniowiecznym fanatyzmem, kiedy połowa tych, o których walczysz, wierzy, że szatan mieszka w chmurze dymu i popiołu?

Remy położył dłoń na pistolecie i obszedł park dookoła, zaglądając za drzewa.

- Gdzie jesteś? - zapytał przez zaciśnięte zęby.
- Dokładnie tam, gdzie mi kazałeś.
- Gdzie?
- Tutaj.

Remy obrócił się dookoła.

- Kim jesteś?
- Proszę - usłyszał w telefonie. - To nie jest najlepsza chwila...
 - Mówią, że tworzysz i finansujesz tutaj komórkę organizacyjną. Że kupujesz materiały wybuchowe.
 - Jasne - stwierdził mężczyzna, jakby było to oczywiste. - Za pieniądze, które mi dałeś. Przykro mi. Potrzebne ci pokwitowanie?
 - Pieniądze, które ja ci dałem?! - Remy znów poczuł, że traci równowagę.

Przypomniała mu się koperta z gotówką. - Ale... powiedzieli, że jesteś...

- Że czym jestem? - zapytał.

- ...Jaguarem - powiedział cicho Remy.

- Jaguarem? No nie. Serio? - spytał drwiącym tonem mężczyzna. - To straszne. Boże, czy w całej tej Agencji są sami kretyni? Słuchaj, doceniam, że nie chcesz wystawić na szwank swojej pracy, opowiadając o mnie tym amatorom... no, ale daj spokój... Jaguar? Jak mogłeś pozwolić, aby mi to zrobili?

Remy z impetem oparł się o drzewo.

- A Iceman? Albo coś, co będzie odzwierciedlać moje wykształcenie? Na przykład Doktorek? Przekaż im, że według mnie Jaguar obraża mnie kulturowo i rasowo. Że nie wiesz, czy nie złożę skargi w związku z pogwałceniem praw obywatelskich. To powinno nastraszyć tych nadgorliwych dupków.

285

- Ja nie... - Remy dotknął czoła, próbując poskładać wszystko w całość. - Czy chcesz mi powiedzieć, że... pracujesz dla nas?

- Nas? Dla nas? - roześmiał się. - Przepraszam, ale twoje wyobrażenie nas wydaje się nad wyraz płynne, przyjacielu. „Jesteś z nami lub...”? Lub co? Bezkrytycznie zmieniacie strony... uzbrajacie wrogów i zastanawiacie się, dlaczego ktoś strzela do was z waszej własnej broni. Przykro mi, ale historia nie wtrąca się w wasze małe czteroletnie cykle wyborcze. „Jesteś z nami?” - Mężczyzna roześmiał się, kończąc. - Równie dobrze mógłbyś spytać, czy idę z prądem?

- Posłuchaj. Ja po prostu muszę wiedzieć... - Remy zacisnął zdrowe oko.
- Czy ty... - nie mógł znaleźć właściwych słów - próbujesz robić krzywdę ludziom?

- Jakim ludziom?

- Niewinnym - Remy zacisnął zęby. Mężczyzna roześmiał się.

- To niezupełnie zawęży nam krąg zainteresowanych.

- Ja chyba oszalałem - powiedział Remy.

- No... czasem też mi się tak wydaje - przyznał mężczyzna. I na prawdę jego głos przez chwilę brzmiał tak, jakby współczuł Remy'emu.

- Czasem wydaje mi się, że oszalałem. Kiedy indziej znów... - Rozległ się jakiś szelest. - No dobra. Wasz człowiek odebrał przesyłkę. Ponow nie jest w drodze. Wasz ruch.

Remy obszedł drzewo i zobaczył, jak Kamal wychodzi z ozdobnego budynku i tym razem niesie większą paczkę w torbie sportowej na ramieniu. Remy znów poszedł za nim pieszo, choć nie był pewien, co robić. Telefon trzymał ciągle przy uchu.

- Innym razem z kolei - mówił Jaguar - nie zastanawiasz się, czy to przypadkiem cała reszta nie oszalała? Z tymi ich kamiennymi piel grzymami, marmurowymi żołnierzami, tymi ich dziewicami w rajach i demonami w dymie. Czasem wydaje mi się, że jestem ostatnim człowiekiem na ziemi, który zachował zdrowe zmysły.

I wtedy...

Remy pędził boczną uliczką, omijając stertę kartonów, stojak na rowery i

plastikowe pojemniki na śmieci. Wybiegł na wąską uliczkę między schodami pożarowymi dwóch starych kamienic z nowiutkimi frontowy-

286

mi wejściami. Zatrzymał się i rozejrzał. Czy tutaj miał dobiec? Coś - to, co właśnie robił, albo łomot serca - sprawiło, że plamki w zdrowym oku zbiły się w chmurę niczym pszczoły. Lewe oko - czarne jak zamalowane okno - rwało pod bandażem. Remy wpatrywał się w ulicę przed sobą, próbując złapać oddech. Spojrzał w lewo. A potem w prawo.

I wtedy zza rogu po lewej wyskoczył Kamal, oglądając się przez ramię i biegnąc chodnikiem z torbą sportową, którą trzymał jak piłkę do futbolu. Na oczach Remy'ego wbiegł pomiędzy dwa zaparkowane samochody, a potem na ulicę. Remy stał spięty na chodniku, w połowie przecznicy, niepewny, co ma zrobić, aż wreszcie zobaczył Markhama wypadającego zza tego samego rogu, wymachującego bronią i biegnącego dwadzieścia kroków za Kamalem, do którego jednak cały czas tracił dystans. Remy obszedł zaparkowany samochód. Kamal go dostrzegł i próbował wyminąć, ale Remy skoczył, z impetem uderzając uciekającego ramieniem, co powaliło go na ziemię. Torba sportowa wpadła pod samochód. Kamal zaczął się zbierać, ale Remy już się na niego zwałił, wciskając mu twarz w asfalt i przytrzymując go kolanem. Chwycił go za nadgarstek i powiedział spokojnie:

- Daj drugą rękę.

Kropelki potu przyłgnęły mu do policzków. Kamal wyciągnął drugą rękę, którą Remy wykręcił do tyłu tak, że tamten aż jęknął.

- Dobra robota - Markham ledwo dyszał, dobiegłszy do nich. Z kieszeni wyciągnął plastikowe spinki i rzucił je Remy'emu, a ten założył je na

nadgarstki Kamala i solidnie zaciągnął. Markham wyciągnął spod samochodu sportową torbę.

- Co my tu mamy? Mały prezent dla wielkiego Szatana?
- Robicie błąd - powiedział Kamal z twarzą wciśniętą w asfalt ulicy.
 - Jedyne błąd, jaki popełniłem, to ten, że nie strzeliłem ci w dupę, kiedy przede mną uciekałeś - stwierdził Markham. - I słyszałem, że rumienisz się jak baba.
- Błąd - powtórzył Kamal.

I wtedy Remy usłyszał pisk opon. Zza rogu wyjechał nagle samochód i zahamował tuż przed nimi. Zanim znieruchomiał, zarzuciło nim porządnie. Była to poobijana, srebrna taksówka z nowiutkimi oponami. Remy zobaczył dwóch tępych facetów w bluzach i czapczkach z daszkiem, gramolących się ze środka, z bronią w ręku i z białymi przewo-

287

darni zwisającymi z uszu. Jednym z facetów był ufajdany bezdomny z parku.

- Odpieprzcie się od niego - warknął drugi z nich, znany Remy'emu agent z asymetrycznymi wąsami i czapczką z napisem MANIAK.

Markham wciąż stał obok i trzymał torbę.

- Kim jesteście? - zapytał.

Maniak pokazał mu jakąś odznakę.

- Może nam łaskawie wyjaśnicie, czemu znęćacie się nad naszą wtyczką? - zapytał.
- Co? - Markham osłupiał. Remy'emu prawie zrobiło się go żal. - To informator Biura?

- Niech to szlag, Remy - warknął Maniak. - Jesteśmy już tak blisko przeniknięcia do tej grupy szaleńców, a zjawiasz się ty i prawie wszystko udaje ci się spieprzyć.
- Znasz tego faceta? - spytał Markham Remy'ego.
- Przysięgam - powiedział Maniak do Markhama - że jeśli zagroziecie naszej operacji, wypatroszę was jak ryby. Jasne?

Choć raz Remy poczuł, że wyprzedza wydarzenia. Nie da się tego z niczym porównać, pomyślał. Można chcieć robić to, co należy, można sobie przyrzekać, że będzie się uważnym, skupionym, że połączy się wszystko w całość. Ale jak już raz się wejdzie na tę drogę, to nie ma to tak naprawdę znaczenia. Każda droga prowadzi do tego samego miejsca, tych samych wydarzeń, jak woda zataczająca kręgi wokół odpływu. Bez cienia wahania Remy zszedł z Kamala, przeciął mu opaski krępujące nadgarstki i pomógł wstać.

Wzrok Kamala był mglisty.

- Te bydlaki zabiły mojego brata - wymamrotał do Remy'ego. - Nie chciałem im pomóc, więc zabili Assana. To nie muzułmanie. To bydlaki. Zrobiłbym wszystko, żeby ich powstrzymać.

I dopiero wtedy Markham załapał.

- No, na litość boską - wyrzucił dłonie w górę i zamachał nimi jak miotacz, który właśnie ukończył bieg dający jego drużynie remis. - Czy ktokolwiek w tej Komórce nie jest informatorem rządowym?

Boksy były puste, światła zgaszone. Remy spojrział na zegarek. Minęła dziesiąta - „musi być wieczór” - a pracownicy archiwum najwyraźniej

skończyli już pracę. Wszedł na krzesło i zobaczył, że stoi pośrodku przepastnej sali, z kolumnami wyrastającymi co pięć, sześć metrów w tym labiryncie boksów. W każdym z rogów pomieszczenia znajdowały się drzwi, a nad każdymi wisiała duża tablica z jakimś natchnionym cytatem z przemówień prezydenta.

Remy zszedł z krzesła i rozejrzył się. Znajdował się w jednym z boksów, wyposażonym w biurko z komputerem, dwie szafki na dokumenty i kosz na papiery. Na biurku, obok stosu papierów stało zdjęcie w magnetycznej ramce - portret ubranego we flanelową koszulę młodego mężczyzny z dwójką dzieci.

Remy wziął ze stosu jeden z dokumentów. Akurat ta kartka nie była osmalona ani pognieciona. Podobnie do tamtej z hangaru, wyglądała na świeższą. Wyciąg z karty kredytowej kobiety z Sandpoint w stanie Idaho. Żółtym markerem zaznaczono jeden wpis - datek na rzecz organizacji charytatywnej AfghanChildRelief. Remy przejrzał pozostałe strony, które przede wszystkim zawierały spis niedawnych operacji bankowych.

Złożył wyciąg, schował go do kieszeni i ruszył dalej przez boksy, różniące się od siebie jedynie fotografiami na biurkach. Wreszcie doszedł do końca tego ogromnego pomieszczenia i znalazł się przy jednym z wyjść. Na górze widniały słowa prezydenta, wzywającego rodaków do „czerpania sił ze zbiorowej odwagi i wytrwałości”. Za drzwiami natrafił na długi korytarz prowadzący do jego biura. Ruszył nim w ciszy, mijając po drodze ciemne pokoje. Na samym końcu korytarza sączyło się blade światło. Minał swój gabinet i podążył dalej, aż dotarł do ostatnich drzwi z napisem SECURE. To z pomieszczenia za nimi dobiegało światło.

Remy wziął głęboki wdech i otworzył drzwi.

Ładnie urządzone sekretariat, z kanapą, okrągłym biurkiem i ścianami obwieszonymi oprawionymi w ramki okładkami magazynów, certyfikatami i zdjęciami, był teraz ciemny i pusty. Drzwi w głębi stały uchylone. Remy przeszedł przez pomieszczenie i otworzył drzwi na całą szerokość.

Szef siedział za biurkiem wielkości królewskiego łoża i przemawiał do młodego autora, który pisał za niego książkę, przytakiwał i robił notatki, gdy tamten cedził przez zęby, że „najlepszymi przykładami na to są wojsko i przestępczość zorganizowana...”

289

Szef podniósł wzrok.

- Cześć, Brian.
- Co pan tu robi? - zapytał Remy. Szef spojrzał na zegarek.
- Co masz na myśli? Przyszedłem o czasie. To ty się spóźniłeś. Co mi o czymś przypomniało... - Wskazał palcem pisarza. - Pierwsza zasada efektywnego przywództwa mówi, że trzeba lepiej zarządzać czasem niż pieniędzmi. Pieniądze może zarobić każdy. Ale tylko przywódcy mogą zyskać czas. - Pisarz wszystko zanotował.
- Jak się pan tu dostał? - spytał Remy.
- Jak się dostałem... gdzie? - Szef przeniósł wzrok z pisarza na Re-my'ego i z powrotem. - Jak się dostałem do własnej firmy?

Remy cofnął się o krok. Rozejrzał się po biurze. Stała tam bieżnia i kanapa, telewizor i odtwarzacz DVD. Na ścianach wisiało pełno zdjęć przedstawiających Szefa ze światowymi przywódcami albo oprowa-

dzającego po Strefie Zero znane osobistości. Na jednym zdjęciu królowa pasowała go na rycerza. Obok wisiało zdjęcie, na którym prezydent i Szeft ściskali sobie dłonie, a powyżej znajdował się oprawiony certyfikat Biura Wolności i Powrotu do Normy z pochwałą dla Secure Inc. za „nieocenioną pomoc w wojnie ze złem”.

- O co chodzi? - Szeft wstał. - Jesteś chory, czy coś takiego?
- Coś takiego - Remy opadł na krzesło. W pamięci dokonał przeglądu poprzednich spotkań z Szeftem, próbując przewinać fragmenty rozmów, aby znaleźć jakieś wskazówki dotyczące tego, co powinien wiedzieć.

Szeft machnął ręką w stronę pisarza wyrobnika, który poprawił okulary na nosie, zebrał swoje rzeczy i wyszedł z pokoju.

Gdy zostali sami, Szeft pochylił się nad biurkiem w stronę Remyego.

- Jesteś pewien, że wszystko z tobą w porządku? - zapytał. - Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz.
 - Pracuję dla pana.
- Szeft po prostu mu się przyglądał.
- Nie... pracuję dla rządu... nad jakąś tajną sprawą.
 - Mam nadzieję, że te bydlaki z Agencji nie próbują mi ciebie podkraść. Albo ci z Biura - dodał. - Zrozum, Brian. Wiem, że martwi cię to, że twoje zadanie dobiega końca, ale to nie jest koniec wszystkiego.

290

Potem będziemy mieli inne zadania. A ja nie zapomnę o twoich zasługach, jeżeli to cię tak martwi. Nigdy nie zabraknie okazji dla kogoś z tak niezwykłym... - pauza wydała się długa, zamierzona - ...zestawem umiejętności.

Remy wyjął z kieszeni wyciąg, który zabrał z boksu.

- Tak zarabiamy pieniądze?

Szef wyprostował się w fotelu, jak oparzony.

- Ty i ja służymy naszemu krajowi, Brian. Podjęliśmy się zadania, którego nie był w stanie wykonać rząd. - Szef zmienił taktykę. - Do kładnie tak, jak zapowiadaliśmy w naszej ofercie, Brian: w dzisiejszym świecie nie ma granicy między cywilem a żołnierzem, między biznesem a rządem. Sektor prywatny jest ostatecznym, niejawnym wykonawcą. Nie wygramy tej wojny, jeżeli nie użyjemy swojej najpotężniejszej bro ni - gospodarki wolnorynkowej. Sam tak mówiłeś.

- Nie mogłem tak powiedzieć - zaprotestował słabo Remy.

Szef machnął ręką.

- Nieważne, kto tak powiedział. Pamiętam, że coś tam mówiłeś - westchnął. - Zrozum, wiem, jak się czujesz. Naprawdę. Twoje zadanie powoli się kończy. Wszystko poszło w ruch i jeśli wypali, zasługi zostaną przypisane komu innemu. Rozumiem. Ale my będziemy wiedzieli, Brian. Ty i ja... zawsze będziemy pamiętali o tym, co zrobiliśmy.

Szef sięgnął do kieszonki na piersi, wyciągnął kopertę i przesunął ją po biurku w stronę Remy'ego.

- Proszę. Ostatnia część twojego kapitału założycielskiego - Szef wstał i zaczął zakładać płaszcz.

Remy otworzył kopertę i zobaczył pliki studolarówek. Zaschło mu w ustach.

- A jeśli zrezygnuję? - zapytał.

Szef odwrócił się, żeby wziąć z biurka teczkę. Uśmiechnął się.

• A jeśli zrezygnuję? - pomyślał o April. - Jeśli po prostu... odejdę? Szef

przyglądał mu się uważnie przez jakiś czas.

- O co ci chodzi, Brian? Prosisz o podwyżkę?

- Nie, nie proszę o pieniądze. Odchodzę.

- Zamierzasz na finiszu porzucić własne przedsięwzięcie, chociaż jest już bliskie realizacji? Nie mogę w to uwierzyć. - Szeff uśmiechnął się znacząco. - Oczywiście, masz pełne prawo tak postąpić. Zrobiłeś, co

291

do ciebie należało. Ale zadaj sobie jedno pytanie, Brian: jeżeli komuś stanie się coś tylko dlatego, że nie dopilnowałeś sprawy do końca... czy będziesz mógł z tym żyć?

Remy'emu zrobiło się niedobrze. Pomyślał o Jaguarze, o Markhamie i Dave'ie i Maniaku. Pomyślał o Assanie na łodzi i o tym, w jaki sposób Kamal zrzucał za to winę na terrorystów, o al-Zamilu na chodniku i o tym, jak Dave zrzucał za to winę na terrorystów. Ukrył twarz w dłoniach.

Szeff znalazł się przy jego uchu, szepcząc natarczywie:

- Wiem, że było ci ciężko, Brian. Wiem, że się krytykujesz, ale czy choć przez sekundę szczerze wierzyłeś w to, że którykolwiek z nas będzie zamieszany w coś, co nie byłoby absolutnie konieczne? Na chwilę pominę sugestię, że mi nie ufasz... Z pewnością ufasz sobie.

Remy milczał.

- No, dalej. Czego się boisz?

- Że przeze mnie stanie się coś złego.

Szeff roześmiał się.

- Że przez ciebie?! Mój Boże, masz nieco wygórowane ambicje, nie uważasz? Rozejrzyj się, Brian. Żyjemy w podzielonym świecie. Ani ja, ani ty tego nie wymyśliliśmy. Nie wymyśliliśmy dziury w samym sercu

miasta ani ludzi, którzy chcą poznać nasz sposób na zniszczenie życia. Cokolwiek by się teraz stało, stanie się bez względu na nasz w tym udział. Zawsze wiedzieliśmy, że kolejny atak jest nieunikniony.

- Ale oni wszyscy pracują dla...
- Oni... to wrogowie. Oni wszyscy biorą udział w antyamerykańskich działaniach lub głoszą antyamerykańskie idee, bo inaczej nie znaleźliby się na naszym celowniku - powiedział Szeff. - Oni nienawidzą naszych wolności. Nie przez ciebie pisali wywrotowe listy i prowadzili takie rozmowy. Musimy znajdować takich ludzi, zdolnych do barbarzyńskich działań i powstrzymywać ich, zanim nawet o czymś takim zdążą pomyśleć. - Najwyraźniej szukał argumentacji, która pozwoliłaby przekonać Remy'ego. - Pomyśl, myśliwy nie wypłoszy ptaków, jeżeli nie wyśle psa w zarośla. Moją firmę wynajęto, żebym wypłoszył ptaki. Do tego zadania najlepszy wydał nam się pies. Pies nie zadaje pytań. Nie martwi się o powody. Biegnie tam, gdzie mu każą. Szczeka. A potem... - Szeff założył płaszcz. - Czeka, aż kaczki zaczną spadać - Kręcił głową, zapinając guziki płaszcza. - Chcesz wiedzieć, przez co to się

292

stało, Brian? To wszystko? Powiem ci. - Rozejrzał się po luksusowym biurze, jak gdyby widział je po raz pierwszy. - Zadaj sobie pytanie: co powoduje głód? - Nie czekał na odpowiedź. - Głód.

Butelka guinnessa idealnie leżała w jego prawej dłoni, w lewej trzymał krążek do gry w shuffleboard*. Remy się rozejrzał.

- Chyba nie powinno mnie tu być - stwierdził.
- A gdzie miałbyś być? - zapytał starszy mężczyzna, opierający się o

stół do gry.

Remy przyjrzał mu się - to był Gerald Addich, starszy człowiek, którego organizator znalazł w gruzach. W jego wyglądzie uwagę zwracały przede wszystkim ogromne uszy. Na czoło opadał mu kosmyk kręconych siwych włosów. Mówił po angielsku z ponurym akcentem trzeciego pokolenia imigrantów irlandzkich, a głowę miał pochyloną nieco do przodu, jakby nie mógł cholernicy udźwignąć.

- Nie wiem - odparł Remy. - Ale coś się dzieje... i prawdopodobnie powinienem teraz coś z tym zrobić.
- Zawsze coś się dzieje - powiedział starszy mężczyzna. - Ale jeśli nie wiesz, gdzie powinieneś być... to to miejsce jest równie dobre, jak każde inne. Twój rzut, Kapitanie Hak.

Bar był mały i zatłoczony, a Remy grał w shuffleboard ze staruszką tak bladą, że prawie przezroczystą w klasycznym garniturze z pogniecioną białą chusteczką i w zdobionych złotem pantoflach.

- Zresztą i tak nie możesz odejść, póki nie odpowiem na twoje pytanie - stwierdził staruszek.
- Okay - Remy przesunął krążek po planszy, która wyglądała jak posypana mąką kukurydzianą.
- Hej, masz jeszcze szanse - stwierdził starzec, gdy krążek zawirował i doleciał do końca planszy, zawisł na chwilę na krawędzi i w końcu spadł. - Ale na planecie o większym przyciąganiu. Zachłanny, stary piracie. Zdajesz sobie sprawę z tego, że nie dostajesz punktów, jeżeli krążek wyleci poza planszę? Mówiłem ci o tym, prawda?

Remy napił się guinnessa.

Shuffleboard - gra przypominająca bilard, w której uczestnicy muszą umieścić krążek w odpowiednim miejscu na planszy.

293

- Tak mi się wydaje.
- No, dobra. O co pytałeś? A, racja. Chciałeś wiedzieć, skąd człowiek wie, czy zrobił to, co należy. Chłopcze, tego się nie da przewidzieć.
- Mężczyzna wysunął dolną wargę, a broda opadła mu na szyję. - Zarzykuję nawet stwierdzenie, że nigdy tego nie wiadomo - nachylił się.
- Ponieważ jednak człowiek może się nigdy nie dowiedzieć, czy postąpił właściwie... Powiem ci jedno: człowiek zazwyczaj wie, kiedy robi coś niewłaściwego. Ale nie o to przecież pytałeś.
- Nie? - zdziwił się Remy.
- Nie. Jeżeli się nie mylę, to tak naprawdę pytałeś o to miasto.
- Miasto?
- Nie o jakieś miasto. O to miasto. Posłuchaj: wiem, że ten arogancki dupek, dla którego pracujesz, sądzi, że wymyślił to miejsce, ale to nieprawda. Pracowałem dla Lindsaya, kiedy to on był Szefem, a każdy cholerny dzień był katastrofą, która załamałaby tego tyrana, twojego szefa. Sześćdziesiąty szósty rok w Browns na wschodzie, czarnuchy walczące z Portorykańczykami walczącymi z Gwinejczykami, tam szalała wojna. Cholerna wojna. Mały trzylatek, malutki Russell Givens - pamiętasz małego Russella Givensa?

Remy nie pamiętał.

- Jak można było zapomnieć o Russellu Givensie? Widzisz, w tym tkwi problem. Mamy pamięć zbiorową jak dziwka po czwartym ślubie. Ten biedny Russell został pewnego dnia postrzelony z balkonu. Wysialiśmy tam pięćdziesięciu gliniarzy, co w tej biednej dzielnicy wyglądało jak jakaś parada, tylko że zamiast konfetti leciały cegły, buty i płonące butelki.

Drobny staruszek rzucił krążkiem, który zatrzymał się przy kratkach za trzy punkty.

- No, tylko popatrz! Jeszcze dwa mocne, Mona! - krzyknął, machając swoją butelką. - Dla mnie i mojego zatroskanego młodego przyjaciela. Przypomnij mi, proszę, swoje imię.
- Remy.
- Freddie. Wiesz, co mnie najbardziej dotknęło, Freddie? Russell Givens miałby dzisiaj, no ile, czterdzieści kilka lat? - Starzec pokręcił głową. - Mniej więcej tyle, co ty. Ale oczywiście wszystkich zapamiętuje się w tym wieku, w którym zmarli. Russell już zawsze będzie miał trzy latka. A ja już zawsze będę stary.

294

Addich przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń.

- No więc... Sześćdziesiąty szósty? Pracownicy firm przewozowych urządzają strajk... chcesz zobaczyć wyłączone z życia miasto, niech kierowcy autobusów i pracownicy metra urządzą strajk. Dwa lata później to samo było ze śmieciarzami, a Lower East pokryły góry śmieci, gnijące obierki, śmierdziało, jakby całe miasto wymarło. Nauczyciele w O-Hill, każdy związek zawodowy w mieście budził się tego samego dnia i stwierdzał: „Przerwijmy to skurwielstwo”. Rockaways, Bushwick, South J, Corona. Wszystko wrzało i topiło się w letnim upale i chyba

wszystkie kwartały zbiedniały i stawały się coraz bardziej rasistowskie i coraz brutalniejsze. Miasto się spalało. Wtedy też mieliśmy szalonych muzułmanów, Pięcioprocentowców", którzy zabijali Żydów na wzgórzach, póki ktoś nie zastrzelił ich szefa - chwycił Remy'ego za ramię.

- Miasto było beczką prochu. Twoja kolej, młody.

Remy rzucił krążkiem, który ponownie prześlizgnął się przez całą planszę, zatrzymał się nieco dłużej niż poprzedni i spadł.

- Strażacy, jadąc do pożaru, zabierali kije i broń. Ludzie wzniecali ogień tylko po to, żeby na nich napadać. Kradli im sprzęt, spodnie, wozy. Wysyłaliśmy gliniarzy, żeby chronili strażaków, a potem musieliśmy wysłać kolejnych gliniarzy, żeby ochraniać gliniarzy, których wysłaliśmy, żeby ochraniać strażaków, których wysłaliśmy, żeby ugasili ogień! Wybuchły trzy, cztery pożary dziennie i wkrótce wozy po prostu przestały jeździć do niektórych dzielnic... całe kwartały spłonęły i w samym środku tego wszystkiego, niczym panienka od pogody, mówiąca, że w sierpniu jest gorąco, pieprzony Kerner przychodzi nam powiedzieć, co już dobrze wiemy: nasi gliniarze to rasiści, a getta są przepełnione.

Staruszek zrobił krok do przodu i rzucił kolejny krążek, który sunął po planszy, aż zatrzymał się tuż przy pierwszym. Wtedy pojawiła się kelnerka z kolejnymi dwoma piwami.

- Zapłać dziewczynie, Siwobrody. I daj jej taki napiwek, jakbyś miał u niej szansę.

Remy wręczył kelnerce dziesięć dolarów.

* „Pięcioprocentowcy” - młodzieżowy gang operujący na ulicach Harlemu, który pozostawał pod wpływem Clarence'a Edwarda Smitha. Miała to być - jak sami twierdzili - grupa 5% muzułmanów, którzy palą i piją.

- A hipisi! - Staruszek pokręcił głową i spojrzał na Remy'ego. Oczy miał jak malutkie, wyszlifowane kamienie. - Całe miasto przy pomińało jakiś pieprzony cyrk. Radykałowie z Columbii biegali i darli mordy, „Pod mur, skur...” codzienne protesty, protestujący przeciwko protestom. I nie jak teraz, damulki w strojach do joggingu, maszerujące w przerwie na lunch. Mieliśmy byłych więźniów z cegłami w rękach. Agitatorów Bliskich Bogu. Gliny nie wiedziały, w które głowy walić, no to waliły we wszystkie. - Pokręcił głową. - W każdą jedną. Twój rzut.

Remy skupił się, żeby krążek nie wypadł za krawędź. W rezultacie zatrzymał się w połowie planszy, przy prawej barierce, chwilę balansował na brzegu i spadł.

- Jesteś najgorszym pieprzonym graczem w shuffleboard, jakiego widziałem - stwierdził starszy mężczyzna. - W sumie to śmieci zabiły Lindsaya. W końcu wszystko sprowadziło się do śmieci. Całe miasto pełne były śmieci. Złe szkoły, złe usługi, wzrost przestępczości, parki i metro to horror, skorumpowani gliniarze, a wszystko, co robiliśmy, tylko pogarszało sprawę. Zapłacisz więcej śmieciarzom, żeby sprzątnęli śmieci, to nauczyciele uderzą. Wyślesz policję, żeby stłumiła manifestacje, to pobije protestujących, co zwiększy liczbę protestów, więc trzeba wysłać więcej policji.

Odwrócił się, chwycił Remy'ego za ramię i powiedział niskim, ochrypłym głosem:

- To miasto jest, cholera, duże, młody. To potwór. Nie sposób prze

widzieć, co może się tu spieprzyć jednego dnia. Tym miastem zarządzał Lindsay i tym miastem częściowo zarządzałem ja. Przez dziesięć pięć przonych lat w tym mieście nie dało się żyć. To był zlew. Niekurwiarygodny zlew. I wiesz, co się wtedy stało? Wiesz?

Remy czekał. Starszy mężczyzna podszedł jeszcze bliżej, tak blisko, że mogliby się pocałować.

- Zrobiło się jeszcze sssstraszniej - wysyczał. - Sześćdziesiąty szósty... siódmy? Najniższy krąg piekła. Narkotyki. Gangi. Bankructwa. Prawie się już stąd wyprowadzałem ze cztery, pięć razy. - Staruszek odchylił się i myślał przez chwilę. - Ale wtedy coś się stało. Coś... niespodziewanego. Cud.
- Co? - zapytał Remy.

296

Addich upił spory łyk piwa.

- Poszedłem... na spacer. Pewnej nocy nie mogłem spać, więc wstałem wcześniej, przed świtem. Ubrałem się. I poszedłem na spacer. Była wiosna. Powietrze świeże i czyste. I coś niesamowitego... sklepikarze podlewający kwiaty, dzieciaki rozwożące gazety i jakaś para stojąca obok budynku, w którym mieszkałem. Trzymali się za ręce na randce, której żadne z nich nie chciało skończyć. I to mnie uderzyło. To trudne miejsce. Boże, to strasznie trudne miejsce. Ale co rano się budzi. Bez względu na to, co mu zrobisz wieczorem. Budzi się.

Starszy mężczyzna się cofnął. Przygotował się do rzutu, ale odwrócił się i spojrzał Remy'emu w twarz.

- Kiedy zobaczyłem w telewizji tych szaleńców na Bliskim Wcho dzie... podskakujących i świętujących z tego powodu, że jakieś czubki

zamordowały trzy tysiące ludzi, to wiesz, co pomyślałem?

Remy pokręcił głową.

- Pomyślałem: Spieprzajcie. W lepszych latach sami tyłu zabijali śmy. To miasto ma was gdzieś. Mnie też. I ich. I Russella Givensa. Miasto martwi się o wywóz śmieci. I pociągi. To jest ta tajemnica... coś, czego te stuknięte dupki nigdy nie pojmą. Nie można rozwalić tego miejsca. Nie tego. Sami to robimy od trzystu lat. A ono, pieprzone, zawsze się zbiera do kupy.

Księżyc był dopiero w nowiu - jasny srebrny pasek wisiał pomiędzy dwoma budynkami. Pod srebrnym globem przepłynął obłoczek, podkreślając go przez chwilę i odtruwając w dal. Remy stał przy oknie w swojej sypialni, zagapiony w miejsce pomiędzy schodami pożarowymi budynków po drugiej stronie ulicy. Odsunął się od okna i pozwolił, by zasłona opadła. Pokręcił głową, żeby pogimnastykować szyję, włożył dzinsy i spojrzął na zegarek. Za piętnaście czwarta. Usiadł na brzegu łóżka, chcąc zawiązać buty, ale najpierw sprawdził, czy nie ma na nich krwi.

Zamierzał udać się w jedno jedyne miejsce, gdzie jeszcze miał szanse cokolwiek zrozumieć. Wziął płaszcz z krzesła i opuścił mieszkanie. Ruszył korytarzem w stronę schodów, a wreszcie wyszedł na ganek. Rozejrzał się po ulicy. Pusto - chodniki lśniły w ciemnościach. Powietrze było chłodne i czyste, jak gdyby rano przyszła nowa dostawa, a stary zapas spłukano i wrzucono do śmietnika. Stojąc na ulicy, Remy spoj-

rzał w górę na okno swojego mieszkania. Było ciemne i niedostępne. Remy odniósł dziwne wrażenie, że może widzi je po raz ostatni. Ruszył.

Ulice błyszczały, jak gdyby przed chwilą padało, ale niebo było zupełnie czyste. Zaciągnął się zapachami poranka: spalinami ciężarówek, wonią ścieków, bajgli - ale nie rozpoznawał tego zapachu i był zdziwiony, że mu się to nie udaje. Kiedy to się stało? Podejrzewał, że ten zapach nigdy go nie opuści. Pamiętał to mgliście, ale sama woń różniła się od wspomnienia, jak melancholia od smutku.

Remy zatrzymał się między dwoma zaparkowanymi samochodami, a potem przeszedł przez pustą ulicę. Przystanął, gdy ujrzał znajome auto zaparkowane w pewnej odległości od jego mieszkania, w niedozwolonym miejscu, obok hydrantu. Remy podszedł bliżej i na miejscu dla kierowcy zobaczył rozłożonego Guteraka, który spał, pochrapując, z lekko uchylonymi ustami. Paul miał na sobie mechate palto w poziome pasy, a na szyi lornetkę. Na kolanach Guteraka leżał notes. Na otwartych stronach Remy dojrzał tekst: „02:12 - Obiekt BR wraca do mieszkania. 02:24 - Gasną światła”. Remy pozwolił, by jego dłoń przez chwilę zawisała nad przednią szybą, po czym zapukał w okno.

Guterak się ocknął, rozejrzał dookoła, a potem zmieszany spojrzął na Remy'ego. Wreszcie opuścił szybę.

- O, cześć. Właśnie... - Ale nic nie przyszło mu do głowy. Remy kucnął przy oknie.
- Mogę to obejrzeć?
- Aha - podał Remy'emu notes. - Pewnie. Wiesz... proszę mnie, żebym...
- Tak, pamiętam - rzekł Remy. Dziennik obejmował parę ostatnich miesięcy, choć czasem przeskakiwał po kilka dni naraz. Na górze każdej

strony widniała data, poniżej biegły trzy kolumny, w których podane było, dokąd i kiedy poszedł Remy oraz kiedy stamtąd wyszedł i dokąd się udał. Remy przejrzał wpisy i znalazł notki o mieszkaniu April, domu Carli i Steve'a („został w samochodzie”), wyjściach do biblioteki i sądu oraz dużej liczbie barów tudzież kawiarni. Było tam też o mieszkaniu Nicole i biurze Secure Inc. Dwa razy Paul podążył za nim na lotnisko, ale nie wchodził do środka. Dziwnie było patrzeć na swoje życie przedstawione w ten sposób, szczególnie że wyglądało znacznie mniej tajemniczo, niż Remy się spodziewał. Stwierdził, że w zasadzie pamięta wszystko,

298

co zapisano w dzienniku, i zaskoczyła go jego bezużyteczność - miejsca i godziny bez kontekstu, pozbawione wyjaśnienia „dlaczego”. Paul ziewnął.

- Przepraszam, że nie jest kompletny, ale robiłem, co mogłem. Trochę wyszedłem z wprawy. Ciągłe cię gubiłem i o wszystkim zapominałem.
- Nie. Jest dobrze - powiedział Remy. Oddał dziennik przez otwarte okno. Spojrzał na przyjaciela. - Mówiłem ci już, że bardzo podobała mi się twoja reklama?
- Naprawdę? Dzięki, stary. To wiele dla mnie znaczy.
- Byłeś świetny.
 - Nie sądzisz, że wyglądałem za grubo w porównaniu z tym sikawkowym?
- Nie. Wyglądałeś dobrze.
 - Dzięki - Paul wyprostował się w fotelu i pokręcił głową, jakby próbował rozjaśnić umysł. - Mogę cię o coś spytać?
- Pewnie - Remy oparł się o samochód.

Paul rozejrzał się, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłuchuje.

- Czy czasem masz takie wrażenie, że wszystko się od ciebie od
daliło?

Remy się uśmiechnął.

- Siedziałem raz wieczorem z Tarą, oglądałem się w reklamie płatków i, cholera, przysięgam na Boga, za nic nie mogłem zrozumieć, co się dzieje. No wiesz, powinienem być zajebiście szczęśliwy. Ale jedyną osobą, z którą chciałbym to oglądać była... Stacy. Ze wszystkich ludzi na świecie... ta niewdzięczna krowa. Ale przysięgam, na litość boską... to było jak... była taka chwila... Naprawdę nie wiem, jak trafiłem tam, gdzie jestem. Wiesz, o co mi chodzi? Czy to ci się kiedykolwiek zdarzyło?
- Powinieneś wrócić do domu, Paul - rzekł Remy.
Guterak skinął głową. Spojrzał na kierownicę, a potem na Rem/ego.
- Tara odeszła.
- Co się stało?
 - Nie wiem. Puścili tę reklamę. Skończył mi się, kurwa, żel do włosów. Kto wie? - Wzruszył ramionami. - Może za dużo mówiłem o tamtym dniu.
- Przykro mi.

299

- Jak to jest, że ty nigdy o tym nie mówisz? Wszyscy gliniarze, których znam, mówią, nawet jeśli ich tam nie było. Ale ty... nigdy.

- Naprawdę niewiele pamiętam.

- Nic?

- Nie.

Ale nie była to cała prawda. Remy pamiętał coś z tamtego dnia. Papier. Pamiętał dym i pamiętał, że stał sam, a z nieba spadały miliardy kartek papieru. Niczym wiadomości w morzu, tylko bez butelek, miliard błagań i życzeń rzuconych na wiatr. Pamiętał, jak idzie pod długimi cieniami i patrzy na opadający papier, a pomruk pod stopami nasila się i...

Guterak przyglądał mu się uważnie.

- Ostatni raz tamtego dnia widziałem cię, jak wchodziłeś do środka. Pamiętasz chociaż to?

-Nie.

- Nie mogliśmy się z nikim połączyć przez to cholerne radio i wyglądało na to, że ewakuacja przebiega wolniej. Na górze był tylko dym i ludzie, którzy wypadali, wyskakiwali... a ty powiedziałeś, że wejdiesz i się rozejrzysz, zobaczysz, jak im idzie ewakuacja. Nie wracałeś z piętnaście minut, czy coś koło tego... kiedy nagle wszystko poszło w pizdu. Byłem pewien, że cię straciliśmy, aż do momentu, kiedy cię zobaczyłem wieczorem.

Remy próbował sobie coś przypomnieć, ale daremnie.

- Czasami żałuję, że sam tam nie wszedłem - dodał Guterak.
- Co ty gadasz?
- Kiedy wszystko zaczęło się walić, taki strażak żółtodziób... głupi dzieciak, pobiegł do środka. Minąłem go, on wbiegał do środka, a ja uciekałem. - Oczy Guteraka zalśniły. - Czasem słyszę, jak ludzie używają przy mnie słowa „bohater” i... robi mi się niedobrze.
- Idź do domu - powiedział Remy. - Spotkaj się ze Stacy. I z dziećmi - Wstał i puknął dłonią w dach samochodu. - I już mnie nie śledź.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Paul zamknął okno. Remy patrzył, jak

Guterak odjeżdża. Później sam ruszył, a jego cień ciemniał w świetle latarni, do której się zbliżał. Szedł powoli chodnikiem, starając się pozostać w mroku. Na niebie blednący sierp księżycy podążał za nim wąską ulicą. Remy poszedł na południe, potem skręcił na wschód przez dziel-

300

nice, których nigdy wcześniej nie odwiedzał pieszo, ciche, eleganckie dzielnice otoczone szeregiem firm - drukarni i barów, punktów sprzedaży telefonów komórkowych, o fasadach zasłoniętych mnóstwem skrzynek, krat i drzwi garażowych. Kątem oka dostrzegł aleję, na której witryny sklepowe zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Szewcy i rzeźnicy, drukarze i sprzedawcy golarek, restauracje z południową kuchnią, sklepy z płytami i lombardy, które pewnego dnia zamienią się w biura sklejaczy genetycznych, klonistów zwierząt i sprzedawców jetpacków. To miasto. Tak, wszyscy wierzą, że to oni stworzyli to miejsce, że ich czas jest jedyny, a prawda jest...

W ziemi spoczywa historia. Pomnika upamiętniającego Gettysburg nie postawili w pierwszym lepszym punkcie. Postawili go pod Gettysburgiem lub w podobnym miejscu, o czym świadczy to, co kryje w sobie ziemia. Stanowiły jedność: ziemia i miejsce - orane, rozdrapywane i zmieniane, jasne, ale nadal miało się świadomość, że znajduje się w niej pełno kości, chrząstek i bohaterstwa. To ważne. Ziemia jest ważna. Ziemia jest naznaczona każdym naszym krokiem w życiu, DNA tego, co podniosłe i tego, co banalne, każdej bitwy, pościgu, jałmużny, pocałunku, upadku, psiego gówna, kantu, odbicia piłki, kraksy samochodowej, wyścigu rowerowego, przechadzki o wschodzie słońca, handlu rybami, rozboju. To

najwyższa miara każdego wydarzenia, zarówno błahego, jak i niewyobrażalnie doniosłego, i pamiątka po nich. Remy obracał się to w tę, to w tamtą stronę, chłonąc wszystko wokół i doświadczając swojej niepełności. Czuł się w pewien sposób oszukany, jak gdyby ktoś zabrał mu pamięć wraz z brudem i gruzem. Jego umysł był dziurą - pamięć i rozsądek wydostały się na zewnątrz. Skoro nie można ufać ziemi pod stopami, to co nam zostało? Jeśli ktoś zabierze tę ziemię, to niby co nam zostanie?

A jednak to właśnie zrobili. Odsunął się od płotu i spojrzał ponad nim. Zabrali. Nie zostało nic oprócz dziury, ziejącej pustki o szerokości boiska piłkarskiego, a głębokiej na piętnaście metrów, ze szlakami komunikacyjnymi, przecinającymi otwór jak kładki dla chomika, z drogami wspinającymi się po ścianach, ze śladami kopania rozdrapującymi wszystko, koparki i wywrotki, reflektory oświetlające pustkę. Boże, wszystko rozkradli. Nic dziwnego, że nikt już nie pamięta, jakie to miało

301

znaczenie. Nic dziwnego, że wszystko przekreścili. Jak można pamiętać coś, czego już nie ma? Remy przechylił się przez barierkę. Spojrzał na płot, na rzędy umierających kwiatów, na karteczki z wyrazami otuchy i sprzeciwu, pozostawione przez zwiedzających. Jezu. Przypomina to teraz każde inne miejsce, jakby teren pod budowę centrum biurowo-przemysłowego albo parkingu przy centrum handlowym.

Przez chwilę wyobrażał sobie, że jest w niewłaściwym miejscu. Czy to na pewno tu? Chryste, wyglądało na takie małe. Wcześniej było wystarczająco rozległe, żeby pomieścić każdą tragedię (i spadanie, i spłonienie, i zawalenie)... ale teraz wszystko zniknęło. Wszystko zniknęło: sylwetki stalowych kształtów, do połowy zasypane dwuteowniki, listewki żaluzji i

sproszkowany beton, góry gruzu i połamane ramy okienne, szary, niezidentyfikowany gruz, górki i dołki z gipsu, tkanin i... i stali! Stali układającej się w ściany katedry i osłony, i łuki, i jaskinie, i kamienne nogi, jak zniszczone posągi. A papier?

Oczekiwał, że coś poczuje. Ale jak można żywić uczucia do miejsca, które zostało rozkradzione? Co było pod tymi stosami? Nic? I nikt?

Został tylko głęboki otwór, teren pod budowę zalany betonem, jak każdy inny w mieście, które żyje z takich dziur, pożerając się kwartał po kwartale, żeby zrobić miejsce dla nowych, dymiących dziur otoczonych płotem, tak licznie czekających na wypełnienie nowymi budynkami. A to największa z tych dziur, uprzątnięty krater otoczony amerykańskimi flagami i zwiędłymi bukietami kwiatów. Czekający na dźwigi. Ponad nim wyblakłe niebo, kolory jak w starym filmie, wszystko w tępych ziemistym odcieniu nowego betonu. Co zostaje z miejsca, z którego zabiera się ziemię? Czy to miejsce w ogóle jeszcze istnieje? Jeżeli weźmie się całą wyspę i przeniesie się ją gdzie indziej, czy miasto będzie tam, gdzie było, w szerokim kanale dwóch ujść rzeki... czy w nowym miejscu, tam, gdzie przeniesiono ziemię?

Remy wyczuł obecność mężczyzny obok, zanim jeszcze tamten się odezwał.

- Trafna nazwa - powiedział. - Nie sądzisz?

Remy odwrócił się. Nie zdziwił go widok Jaguara. W pierwszym świetle poranka mógł mu się po raz pierwszy dobrze przyjrzeć. Mężczyzna był po sześćdziesiątce, wyglądał inteligentnie, miał chudą, po-bruzdzoną twarz i krótko obciętą siwą brodę i włosy. Wełniany płaszcz

302

nosił zarzucony na ramiona. Wskazywał ręką na monumentalny teren

budowy przed nimi.

- Brak wszelkich wymiarów czy ilości.

-Co?

-Zero. Brak wymiarowi ilości. Osoby lub przedmioty pozbawione dostrzegalnych właściwości czy nawet istnienia. Punkt wyjścia do obliczeń. Godzina zero - tego typu rzeczy. Stan lub forma kompletnego braku. Punkt neutralny między dwoma przeciwieństwami. Wyzerować celowniki: skoncentrować siłę ognia na konkretnym celu. Dobrze, choć nieco dosłowne.

Remy włożył rękę do kieszeni płaszcza i natrafił tam na dwie rzeczy. Na swój pistolet. I na wypchaną kopertę, którą dostał od Szefa. Ręka wędrowała od jednego przedmiotu do drugiego.

Mężczyzna kontynuował:

-Ale najlepsza derywacja, najbardziej pasująca do moich finansów to: wyjść na zero. I tak jest chyba w tym przypadku. Zyski i straty się wyrównują. Nie ma szansy na inny wynik prócz zachowania status quo. Chociaż... - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Nie. Mów, co chcesz. Nazwa pasuje.

Remy podniósł wzrok i ponownie ujrzał sierp księżyca, blady, tuż przed zniknięciem w świetle dnia. W ciągu następnych piętnastu godzin już się nie zobaczy księżyca, choć oczywiście nadal będzie istniał, wywołując przyływy, dwubiegunowość i narodziny dzieci. A i tak wszyscy uparcie mówią co wieczór, że księżyc się pojawił, że wzeszedł, jak zabobonni ludzie wydrapujący swój strach na ścianach jaskiń.

-To słowo z arabskiego - kontynuował mężczyzna. - Zero. Pocho

dzi od słowa *sifr*, które oznacza pusty. Słuchaj, świat nie znał pojęcia

zera, nicości, póki nie przynieśliśmy go na Zachód. Oczywiście, ukradliśmy je Hindusom. Ale Zachodowi nigdy nie przyszło do głowy, że przed jedynką może być jakaś cyfra. Nawet w tej ich wielce osławionej cywilizacji nie mogli za nic zrozumieć pojęcia pustki, nieskończoności, koła, które samo się wypełnia. Nie potrafili załapać samej idei policzenia nicości. Lub wszystkiego. Bez zera nie można pojąć liczb ujemnych. Niepodobna zatem dostrzec nieskończoności. Wszechświat traci sens. Nie ma negatywów dla zrównoważenia pozytywów, nie ma osi obrotu, zła dla zrównoważenia dobra. Bez zera każdy system prędzej czy później

303

pada. - Skinął głową, jakby chciał przekonać siebie samego. - W rzeczy samej - powtórzył - to dobra nazwa. Remy przełknął ślinę.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał.
- Zrobimy wszystko zgodnie z planem. To, co kazałeś mi zrobić. Remy chwycił za broń w kieszeni.
- Nie pozwolę, żeby komuś się coś stało.

Jaguar zmierzył Remy'ego nieustępliwym wzrokiem.

- Jestem po twojej stronie, pamiętasz?
- A to dobrze czy źle?

Kącik ust Jaguara drgnął w uśmiechu.

- Pojąłem aluzję. - Przechylił głowę. - Więc co... próbujesz się zdecydować, czy mi zapłacić, czy mnie zabić, prawda?

Brzmiało to jak żart, ale Remy nie wyjął ręki z kieszeni, zostawił ją między bronią a pieniędzmi od Szefa.

- A to ma jakieś znaczenie? - zapytał.

- Dla mnie trochę ma - Mężczyzna podniósł dłoń. Remy nie

miał pojęcia, co robić.

- Może powinienem zastrzelić sam siebie - stwierdził.

- Już próbowałeś - mężczyzna wskazał przed siebie, nie odwracając wzroku.

Remy poczuł się pokonany i zdecydował się wreszcie przekazać pieniądze. Obejrzał się przez ramię w stronę Wall Street i zobaczył pierwszych turystów sunących z otwartymi ustami i aparatami w pełnej gotowości. Pozowali sobie wzajem do zdjęć po obu stronach plastikowej flagi amerykańskiej, którą przypięto do barierki. Remy obserwował to przez chwilę, a następnie rzucił się przed siebie, wczepiając się palcami w siatkę otaczającą dziurę, która kiedyś mieściła świat.

Pokój podsłuchów rozbrzmiewał gwarem pracy, tłumacze dwoili się i troili, agenci wchodzili i wychodzili z wydrukami, ekrany komputerowe rejestrowały poziomy głos. Remy wszedł do środka, nie mogąc złapać oddechu, jak gdyby całą drogę biegł. Pomieszczenie było długie i wąskie jak sala konferencyjna w tanim motelu, z ciągiem okien wychodzących na rzekę i rzędem półek na przeciwległej ścianie, wypełnio-

304

nych oprawionymi zapisami transkrypcji. Po obu stronach pomieszczenia znajdowało się stanowisko z komputerem rejestrującym poziomy nagrań cyfrowych. Tłumacze siedzieli obok techników ze słuchawkami na uszach. Tłem przekazu w mikrofonach był monotony arabski głos - *Bism-allah, al-Wadud, Ar-Rahim* - a dwaj pozostali mężczyźni kłócili się szeptem.

- Imię Boga kochającego... i miłościwego - powiedział tłumacz.
- Gdzie byłeś? - wyszeptał Markham. - Prawie się spóźniłeś. Wszyscy są

już w pokoju hotelowym i czekają na Jaguara. Kiedy przyjdzie, przystąpią do działania. Słyszemy Kamala, nagrywającego swój film z zapowiedzią samobójstwa. To jest... strasznie fajne.

Agent Dave stał z głową wyciągniętą jak u drapieżnego ptaka i patrzył przez ramię na siedzącego tłumacza, mężczyznę po pięćdziesiątce ze skołtunionymi czarnymi włosami, koncentrującego się na monotonnym głosie w tle. Odezwał się po angielsku, twardo wymawiając spółgłoski i robiąc liczne pauzy:

- ...jak... hm... przykazał Allah... yyy— coś tam niewierni... ci, którzy chcą zniewolić i hmm... jak to się mówi... uwieść...
- Pogwałcić - krzyknął drugi z tłumaczy z przeciwległego końca pokoju.
- No właśnie - przyznał pierwszy tłumacz. - Hm... pogwałcić... ziemię dwóch świętych miejsc... niewierny wilk...

Nad wszystko przebijała się prowadzona po angielsku rozmowa pozostałych dwóch mężczyzn, których głosy wyłapywał mikrofon podsłuchowy.

- To szaleństwo - powiedział jeden z nich, przebijając się przez mamrotanie w tle. - Nie zrobię tego.

Remy rozpoznał ten głos. To było Mahoud, właściciel restauracji.

- Słuchaj, wystarczy, że nagrasz jakieś nawiedzone pierdoły - od-szeptał Bishir. - Nic potem nie musisz robić. Tylko zakryj twarz, weź karabin i mów o niewiernych, wilkach i takich tam.
- Nie. Nie mogę.

- Widzisz tamtego faceta? - wyszeptał Bishir. - Czy wygląda jak ktoś, kto by się mógł opierdalać? Obu nas zabije, jak mu się wyda, że się wycofujemy.

W pokoju technicznym Dave obgryzał paznokcie.

305

- No, dalej, dalej.
- Aleja nigdy nie chciałem... - zaczął Mahoud.
 - Słuchaj, nie ma znaczenia, co chciałeś - odparł Bishir. - Teraz jesteśmy tutaj. Nagraj kasetę i możesz wiać. Ale jeśli zaraz wyjdiesz, to obaj jesteśmy martwi.
 - Zgadza się - stwierdził Dave. - Trzymaj go na smyczy, Bishir. Nie pozwól, żeby ktokolwiek wyszedł.
 - Niezły jest - powiedział Markham cicho. - Szkoda, że nie od nas.

Remy poczuł, jak ziemia wiruje.

Tłumacz ględził dalej:

- ...poprowadź mnie prostą ścieżką... nie ścieżką tych, którzy ścigali na siebie gniew...

- Musimy to przerwać - stwierdził Remy. Markham chwycił go za ramię.
- Nie, Brian. To już prawie koniec.
 - To Remy? Niech się, kurwa, zamknie! - ryknął Dave. - My tu próbujemy pracować.
 - To wszystko nasi ludzie - wrzeszczał Remy. - Niech ktoś to przerwie!
 - Nic nie zrobimy, póki nie dotrze tam Jaguar z bombą. Mamy trzech z czterech członków grupy. Potrzebujemy już tylko jednego.
 - Mają bombę? - zapytał Remy Markhama. Patrzył, jak agenci i tłumacze przemierzają się po pokoju niczym mrówki po lodach.

- Co by to był za zamach bombowy, gdyby nie mieli bomby - odparł Markham, jakby to było głupie pytanie.
- Daliśmy im bombę?
- Detonator nie jest prawdziwy - sprostował Markham.
 - To szaleństwo - stwierdził Remy. I ponownie krzyknął: - Zrozumcie! Musicie to przerwać! Natychmiast!
 - Dobra! Mam dość. Zabierzcie go stąd! - rozkazał Dave i nie odwracając się, pokazał na Remy'ego. - Dostałeś swoją szansę. Teraz nas zostaw i pozwól nam pracować.
 - To szaleństwo! - wrzeszczał Remy.

Markham zaczął ciągnąć go za rękę w kierunku drzwi. - I morza zawrą - mówił tłumacz - i... yyy... wszystkie dusze będą wiedziały, co było tego przyczyną.

306

- Dokonało się - powiedział inny tłumacz, gdy zamykały się drzwi za Remyem.

W korytarzu Markham przytrzymał Remy'ego za ramię.

- Co się z tobą dzieje? Remy'emu zrobiło się niedobrze.
- To wszystko nasi ludzie.
- Teoretycznie - przyznał Markham.
- Nie. To wszystko wtyczki. Każdy z nich.
 - Tak - stwierdził Markham, jak gdyby Remy właśnie powiedział, że wzeszło słońce.

- Wszyscy pracują dla nas.
- I na tym polega genialność tego planu. Co się może nie udać?
 - Nie, to szaleństwo - powiedział Remy i odepchnął Markhama od siebie. Zaczął biec korytarzem.
- Brian! - krzyknął Markham. - Wracaj.

Remy skręcił za róg, ale nadal słyszał głos Markhama:

- Okey, ale przegapisz nalot!

Remy wybiegł na długi, pusty korytarz. Drzwi za jego plecami nosiły napis, który uznał za nazwę lipnej firmy - AU Field Transit. Po prawej miał klatkę schodową. Wpadł na nią. Gdzieś włączył się alarm, ale Remy nie przestawał biec po ciemnych schodach, przeskakując co drugi stopień, trzy piętra w dół. Nie wiedział, dokąd zmierza, wiedział tylko, że musi coś zrobić. Wpadł do holu, minął drzemiącego strażnika i przez obrotowe drzwi wydostał się na zewnątrz. Stał na ulicy i zaczął przeskakiwać wzrokiem z budynku na budynek. Pomieszczenia podsłuchowe zawsze znajdowały się w pobliżu celu, więc Komórka musiała mieć spotkanie w którymś z tych budynków.

Był deszczowy poranek, taksówki walczyły o pierwszeństwo z wozami dostawczymi i limuzynami. Pobiegł ulicą. Na rogu zatrzymał się i rozejrzał w obie strony, spoglądając na okna, jak gdyby w jednym z nich mógł ujrzeć znajomą twarz. Wtedy, jakieś sześć metrów przed sobą, dostrzegł znajomą taksówkę. Drzwi otworzyły się i wysiadł z niej Maniak z cienkim kablem zwisającym z ucha. Środkowym palcem przytrzymał słuchawkę.

- Jezu, Remy, powinieneś być teraz na ulicy? Lada chwila spodziewamy się Icemana. O, czekaj, musisz to usłyszeć - powiedział, jak na-

stolatek, który znalazł sposób na podglądanie dziewczyn w przebieralni. - W pokoju hotelowym mamy trzech krwiopijców, którzy odklepują modlitwy i inne gówna. Zupełnie jak w telewizji.

- Trzeba to przerwać!

Maniak mrugnął.

•Spokojnie. Mamy tam naszą wtyczkę i pełno ludzi w całym hotelu. - Machnął ręką w stronę budynków. - Naszych snajperów wystarczyłoby na pięćdziesięciu chłopca. Jak tylko się pojawi, wchodzimy.

•Nie, nie. A jeśli się coś nie uda? Co będzie, jeśli wybuchnie bomba?

•Bez obaw. Mają lipny detonator.

•Na odwrót! - krzyknął agent z samochodu.

•No dobra - zgodził się Maniak. - Detonator jest lipny. Bomba jest prawdziwa.

•Nie. Na odwrót - powtórzył agent z samochodu. Maniak pochylił głowę tak, żeby zajrzeć do środka wozu.

•Prawdziwa bomba, lipny detonator?

- Nie - odpowiedział głos z samochodu. - Ciągłe mówisz **to samo**.

A jest na odwrót.

Maniak wzruszył ramionami.

- Nieważne, nie martw się. Mamy wszystko pod kontrolą. Jak tylko pojawi się nasz koleś Iceman, wchodzimy. Śmierdziele z Agencji posrają się ze strachu, jak wkroczymy. - Klepnął Remy'ego w ramię. - Raz jeszcze dzięki, brachu.

Remy potarł brew.

Właśnie wtedy, agent siedzący w samochodzie osunął się na siedzeniu i syknął:

- Lód na stawie!

Remy przemknął oczami po ulicy, do miejsca gdzie starszy mężczyzna z Bliskiego Wschodu, z ogoloną twarzą i głową, ubrany w nowe, kanciaste okulary, szedł w stronę dzielnicy bogatych. Pod jednym ramieniem niósł sportową torbę, a pod drugim swój wełniany płaszcz. Ruch na chodniku rozstąpił się, a Jaguar sięgał do drzwi budynku i rozejrzał się.

- Wyglądaj naturalnie - powiedział Maniak i złapał Remy'ego w najbardziej nienaturalny uścisk, jakiego Remy w życiu doznał.

308

Gdy Jaguar wszedł do budynku, obrócił głowę o kilka stopni, patrzył z przymrużonymi oczami i Remy przez króciutką chwilkę miał wrażenie, że Jaguar go widzi.

- Cel jest w środku. Zająć pozycje - powiedział Maniak do urzędnika umieszczonego na nadgarstku. Drugi agent wysiadł z auta i przezierał się przez tłum, a Maniak puścił duszący uścisk i stanął za następnym agentem.

Remy'ego zostawiono na chodniku, stał jak przyklejony w miejscu. Obrócił się w lewo i zobaczył, że z budynku, z którego właśnie wyszedł, wyłaniają się Dave, Markham i jeszcze jeden agent od telegrafu. Przechodzili przez jezdnię pośrodku ulicy. Wtedy Dave odwrócił się, żeby spojrzeć na ulicę, tam gdzie Maniak skręcał na rogu, widać było, jak jego głowa balansuje nad linią zaparkowanych taksówek.

- Daj spokój. Na pewno żartujesz. - skamlał Dave. Szedł szybciej.

Maniak odwrócił się, zobaczył Dave'a i ruszył biegiem w stronę

budynku.

- Czekaj - powiedział Remy bezradnie. Popatrzył na budynek, w którym zniknął Jaguar, i zobaczył, że w oknach na samej górze pojawia się dwóch mężczyzn. Ubrani byli w kamizelki kuloodporne, karabiny mieli zawieszane na ramieniu. Zaczęli spuszczać się na linie po froncie budynku.
- To jakieś szaleństwo - mruknął Remy, sam do siebie.

I wtedy właśnie zabrzączał telefon przypięty do paska. Sięgnął po niego i odczytał numer. Dzwoniła April...

- Halo? - Remy stał w tłumie ludzi, ciężko oddychając. Cały był spocony, jakby długo biegł. - Słucham?

- Tak? - odpowiedział jakiś zmieszany mężczyzna. - Czy my się znamy?

Jego twarz naznaczona była długą blizną po oparzeniu w kształcie stopy niemowlaka. Siedział na walizce z kółkami.

- Nie. Przepraszam. Po prostu... mówiłem do siebie.
- Sam do siebie mówił pan „halo“?
- Na to wygląda - Remy oderwał wzrok od twarzy mężczyzny i rozejrzał się. Stał przy bramce metra, między automatami sprzedającymi bilety, a przed mapą przesłoniętą pleksiglasem. Minął zagubionego

309

mężczyznę i podszedł do planu metra, którego linie wiły się w stronę środka wyspy, a potem nagle skręcały w lewo - czerwone, niebieskie, pomarańczowe, zielone i brązowe - jak schemat kanalizacji wieżowca. Ktoś przykleił do mapy ogromny kawałek jasnozielonej gumy do żucia. Po chwili

zastanowienia Remy odkleił gumę i zobaczył strzałkę z napisem „Jesteś tutaj”. Był na przystanku metra przy stacji kolejowej.

Odwrócił się od mapy. Przyłożył dłonie do głowy, jak gdyby mógł uruchomić swoją pamięć ręcznie. „Dzwoniła April”. Tak. Remy wyjął telefon komórkowy, ale nie było zasięgu. Zaczął oddychać dużo płycej - poczuł ukłucie takiej samej nadciągającej klaustrofobii, jak tamtego bezsilnego ranka („stojąc na ulicy... padający papier... wiadomość o braku zasięgu w komórce...”).

Remy rozejrzał się z obłędem w oku. Próbował się skoncentrować, ale niczego tam nie było. Zadzwonila. Czy wyjechała pociągiem? Jedzie na zachód, do domu do Kansas, czy może do San Francisco? Być może autobusem. Przystanek jest zaledwie o ulicę dalej. Nie, nie pojechałaby autobusem. Może pociągiem na jedno z lotnisk. Pamiętał, że jest takie połączenie z Newark. Perony znajdują się chyba po drugiej stronie terminala, dwa poziomy niżej. Próbował sobie przypomnieć. Czy to New Jersey, Transit czy Amtrak? Co odjeżdża do Newark?

Remy zbiegł po schodach i pomknął tunelem, który znajdował się pod ulicą. Wpadł na ludzi stojących na końcu korytarza, po czym jednym susem pokonał kolejne stopnie. Z głową przepełnioną wspomnieniami („wchodzi powoli po gorącej klatce schodowej... kaszlący maruderzy o twarzach oblepionych dymem idący w przeciwnym kierunku”) przemknął obok grupy piłkarzy i zderzył się z kioskiem, przypominającym pełen dóbr konsumpcyjnych magazynek karabinu maszynowego. Najbardziej go zdziwiło, gdy z powrotem usiłował ułożyć na półkach wszystko, co zważyło się kaskadą i upadło wkoło niego: czasopisma i cukierki, pistacje i gumy do żucia, cygara, żyletki, tabletki przeciwbólne, baterie, filmy, długopisy i

ołówki (jak długo człowiek mógłby wyżyć z zawartości jednego kiosku?).

- Ej, dupku! - krzyknął sprzedawca, ale Remy już biegł po rampie.

Doszedł do wielkiego terminalu, ale tu przyhamował go tłum, strumień pasażerów metra niosących aktówki i ciągnących walizki na kółkach, ich twarze błyskały w jego zdrowym oku niczym zdjęcia. Chociaż

310

przywykł do ślepoty, ciągle na kogoś wpadał i mamrotał przeprosiny. Zatrzymał się pośrodku wielkiego terminalu, otaczali go podróżni, ich głosy były ciche i buczały jak trutnie w gnieździe os. Coś było nie tak i wydawało się znajome („odwraca się nagle... zatrzymuje na schodach... strumień ludzi przemieszcza się w dół...”).

Tłum się przerzedził i Remy pobiegł przez terminal w stronę kas biletowych pociągów podmiejskich - NJ Transit, LIRR i Amtrak. W kolejce do okienek czekała garstka ludzi. Jakaś kobieta spierała się z dwoma chłopcami w takich samych koszulkach „Giants”, nowojorskiej drużyny futbolowej. Jeden z nich podniósł wzrok na Remy'ego i zakrył sobie lewe oko.

(„pojawiający się na pustym parkingu... biały papier i tłące się kawałki stali i ciała... i przez ułamek sekundy był sam, opadający papier... miasto nigdy nie było tak milczące... a potem: głęboki, cichy jęk...”)

Przechodził od okienka do okienka, czytając rozkłady jazdy, listę odjazdów: Trenton i NE Corridor. Dover. Nowy Brunszwik. Ekspres Acela.

- Gdzie u diabła jest Newark? - zawył.

Ludzie w kolejce odwrócili się, przyglądając mu się z zainteresowaniem. Wreszcie znalazł właściwy numer wyjścia i już się odwracał, żeby tam

pobiec, kiedy ponownie usłyszał znajomy dzwonek.

„April!" Znow miał zasięg. Po raz kolejny niemal upuścił telefon, kiedy go wyciągał.

- Gdzie jesteś? - zapytał.
- A jak myślisz? Ulatniam się. - To był Markham. - Zakładam, że niszczysz dokumenty. Do tego mnie wyznaczyli. Naturalnie... nigdy nic dla nas nie robiłeś.
- O czym ty mówisz?
- Boże, ale bajzel. Biuro i Agencja powiedzą, że była to jakaś wspólna operacja, ale to było zbiorowe spieprzenie sprawy, nic więcej. Jak tylko Jaguar wszedł, agenci zaczęli dosłownie walić drzwiami i oknami, wczołgiwali się przewodami wentylacyjnymi. Jaguar wyciągnął broń, no i mieliśmy ogień krzyżowy, mają cholerne szczęście, że nie stracili żadnego z agentów...

Głowa opadła Remy'emu na klatkę piersiową.

311

- Szlag. Może i można ścigać się z czasem. Ale nie można z nim wygrać.

Remy się rozłączył. Wpakował telefon z powrotem do kieszeni. Musiał się stąd wydostać. Zaczął przepychać się przez tłum. Markham zadzwonił ponownie, ale Remy go odrzucił. Może to wszystko samo minie. Szedł przez stację i przyglądał się przechodniom. Nagle przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. To nie Jaguar poszedł do pokoju. Tylko taksówkarz. I wtedy pojawiła się jeszcze gorsza myśl: „Łatwy cel. Dużo ludzi. Poważne zakłócenia. Łatwy dostęp dla mediów. Amatorskie kamery i kamery w telefonach, które spotęgują horror". Zatrzymał się i rozejrzał po stacji.

Zakładał, że znalazł się tutaj, bo chciał odszukać April...

Łatwy cel.

Telefon nadal dzwonił. Remy słyszał też inny dźwięk, dochodzący z drugiej kieszeni. Sięgnął po słuchawkę, którą dał mu Maniak. Z jej gładkiej główki dochodziły czyjeś głosy i jakieś zakłócenia. Włożył słuchaweczkę w ucho.

- Potwierdzam ostatni przekaz... lokalizacja jest zabezpieczona.
- Rozpoznał głos Maniaka. - Ponownie potwierdzam, że wszystkie cztery obiekty zostały zdjęte, wielokrotne rany postrzałowe. Zabezpieczyliśmy cel i zneutralizowaliśmy cztery obiekty.

W radio pojawił się kobiecy głos:

- Srebrny-Jeden, czy w tej chwili ktokolwiek na miejscu potrzebuje pomocy lekarskiej?

Na chwilę wszystko ucichło.

- Nie - powiedział Maniak przez radio. - Prędzej czy później potrzebna będzie grupa snajperów i kilka toreb. Powtarzam: Zneutralizowaliśmy cztery obiekty i wciąż szukamy pakunku...

Remy'emu zrobiło się niedobrze. Wyjął słuchawkę z ucha, ale nadal słychać było w niej głosy. Przez chwilę się jej przyglądał, a potem wyrzucił ją do śmieci.

Telefon ciągle dzwonił. To nie był numer Markhama. Odebrał.

Głos był przepełniony zimnym gniewem:

- „W dniu tym niektóre twarze będą jaśniejące, beztroskie radością, ale będą też twarze poczernione brudem - twarze niewiernych i pozbawionych łaski”.

Remy'emu znów przysłała na myśl ta scena: Jaguar wręcza pieniądze taksówkarzowi i wysyła go do pokoju w hotelu.

- Posłuchaj, przysięgam... Ja nie... - zaczął Remy. Ale nie wiedział, co zrobił, a czego nie. Odwrócił się powoli, lustrując tłum. - Gdzie jesteś? Jesteś tu? Czy to tu... - powoli obracał się dookoła, obserwując ludzi. Parka w takich samych dresach, trzymająca się za ręce... Kobieta ze słuchawkami na uszach, pchająca wózek spacerowy... Dwóch młodych mężczyzn w szpitalnych fartuchach, z papierowymi kubkami kawy w rękach...

- Wiesz, to straszna ironia - mówił Jaguar przez telefon. - Powtarzałem moim studentom, że w Koranie są sto dziewięćdziesiąt dwie wzmianki o litości Allacha. A tylko siedemnaście o jego zemście. Ale jakoś zawsze musimy to spieprzyć. Zupełnie jak tu. Odrzyj proroka z ubóstwa i litości, zbuduj świątynie, czczące bogactwa oraz władzę. Ale zrozumiałem to, kiedy zobaczyłem cię, jak stoisz na ulicy i rozmawiasz z tym agentem, wtedy uświadomiłem sobie, że zostałem zdradzony...
- Nie... - zaczął Remy, ale Jaguar mówił dalej:
 - Przyszło mi do głowy, że myliłem się przez te wszystkie lata. Może władza i zemsta... to właśnie to, czemu powinniśmy wznosić świątynie. Zadziwia nas fanatyzm kogoś, kto chce umrzeć w jakiejś sprawie. Ale pomyśl przez chwilę o innych rzeczach. O desperacji. Gniewie. Pragnieniu czegoś na kształt sprawiedliwości.

Remy nadal powoli obracał się dookoła.

Dwie dziewczynki w mundurkach szkoły katolickiej...

Otyły mężczyzna w kombinezonie dozorczy...

- Chodźmy gdzieś porozmawiać. Ty i ja.

- Ty i ja - powtórzył tamten. - Tak. Nasze rozmowy były interesujące.

Mam nowy temat: czy myślisz, że człowiek może zdać sobie sprawę z tego, że jest czarnym charakterem we własnej opowieści?

Remy nie był pewien, o którym z nich mówił.

- Może na łożu śmierci? - zapytał Jaguar. - Czy wtedy to do człowieka dociera? Czy uświadamia sobie, że był narzędziem w rękach sił, które w swoim mniemaniu zwalczał?

Remy obejrzał się przez ramię:

Starsza para w pasujących do siebie jedwabnych płaszczach...

313

Metalowiec w koszulce Bullsów*...

- Czy przez cały czas... - zapytał Jaguar - czy byłem celem?

Remy już chciał odpowiedzieć, że nie wie. Ale miał już dość powtarzania tego w kółko.

- Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie - rzekł w końcu.

- A reszta?

- Wszyscy dla nas pracowali. Żaden z nich nie wiedział o pozostałych.

Jaguar milczał przez chwilę. W końcu zapytał cicho:

- Dlaczego?

Bez rozgoryczenia, jak gdyby zadawał jakieś obszerniejsze pytanie.

Remy ponownie chciał powiedzieć, że nie wie. Ale to już nie byłaby prawda.

- Głód - stwierdził. Telefon się wyłączył.

- Halo? - Remy potarł policzek. - Halo!

Obrócił się jeszcze raz dookoła. Stał w samym sercu dworca, w centrum wirującego gąszczu twarzy patrzących na niego... i wreszcie **nic** mu nie pozostało. Opuścił ręce i odchylił głowę.

I wtedy właśnie zobaczył April.

Miała na sobie dwurzędową kurtkę i wełnianą czapkę, szarpała się z dwiema ciężkimi walizkami na kółkach, idąc w stronę peronu, z którego odjeżdżają pociągi do New Jersey. A skoro nie pozostało już nic innego, pomyślał, może trzeba uciec.

- April! - Remy podążył w jej stronę, przeskakując barierkę i biegnąc wzdłuż szyn.

Ale nie zauważył, dokąd poszła.

Zbiegł po schodach w stronę peronów na otwartym powietrzu. Dostrzegł ją kątem oka, jak wchodzi do poczekalni na peronie obok, od którego dzieliły go dwa tory. Walizki ciągnęła za sobą.

- April! - zawołał ponownie.

Nie usłyszała go.

Chicago Bulls - drużyna koszykówki z Chicago występująca w amerykańskiej zawodowej lidze NBA.

314

Pobiegł w górę schodami, przez kładkę i w dół następnymi schodami, sunąc ręką po poręczy. Zatrzymał się na chwilę na wąskim peronie. Przeszklona poczekalnia była zaparowana. Nie widział, co jest w środku.

Spojrzał na tor - pociąg jeszcze nie nadjechał. Remy ruszył w stronę poczekalni. Drzwi otworzyły się przed nim automatycznie. W środku na plastikowych krzeselkach siedziało zaledwie kilkoro ludzi, czytających

gazety i książki. Jakiś mężczyzna rozmawiał przez telefon komórkowy.

Walizki April stały przed nią, ona sama w jednej ręce trzymała bilet, a w drugiej rozkład jazdy pociągów, który czytała. Dwurzędowa kurtka szczelnie zapięta pod szyję. Powoli podniosła wzrok i spojrzała na niego błagalnymi ciemnymi oczami. Potem przeniosła spojrzenie na coś ponad jego ramieniem.

Remy odwrócił się i przez otwarte drzwi zobaczył, jak na peron wchodzi Jaguar. Jego szary wełniany płaszcz był wybrzuszony, jakby miał pod nim jakiś nieporęczny pakunek. I trzymał coś w dłoni, telefon albo pilota.

Remy odwrócił się znów w stronę April i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w jej oczach było tyle... przebaczenia, że aż zatkało mu dech w piersiach i mógł tylko żałować, że ta chwila nie będzie trwać wiecznie.

- Przyszedłeś - powiedziała...

Nic poza powietrzem, z początku. Nie było tak źle. Kiedyś gdzieś czytał, że budynki również składają się głównie z powietrza. Może to właśnie jest największe niebezpieczeństwo: powietrze. Z całą resztą można by sobie jakoś poradzić - ze stalą, papierem i ludźmi. Może to właśnie powietrza trzeba się strzec. Zassało wszystko do środka, w tym Remy'ego, a następnie wyrzuciło, niczym miech, jak ocean gromadzący wodę, żeby uformować miażdżącą falę. Wybuch za plecami Remy'ego nie był ani gorący, ani zimny. Nie miał żadnych właściwości poza stałym naciskiem, wszystko wypełnił hałas, wstrząsający i przenikliwy, ciężki od szkła, a ułamek sekundy później zawtórowało mu głuche łupnięcie, gromki basowy grzmot, jakby ktoś próbował przestraszyć Remy'ego na śmierć, a potem nastąpił oślepiający błysk i w końcu, kiedy hałas był już nie do zniesienia, pojawił

się żar - palący, niesiony powietrzem, wolny, lek-

315

ki... jak papier, ciśnięty i lecący wraz z innymi spadającymi rzeczami... oszalałe kartki, płonące, z wypalonymi rogami, rozbłyskujące w powietrzu, póki nie zostało po nich nic prócz cieniutkich czarnych krawędzi... a potem wszystko zniknęło, dziura i nic prócz odległego wspomnienia kotłującej się czerni, która rozwinęła się, uniosła go i przez chwilę utrzymywała w najcieplejszym prądzie...

Ciemno. Żadnych smużek i mętów. Nic. Brian Remy śnił lub wyobrażał sobie, że śni: leżał na brzuchu i przyglądał się z nieba, jak rozwiera się wielka szczelina i wszyscy znikają w jej wnętrzu. Śnił, że ludzie nie zwracają uwagi na płacz w niebie i zajmują się swoimi sprawami, wypełniają zeznania podatkowe i co jakiś czas ktoś wpada do szczeliny, ale reszta może spokojnie wrócić do swoich zajęć. Śnił również o tym, że ludzie mówią do niego przytłumionymi głosami, pytają, jak się czuje i czy ich słyszy.

Śnił, że obok jego łóżka siedzi kobieta i trzyma go za rękę.

April?

- Nie, to ja - odpowiedziała March Selios.
- Wydostałaś się?
- Jako ostatnia. -Gdzie jesteś?
- Tutaj. Wszyscy tu jesteśmy. Zawsze tu byliśmy.
- Jest tu April?

Ale nie usłyszał odpowiedzi. We śnie włożono go do gorącej kąpieli, a potem, w ciemności, śnił, że jest rozciągnięty na brzuchu na desce, a ludzie wbijają mu szpilki w plecy, a następnie je wyciągają, jakby oznaczali

ruchy wojsk w czasie bitwy. Śnił o tym, że ludzie dźgają go igłami i polewają mu skórę płynnym ogniem, po czym pytają, czy to czuje. Wiedział, że lepiej nie odpowiadać na pytania w snach, więc tylko leżał, śniąc, że oddzierają mu kawałki skóry z wnętrza dłoni i podeszew nóg, żeby sprzedać je turystom. Sen nie był taki zły... luki pojawiały się płynnie, mógł więc przeskakiwać między różnymi wydarzeniami bez żadnych obaw, nie oczekując zrozumienia.

Śnił o Edgarze, który jest jeszcze dzieckiem, ale zamiast szyi ma pień drzewa.

Sny stały się jeszcze dziwniejsze - stłumione rozmowy i czuwanie przy łóżku, urojeni lekarze proponujący absurdalne metody le-

316

czenia. W jednym ze snów przenieśli go do innej sali, ktoś przetaczał go z boku na bok, śnił też, że przydzielili mu współlokatora - mężczyznę poparzonego w pożarze ciężarówki - i dali im telewizor, który sam zmieniał kanały, przeskakując szaleńczo z jednej rzeczywistości w drugą, tak że kiedy zainteresowali go siłacze przenoszący beczki piwa, następowała luka i znajdował się po drugiej stronie, żeby wysłuchać kłótni ministra i transwestyty o adopcję. Śniło mu się również, że mężczyzna z sali, ten poparzony w ciężarówce, powiedział: „Daj znać, jak usłyszysz jakąś dobrą nowinę”. Ale Remy wiedział swoje, a telewizor przeskakiwał radośnie od sondaży przedwyborczych do zwycięzców konkursów tańca towarzyskiego, od podwójnej randki nastolatków do mężczyzn zamartwiających się rosnącą inflacją. Remy zrozumiał, że jest właśnie w takim stanie. Tak wygląda życie.

Te telewizyjne sny były szczególnie zmyślne - sposób, w jaki mogły bez

ostrzeżenia uciec od czegoś nieprzyjemnego do informacji. To, jak mogły skakać po kanałach, przechodząc od rozdzierającej tragedii do komedii absurdu, które różnił od siebie tylko puszczone z offu śmiech. Pewnego dnia przyśniło mu się dwóch mężczyzn debatujących nad tym, czy nagły wzrost poparcia dla prezydenta wynika jedynie z niedawnego sukcesu odniesionego w walce z komórką terrorystyczną, w której czterech z pięciu członków zginęło i tylko jednemu udało się zdetonować ładunek - na prawie pustym peronie kolejowym, gdzie zabił jedynie sześć osób, w tym siebie, i poważnie ranił emerytowanego policjanta...

A kiedy śniony telewizor się wyłączył, Remy wyobraził sobie ludzi, którzy przyszli go odwiedzić - Guteraka, opowiadającego o swojej nowej pracy rzecznika prasowego w fabryce gazu łzawiącego, Edgara, który powłóczył nogami i pytał pielęgniarki, czy stary go słyszy, a potem mamrotał coś o różnych fazach żałoby i oznajmił, że musi wracać do swojej bazy; i w końcu Szefa, który cały czas rozmawiał przez komórkę.

Śnione wózki zjedzeniem pojawiały się i znikwały, ludzie pytali, czy czegoś nie potrzebuje. To wszystko sprawiało, że Remy ze wszystkich sił czepiał się snu. Wiedział, że jeżeli ma rację, a to wszystko jest snem w malignie, to po prostu on musi w nim tkwić i czekać, aż ona przyjdzie. Życie biegnie dalej - wyścigi snowboardowe, konkursy kucharskie i ratowanie zagrożonych gatunków brzegowców. „Daj znać, jak usłyszysz jakąś dobrą nowinę”.

317

A któregoś dnia przyśniło mu się, że jego współlokator wyszedł do domu. Okno było otwarte i Remy czuł zapach spalanych liści, słyszał klaksony i zgrzytliwe odgłosy ruchu ulicznego. Tego dnia w telewizji był wyjątkowo

niedorzeczny sen, w którym dorosłe już dziecięce gwiazdy jadły owady. Pielęgniarka śmiała się, ostrożnie zdejmując mu z twarzy bandaż i opatrunki.

- Ten chłopak jest szalony - powiedziała. - Dawniej uwielbiałam go oglądać. Widział pan kiedyś serial z jego udziałem?

Kiedy zdjęła ostatni z bandaży, Remy poczuł światło na powiekach i powróciły znajome błyski i męty. Był to najbardziej poruszający widok w jego życiu.

- Okay - powiedziała cicho. - Spróbuje pan teraz otworzyć oczy?

Ale on zacisnął je najmocniej, jak tylko potrafił i czekał, na jej przyjście.

Podziękowania

Jestem głęboko zobowiązany swoim przyjaciołom, wydawcom, agentom i pisarzom, którzy wierzyli w tę powieść od jej pierwszych stron i przeczytali ją, co uważam za nieocenione. Moje podziękowania niechaj przyjmą: Cal Morgan, Judith Regan, Warren Frazier, Bill Reiss, Dan Butterworth, Jim Lynch, Danny Westneat, Sain Ligon oraz moja ukochana żona Annę Walter.

Ta książka to fikcja literacka. Mam nadzieję, że ludzie, których rzeczywistego bólu byłem świadkiem pięć lat temu, odnajdą prawdziwy spokój.